

ALFABET URBANA



ALFABET URBANA

Jerzy Urban

Copyright © by Jerzy Urban 1990

Drodzy Czytelnicy!

Życzę Wam abyście
nigdy nie stali się
bohaterami moich książek

Z umizgami
Jerzy Urban

Spis treści

URBAN Jerzy (5)	Ks. JANKOWSKI Henryk (41)	OSIECKA Agnieszka (83)
AMBROZIAK Jacek (6)	JAROSZEWICZ Piotr (42)	OZDOWSKI JERZY (84)
ANDRZEJEWSKI Jerzy (6)	JARUZELSKI Wojciech (42)	PASSENT Daniel (84)
ATLAS Janusz (7)	JULSKI Cezary (43)	PIETRZAK Jan (85)
AUDERSKA Halina (7)	JURCZYK Marian (44)	PLANEROWA Janina (86)
BABIUCH Edward (7)	KACZMARSKI Jacek (44)	POŻOGA Władysław (87)
BAKA Władysław (8)	KAŁUŻYŃSKI Zygmunt (44)	PRAŚNIEWSKI Leonard (89)
BALCEROWICZ Leszek (8)	KANIA Stanisław (46)	PRZYMANOWSKI Janusz (90)
BANASZAK Hanna (9)	KĄKOL Kazimierz (47)	PSZONIAK Wojciech (90)
BARCIKOWSKI Kazimierz (9)	KĘPIŃSKA Elżbieta (48)	RADZIWIŁŁ Anna (90)
BARDINI Aleksander (9)	KISIELEWSKI Stefan (49)	RAKOWSKI Mieczysław (91)
BASZKIEWICZ (10)	KISZCZAK Czesław (49)	RESZCZYŃSKI Wojciech (92)
BENDER Ryszard (10)	KLECHTA Jerzy (51)	RINN Danuta (92)
BERKOWICZ Andrzej (10)	KOBYLIŃSKI Szymon (51)	RODOWICZ Maryla (92)
BIEŃKOWSKI Władysław (11)	KOCIOŁEK Stanisław (51)	ROLICKI Janusz (93)
BIJAK Jan (12)	KOMAR Michał (52)	RYWIN Lew (94)
BOBER Andrzej (12)	KOMAR Władysław (52)	SAMSONOWICZ Henryk (95)
Ks. BONIECKI Adam (14)	KORWIN-MIKKE Janusz (53)	SATANOWSKI Robert (95)
BRATKOWSKI Stefan (14)	KOZAKIEWICZ Mikołaj (54)	SCHAFF Adam (95)
BRATNY Roman (14)	KOZŁOWSKI Krzysztof (54)	SEKUŁA Ireneusz (96)
BRZEZIŃSKI Zbigniew (15)	KRALL Hanna (54)	SKALSKI Ernest (96)
CIOSEK Stanisław (15)	KRASICKI Ignacy (56)	SKARŻANKA Hanna (97)
CYWIŃSKA Izabella (16)	KRASIŃSKI Zygmunt (56)	SOKORSKI Włodzimierz (98)
CZARTORYSKI (17)	KRAUZE Zygmunt (57)	SOWACKA Czesława (98)
CZARZASTY (17)	KRAWCZUK Aleksander (57)	SPASOWSKI Romuald (99)
CZECHOWICZ Tadeusz (18)	KRZAK Marian (58)	SPYCHAŁSKA Małgorzata (99)
CZYREK Józef (18)	KUBERSKI Jerzy (58)	SZAPOŁOWSKA Grażyna (100)
DĘBKOWSKA Kajka (18)	KUBIAK Hieronim (58)	SZCZEPAŃSKI Jan Józef (100)
DOBACZYŃSKI Jan (19)	KUROŃ Jacek (59)	SZCZEPAŃSKI Maciej (100)
DOWBOR Katarzyna (19)	KUROIPIESKA Józef (60)	SZCZEPKOWSKA Joanna (101)
DRAWICZ Andrzej (20)	KUTZ Kazimierz (60)	SZCZEPKOWSKI Andrzej (102)
DROZDA Tadeusz (20)	KWAŚNIEWSKI Aleksander (60)	SZCZUPIORSKI Andrzej (102)
DZIEDZIC Irena (22)	KYDRYŃSKI Lucjan (61)	SZEWIŃSKA Irena (102)
DZIEWANOWSKI Kazimierz (22)	LASOTA Eligiusz (61)	SZLACHCIC Franciszek (102)
DZIEWOŃSKI Edward (23)	LASOTA Grzegorz (62)	SZURMIEJ Szymon (104)
EDELMAN Marek (23)	LIPIŃSKA Olga (63)	SZYDLAK Jan (104)
FALKOWSKA Wanda (23)	LIPIŃSKI Eryk (63)	SZYMAŃSKA Irena (106)
FEDOROWICZ JACEK (24)	LIPSKI Jan Józef (64)	ŚLEDZIŃSKA Joanna (106)
FIKUS Dariusz (24)	LOSKA Krystyna (64)	ŚWIERCZYŃSKI Janusz (107)
FISZBACH Tadeusz (25)	ŁAPICKI Andrzej (64)	TERENTIEW Nina (107)
FRONCZEWSKI Piotr (26)	ŁOMNICKI Tadeusz (65)	TOEPLITZ Krzysztof Teodor (107)
GARLICKI Andrzej (27)	MALINOWSKI Roman (65)	TURSKI Ryszard (108)
GEREMEK Bronisław (27)	MAŁACHOWSKI Aleksander (65)	TYSZKIEWICZ Beata (108)
GIEŁŻYŃSKI Wojciech (28)	MARGUERITTE Bernard (66)	WAHL (108)
GIEREK Edward (29)	MAZIARSKI Jacek (67)	WAJDA Andrzej (109)
GLEMP Józef (30)	MAZOWIECKI Tadeusz (67)	WALDORFF Jerzy (110)
GŁOWACKI Janusz (30)	MESSNER Zbigniew (68)	WAŁĘSA Lech (111)
GONTARZ Ryszard (31)	MICHNIK Adam (72)	WERBLAN Andrzej (113)
GÓRNICKI Wiesław (32)	MIODOWICZ Alfred (73)	WICHEREK-NOWICKI Czesław (113)
GÓRSKI Mieczysław (33)	MŁYNARSKI Wojciech (74)	WIECZORKOWSKI Aleks. (114)
GRABOWSKA Alina (36)	MŁYŃCZAK Tadeusz (74)	WILCZEK Mieczysław (114)
GROTOWSKI Jerzy (36)	MOCZULSKI Leszek (74)	WOROSZYLSKI Wiktor (115)
GRUZA Jerzy (37)	NAJDER Zdzisław (75)	WRÓBLEWSKI K. Andrzej (116)
GUCA Zdzisława (37)	NASIELSKI Aleksander (75)	WRZESIŃSKA Barbara (117)
HALL Aleksander (38)	NIEZABITOWSKA Małg. (77)	ZANIEWSKA Xymena (118)
HOLOUBEK Gustaw (38)	NOWAK-JEZIORAŃSKI Jan (77)	ZANUSSI Krzysztof (118)
IŁOWIECKI Maciej (39)	OLSZOWSKI Stefan (78)	ZINN Wiktor (118)
JANDA Krystyna (39)	OLYSZKIEWICZ Janusz (80)	ŻUKROWSKI Wojciech (118)
JANISZEWSKI Michał (39)	Ks. ORSZULIK Alojzy (81)	
JANIUREK Włodzimierz (41)	ORZECZOWSKI Marian (82)	

Urodziłem się przed wojną w Łodzi w rodzinie burżujskiej. Ojciec był redaktorem i wydawcą gazety lewicująco-liberalnej, matka także parała się próżniactwem. Tatuś w swych wstępniakach butnie zwalczał Hitlera, ale go nie pokonał. Potem Hitler po niego przyszedł, a nie odwrotnie.

Jako małe dziecko wyrzucałem z mieszkania przez okno wszystko, co mieliśmy cennego, ale na biednych nie trafiło. Kiedy podrosłem, wstąpiłem do przedszkola, w którym rano wykładano francuski. Jednak na dźwięk tego języka zaraz bolała mnie głowa, więc przychodziłem, kiedy francuski już mijał. Sabotowałem także naukę gry na fortepianie. Wybuch wojny powitałem z radością, gdyż byłem jej bardzo ciekaw. We wrześniu 1939 r. prowokowałem ludzi naśmiewając się z nich, kiedy w schronie histeryzowali ze strachu przed bombami.

Jesienią 1939 r. uciekliśmy na radziecką stronę do Lwowa. Chodziłem tu do ukraińskiego przedszkola, z którego mnie wyrzucono za robienie małych min, a następnie do polskiej szkoły, dawniej Notre Dame. Rodzice codziennie musieli meldować się u dyrektora i wysłuchiwać, co takiego narobiłem tego dnia. Chciałem im ulżyć. Miałem już 6 lat, więc zadenuncjowałem ojca w NKWD opowiadając rosyjskiej koleżance, jak wielkimi byliśmy burżujami. Wysiłki moje okazały się daremne. NKWD miało przedwojenne publikacje ojca Dariusza Fikusa, opisujące mego ojca jako radzieckiego agenta. Usposobiło to NKWD przyjaźnie do Urbana. Na szczęście w 1941 r. wkroczyli Niemcy. Stworzyło mi to możliwość zadenuncjowania rodziców na gestapo. Z okazji ustanowienia hitlerowskiej władzy matka i ojciec poinformowali mnie, zresztą nieostrożnie, że jesteśmy żydami. Wynajęli księdza, który przychodził nauczać mnie przeżegnania i modlitw, żebym mógł przed dziećmi udawać katolika. Zaraz więc pobiegłem na podwórko powiedzieć wszystkim, którzy tam się bawili, że jesteśmy żydami i właśnie zaczynamy udawać chrześcijan. Niestety, moi rodzice byli szybsi w uciekaniu niż biurokraci z gestapo w gonieniu.

Osiedliliśmy się na wsi podolskiej, a tam władza była ukraińska. Usiłowałem ją sprowokować wybijając okno komendantowi ukraińskiej policji. I tu okazałem się pechowcem, gdyż Ukrainiec zbagatelizował i szybko, i mnie zupełnie.

W Tarnopolu, gdzie potem mieszkalem, zetknąłem się z konspiracją AK-owską, która w zaprzyjaźnionym mieszkaniu pp. Barańskich wieczorami czyściła karabin, nuciła patriotyczne melodie lub słuchała BBC. Naśmiewałem się z AK głośno, lecz bezkarnie. Nic mi nie zrobili, bo uważali mnie za nienormalne dziecko, podobnie jak ja ich za stukniętych kabotyńców.

Na kwartał przed końcem wojny wróciliśmy do Łodzi i tu zaraz mnie wyrzucono ze szkoły im. prezydenta Narutowicza przy ul. prezydenta Roosevelta za znieważenie słowne honoru, który ta szkoła miała. Chodziło o Honor Polskiej Szkoły, który nadwreżyłem, określając ją słowem buda. Nastąpiła wywózka na taczkach. Następnie wyrzucono mnie z III Miejskiego Gimnazjum im. Kościuszki, dawniej Piłsudskiego, później TPD.

Angielskiego, pamiętam, uczył mnie w domu sędzia Sądu Najwyższego RP – pederasta, który ścisnął mi uda i gładził w kroczu. Przez cztery lata nauczył mnie słowa darling. W 1946 r. rodzice oszaleli, bo pragnąc, żebym jeździł na nartach, co było niemożliwe, wysłali mnie na obóz górski organizacji młodzieży chrześcijańskiej YMCA. Uciekłem YMCA z pociągu i ukrywałem się u Jerzego Kosińskiego, który później został pisarzem amerykańskim jak guma do żucia. YMCA i rodzice przez dwa tygodnie szukali mnie, dobrze im tak.

W 1948 r. wstąpiłem do ZMP i wkrótce awansowałem na kierownika kół szkolnych, a nawet kasjera na zabawach w Śródmieściu – lewym. Moimi przewodniczącymi byli kolejno: żyd i bandyta Puterman, hrabia Wierusz-Kowalski (nie mógł z nami – personelem – wysiedzieć, ponieważ śmierziliśmy od niemycia się), robotnik – złodziej Budzyński, student ludowiec w białym dekle, nazwisko na W., i robotnica Plucińska, która cały dzień płakała. Śpiewaliśmy po polsku, że nie papież-pies dał nam Wybrzeże, i po włosku: precz z królem, niech żyje Stalin (*a bas il re vivat Stalin*). W zasadzie nie mieliśmy nic do króla, nie wiedzielibyśmy nawet o jakimś chodzi, lecz nie stanowiło to problemu, gdyż w ogóle nie rozumieliśmy słów. Postanowiłem wtedy definitywnie porzucić naukę szkolną i zostać etatowym aparaczką. Niestety, rodzice na to nie pozwolili i wywieźli mnie do Warszawy.

W mieście Warszawie wyrzucano mnie kolejno z: Wydziału Dziennikarskiego UW, Wydziału

Prawa UW, redakcji „Nowej Wsi”, redakcji „Po prostu” (wraz z całą redakcją), „Polityki”, rzecznika rządu, ministra-przewodniczącego Radiokomitetu i z dyrektora agencji „Unia- Press”. W latach 1957-1968 dwukrotnie dostałem zakaz pisania i pracy w dziennikarstwie. Publikowałem konspiracyjnie jako Jerzy Kibic.

Doznawszy tak wielu w życiu niepowodzeń, oddzielałem przeszłość grubą krechą, a od teraz będę robił karierę, redagując tygodnik satyryczny „Nie”. Wymaga to przypochlebiania się wszystkim. Temu dziełu służy niniejsza książka: zła, ale za to droga. Jest też ona kołem ratunkowym mającym chronić przed zapomnieniem ludzi obcych i znajomych. Ciskam to koło do wód płodowych nowego ustroju, które odeszły były z „Solidarności” – rodzicielki, zalewając wszystko i wszystkich.

AMBROZIAK Jacek – minister – Szef Urzędu Rady Ministrów

Bardzo szara eminencja przy Mazowieckim. Na pytanie, kto konkretnie naprawdę rządzi Polską, najbliższa prawdy byłaby odpowiedź: Ambroziak. Szczupły, zimny, rzeczowy, precyzyjny. Był w PRL sędzią, w stanie wojennym i później doradcą prawnym różnych ważnych instytucji, np. Episkopatu, a nawet Urzędu Dzielnicowego Żoliborz. Poznałem go w 1982 roku w budynku Urzędu Rady Ministrów, który teraz jest jego. Przyszedł wtedy do rzecznika rządu z delegacją orędowną na rzecz internowanych dziennikarzy. Sprawy nie pamiętam – Ambroziaka tak. Wzbudzał lęk.

Każdy szef URM był potęgą. Decydował o nominacjach na szczeblu wiceministrów, wojewodów, prezesów centralnych urzędów, a zawsze ten drugi garnitur trzęsie pierwszym garniturem władzy i także realnym życiem w Polsce. Szefowie URM rozdzielali też mieszkania, wyjazdy za granicę, skierowania na urlopy, nagrody pieniężne, samochody służbowe i asygnaty na prywatne. Każdy, kto uczestniczył we władzach, był od nich zależny we wszystkim, co wiązało się z jego życiem. Do niego też należało przepychanie spraw resortowych do premiera i na posiedzenia rządu, a więc szef URM był ministrem, od którego zależało to, czy inni ministrowie mogą rządzić.

Z pozoru Ambroziak jest wobec poprzedników królem, któremu zabrano koronę, bo nie może już rozdzielać asygnat na samochody. Nie ma jednak tego złego, co by na dobre nie wyszło, gdyż poprzednikom Ambroziaka rozdzielanie ład i polonezów zabierało połowę czasu, którą szef URM ma teraz na rządzenie Polską.

W prasie pojawiają się różne głupie pytania, np. kto właściwie rządzi telewizją, kto mianuje naczelników redaktorów tych wszystkich niezależnych gazet i czasopism, kto decyduje o obiegu informacji, czyli o PAP, kto odpowiada za to, że sprawami rolnymi rząd się zajął za późno, kto wymyślił Balcerowicza i setki innych. Jeżeli na każde pytanie odpowiedź zabrzmi – Ambroziak, w 90 procentach będzie to odpowiedź trafna.

W początkowym okresie nowej władzy Ambroziak był cieniem Mazowieckiego i polityczną przyzwoitką premiera. Rozstawali się tylko przed drzwiami toalety. Teraz premier nie boi się już sam chodzić i rozmawiać, nabrał pewności siebie, gdyż stał się przy Ambroziaku człowiekiem wpływowym. W epoce „okrągłego” stołu Ambroziak należał do ekipy moich kontrpartnerów przy stosownym stoliku. Jego koledzy wygłaszali godzinami kwieciste deklamacje. On sucho, głosem bezbarwnym, krótko czytał z kartki jakieś paragrafy. Nikt z naszych, po czerwonej stronie stolika, nie znał tych paragrafów i nie wiedział, o co chodzi. Deklamacje szybowały w niebo, mieszając się z zawodzeniami anielskich chórów, a jednak wszystkie uchwytnie rezultaty prac podstolika prasowego sprowadziły się do anulowania paragrafów, które Ambroziak wymieniał, i wprowadzenia przepisów, jakie niedbale wyrecytował z kartki. Każdy człowiek ma swoje lęki, boi się żony, Wałęsy, złodziei, policji, podatków, zaburzeń publicznych, inflacji, celników, sąsiadów, bezrobocia, latania samolotem, kaca, braci Kaczyńskich, plajty, zimna, podsłuchu itd. itp. Jeżeli ktokolwiek jest taki ambitny, że bać się chce też ambitnie, powinien odczuwać strach przed Ambroziakiem. Nie wyjdzie wówczas na durnia.

ANDRZEJEWSKI Jerzy – pisarz

Pierwszy teść mojej drugiej żony. Wielki protektor ładnych chłopców, amator alkoholu i literackiej nagrody Nobla. Literacki kalkulant. Trudno w to dziś uwierzyć, ale były czasy, kiedy czytywało się Andrzejewskiego. Zawsze, kiedy brałem kolejną jego książkę, eksponowała ona szwy i autorskie intencje: aha, ten Andrzejewski wstępuje do Polski Ludowej starając się podbić władzę i zarazem poakowską inteligencję czytającą go, gdyż pochyla się nad jej racjami i urazami. Albo: aha, Andrzejewski wchodzi zupełnie w socrealizm i próbuje pokazać, że on to robi lepiej i uwiarygodni się subtelnościami psychologicznymi. Albo: aha, Andrzejewski przeskakuje w nurt antytotalitarny, ale go pracowicie sublimuje, bo sobie założył, że będzie pisał arcydzieła. Albo: aha, Andrzejewski skacze w nowoczesną powieść w stylu francuskim – chce być hipersaganką. Albo: aha, ten facet próbuje, czy nie wygra, wpisując się w modę na mieszanie literatury faktu i beletrystyki, udające spontaniczny strumień świadomości.

Jeśli socjalizm dla kogokolwiek dobrze wymyślono, to dla pisarzy. Mianowano ich arcykapłanami i ważnymi partnerami władzy. Błąd w tej metodzie polegał na tym, że o ile marniejszych przyklejało to na zawsze do klamek w KC, to zdolniejszych zmuszało do przejścia do opozycji. Po prostu literat ogromnie nabierał znaczenia, kiedy stawał się kontrpartnerem władz. Te bowiem sztucznie ulepiły z niego ważną osobistość i potem się go bały, zwalczały, kokietowały, paktowały. Inaczej mówiąc, władze lepiły bożków, a potem się ich lękały i zabiegały o ich przychylność.

Andrzejewskiego znałem z nocnego baru w „Kameralnej”, gdzie bełkotał otoczony gromadką akolitów. Raz byłem u niego w domu. Najpierw był alkohol, „Diabły z Louden” Pendereckiego, odgrywane z płyty, i wymyślone monologi frywolnego guru. Potem był alkohol i rodzinna bijatyka. Potraktował mnie z obrzydzeniem, mówiąc, że odstręczają go moje ohydne, grube palce, a przecież nie jestem ani pianistą, ani ciotą i mam ambicje, żeby bardziej globalnie od siebie odstręczać.

ATLAS Janusz – dziennikarz

Wybitny biegacz salonowy, jedyna obok Pana Boga istota, która wszędzie jest obecna jednocześnie. Rzecz ma się tak. Zrobienie kariery przez wymyślenie teorii względności zapewne wymagało pewnego wysiłku. Najbardziej jednak pracowitą metodą stawania się popularną postacią jest bywanie wszędzie, publikowanie gdzie się da, staranie o to, żeby wszystkich znać i sypiać ze wszystkimi, z wyjątkiem Wielkiej Niedźwiedzicy.

AUDERSKA Halina – literatka

Po pierwszej wojnie światowej nauczycielka. Szczęściem wybuchła II wojna. Swoją karierę po drugiej wojnie światowej tak zobrazowała dla wydawnictwa „Kto jest kim w Polsce”: kier. Wydawniczej Księgarni „Trzaska, Evert i Michalski” 1946-50; kier. pracowni leksykograficznej, koordynator i zastępca red. nac. 11-tomowego Słownika Języka Polskiego PAN 1952-69; czł. Red. nac. Małego Słownika Języka Polskiego 1969; czł. kom. red. Encyklopedii Warszawy; współzałożyciel i sekr. mies. „Dialog” 1956-59; czł. Rady ds. Wychowania przy Ministrze Oświaty i Wychowania, Rady ds. Kulturalno-Wydawniczych przy Ministrze Kultury i Sztuki; czł. ZAiKS 1945-; czł. Rady Naczelnej 1978-; czł. ZLP, wiceprezes 1960-68, prezes 1968-71 Oddz. Warszawskiego, wiceprezes ZG 1972-77; prezes ZLP 1983-; czł. PEN-Clubu 1957-; współzałożyciel, skarbnik i wiceprezes ITI 1958-79; czł. SEC 1971-; Nagroda m. Warszawy 1971, Nagroda Prezesa Rady Ministrów 1975, Nagroda Ministra Kultury i Sztuki 1977 i inne; Krzyż Komandorski, Oficerski i Kawalerski OOP, Order Sztandaru Pracy II kl., Krzyż Walecznych (dwukrotnie)

Jedna z jej powieści: *Poczwarki wielkiej parady*.

BABIUCH Edward – emeryt

Za Gierka, po upadku Szlachcica, druga osoba w KC PZPR. W odróżnieniu od dużego Edwarda

zwany małym Edkiem. W końcu epoki edwardiańskiej – premier. Człowiek mały i niski, o którym powiadano, że nie schylając się przechodzi między rozstawionymi nogami swojej ochrony osobistej.

W sierpniu 1980 r. w amerykańskiej gazecie „Chicago Tribune” ukazał się tytuł: *Sensacyjne zmiany w Polsce. Gabinet Babiucha zastąpiony gabinetem Pińkowskiego*. Na obecne wydarzenia w Warszawie także warto patrzeć z poczuciem historycznego dystansu.

BAKA Władysław

Mówią, że jest pra- pra- pra- pra- pra- prawnukiem księdza Józefa Baki, jezuity i grafomana dewocyjnego. Prezes Narodowego Banku Polskiego, ale sam obywatel się bez pieniędzy. Zawierając znajomości podaje wizytówkę: „Władysław Baka – Gubernator Banku Światowego” i tej wizytówce nie oparła się jeszcze żadna dziewczyna w Polsce.

Polityk i ekonomista dosyć pechowy. Napisał w 1980 r. dzieło *Strategia rozwoju społeczno-gospodarczego Polski Ludowej*, to wkrótce zlikwidowano mu Polskę Ludową. Stworzył koncepcję reformy gospodarczej i przez 5 lat jako szef komisji do spraw reformy i minister usiłował ją wcisnąć do gospodarki, lecz gospodarka skutecznie się temu oparła. Został sekretarzem ekonomicznym KC, a tu akurat w panice urząd ten wypłukano z wszelkiej władzy. Współprzewodniczył zespołowi ekonomicznemu „okrągłego stołu” i podpisał porozumienie – jego kontrahenci, przejąwszy władzę, zaczęli robić wszystko niemal odwrotnie, niż sami się domagali i na Bace wymogli. Został Prezesem Narodowego Banku Polskiego – zostawili mu biurko i fotel, opróżnili zaś kasę. Profesor rzecz jasna, mimo to bardzo przystojny.

Ma profesorskie nawyki. Zabiera głos wszędzie i mówi zawsze co najmniej tak długo, ile trwa wykład uniwersytecki. Zapytajcie Bakę, która godzina, to odpowiadać będzie na to pytanie równo 45 minut.

BALCEROWICZ Leszek – wicepremier

Zanim PZPR popełniła harakiri, wychowała najlepsze kadry dla wszystkich orientacji politycznych i Balcerowicz jest tego jednym z przykładów. Jako naukowiec zajmował się przedstawianiem studentom walorów i przewag gospodarki socjalistycznej. Jako polityk wyciągnął naukę z tej wiedzy stając na czele budowy kapitalizmu w Polsce. Polityka Balcerowicza prawie nikomu w Polsce się nie podoba, ale wicepremier wszystkim. Polakom imponuje odwaga, a Balcerowicz jest współczesnym wcieleniem ks. Józefa Poniatowskiego. Wszyscy u nas, od prawie 200 lat, zachwycają się tym, że książę skoczył do wody i utonął, a nikt nie pyta, po co w ogóle było się jeszcze pchać do bitwy pod Lipskiem. A propos Niemcy. Kiedy Balcerowiczem był jeszcze Sekuła, zapytałem starego polityka chadeckiego z RFN, w jaki sposób i jaką techniką CDU wynalazła była Erharda, gdyż Polska także ma apetyt na cud gospodarczy. To mit dla dzieci – odparł – że Erhard zrobił cud gospodarczy. Koncepcję dźwignięcia niemieckiej gospodarki wymyśliła grupa naukowców na prowincjonalnym uniwersytecie. Już nikt o nich nie pamięta. Erhard był tylko publicznym rzecznikiem ostrej kuracji gospodarczej – firmował ją i gadał. Ważne było poparcie wielkiego kapitału, gdyż realnego przełomu ekonomicznego dokonali szefowie wielkich koncernów.

Na prowincjonalnych uniwersytetach mamy masę ekonomistów, którzy nudzą się w towarzystwie swoich kompleksów. Na rzecznika wystarczy mianować jak zawsze red. Bronikowskiego z telewizji. Balcerowicz firmuje politykę gospodarczą i ma na to odwagę. Niestety polega na tym, że do budowy kapitalizmu brakuje nam wielkiego kapitału i jego dysponentów, szefów wielkich koncernów biorących rzecz skutecznie w swoje ręce.

Kiedy recesja produkcyjna rozwinie się okazując, że jest ona nie przejściowa, lecz strukturalna i trwała – za wszystko obwinia Balcerowicza. Jednakże medal za odwagę zawsze dawany jest u nas wszystkim, którzy się narażali skacząc do wody tonącym na ratunek, niezależnie od tego, czy kogokolwiek wyłowili.

BANASZAK Hanna – piosenkarka i matka Polka

Warszawski teatr „Współczesny”. Wieczór piosenek, może Hemara, a może Wasowskiego (tego od Przybory i Kabaretu Starszych Panów), ale na pewno wieczór piosenek kogoś, kto umarł. Hanna Banaszak wychodzi na scenę i śpiewa: *Dziś dla Ciebie czasu nie mam*. Szmer. Sala w ogóle nie patrzy na divę tylko na Rakowskiego, premiera wtedy, który siedzi w drugim rzędzie czerwony jak jego partia.

Tamtymi czasy cała Warszawa mówiła, że Banaszak sypia z Rakowskim, więc szybko mu o tym doniesiono. Działo się to, nim Rakowski poszedł do „Współczesnego”, więc premier zdenerwował się: a jak do k... nędzy wygląda ta cała Banaszak? Dostarczyłem mu taśmę z telewizji. Taką, na której było widać całą Banaszak. Puściliśmy więc tę całą Banaszak z magnetowidu. Śpiewała rzewną, tandetną kołysankę bachorowi, którego właśnie urodziła. Wzięła go na zarobek do TV, żeby przerobić dziecko na teledysk. Niezła – rzekł o Banaszak Rakowski; pochlebiło mu to, że plotka nie wiąże go w każdym razie z jakąś garbatą staruszką. Wystarzał się o telefon Banaszak i zadzwonił: Dzwonię, bo mamy wspólny kłopot, chyba pani wie, że plotka głosi, że pani i ja... – Och właśnie – rzekła diva – pan chyba rozumie, jaki to dla mnie koszmar, jak mi to utrudnia sytuację w moim środowisku. I och, i ach, i tego, i śmego, jednym słowem, obrzucają ją błotem biedną dziewczę i wciskają jej gacha o niemodnej barwie politycznej. Jak Rakowski usłyszał, że on jest błotem rzuconym na Banaszak, zupełnie nie był tym zachwycony. Uważał, że dla piosenkarki klasy Banaszak pogłoska, że sypia ze starym Rakowskim, to honor i reklama, a nie powód do jęków i fumów. A w dodatku tak z nim mówiła, jakby to była jego wina, że go plotka pcha jej do łóżka. I tak nieszczęsna ta kobieta straciła poważną szansę dostosowania swego położenia do pogłosek.

Jeśli zdarza się, że ktokolwiek jeszcze mówi o Hannie Banaszak, to nadal w powiązaniu z Rakowskim. Bez Rakowskiego Banaszak może istnieć, ale nie jako temat. Są ludzie, o których plotkuje się, ponieważ są znani – to Rakowski. A są ludzie, którzy są znani, ponieważ się o nich plotkuje – to byłaby na przykład Hanna Banaszak.

Wraz z plotką, że jest lub była kochanką Rakowskiego, zniknie wszelka ludzka pamięć o Hannie Banaszak. Staram się więc podarować jej trochę nieśmiertelności: pamiętajcie ludzie, była to dziewczyna, która nie dała Rakowskiemu.

BARCIKOWSKI Kazimierz – emerytowany dygnitarz

Barcikowski to mędrzec, który nie pisze, więc nie zdołał utrwalić po sobie śladu. Osobowością, sposobem bycia, słabym temperamentem przypomina bardzo Mazowieckiego, tylko że nigdy nie miał swojej wielkiej szansy. Chłopoman, który graseje jak hrabia z wodewilu.

Szczytowy moment jego kariery to podpisanie porozumień szczecińskich i przemówienie, które wtedy wygłosił. Wspaniale zepchnął gdzieś pod podłogę aktualnie kształtujące się konflikty i mówił o państwie jako dobru wyższym i długotrwałym, do którego interesów przymierzać trzeba wszystko, co się czyni.

Wyraził też nadzieję, że w przyszłości jako emeryt przyjedzie do Szczecina na ryby spotykając się z szacunkiem wszystkich. Emerytem jest, może znęcać się nad rybami, gdzie chce, a jednak łudził się ogromnie sądząc, że on i inni będą potraktowani jako ci, którzy od przeciwnej niż opozycja strony otwierali Polsce drzwi ku demokracji.

Jeżeli przyjedzie do Szczecina, zarzuci wędkę i ktoś go w ogóle pozna, to zawoła: O! Rozdeptany czerwony pajak. Czyż dziś jest to dobra choćby tylko dla ryb przynęta?

BARDINI Aleksander

Reżyser i aktor oraz idol telewizyjny. Kawaler dwóch Medali „Za zasługi dla obronności kraju”. Jeden jest brązowy, a za to drugi srebrny.

BASZKIEWICZ Jan – profesor

Był to chyba największy umysł PZPR. Czytam wszystko, co wydrukuje. Zachwycająco dowcipny swawolnik. Za dużo wie, ale nie jest specjalnie niebezpieczny, bo on głównie wie o umarłych, i to Francuzach. Z polskiej współczesności rozumie jednak więcej niż ktokolwiek inny. Paskudne musi być życie człowieka, który za dużo rozumie.

BENDER Ryszard – były poseł

Zawodowy katolik z nurtu narodowego. Bardzo przypochlebny i przylepny człowiek. Działa w którymś ze stronnictw ultrakatolickich i supernationalnych i popiera Wałęsę. Dobrze tak Wałęsę.

BERKOWICZ Andrzej – mój osobisty przyjaciel z lat 1946-1968

Do naszej klasy szkolnej w 1947 r. przybywa nowa nauczycielka i czytając dane o uczniach zapoznaje się z nimi – Och! Berkowicz jesteś sierotą? – Tak, proszę pani. Matkę zabili mi Niemcy, a ojciec zginął w ZSRR. Belferce wilgotnieją oczy. – Z czego ty dziecko żyjesz? – Utrzymuję się, proszę pani, z korepetycji. Cała klasa w ryk. Nauczycielka pąsowieje, krzyczy, że jesteśmy nieludzy i wybiega z klasy rozdygotana. Klasa tarza się ze śmiechu. Ogólnie było bowiem wiadomo, że Berkowicz, wychowywany przez dwie ciotki i jednego wujka, otrzymuje z domu sute apanaże na korepetytorów, którzy są fikcją. Kiedy już mieliśmy po 15 lat, za te pieniądze kupowaliśmy sobie słodką wiśniówkę w ćwiartkach, chadzaaliśmy na kurwy na ulicę Kamienną w Łodzi. Raz nawet wyprawiliśmy się z „Orbisem” do Zakopanego i wynajęliśmy sobie na cały dzień taksówkę marki „Tatra”, żeby pojechać w góry. Potem, by móc zapłacić taksówkarzowi, Berkowicz wziął wszystkie moje rzeczy, aby je sprzedać w komisie łachów używanych.

Wiele robiliśmy razem: chodziliśmy do szkoły, uczyliśmy się używać wódki, kobiet i życia, działaliśmy w dzielnicowym zarządzie ZMP i razem zostaliśmy dziennikarzami. To już w Warszawie, w redakcji „Nowej Wsi”. Razem też poszliśmy na dziennikarskie studia uniwersyteckie. Byliśmy tak nierozłączni, że często nas mylono lub podejrzewano o pedalstwo.

Ojciec Berkowicza – Adam był przed wojną sekretarzem KC Komunistycznej Partii Zachodniej Ukrainy (polskie kresy wschodnie) do spraw wojskowych. Przyjaźnił się z ojcem Michnika – Ozjaszem Szechterem. Lękając się aresztowania Berkowicz uciekł do ZSRR, no i tam go wsadzono. Jeszcze przed wojną Szwajcarski Czerwony Krzyż zawiadomił mieszkającą w Polsce matkę Andrzeja Berkowicza, że jego ojciec w 1938 r. zmarł w obozie na Kołymie.

24-letni Andrzej po 17 latach pełnego sieroctwa nagle przestał być sierotą. Było to przed południem w 1956 r. Siedzieliśmy w redakcji „Po prostu” biurko w biurko. Wpierw był do Berkowicza telefon, że dostał mieszkanie. Załatwiła mu je kuzynka jego żony, Solska, żona Jaroszewicza. Potem drugi telefon, że urodził mu się syn. I potem trzeci, że zmarł wychwstał ojciec.

Stary Berkowicz uciekł do Związku Radzieckiego w 1931 r., zanim mój Berkowicz się urodził, co zdarzyło mu się w 1932. W 1933 r. starego Berkowicza już zesłano do łagrów, gdzie przesiedział 23 lata do 1956 r. Teraz okazało się, że jest w Moskwie i chce wracać do Polski.

Andrzej dostał paszport w ciągu kilku godzin na polecenie przyjaciela ojca, ówczesnego I sekretarza KC Ochaba. Wrócił z Moskwy mówiąc, że tatuś jest w dobrej formie, bezbłędnie włada nadal polskim i zachodnimi językami, orientuje się w sytuacji światowej, ale ma żonę Eskimoską zupełnie dziką. Dalej, że jest zarażony strachem – w Moskwie ukrywa się i boi. Cały czas ojciec z synem pili wyłącznie spirytus i to bez przerwy. Potem stary Berkowicz przyjechał do Warszawy, ożenił się tu z siostrą zmarłej żony, która wychowała Andrzeja, i niemal zaraz zabiła go ciężarówka na Nowym Świecie. Odwykł od ruchu ulicznego. Wolność może być śmiertelna. Andrzej Berkowicz na powrót został sierotą.

Po „Po prostu” Berkowicz pracował w „Dookoła Świata”. Ludzie z tej redakcji, np. Giełżyński, siadywali w kawiarni PiW na Foksal, gdzie zbierały się młode dziwki oraz opozycja literacka i

intelektualna: Słonimski, Staszewski itd. Któregoś dnia, tuż przed południem, Berkowicz z kolegami postanowili urządzić orgię. Wraz z panienkami pojechali do domu Berkowicza na Rynek Nowego Miasta. Andrzej zadzwonił stamtąd do żony, która była asystentką na SGPiS, żeby nie wracała do domu, gdyż robią orgię. Dobrze – odrzekła żona Andrzeja Halina Paczesna – ale o godzinie 16.00 mieszkanie ma być puste i wysprzątane, bo ona podejmuje herbatką profesorów – promotora i recenzentów swojej tezy doktorskiej. Przed godziną 16.00 Berkowicz wypędził wszystkich z wyjątkiem kolegi, który spał nago w sypialni, a będąc spitym nie reagował na budzenie. Dano mu więc spokój.

Kiedy Paczesna z profesurą omawiała swą doktorską rozprawę, nagle w drzwiach stanął całkiem goły facet z dyndającym kutasem i na widok gospodyni zawołał: lalunia! Dlaczego do kurwy nędzy już się ubrałaś?

W marcu 1968 r., kiedy ludziom z takim nosem i nazwiskiem jak Berkowicz wiało w Warszawie grozą, mój Berkowicz wesoło wracał nad ranem z knajpy nocnej raczej pijany. Kombinował więc, skąd by wziąć jakiś kwiatek, żeby przebłagać żonę. Patrzy, a tu przy tablicy ku czci poległego w powstaniu sztabu AL na Nowym Mieście leżą wieniec. Wziął więc jeden wieniec, zatańczył go do mieszkania i położył na swojej śpiącej Dziduli. Przygniecioną żona obudziła się, a dowiedziawszy się, skąd kwiaty, wpadła w panikę: aresztują ich lub co najmniej marcowcy zrobią wielki skandal, że syjonista bezczęści święte narodowe miejsca. Próbowwała upchnąć wieniec do pudła tapczanu, ale się nie mieścił, chciała rozebrać go, ale się nie dawał. Zaczęła zamiatać ścieżkę igliwia, ciągnąc się po schodach do ich mieszkania. Świt zastał ją ze szczotką na dworze – płacząc zamiatała Rynek Nowego Miasta. Berkowicz zaś spał sobie smacznie. Obudził się o 10.00 i znalazł żonę wciąż desperującą.

Wstał, ubrał się, wziął wieniec i poszedł z nim spokojnie pod tablicę ku pamięci sztabu AL. Stała tu warta honorowa, były delegacje i kamera telewizyjna. Berkowicz uroczyście złożył wieniec, a warty prezentowały przed nim broń.

Na przełomie 68 i 69 roku Berkowicz wyemigrował do Szwecji, bo pragnął jakiejś odmiany. Wyjechały tam za nim żona oraz jego osobista kochanka, która w Sztokholmie została gwiazdą sex-show. W 1972 r. oglądałem ją w dramatycznej roli wdowy, która zakryta od góry welonem pokazuje szeroko dół i onanizuje się gromnicą. W Szwecji obie kobiety porzuciły Berkowicza. Miał tam drugą, inną żonę, teraz ma trzecią.

Odwiedziłem go w Sztokholmie w 1972 r. wraz z moją ówczesną narzeczoną. Mieszkał w domu akademickim i brał studenckie stypendium. Akademik pełen był amerykańskich dezenterów z Wietnamu, handlarzy i złodziei z Polski. Działyły tam komuny oraz punkty sprzedaży narkotyków i było wesoło. Po moim powrocie do Polski wybuchł skandal o to, że w czasie służbowej podróży dookoła Morza Śródziemnego bez zezwolenia zjawiłem się w Szwecji i to u emigranta. Jan Szydłak, sekretarz KC, oznajmił mojemu szefowi Rakowskiemu, że ma meldunek, iż brałem tam pieniądze od wrogiej organizacji. Zareagowałem pełnym oburzenia listem do Szydłaka. Zakończył on aferę, ale i wstrzymano mi paszport na rok.

Pretensje o odwiedzenie Berkowicza miały podstawy m.in. w tym, że starał się on, sukinsyn, o pracę w Wolnej Europie, gdzie działała jego dawna przyjaciółka z łódzkiego organu PZPR „Głosu Robotniczego”, znana obecnie w Polsce Alina Grabowska. Berkowicza nie przyjęto do RWE rozgłaszając, że go podejrzewają, iż jest agentem polskiego UB. Wiele lat potem, w emigracyjnej prasie, Nowak-Jeziorański przeproszał go za to posądzenie.

Mój przyjaciel Berkowicz, w swoim czasie barwna postać Warszawy, dziś jest chory, więc spokojny i cichy. Jeździ wózkiem inwalidzkim. Ostatnio z moją trzecią żoną odwiedziliśmy go w Sztokholmie. Byliśmy pijani. Żona usiadła mu na kolanach, a on był na tym wózku dla kalek. Tak bardzo zgorszyło to Berkowicza, że kontakt się urwał.

BIENKOWSKI Władysław

Jedna z czołowych postaci okupacyjnego PPR; człowiek bliski Gomułce. W r. 1957 był ministrem oświaty. Zajmował się m.in. rozmowami z „Po prostu”, gdzie pracowałem. Namawiał nas, młodych dziennikarzy z tego tygodnika, abyśmy odstąpili od naszego kontestacyjnego programu, zarzucili reformatorski maksymalizm. Dowodził, że nasze polityczne szaleństwo wynika z niezrozumienia

złożonych mechanizmów oraz racji stanu, czyli tego, że Moskwa się zirytuje i da po tyłku.

„Po prostu” nie chciało słuchać mądrego polityka, więc je rozwiązano. Ja lekcje Bieńkowskiego przyjąłem bardzo poważnie. Jego nauki ukształtowały mą prorządową już odtąd świadomość polityczną. Tymczasem Bieńkowskiego Gomulka wylał z władz partyjnych, zdjął z ministra i zesłał do idiotycznych zajęć, tj. objęcia funkcji dyrektora parków narodowych. Bieńkowski przeszedł więc do opozycji i publikował buntownicze broszury, przy których linia „Po prostu” to była najczystsza komunistyczna ortodoksja.

I tak to zawsze było z tą opozycją. Jej trzon stanowili zbuntowani mędrcy komunizmu, którzy zmieniwszy poglądy przystępowali do bezpardonowej walki politycznej z własnymi uczniami, tymi, których najlepiej zdołali poprzednio przekonać i ukształtować.

BIJAK Jan – szef „Polityki”

Na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych przyjechał do Warszawy z osady Łagisza. Zamieszkał w bursie przy ul. Niemcewicza w kilkusobowym pokoju. Myśmy w tym pokoju pili i śpiewali. On miał pod łóżkiem kuferek zawierający boczek, smalec, kiełbasę i dżem. Leżał na łóżku, pilnował kuferka i wkuwał język francuski. Poza tym studiował na Uniwersytecie prawo i pracował w tygodniku „Nowa Wieś”, gdzie trwały nie kończące się zebrania, na których odpierał zarzuty o agraryzm. Było to modne w tamtym czasie poważne odchylenie polityczne. Na czym polegało – najstarsi ludzie nie pamiętają.

Kiedyś, w tamtych latach, u Chełstowskiego na Żoliborzu była wódka (Chełstowski jest teraz naczelnym „Życia Gospodarczego”). Metodyczny Bijak w rozkwicie zabawy wyciągnął się na łóżku polowym i zasnął. Przyłożyła się tam do niego przeinwestowana wódką dziewczyna – Marysia Bartnik i całego Bijaka pokryła wielobarwnym pawiem nakarmionym sałatką jarzynową. Zastanawialiśmy się, czy Jasia obudzić i umyć, ale w końcu nic w życiu trwale nie brudzi, bo wszystko jakoś przyschnie. Paw Marysi Bartnik był lepiszczem, które przykleiło ją do Bijaka. Po dziś dzień jest jego żoną.

Przecignięcie Bijaka do „Polityki”, chyba ze 20 lat temu, to była moja największa zasługa dla tego pisma. Zastępcą Rakowskiego był wtedy Radgowski. Przyjaźnił się z Bijakiem tak bardzo, że w ogóle nie umieli się rozstać i Bijak urzędował w gabinecie Radgowskiego. Ściągały tam tłumy Bijakowych klientów ze wsi oraz rozmaici ludowcy. – Jasiu, kiedy wreszcie przyjdzie do ciebie ktoś z miasta – docinał Radgowski.

Radgowski obraził się na „Politykę”, gdy postawiłem na swoim, żeby Januszowi Rolickiemu dać nagrodę „Drożdże” za program kulturalny TV. Bijak zajął jego miejsce. Po mianowaniu Rakowskiego wicepremierem w lutym 1981 r. zaczął kierować pismem i niebawem formalnie został jego naczelnym.

Od dawna uważałem, że Bijak już marnuje się w „Polityce” i trzeba go wykorzystać w tej bez cudzysłowu. I zaczęły się debaty: wielki charakter, wybitny talent mediacyjny, duży numer kapelusza, tolerancyjny, dobry, lubiany, prawdziwy liberał, ale wicie rozumiecie, żadnego temperamentu, siły przebicia, energii, dynamizmu, po prostu człowiek bez jaj. Te nie uwypuklające się jaja uratowały Bijaka od roli sezonowego ministra czy przelotnego sekretarza KC PZPR. Z całego dawnego czerwonego gospodarstwa tylko „Polityka” – różowiejąc i bielejąc chwilami – ciągle jednak jest potęgą.

Ostatnio na pewnym publicznym zgromadzeniu dziennikarzy Bijak powiedział, że wstydzi się swojej funkcji likwidatora RSW, a pełni ją tylko przez szacunek dla premiera Mazowieckiego, który go powołał. Lęka się, iż pewnego dnia jak do wszystkich niemal redakcji przyjdzie dwóch panów z „Solidarnością” w klapie i powie mu: Paszoł won, przejmujemy „Politykę” dla jedynie słusznego ruchu. I tak – tu dodam – skończy się na zawsze najlepsze pismo w Polsce i najlepszy redaktor.

Bywa mylony z Bujakiem. Żyje nędznie. Psuje wódkę robiąc nalewki. Interesuje się własną córką, malarstwem i kolekcjonerstwem oraz tym, co się dzieje.

BOBER Andrzej – redaktor TVP

Mazowiecki i Drawicz, Jaruzelski i Miller, Kozłowski, Kozakiewicz i Stelmachowski, Bartoszcze

i Wałęsa, Korwin-Mikke i Najder itp. wszyscy pytają z niecierpliwą irytacją: Kto właściwie rządzi tą telewizją?

Od chwili wylania i wsadzenia Macieja Szczepańskiego, wszystkie ekipy władzy pytały o to samo i nie mogły znaleźć odpowiedzi. Kiedy byłem prezesem telewizji i radia, siedziałem na wysokim piętrecie w gabinecie po Szczepańskim. Nudziłem się z braku zajęć, bo wszystko toczyło się tu poza mną, zadawałem sobie też to pytanie: kto rządzi tym wszystkim, co ja firmuję? Prawdziwa odpowiedź jest taka – telewizją nikt nie rządzi, ona rządzi się sama. Odbywa się to w ten sposób, że wpływ na poszczególne segmenty programu ma kilkuset redaktorów i dyrektorów, na nich ma wpływ kilkuset notabli oraz teraz już może kilkuset kapitalistów, którzy przekupują ludzi z TVP półlegalnie lub całkiem po cichu.

Gdyby jednak zapytać, kto w Polsce pojedynczo, względnie rzecz biorąc, najbardziej rządzi telewizją, to w chwili, gdy piszę te słowa, prawidłowa odpowiedź brzmi: Andrzej Bober. Formalnie jest on prostym dyrektorem generalnym, jednym z tłumu szefów.

Od późnego Gierka do stanu wojennego Bober prowadził bardzo popularny program „Listy o gospodarce”, w którym niezwykle ostro, arogancko i kompetentnie oćwicział szefów gospodarki. Kolejne ekipy nienawidziły go najbardziej ze wszystkich ludzi w Polsce. Premierzy, wicepremierzy i sekretarze KC biegali i pytali, kto do cholery w ogóle pozwala na te wredne popisy Bobera. Nie można było jednak ustalić, kto za nim stoi, żeby załatwić wylanie Bobera. Trwał on więc dzięki temu, że zapewne nikt za nim nie stał, a wszyscy sądzili, iż ktoś stoi i tylko nie można go odnaleźć. Działał też Bober dlatego, bo się go bano. Gdy którakolwiek władza boi się kogoś – jest on względnie bezpieczny.

Potem Bobera spławiono, ale, o ile się nie mylę, trzeba było w tym celu wprowadzić stan wojenny. Urażony Bober zwąchał się z opozycją. Utorowało mu to później drogę do rządów w TVP. W opinii mas telewizyjnych pracowników uchodzi za ostrego faceta więc nietrudno mu było złapać władzę pod miękkim i porządnym Drawiczem. Dlatego bo Bober zna się na telewizji, czym różni się od wszystkich, poza Snopkiewiczem, ludzi nowej nomenklatury posłanych do TV na komisarzy politycznych.

Za poprzedniej władzy, chyba był to rok 87, starałem się załatwić powrót Bobera do programu TV, żeby prowadził przed kamerą ostre rozmowy z ówczesnymi dygnitarzami. Dostałem na to ogólną zgodę i wicepremier Manfred Gorywoda poddał się przesłuchaniu. On i jego polityka wyszli z tego zniszczeni dokładnie, grzecznie, kompetentnie i metodycznie. Więcej nikt nie chciał brać udziału w telewizyjnej rozmowie z Boberem. W końcu zaproponowałem swoim szefom siebie na kamikadze, tłumacząc, że mnie wszystko jedno co ze mną Bober robi, a dla sprawy jest to także dość obojętne. Przy tym w ogóle nie boję się Bobera, gdyż lękam się przyjaciół, a nie wrogów. Nie dostałem zgody, ponieważ w programach z Boberem chodziło o to, aby problemy gospodarcze dotarły do świadomości publicznej, a nie o jeszcze jedną pyskówkę z Urbanem.

Bober jest świetnym agresywnym dziennikarzem telewizyjnym, ale to nie ma nic wspólnego z umiejętnością kierowania programem. Pomysł, żeby mu dać władzę, to coś takiego jak wybranie na ministra rolnictwa najlepszego rolnika, który np. najlepiej sprzedaje najsmaczniejsze mleko.

W 1968 r. miałem pewną przygodę z Boberem. Pracował wtedy w „Życiu Warszawy” i wzięli go do wojska na ćwiczenia. Wpadł do „Polityki” i opowiedział mi, że w wojsku rozrzucają ulotki mówiące, że Gomułka to żyd, Spychalski – żyd, Kliszko – żyd. On Bober jako oficer polityczny słyszał publiczną interpretację dla politruków: ulotki te redaguje czy nawet powiela redakcja „Polityki”, aby na jej wewnątrzpartyjnych wrogów padło odium antysemityzmu i podejrzenie o zwalczanie kierownictwa PZPR. Opowiedziałem o rewelacjach Bobera na kolegium „Polityki” i zapytałem Rakowskiego, czy chce te ulotki, bo Bober może przynieść. Rakowski odrzekł, że chce.

Wkrótce dostałem wezwanie na Rakowiecką, gdzie mnie zapytano, co mówiłem na kolegium „Polityki”. Udałem, że nie pamiętam, wobec tego przeczytano mi to słowo w słowo. Potwierdziłem. Potem poproszono, żebym czekał czas dłuższy. Może szukano Bobera. Wreszcie pożegnano mnie z wielką uprzejmością. Pułkownik, z którym rozmawiałem, odprowadził mnie aż do wyjścia z budynku, wyjaśniając tę kurtuazję tak: o ile wiem, pan jest tu u nas pierwszy raz. MSW nie popisało się wszechwiedzą. Kilka dni wcześniej przesłuchiowano mnie tam w sprawie Michnika (vide: Michnik). Nie wiem, czy Bober miał przeze mnie jakieś kłopoty, ale wątpię, bo jeśli ktokolwiek go draźnie, ryczy na cały kraj jak raniona bestia.

Ks. BONIECKI Adam

Krakowski ksiądz. Pracował w „Tygodniku Powszechnym”, a teraz jako kolega papieża działa w Watykanie. Jest to jedyny ksiądz, który kiedykolwiek przestąpił próg mojego mieszkania. Działo się to w latach sześćdziesiątych. Pojechałem do Krakowa śledzić słynny proces sądowy niejakiego Kota, dusiciela kobiet. Pod naciskiem rozszalałych tłumów tego wyraźnie chorego na umyśle, a młodego chłopca, skazano na karę śmierci. Przed wykonaniem wyroku ks Boniecki, moja ówczesna żona i inne osoby zmawiały się, aby urządzić jakąś akcję na rzecz ulaskawienia Kota. Nic z tego nie wyszło.

W ćwierć wieku później ks. Boniecki przyszedł do ambasady polskiej w Rzymie na jakieś moje, jako ministra, spotkanie z prasą. Przypomniałem mu, że ćwierć wieku temu zstąpił do najgłębszych czeluści piekieł, bo był w domu u Urbana. Pamiętał.

BRATKOWSKI Stefan

Za młodu broniłem go, jak lew, kiedy mówiono, że dłubie w nosie, a z tego, co wydłubie, robi kulki i pstryka nimi o podłogę. Potem nasze drogi rozeszły się. Znaleźli go moi koledzy z „Po prostu”. Przywieźli go w 1957 r. z Krakowa. Był tam działaczem studenckiego klubu „Czerwony Pomidor”. W „Po prostu” miał zająć się klubami fanów pisma i ruchem społecznym odnowicieli. Zaczął pisać. Po zamknięciu „Po prostu” studiował w Łodzi reżyserię filmową, ale film go nie docenił. Od tego czasu Bratkowski ciągle już chodzi niedoceniony i pokrzywdzony.

Zakładał pisma studenckie, kłócił się, obrażał i odchodził. Potem już za Gierka usunięto go z szefostwa dodatku do „Życia Warszawy”. Potraktował to jako życiową klęskę i uznał się za prześladowanego mędrca i niedocenionego zbawiciela systemu. Twierdził publicznie, że nigdzie nie może dostać pracy, więc odrzucił moją propozycję przyjścia do „Polityki”. Ogłaszał książki, jak reperować gospodarkę, i kumał się ze Stefanem Olszowskim, z którym projektował plany reform w Polsce. Nazywano to w Warszawie osiã dwóch Stefanów i śmiano się z Olszowskiego.

Jesienią 1980 r. Bratkowski został liderem prosolidarnościowego zamachu stanu w Stowarzyszeniu Dziennikarzy i wodzem tego środowiska. Ambicje miał większe, mianowicie stania się alternatywnym przywódcą PZPR.

W 1981 r. Jaruzelski i Rakowski prowadzili z nim rozmowy. Oceniali, że Bratkowskiego zżera megalomania i ambicja. Gdyby mu dać jakiegokolwiek urząd, stanąłby po stronie rządu. Cena wydawała się jednak za wysoka, bo troszczono się wówczas jeszcze o powagę władz. Hipoteza nie została sprawdzona.

W stanie wojennym okrutnie ośmieszyłem Bratkowskiego. Ukrywał się on wtedy ostentacyjnie, a ja ogłosiłem w prasie jego konspiracyjny adres i zapewnienie, że nikt go nie chce internować, więc może przestać się ukrywać. W ogóle nieinternowanie Bratkowskiego było dla niego wielkim ciosem, godzącym w jego pozycję. Psikusa tego generałowie urządzili mu z premedytacją. Bratkowski mścił się na Jaruzelskim i Kiszczaku za nieinternowanie nagrywając taśmy pełne obelg i wysyłając je do Wolnej Europy.

Ostatnio Bratkowski znów się obraził, teraz na ludzi z „Solidarności”, uznał się za niedocenionego i usunął się w cień.

W końcu lat pięćdziesiątych przy moim stoliku w piwniczce „Largactil” Stefan Bratkowski postawił bigos i piwo chudej, zabawnej, głodnej studentce Akademii Sztuk Pięknych i potem się z tą Bożeną ożenił. Robiła piękne grafiki. Małżeństwo stęchło. Bratkowski zadbał, żeby po raz drugi ożenić się już z osobą mniej, nie zaś bardziej zdolną od siebie.

Osoba nadęta, zawsze obrażona na świat, besserwisser przydający kolorytu polskiej menażerii politycznej.

BRATNY Roman – pisarz

Hulaka, jebaka, brat łata, gawędziarz, myśliwy. Wzbudza straszną nienawiść obecnie rządzących

nie dlatego, że trzasnął jedną czy drugą powieść (np. *Rok w trumnie*) przeciw solidarnościowej konspirze, tylko dlatego, iż ludzie rozchwytywali to i zaczytywali się. Zaraz po wojnie Bratny też wzbudzał nienawiść niepokalanym patriotów. Okrzyczano go renegatem, ponieważ wywodził się z tzw. porządnego domu, tj. z sanacyjno-pułkownikowskiej willi w Konstancinie, oraz należał do AK, a założył czasopismo „Pokolenie”, które miało pogodzić młodzież poakowską z nowym ustrojem.

Wszedł do literatury jedną rzetelną, ciekawą, tradycyjną, opasłą powieścią Kolumbowie. Miała entuzjastyczne recenzje i ogromne powodzenie.

Każdy polski pisarz traktuje się niezwykle serio, siada za biurkiem, nadmuchuje się jak balon, postanawia zostać wieszczem i zabiera się do pisania arcydzieła. Dlatego polskie książki są nie do czytania. Bratny budzi sympatię, bo nie jest nadętym narcyzem. Raz pokazał, że umie pisać i uważa, że to dosyć, już więcej mu się nie chce. Uprawia coś w rodzaju literackiego dziennikarstwa. Wiceminister kultury Wilhelmi spada na ziemię wraz z samolotem, który go wiezie, i panią, która mu zawzięcie towarzyszy – to zaraz potem Bratny rzuca na rynek powieść, gdzie sobie fantazjuje na kanwie tej śmierci, wywołując tym silny skandal towarzyski.

Wprowadzony zostaje stan wojenny – i już mamy powieść Bratnego z kluczem o kabotyństwie jego znajomych z nowej konspiracji.

Strzeli Bratny dzikowi w tyłek – będzie o tym trylogia, wysmarka się, czy też komar go utnie – powstaje minimum nowela. Wszystko to pichci byle jak, okropnym językiem i zestawia ze schematycznych scenek, a jednocześnie pisane to jest z nerwem i na tematy aktualne, więc człowieka wciąga, choć zarazem i odrzuca, jeżeli ma jakiś taki smak literacki.

Środowisko intelektualne, wywodzące się z dawnej opozycji, które ma w ręku prawie wszystkie wydawnictwa, czasopisma recenzujące, programy kulturalne telewizji, rozbudowany system środowiskowych presji i represji, wykończy teraz Bratnego – jako literata o niewłaściwej orientacji politycznej, który im zalał sadła za skórę. Bratnego i masy jego czytelników rozgrodzi mechanizm totalnego unicestwiania. Bratny samym swoim istnieniem jako pisarz ulubiony obraża wieszca Miłosza, którego jak nikt nie czytał w wyniku zakazów i tak, dziś nie czyta jako nudziarza.

Bratny towarzysko to witalizm, żywioł, mnóstwo barwy, przez co go się lubi w salonach, chociaż ja akurat nie za bardzo. Po pierwsze należy do gatunku prawdziwych mężczyzn, na który reaguję alergiczną wysypką. Po drugie to gawędziarz. Gawędziarz to człowiek, z którym nie można rozmawiać. On nie słucha, nie traktuje rozmowy jako sposobu do zazębienia własnych myśli z cudzymi, tylko zasłuchany w siebie i kochający swój głos bezustannie wydziela gadatliwe monologi. Jest to częsta skaza beletrystów. Przenoszą oni na żywe stosunki z ludźmi podział ról istniejący pomiędzy piszącym a czytającą publicznością, która przecież nie może żadnymi swymi myślami czy uwagami wtrącić się w wątki powieści.

Bratny wiąże się z innymi bohaterami „Alfabetu”. Jest bratem Andrzeja Mularczyka, też pisarza. W ich domu rzuciłem widelcem Dziewanowskiemu w oko (vide: Dziewanowski, ambasador w USA). Bratny i Mularczyk byli ożenieni z malarkami – bliźniaczkami, siostrami Wahl, prowadzącymi dziś najmodniejszą w Polsce galerię malarstwa na Żoliborzu. To pod ich domem Kałużyński leżał na chodniku i wył z miłości (vide: Kałużyński). Za bohatera powieści Bratnego *Rok w trumnie* uchodzi Stefan Bratkowski – vide: Bratkowski.

BRZEZIŃSKI Zbigniew

Amerykański kuzyn znanego dziennikarza sportowego Andrzeja Romana i w ogóle facet o znakomitych koneksjach: wypił brudzia kiedyś przed laty z Rakowskim, a teraz z Bronisławem Geremkiem, a nawet twierdzi, że jest spokrewniony z Teresą Zygałdewicz, scenografką telewizyjną. Profesor, mąż stanu, specjalista od przepowiedni. Niektóre się sprawdzają, inne nie. Niektórzy chętnie widzieliby go w Belwederze, bo uważają, że Polskę może kierować amerykański polityk, jeśli jest polskiego pochodzenia. Konstanty Rokossowski stworzył już precedens tego rodzaju.

CIOSEK Stanisław – ambasador RP w Moskwie

Kiedy Tadeusz Mazowiecki wraz ze swoimi ludźmi postanowił ogłosić, że Ciosek ma iść na zesłanie do Moskwy, podstawiono mu kibitkę (w postaci salonki kolejowej), a Julian Bartosz napisał w „Sprawach i Ludziach” mniej więcej tak: Ciosek Stanisław zwany likwidatorem. Został przewodniczącym federacji socjalistycznych związków młodzieży i federacja się rozwiązała; został ministrem do spraw związków zawodowych, a ich działalność zawieszono i zakazano jej; został ministrem pracy i płacy, to praca zanikła, a płace zwiędły; został sekretarzem generalnym PRON, to ruch ten zlikwidował się. Teraz posłany do Moskwy, ale ze Związkiem Radzieckim tak łatwo mu nie pójdzie. I w tym właśnie rzecz, że Ciosek zawsze był niedoceniany.

Ledwie złożył listy uwierzytelniające, a Związek Radziecki zaczął się jednak rozpadać. Ów piekielny Ciosek ma kształt zwalistego, dobrodusznego, mądrego, wesołego mężczyzny, z pewnością nie całkiem prawdziwego, gdyż wódki nie lubi, a na kobiety nie reaguje. Wałęsa, z którym Ciosek jako minister Jaruzelskiego w 1981 r. bezustannie negocjował, zapowiedział, że jak będzie kiedyś tworzył rząd, Cioska zatrzyma, bo on mu pasuje. Jest to 1999. nie spełniona obietnica Wałęsy. Biskupi, z którymi w drugiej połowie lat osiemdziesiątych Ciosek prowadził bezustanne pertraktacje, żalowali, że nie wierzy w Boga, gdyż bardzo by im pasował do fioletowej sutanny. – U Was, jak i u nas, wystarczy być posłusznym i odprawiać obrzędy, nie trzeba zaraz wierzyć – odpowiedział Ciosek, człowiek rubaszny i w granicach rozsądku szczery.

Bałaganiarz. Nad ranem 7 sierpnia 1981 r. podnieśliśmy publicznie krzyk, że Wałęsa i delegacja „Solidarności” zerwała uzgodnione wstępnie porozumienie oraz rozmowy z rządem. Poza oświadczeniem chciałem ogłosić projekt porozumienia. Okazało się, że w ogóle go nie mamy, gdyż Ciosek w ten dokument zapakował kanapki na drogę bonzom z „Solidarności”.

Ekspartyjny beton pyskuje na Cioska za jaja. Chodzi o pisanki, które malował. Myśmy z Cioskiem od początku 1986 roku jeździli do tej słynnej Magdaleny i pisaliśmy tam projekty politycznych posunięć, takich jak amnestia i inne nieroztropności. Na etapie projektowania okrągłego stołu i podziału władzy Ciosek wszystkim, których chciał przekonać, rysował na papierze dwa częściowo zachodzące na siebie jaja. Tworzyły one owal o trzech polach, z których jedno było domeną naszej władzy, drugie domeną opozycji, a w środku był zakres władzy wspólnej. Jak wiadomo, partnerzy Cioska po wyborach szybko zajęli cały owal z jego rysunku. Dopiero kiedy pękły Węgry, Czechosłowacja, NRD itd., Ciosek odetchnął, bo poczuł, że ma spokojne sumienie wobec partii: gdyby nie jego w porę rysowane jaja – wisielibyśmy za nasze prawdziwe.

Jedno w historii Polski obciąża polityka Cioska na zawsze. To on wymyślił Senat przy deserze, na którymś z naszych obiadów w Magdalence. Ilekroć więc słuchamy w telewizji tych potoków gadulstwa, tych gejzerów wzniosłości, tych ilości słownych popisów, od których wieje przemożną nudą, tylekroć pamiętać warto, że to dziecko Cioska. Zresztą zrazu, podczas rozmów z opozycją w Magdalence, w ogóle przez nią nie chciane. Cóż, każdy człowiek wykonuje głupie ruchy, w wyniku których rodzą się dzieci, lecz w trakcie prokreacji nikt sobie przecież nie wyobraża, jak bardzo noworodek może być krzykliwy.

CYWIŃSKA Izabella

Dopóki była dyrektorem teatru i reżyserem, wszyscy, poczynając od dolnych pokładów partyjnego betonu na nawiedzonych radykałach z opozycji kończąc, reagowali na to nazwisko jednakowo: – Och, to fajna baba! Gdy została ministrem kultury, opinie nie różnicowały się i nadal są jednorodne: – Och, to nieporozumienie! Kiedy książka ta się ukáže, Cywińska – jak przewiduję – już nie będzie ministrem, ale fajna baba nie wróci nigdy.

Cywińska zawsze była osobą politycznie umiarkowaną, zaprzyjaźnioną na wszystkie strony, otwartą, lubianą nawet przez aktorów, którzy życzliwi są tylko dla siebie samych. Zniszczył ją jakiś głupiec z poznańskiej SB, na chwilę w stanie wojennym internując. Utorował jej tym drogę do politycznej kariery. W ten sposób poznańska SB pośrednio zrobiła Cywińską ministrem i był to największy cios, jaki stan wojenny zadał kulturze polskiej.

Istnieje anegdota, że cesarz Franciszek Józef wezwał barona Rothschilda prosząc go o pożyczenie pieniędzy. Policja austro-węgierska aresztowała akurat wtedy baroniego syna, który socjalizował. Bankier

powiedział cesarzowi: – Czy ja byłbym mądry wkładając pieniądze w cesarza, który boi się już nawet mojego Morica?

Stan wojenny to była operacja psychologiczna. Myśmy chcieli, żeby się ktoś nas przestraszył. Czyż jednak można bać się władzy, która wzbudza wesołość pakując do pudła Izabellę Cywińską, Kazimierza Kutza, Michała Komara, Andrzeja Drawicza i innych artystów jadowitych niczym boże krówki?

W młodości Cywińska była bardzo kochliwa, rozdała mężczyznom dużo swoich fotografii z czułymi dedykacjami. Kiedy została ministrem, fotografie te poszły w obieg towarzyski.

Wyczytała w gazetkach „Solidarności”, że cechą ministrów są afery mieszkaniowe. Po objęciu ministerstwa szybko poczęła zmieniać mieszkania. Pracownie konserwacji zabytków wyszykowały jej wspaniały apartament na Starym Mieście.

CZARTORYSKI – ksiązę

Jak sama nazwa wskazuje, jest to działacz związku zawodowego „Solidarność” i doradca strajkowy górników.

CZARZASTY – niech imię jego będzie zapomniane. Sekretarz KC

Któregoś dnia pierwsi sekretarze KW PZPR zwołani zostali do Słupska. Mieli zachwycić się osiągnięciami tamtejszego Pierwszego, towarzysza Czarzastego. Zachwyt ów zgnieść powinien był opór przeciwko powołaniu go na sekretarza KC. Czarzasty rzeczywiście objął ten urząd i został szefem kampanii wyborczej PZPR w wyborach 4 czerwca 1989 roku.

Zgłosiłem wtedy zamiar kandydowania do Sejmu w ramach 35 procent przeznaczonych dla bezpartyjnych, czyli wygrać musiałbym z kandydatem Wałęsą. Tow. Czarzasty doradził mi najpewniejszy okręg: Warszawa-Śródmieście. Do tego okręgu zaliczało się głosy z zagranicy. – Macie – mówił Czarzasty – nie 100, ale 1000 procent pewności wygranej. Śródmieście jest nasza emigracja bojkotuje wybory, a nasze budowy w ZSRR, KS-ach, Libii itd. będą jak jeden mąż głosować na Was. Ludzie tam tłuką forszę, więc są zadowoleni. Zresztą wiadomo, kogo się wysyła.

Kiedy się okazało, że moim kontrkandydatem jest aktor Łapicki, z którego polityk jak ze mnie astronom, tow. Czarzasty założył się z min. Mietkiem Wilczkiem o 1 min zł na stare pieniądze, że Urban wygra. Wilczek zresztą rozumnie obstawiał moją przegraną będąc rozkosznie pewnym swojej wygranej do Senatu. Kiedy przegrałem z Łapickim, Czarzasty Wilczkowi nie zapłacił. Cóż, nie trafił na biednego.

W owych czasach zapraszany byłem na posiedzenia Biura Politycznego oraz uczestniczyłem w dwóch zespołach zajmujących się wyborami. Całymi dniami słuchałem więc Czarzastego. Martwił się on, aby zwycięstwo PZPR nie było nazbyt przytłaczające. Zastanawiał się, co robić, by do parlamentu przeciągnąć jakoś trochę ludzi z „Solidarności”. Przedstawiał ściśle, krzepiące serca, optymistyczne obliczenia. Wznosił swoje szczerze przezroczyście jakby oczy, ulokowane w gładkiej twarzy, i mówił: Towarzysze, jestem pewien, gwarantuję, mur beton, daję głowę. Polemizował ze sceptykami. Zapewniał więc przed klęską pyszny nastrój w gmachu KC. Był niczym owa orkiestra grająca do ostatka na „Tytaniku”. Już wszyscy czuli i widzieli, że woda nas zalewa, a on jeszcze wydawał pyszne dźwięki.

5 czerwca, kiedy nadeszły pierwsze nieoficjalne obliczenia powyborcze. Biuro Polityczne zebrało się rano i zaczęto dyskutować, dlaczego dostaliśmy takie lanie. Ja w dwie minuty napisałem na papierku projekt oświadczenia ogłaszającego przegraną i to, że będziemy respektować konsekwencje. Projekt przeszedł bez poprawek. Czarzasty zaś przedstawił wyniki, zamilkł i odtąd już milczał z martwą twarzą. Wkrótce potem zniknął i ślad po nim zaginął.

Niemcy i Japonia przegrały II wojnę światową z ogromną dla siebie korzyścią. Podobnie Korea Południowa dobrze wyszła na niewygraniu wojny koreańskiej. Wiele jest innych współczesnych wojen bardzo korzystnie przegranych. Jeśli jakkolwiek kraj lub armia zechcą rozpocząć wojnę, by sprowokować swą bezprzykładną dołąbną porażkę, a zapragną osiągnąć ją w pysznym nastroju – niech pamiętają, że w Polsce mieszka niejaki Czarzasty, idealny kandydat na przywódcę lub naczelnego wodza.

CZECHOWICZ Tadeusz – nadaktywista

Poznałem go jako członka Biura Politycznego. Młodzińczy, energiczny. U zmierzchu kariery zesłany został na ambasadorowanie w Budapeszcie. Zaraz potem, ledwo się wypakował, składałem, jako rzecznik rządu, wraz z żoną tzw. wizytę oficjalną na Węgrzech. Ambasador Czechowicz urządził na naszą cześć stosowne, oficjalne przyjęcie w swojej rezydencji. Moja żona odróżniała się od innych pań m.in. żorzetową suknią, nieco prześwitującą u dołu i u góry, co ekscelencję ambasadora wyraziście podniecało. Zaproponował jej wejście na górę, gdzie były sypialnie, w celu obejrzenia fotografii z Mongolii, o których była mowa w salonach. Oczekiwał tam czegoś więcej niż oglądania zdjęć i nacierał, nie bacząc na to, że w tej samej niewielkiej willi na dole jestem ja, jego żona i mnóstwo gości. Potem nastąpił taki moment: ja siedziałem w toalecie, do której schodziło się przez gotownię, a żona w tym samym czasie poprawiała tam twarz. Nie wiedząc, że ja siedzę za drzwiami, lub nie bacząc na to, ekscelencja wszedł do gotowni i rozpalonym głosem wołał do żony swego oficjalnego gościa: Pokaż cyce! Pokaż cyce!

Kontrast między ceremonialnością salonów a równoczesną bezceremonialnością panującą w innych częściach rezydencji wydał mi się bardzo zabawny. Żona twierdziła, że miała ochotę urządzić publiczny skandal, ale żal jej było ambasadorskiego syna, bo dzieciom imponują tatusiowie i przeżywają to, gdy się z nich publicznie robi błaznów.

Nie jestem świętoszkiem, powodzenie mojej żony, gdy się zaznaczy, bardzo mi imponuje, lecz ten standard polskiej dyplomacji nieco mnie żenował, ale pies drapał reprezentowanie Polski w Budapeszcie. Prawdziwa zgroza ogarniała mnie na myśl, że człowiek tak nie panujący nad swymi odruchami, tak bardzo spontaniczny był I sekretarzem, czyli panem i władcą kilkuset tysięcy mieszkańców wielkiego miasta Łodzi.

CZYREK Józef – minister stanu

Wielki pan, wielki umysł. W polityce wcielenie rozwagi, układności, cierpliwości i ostrożności. Wącha tabakę, lecz dobre wychowanie i maniery dyplomaty nie pozwalają Czyrkowi kichać nigdy i na nic.

Przedmiot nienawiści niemal całego dawnego aparatu władzy. Jeśli za negocjacje ze Stelmachowskim przed okrągłym stołem – to u licha takich kanałów porozumiewania się było parę.

Gdybym kiedykolwiek pojął powód nienawiści do Józefa Czyrka, zrozumiałbym może naturę lasu, w którym stałem jako jedno z drzew.

DĘBKOWSKA Kajka – artystka

Malowała, grała w filmie, pisała wiersze i władała arabskim, ale to wszystko robiła raczej średnio. Dwie ostatnie umiejętności miały pewien związek. Trafił się bowiem arabista, który napisał do miesięcznika literackiego, że ona zżyna od arabskiego poety pomysły poetyckie i całe zdania, a dorabia tylko polskie realia i polskość. Poznałem Dębkowską na tańczonym przyjęciu w Zakopanem. Wpadłem w zachwyt. Była porcelanowo-czarna, filigranowa, orientalna. W Zakopanem nie była jednak sama, ja też nie. Wymieniliśmy dyskretnie warszawskie telefony.

Po powrocie umówiłem się z nią na obiad w godzinach biurowych. Taka jest – mówiła – zdenerwowana, roztrzęsiona, rozbita i poturbowana. Przed chwilą zboczeniec chciał ją zgwałcić. Wyszła z mieszkania i podeszła do windy. Jakiś facet już czekał na windę. Tak na nią patrzył, że postanowiła z nim nie wsiadać. On to widocznie wyczuł, bo zaczął zbiegać po schodach. Wsiadła do windy. On ją piętro niżej zatrzymał i się dosiadł. Unieruchomił windę między piętrami, bez słowa wyjął ptaka i zatkał jej dłonią usta. Dziesięć minut się szamotali, aż dał za wygraną, zjechali i uciekł. Kurtuazyjnie powiedziałem, że mu się nie dziwię.

Ona zaś opowiadała o różnych próbach gwałtu, które przeżyła: w lesie, w wagonie sypialnym, w

samochodzie i nawet w lokalu, przy stoliku, pod obrusem. Znamienne było, że gwałcicielom, którzy trafiali się jej co drugi dzień, wyslizgiwała się zawsze bez szwanku.

Przy okazji zapytałem znajomego psychiatrę, co też oznacza taki rodzaj mitomanii. Odparł, że chyba pragnienie gwałtu. Może ona mieć także jakieś zahamowania, nie sypia z mężczyznami, ale prowokuje ich, rachując na to, że ktoś jej opory przełamie siłą.

To znaczy – powiedziałem – że jeśli się z nią umówię na intymną randkę, ona i tak mi nie da, bo będzie oczekiwała gwałtu. Ja zaś zawiodę, bo nie mam potrzebnej do tego siły i wprawy. Wtedy ona będzie chodzić po mieście i opowiadać, że próbowałem ją zgwałcić, ale się nie dała. Może tak być – odparł psychiatra. Ja zaś więcej do niej nie dzwoniłem, nie chcąc ryzykować złej sławy bez zażycia przyjemności.

W wiele miesięcy później we Wrocławiu zajechałem do hotelu, patrząc: Dębkowską siedzi sama w hallu przy barze. Poszliśmy na kolację, a gdy kończyliśmy, powiedziała, że nie ma pokoju, ale liczy na to, że ją zaproszę na noc do siebie. Wszystko dalej odbyło się normalnie, nie objawiła zahamowań ani innych osobliwości. Z tym tylko, że ja miałem pojedynczy numer z wąskim tapczanikiem. Obudziłem się w nocy, nie mogłem usnąć, było mi z Dębkowską Kajką za ciasno, więc wstałem, ubrałem się i jak głupi spacerowałem po korytarzu do rana.

Po powrocie do Warszawy czekałem plotek ciekaw, co ona naopowiada: czy ją gwałciłem i czy chociaż skutecznie, czy też jak zawsze okazała się niedosiężna. Na te rewelacje oczekiwałem jednak bez niepokoju, bo Kajka Dębkowska już była szeroko znana z tego, że ją codziennie gwałcą i nikt tych rewelacji nie brał serio.

Relacje Dębkowskiej z Wrocławia oszołomiły mnie jednak. Dwóch pijanych byczurów na delegacji wtargnęło – jak się okazało – do jej pokoju w hotelu, żeby gwałcić biedną Kajkę. Mając razem dwieście kilo dopięliby swego ale ja mieszkalem na tym samym piętrze. Słyszając krzyk, szybko zdobyłem klucze od pokojówki, wtargnąłem do numeru Dębkowskiej przez sąsiedni pokój i huknąłem w łeb już rozzdzierającego jej nogi gwałciciela tak, że obaj po chwili uciekali jak myszy przed kotem.

Słuchaj Kajka – powiedziałem potem na jakimś przypadkowym spotkaniu – opowiadasz podobno, że ja wtedy we Wrocławiu przegnałem dwóch ogromnych twoich gwałcicieli.

Coś rzeczywiście było – odparła – nie pamiętasz, bo byłeś pijany. Zresztą mógł nas ktoś widzieć razem w hotelu, a w mojej pracy trzeba widzieć dbać o reputację.

DOBRACZYŃSKI Jan

Jeżeli miliony ludzi w Polsce przez dziesiątki lat czytały jego staroświeckie i dewocyjne powieści, słuszne wydało mi się ukaranie takiego społeczeństwa wyniesieniem ich autora na przywódcę PRON.

Jan Dobraczyński jest niewątpliwie mistrzem Polski w pobożności. Najwyższy czynnik politycznie neutralnego kościoła ignorował go jednak uparcie, gdyż Dobraczyński przystał do innej niż Pan Bóg orientacji politycznej. Dobraczyński rozpacział, nie rozumiejąc, że modłami czy postami nie sposób zarekomendować się jako boski stronnik. Przedstawiciele Pana Boga od tego są, aby Szefowi dobierać przyjaciół. Ładnie by potem wyglądały chóry anielskie, w których skrzydło w skrzydło stałoby sami cherubini z PZPR, PAX, PRON – i mogłaby przez pomyłkę gruchnąć „Międzynarodówka” na wysokościach.

DOWBOR Katarzyna – gwiazda TV

Ma ksywę Ruda. Odkrył ją red. Janusz Atlas w Toruniu i przywiózł sobie do Warszawy. Uprawiali tu największą miłość od czasów Romea i Julii. Atlas bił Rudą tak długo, aż wbił ją w ambicję.

Po otrząśnięciu z siebie Atlasa Ruda jeszcze bardziej wypiękniała i zrobiła się znakomita w telewizji. Wszystkie adeptki TV powinny obowiązkowo przechodzić przez Atlasa. Mógłby to nakazywać artykuł I nowej ustawy o radiu i telewizji.

DRAWICZ Andrzej – Przewodniczący Radia i TV

We wrześniu 1989 r. zaprosił mnie premier Mazowiecki i włożył jedwabne rękawiczki, żeby mi w nich udzielić dymisji ze stanowiska Szefa Radiokomitetu. Rozmowa trwała blisko półtorej godziny i była ceremonią przyjemniejszą niż osadzenie mnie na tym stołku. Kiedy zostawałem szefem RTV, czułem się sponiewierany, biorąc prezesurę Radiokomitetu za kopniaka poza obręb jądra polityki. Mój poprzednik i przyjaciel Roszkowski czuł się skrzywdzony, więc było mi głupio, nieprzyjemnie. W gmachu, gdzie zacząłem urzędować, miałem poczucie obcości, bezradności i tymczasowości. Radowało mnie tylko to, że za gabinetem mam sypialnię z pościelą rozłożoną na tapczanie. Na pewno do Drawicza przychodzą pod koldrę kandydatki na spikerki, tancerki, modelki, prezenterki i aktoreczki, szukające w pościeli swojej roli. Do mnie nikt nie pukał, bo żyjemy w kraju kobiet o wygórowanych wymaganiach estetycznych.

Wówczas kiedy Mazowiecki mnie wezwał, miasto i miasteczko telewizyjne przesycane było plotkami na temat, kto mianowicie ma zostać moim następcą. Były w obiegu nazwiska wszelkich szubrawców, jacy tylko działali w opozycji, a więc ogromnej masy ludzi. Premier znał te pogłoski, więc bardzo uroczyście, zawieszając głos, obwieścił mi o Drawiczu i czekał na moją reakcję. Wpadało mi jakoś skomentować jego wybór, ale nie umiałem. Gorączkowo kompletowałem w pamięci strzępy wiedzy o Drawiczu. Pamiętam go z STS, że jest wysoki, chudy i marny na scenie. Kłanialiśmy się sobie przez lat 30, nie zamieniając nigdy ani słowa. Wiedziałem, że jest łysy, i zastanawiałem się wtedy u Mazowieckiego, czy zawsze był taki, czy w STS może jeszcze owłosiony. Czytywałem w „Tygodniku Powszechnym” jego teksty o ZSRR, głównie o radzieckiej literaturze i intelektualnych prądach, lecz na tyle były spokojne, rzeczowe i obiektywne, że nie pozwalały Drawicza zaksiegować politycznie. Po prostu nie wiedziałem, czy jest on z „Solidarności”, czy też pisze w „Tygodniku”, bo go np. z „Trybuny” wylano za lenistwo; czy to kandydat z ekstremy czy neutralny. Nic więc nie powiedziałem.

Potem odbyłem z Drawiczem dyskusyjną biesiadę. Robił wrażenie mądrego i sympatyczniejszego od wszystkich, którzy kiedykolwiek pracowali w telewizji, z wyjątkiem Pszczółki Mai. Głównie mówiłem ja, a to zawsze monologistę przychylnie usposabia do rozmówcy, wielbimy najbardziej tych, którzy siedzą cicho i dają nam się wygadać.

Drawicz zaczął władać liberalnie i z wdziękiem. Więcej osłaniał, niż przeganiał komuchów, a i wówczas dbał o znieczulenie. Postawił się sabatowi czarownic zwanemu Senatowi i bronił tam publicznie honoru telewizyjnej załogi. W ciągu kilku dni czy tygodni Drawicz zyskał powszechny szacunek i sympatię. Wszyscy go wielbią i chwala, a zarazem wieszają psy na telewizji, którą on rządzi, na jej programie, polityce personalnej i porządkach wewnętrznych. Z Drawiczem jest więc tak jak z Mazowieckim, którego wszyscy cenią i popierają: Gorbaczow i papież, Jaruzelski i Bush, Kwaśniewski i nawet, jeśli weźmie się jego słowa za niefałszywą monetę Wałęsa. Natomiast prawie każdy segment polityki Mazowieckiego jest ostro negowany.

Mówi się powszechnie, że Drawicz wyleci już lada dzień, bo jest za liberalny i za miękki, nie rządzi, a więc wszystkie myszy telewizyjne harczą, jak chcą. Ja sądzę, że Drawicz nie wyleci. Poza Mazowieckim prawie wszyscy wpływowi ludzie nowego reżimu chcą się go pozbyć, by oddać telewizję stupajce z własnej koterii. Obóz rządzący nigdy jednak nie dojdzie do zgody w czyje ręce złożyć telewizję, ten klejnot w koronie władzy. Drawicz jest więc prowizorką, która może trwać w nieskończoność.

DROZDA Tadeusz – wesolek

W wyborach 1989 członek komitetu wyborczego mjr. Płocienniczaka z MO. Zrobił zwrot i rzucił się na szyję wygranym. Reżyserował estradowe sekscesy z gołymi pupami i sprośnymi żartami, ale się z tego wypowiadał. Jako pokutę nakazano mu zrobić program antykomunistyczny. Nosił tytuł „Komuno wróć”. Podlizywał się Ameryce wystawiając go w USA. Czy więc dostanie rozgrzeszenie i kartkę od spowiednika upoważniającą do występowania w telewizji oraz pokazywania się na estradach?

Ostatnio Drozda powiedział coś serio. Było to oświadczenie, że Toeplitz jako kumpel komuchów nie ma prawa go cytować. Uznano to za jego powrót do formy, bo po raz pierwszy od dziesięciu lat

powiedział coś naprawdę śmiesznego.

DZIEDZIC Irena

Pani, która zawsze wie, gdzie stoją konfitury. Kiedy byłem tym całym ministrem, przyszedł do mnie Jerzy Ambroziewicz i obwieścił, że gwiazda cierpi z tego powodu, iż jej nie znoszę, i chciałyby się pojednać. Dziś takie rzeczy nazywa się przekazaniem znaku pokoju. Biedna kobieta nadziała się na sukinsyna. Odpowiedziałem, że gotów jestem listownie przeprosić zapobiegliwą gwiazdę za wszystko, co złego o niej pisałem, mówiłem, a głównie myślałem. Poślę jej także kwiaty. Pod jednym wszakże warunkiem: ona do mnie nie zadzwoni, aby dziękować, i nie będę z nią musiał rozmawiać. Tak się też stało.

Pani Dziedzic nie może być spokojna dopóty, dopóki ma zaszargane stosunki z kimkolwiek aktualnie wpływowym. Dzięki tej zapobiegliwości swoje telewizyjne rozmowy prowadzi od co najmniej 34 lat, bo pamiętam, że ze mną rozmawiała przed kamerą już w 1956 r. Wróciłem wówczas z wojny synajskiej, byłem tam jedynym polskim korespondentem po izraelskiej stronie. Ustaliliśmy potem za pomocą mapy, że pojawiłem się o 20 km od tej linii egipskiej, gdzie stali moi koledzy Dziewanowski, Górnicki, Jackowski. Status korespondenta nie sprzyja jednak strzelaniu do siebie.

Zadrażnienia z Dziedzic polegały na tym, że w latach siedemdziesiątych po festiwalu piosenki w Sopocie, na którym robiła konferansjerkę, napisałem w „Szpilkach”, iż niepotrzebnie kamera chwyta ją przez pończochę, żeby rozmazać rysy i zamaskować podeszły wiek gwiazdy. Nigdzie nie jest powiedziane – twierdziłem – że estrada powinna być zamknięta dla ludzi w podeszłym wieku. Chodziło mi o obronę praw wszystkich przyków.

Dziedzic poszła wtedy na skargę do sekretarza propagandy KC Jerzego Łukaszewicza i on mnie napiętnował na odprawie. Potem oznajmiła mu, że nie będzie narażać się na szyderstwa Urbana i odmawia zapowiadania następnego festiwalu, jeżeli nie uzyska satysfakcji – nie pamiętam już, czy sekretarz musiałby zedrzeć ze mnie skórę, czy zrobić co innego. Dla Łukaszewicza festiwal sopocki, który szedł w Interwizji na wszystkie bratnie kraje, była to sprawa politycznie doniosła. Bez tej gwiazdy impreza by zmarniała. Irena Dziedzic trafia znakomicie w drobnomieszczańskie gusta, które w gmachu KC były panujące. Odbywały się w tej sprawie jakieś tańce. Dziedzicowej chyba dano gwarancje, że mi wyrwą jaja, bo jednak robiła tę konferansjerkę czarując wszystkie KS- y swym uśmiechem. Mnie ta cała sprawa w ogóle nie obchodziła, Łukaszewicza nigdy nie widziałem na oczy i nic mi realnie nie mógł zrobić poza zakazem pojawiania się na ekranie TV, który i tak miałem za inne wybryki.

W latach osiemdziesiątych Dziedzic pewno sądziła, że to jej szczucie przeciwko mnie poprzednich władz jest źródłem mojej ku niej niechęci, ale to nie tak. Chodziło głównie o inne rzeczy, które były potem przedmiotem procesu Dziedzic z dziennikarzem „Prawa i Życia” Januszem Radzko. Napisał on, że Dziedzic załatwiała u swoich rozmówców w telewizji, np. dyrektorów różnych fabryk, możliwości zakupu rozmaitych wartościowych, a trudno osiągalnych rzeczy, za które potem przeważnie nie płać. Gwiazda wytoczyła Radzko proces o zniesławienie i z grubsza rzecz biorąc właściwie go wygrała. Nim jednak Radzko cokolwiek napisał, tak się złożyło, że zatrudniałem prywatną sekretarkę, która równolegle z pracą u mnie robiła aplikację w sądzie. Dużo więc wiedziałem o procesach cywilnych, którymi Dziedzic była nękana. Oczywiście nie jestem rygorystą moralnym i nie to jeszcze zmroziło mnie głównie wobec niej.

Kiedyś, w latach 70. byłem w budynku telewizji i Irena Dziedzic zaproponowała mi kawę. W kawiarni, w plotkarskiej rozmowie bluznęła na Szczepańskiego i wszystkich ówczesnych dygnitarzy jej firmy. Powiadała, że to jest banda głupców i chamów, przez co miałem rozumieć, że my oboje jesteśmy intelektualnie korzystnie uformowani. Ponieważ red. Dziedzic była i jest znana z nałogowego dogadzania miłości własnej swoich szefów, ta dwoistość wyrażanych przez nią poglądów wywołała u mnie wysypkę. No i wszystko to razem plus awersja do jej programów nie pozwala zaliczyć mnie do milionów adoratorów pani Dziedzic. Jako szef telewizji uważałem jednak, że jest ona cennym czynnikiem programowej ciągłości, ma swoją klientelę i ani mi w głowie było ją ruszać, podobnie jak serialu z Isaurą lub słodkich pejzażyków, którymi zapychało się dziury w programie.

Gdy szefowałem telewizji, Dziedzic gorączkowo biegła do wysokich dygnitarzy, starając się o posadę dyrektorki polskiego ośrodka kultury w Wiedniu. Jakiś sukinsyn nastawił jednak premiera przeciw

tej nominacji – chyba znam go dobrze. Wtedy odebrałem telefon od osobistości, której prośby były nie do odrzucenia, żebym mianował Dziedzic korespondentką w Wiedniu. Pomyślałem tak: placówka TV w Wiedniu w ogóle jest zbędna. Jeżeli już ma być, to nie powinna tam pracować emerytka, lecz dziennikarz nie emeryt znający się na sprawach rozbrojeniowych oraz bezpieczeństwa europejskiego, bo tylko rozmowy na te tematy są w Wiedniu ważne. Ja jestem – dumam – na wylocie. Jeżeli nie podpiszę wysyłki red. Dziedzic do Wiednia, pójdzie ona do mojego następcy i jako ofiara prześladowań Urbana pojedzie i to salonką. Jeżeli zaś podpiszę – w żaden sposób jej nie wyślą. No i miłośnicy Ireny Dziedzic mają ją w Warszawie i będą mieli, póki Polska nie zginęła, a my żyjemy.

Dziedzic jest dziennikarką bystrą i sprawną, która stworzyła własny, popularny kanon antydziennikarstwa. Prowadzi rozmowy salonowe i układne, bez sporów, kłótni, zawsze przypochlebne wobec jej gości. Są to rozmowy mdłe, nudne. Sztuczne jest w nich wszystko, nawet chwile ożywienia pani Dziedzic. Całość jest przygotowana z góry, omówiona, uładowana, ustalona i dopieszczona. Te zabytkowe już dziś i jałowe wywiady mają wzięcie u publiczności, dla której goście pani redaktor w ogóle nie są ważni. Nieważne jest także to, co mówią, i sam temat rozmowy. Publiczność siedzi, gapi się i kocha Irenę Dziedzic. Jest ona traktowana niczym metr z Sevres, stanowi absolutny wzorzec elegancji. Wielbi ją publiczność, która nie cierpi rozchełstanych koszul i chrapliwego głosu Kuronia, agresji w tonie Bobera, a mnie nienawidziła za polityczną arogancję i obcesowość, 30 zaś lat temu Niemena za długie włosy czy młodej Jędrusik za wyskakujące jej z dekoltu cycki. Ta publiczność chce, żeby na ekranie było wytwornie, miło, grzecznie i ładnie. Uwielbia ona nienaganne fryzury pani Dziedzic, gdzie każdy włos jest spetryfikowany, oraz jej stroje. Telewizjowicze pokazują gwiazdę wnukom jako wzór: Patrzcie, pani Irena nigdy nie podpira się rękami na stole!

Jest Dziedzic wzorcem dla ludzi kupujących jugosłowiańskie kanapy oraz hinduskie bibeloty, mówiących przy posiłkach smacznego i jedzących rybę dwoma widelcami. Ucieleśnia ona aspiracje do awansu w krąg dobrego tonu tych rodzin, w których co niedziela myje się samochód, a zawsze zdejmuje buty w przedpokoju, żeby posadzki lśniły jak psu jaja.

Zjawisko pod nazwą Irena Dziedzic łączy się z estetyką Kossaków na ścianie, ślubnych sukien z koronki i pluszowych psów kiwających głową za tylną szybą samochodu. Jest ona uosobieniem dobrego tonu dla tych wszystkich, którzy swoją głupawą otyłą żonę tytułują wobec ludzi małżonką, gorszą się, gdy ktoś rzuca kurwami, a płaczą nad „Przeminęło z wiatrem”.

Sama Dziedzic wcale nie jest jedną z nich, wznosi się ponad naszym drobnomieszczaństwem, jest więc króliczkiem, którego gonia nuworysze pieniądza, wykształcenia i kultury.

Irena Dziedzic ta królowa kołtunów starszej generacji jest nieśmiertelna, ponieważ coraz nowe pokolenia starzejąc, się, bogacą, głupieją i wkraczają w obręb jej panowania.

DZIEWANOWSKI Kazimierz – ambasador w USA, hrabia

Przyjaźniliśmy się w latach 1951–1955 pracując razem w tygodniku „Nowa Wieś”. Stosunki wzajemne – skomplikowane. W czasie pijaństwa rzuciłem Dziewanowskiemu widelec w oko. Zdarzyło się to u Andrzeja Mularczyka w Konstancinie. Oko cudem ocalało.

Na początku lat pięćdziesiątych jeden zimowy urlop spędziliśmy z Dziewanowskim we dwójkę w łóżku. Przyjechalśmy do Zakopanego, wynajęliśmy sobie w samym centrum pokój z fortepianem i oknami na deptak krupówkowy i tym to sposobem będąc w górach całe dnie leżeliśmy czytając *Czarodziejską górę* Manna, która właśnie była wydawniczym przebojem. Dnie przeżywaliśmy w mannowskim świecie, w Davos przed pierwszą wojną i to intensywnie jakby prątkując. Z imaginowanej gorączki gruźliczej i z mannowskich dysput między liberalizmem a totalitaryzmem otrząsaliśmy się wieczorami. Szliśmy do nocnej knajpy „Watra”, gdzie piliśmy wódkę z rozmarzeniem słuchając szlagieru „Wołga, Wołga” granego przez orkiestrę do tańca. Dlaczego dwaj dorośli już mężczyźni prowadzili się jak para pensjonarek i co nas tak brało w *Czarodziejskiej górze* oraz Wołdze przyzywanej przepitym barytonem klezmera – nie potrafiłbym powiedzieć dzisiaj, kiedy nie smakowałoby mi już: ani przeczytanie choćby paru stron Manna, ani spędzenie nawet paru chwil z Dziewanowskim, ani wzruszanie się jakąkolwiek melodią dansingową, ani dwutygodniowe przenoszenie się myślami i emocją w świat którejkolwiek powieści, ani mieszkanie w jednym pokoju z jakimkolwiek mężczyzną, ani

uczęszczanie z nim regularnie na dansing nocny. Jedyne co w tym zimowym urlopie zdaje mi się zrozumiałe, normalne, to picie wódki czystej.

W 1954 r. Dziewanowski dał mi w twarz z okazji rocznicy śmierci Stalina. Zgodziłem się, pisząc okolicznościowy wstępniak, ograniczyć – zgodnie z dyrektywami – używanie nazwiska Stalin. Należało już wtedy eksponować rolę partii oraz kontynuatorów jego dzieła. Za tę właśnie konformistyczną uległość Dziewanowski prostałinowsko dał mi w mordę. W tym też 1954 roku przedstawicielka Ministerstwa Bezpieczeństwa przesłuchiwała mnie kilkakrotnie w parku Łazienkowskim. Chodziło jej o Dziewanowskiego, a najbardziej o jego kontakty z ambasadą USA. Uzasadniano te spotkania śledztwem związanym z kontynuacją sprawy politycznego zabójstwa radiowego spikera Martyki. Szukano politycznego spisku w prasie młodzieżowej. Doniosłem, iż Dziewanowski chwalił się, że raz go podwiózł samochód ambasady amerykańskiej, a raz był u nich w kinie. Następnie doniosłem Dziewanowskiemu, że na niego doniosłem.

W późniejszym okresie Dziewanowski stał się reporterem i publicystą wyspecjalizowanym w sprawach światowych. Pisał kompetentnie i dosyć nudno, przez co zaangażowano go do miesięcznika Jezuitów.

W latach sześćdziesiątych-siedemdziesiątych świadczyliśmy sobie przysługi. Ja miałem zakaz publikowania w prasie, więc pisałem pod pseudonimem, a on na swoje nazwisko brał dla mnie pieniądze. Bał się wtedy bardzo. Ja zaś pożyczałem mu chatę – też bał się bardzo. Z tym to niezwykle strachliwym opozycjonistą spotkaliśmy się po latach przy okrągłym stole jako przeciwstawne strony.

– Jurek – powiedział wtedy – sądzę, że powinniśmy zacząć znów podawać sobie rękę. Podałem mu rękę osłupiały. Nie miałem okazji zauważyć, więc nie wiedziałem, że Dziewanowski nie podaje mi ręki.

Mianowanie Dziewanowskiego ambasadorem w USA oznacza, iż polskie władze uważają Stany Zjednoczone za mocarstwo drugorzędne i chcą to dobitnie pokazać w Waszyngtonie.

DZIEWOŃSKI Edward – „Dudek”

Dyrektor prywatnego, dworskiego teatru prezesa RTV Macieja Szczepańskiego. Scena wabiła się „Kwadrat”. Na widowni ustawiono fotele lotnicze, ale torebek do rzygania nie dowieźli.

W stanie wojennym należący do telewizji teatr „Kwadrat” Dzięwońskiego pierwszy podjął jej bojkot. Bojkot dotyczył ekranu, ale nie dotyczył kasy. Mimo wielkich zasług i dokonywania w porę zwrotu, Dzięwoński nie został senatorem ani nawet posłem i nie otrzymał dotychczas nominacji ambasadorskiej.

Dzięwoński ma zamiar zaprotestować uprawiając bojkot telewizji Drawicza, lecz bezskutecznie na razie czeka na zaproszenie do występu, które dałoby mu szansę odmowy.

EDELMAN Marek – senator i lekarz

Prawie nie znam. Leczył epizodycznie moją matkę. Postać wzbudzająca szacunek z dwóch powodów. Po pierwsze dał z siebie zrobić gorzkiego antybohatera w znakomitej książce Hanki Krall *Zdążyć przed Panem Bogiem*. Po drugie nie pospieszył zlizywać miodu ze swojej pozycji wielkiego bohatera międzynarodowego żydostwa, którym został jako wice-Anielewicz w gettowym powstaniu w Warszawie.

Rakowski amortyzował różne zawodowe i paszportowe szykany, jakie w Łodzi w latach osiemdziesiątych stosowano wobec Edelmana jako politycznego opozycjonisty.

Człowiek podobno bardzo w obcowaniu nieprzyjemny, ale z dużym charakterem.

FALKOWSKA Wanda – dziennikarka

Amerykański korespondent, z racji swoich obowiązków zmuszony zachwycać się wszechstronnie

ludźmi „Solidarności”, opisał Falkowską jako piękną kobietę o szlachetnej słowiańskiej urodzie, żonę Geremka będącą właśnie w ciąży.

Tym obrazem Falkowskiej, jak i w wielu innych polskich sprawach Ameryka została wprowadzona trochę w błąd. Jeżeli Falkowska była piękną kobietą to w czasach, do których moja starcza już pamięć nie sięga. Jej uroda słowiańską nie jest zupełnie i nie ma powodu taką być. Falkowska nie jest też żoną Geremka i nie chadza w ciąży. Amerykanie bezgranicznie upiększają swoich aliantów.

Z Falkowską, popularną głównie dzięki tandetnym sądowym relacjom w „Przekroju”, współpracowałem długie lata w „Polityce”. Krytykowała prawo i jego stosowanie, walczyła o większą sprawiedliwość i ludzkie prawa. Należała do tej grupy członków zespołu „Polityki”, która przeleciała na stronę opozycji. Dziś, kiedy pod jej już rządami prawo znów traktowane jest przez władze jak wytrych przez włamywacza – Falkowska milczy. Zawsze była tubą adwokackiej elity. Teraz ta grupa papug objęła fotele senatorskie oraz rezydencje ambasadorskie i uchwaliła, że żyjemy w państwie prawa, więc bezprawie przestało ją razić.

FEDOROWICZ JACEK – dowcipniś

W 1956 chyba roku gdański teatrzyk „Bim-bom” pod dyrekcją Zbyszka Cybulskiego zjechał do Warszawy. Nasza redakcja „Po prostu” wydawała bankiet w restauracji hotelu „Warszawa”, wówczas jeszcze prawie eleganckim lokalu. Poznałem wtedy Fedorowicza – chudziutkiego chłopczykę, który w kabarecie grał m.in. aniołka spuszczanego na sznurkach od sufitu na scenę. Głównym gościem był Adam Rapacki, minister od szkolnictwa wyższego. Rapacki zapewniał Fedorowicza, że on nie jest winny stalinizmu w Polsce, chociaż był w tym okresie zastępcą członka Biura Politycznego. Na posiedzenia Biura – mówił – nigdy go nie zapraszano. Byłem wtedy człowiekiem bezkompromisowym i mocno mnie brzydziła taka postawa wybitnego przecież ministra: nie poczuwa się do firmowania zła, gdyż uczyniono zeń tylko marionetkę. Czemu godził się na taką rolę? – atakowałem. Fedorowicz był wtedy jeszcze potulny.

W latach osiemdziesiątych Fedorowicz ulokował się w opozycji, ale w jej wesołym odłamie. Tego nigdy nie zwalczałem, lecz miłowałem na dystans, zachwycając się np. Frydrychem i jego Pomarańczową Alternatywą.

Fedorowicz zrobił i kolportował na taśmach wideo genialną parodię dziennika telewizyjnego. Pomysł polegał na zestawianiu prawdziwego obrazu z zupełnie innym dźwiękiem. Wojciech Żukrowski więc na swojej dłoni pokazywał, gdzie całuje władze wgrzając się jej miłośnie w kostki, a generał Janiszewski, w życiu dżentelmen staroświecki, siorbał na ekranie kawę tak głośno, że bębunki pękały.

Zaproponowałem, żeby to puścić w naszej telewizji z repliką polegającą na zastosowaniu tego samego chwytu i techniki do zrobienia innych jeszcze obrazów o odwrotnej tendencji politycznej. Coś takiego w telewizji wykonano, pokazując fragmenty parodii zrobionej przez Fedorowicza, a następnie nagrany na wideo jego występ przed publicznością, tylko z innym tekstem niż ten, który wygłaszał. Był to monolog robiący go w konia. Niestety, autentyczny Fedorowicz był o wiele śmieszniejszy niż replika i jego „Dziennik TV” mocno zdaje się przycięto, żeby za bardzo nie ośmieszał władz.

Zawsze próbowałem wpłynąć na ludzi władzy w tym duchu – kiedy są ośmieszani przez humorystów, nic to władzy nie szkodzi, przeciwnie, popularyzuje ją. Grunt, aby władza sama siebie nie ośmieszała. Pewne osiągnięcia miałem, ale słabe, gdyż moi koledzy i przełożeni byli czuli na punkcie swojego majestatu. Michał Janiszewski przekonywany, że powinien okazać poczucie humoru, zgodził się siorbać kawę w emitowanej parodii Fedorowicza, tylko bodaj ograniczył swe siorbnięcia np. z dwunastu do czterech.

FIKUS Dariusz – naczelny red. „Rzeczpospolitej”

Wcześniej w opozycji pomocnik Bratkowskiego, jeszcze wcześniej, w reżimie, pomocnik Rakowskiego. Zawsze komuś pomagał, po czym okazywało się, że ostatecznie pomaga sobie. Rakowski mianował Fikusa w „Polityce” sekretarzem redakcji i sekretarzem partii, ale opozycja dała mu potem

więcej: nadała tytuł wybitnego publicysty.

Z Rakowskim łączył Fikusa również wspólny gust. Był wielokrotnym suchym szwagrem Szefa. Podbijał kobiety bardzo cierpliwie głaszcząc je po łydkach. Jedną z dziewczyn Fikusa Anka Kowalska związała się z opozycją. Rakowski zawracał ją z tej drogi, ona zaś nawracała Fikusa na tę drogę. Obie misje skończyły się powodzeniem.

Kiedy tylko Fikus nie głaszał żadnych łydek, notował wszystko, co słyszał i potem przerabiał notatki na książki. W Foksal 81 przeczytałem, że jestem jako człowiek obrzydliwym wyjątkowym. Owszem, to prawda, ale trudno mi jednak zrozumieć, dlaczego Fikus przez 20 lat przyjaźnił się z takim bydlakiem. Można by to pojąć, gdybym w „Polityce” był szefem Fikusa, ale było akurat odwrotnie, więc nie musiał.

Sympatyczny rzeczywiście nie jestem. Kiedy miałem 6 lat, za władzy radzieckiej we Lwowie nałgałem rosyjskiej rówieśnicy, córce maszynistki właśnie z NKWD, że byliśmy przed wojną w Polsce ogromnymi burżujami. Ojca zabrało NKWD i tu pojawia się Fikus.

Mój ojciec był przed wojną redaktorem gazety zbliżonej do PPS, a stary Fikus endeckiej. Stary Fikus napisał więc, że stary Urban jest sowieckim agentem i wydrukował zdjęcie ojca wychodzącego z paczką z radzieckiego poselstwa. Stary Urban wytoczył Fikusowi proces o zniesławienie.

I oto we Lwowie w 1939 lub 1940 r. w NKWD wyjmują teczkę personalną starego Urbana, a tam wśród papierów relacja z procesu. Zamiast wysłać mego ojca na Sybir za to, że uważał służenie Związkowi Radzieckiemu za zniesławiające, uznano, że miał w sanacyjnej Polsce procesy o proradzieckie zapatrywania. Z powodu nazwiska Urban i specjalności wojskowej kreślarsz mianowano go nawet urbanistą miasta Lwowa, co miastu szkodziło tylko trochę, a naszą rodzinę chroniło od wywózki. W każdym razie niechęci Fikus-Urban są dziedziczne.

Kiedyś w latach młodości („Polityka” wtedy jeszcze nie istniała) w knajpie dziennikarzy, ściśle biorąc przy pisuarze, Fikus pracujący wtedy w „Sztandarze Młodych” poprosił mnie o pożyczanie 100 zł na ćwiartkę. Ja dałem banknot, żądając w zastaw legitymacji, bo zaświtał mi pomysł kawału. Rano napisałem list do redakcji „Sztandaru”, rzekomo jako zawodowa panienka. Ta prostytutka z imaginacji pisała moją ręką, że był u niej red. Fikus. Opisywała, jak figlował u niej na Hożej. Potłukł wszystko w jej mieszkaniu i nie zapłacił, tylko zostawił w zastaw legitymację. Miał przyjść z pieniędzmi, ale nie przyszedł, więc ona odsyła dokument prosząc redakcję, żeby na niego wpłynęła, aby jej oddał, co jest winien. List trafił do przełożonej Fikusa Renaty Rawiczowej, bodaj matki tego obecnego Rawicza z „Gazety Wyborczej”. Zaczęła ona Fikusa ochrzaniać i umoralniać. Dowcip o tyle się udał, że Fikus miał urwany film i wcale nie był pewien, czy ten list kurwy nie jest prawdziwy i czy on czasem tego wszystkiego nie dokonał, co ona w nim opisywała. Dopiero ja powiedziałem Fikusowi o 100 złotych, legitymacji i kawale, który mu zrobiłem. W 30 lat później w książce Fikusa Foksal81 przeczytałem, że tak byłem skąpy, iż pożyczyłem 100 zł pod zastaw, po czym nie cofałem się przed robieniem świństw, żeby odzyskać dług. Ci ludzie z dawnej opozycji całą prywatną nawet przeszłość dostosowują do kierunku swojej obecnej nienawiści politycznej. Usiłują wykarczować wspólny z komuchami pień, z którego wyrastają.

FISZBACH Tadeusz – wicemarszałek Sejmu

W PZPR miał ksywę: Pastor. Fiszbach lubi siedzieć okrakiem na barykadzie i stara się to czynić. Te nasze barykady są cienkie, więc gdy siedzi się okrakiem, wpijają się w krocze, wytrzymać nie można i człowiek spada.

Zwykły, szary, długotrwały lokalny aparatczyk Fiszbach został I sekretarzem KW w Gdańsku i jego kadencja przypadła na strajki, porozumienia sierpniowe oraz pierwszy period legalnego działania „Solidarności”. Prowadził politykę porozumienia i dobrej współpracy, a więc zgodną z intencjami centrali, co nie było wtedy bynajmniej regułą w aparacie PZPR. Przydało mu to znaczenia, rangi i rozgłosu. Czując, jak ten wiatr dobrze niesie, Fiszbach dał mu się porwać przesadnie. Już w 1981 r. obwiniany był w warszawskiej centrali partyjnej o lizusostwo wobec „Solidarności” i automatyczną uległość.

Z chwilą ogłoszenia stanu wojennego przypadła mu misja zabrania Wałęsy z domu i posłania

samolotem do Warszawy, by go można było izolować. Pospieszył to zrobić z wojewodą Kołodziejskim, ale Wałęsa odmówił pójścia z nimi. Fiszbach zawiadomił Warszawę, że się nie udało. Zbesztany przez Rakowskiego poszedł jeszcze raz i już zadanie wykonał. Jednym słowem działał w sposób dla niego typowy: być dobrym dla obu stron, nie wzbudza to jednak szacunku żadnej z nich.

W każdym razie prosolidarnościowy sekretarz nie przeszedł był do opozycji, lecz zaaprobował stan wojenny i pełnił dalej swój urząd. Rychło go jednak zdymisjonowano i wysłano jako wysokiego rangą dyplomatę do Helsinek. Wrócił na scenę przyzwany w dobie powtórnego legalizowania „Solidarności”. Kandydował do Sejmu z ramienia PZPR i na miejsca zarezerwowane dla partii, lecz miał w kampanii ostentacyjne poparcie „Solidarności”.

Przed ostatnim zjazdem PZPR Wałęsa wpięrowy uczynił życzliwy gest wobec Rakowskiego, a potem, zgodnie z cechującą go zmiennością, uroczyście przyjął Fiszbacha i namaścił na lidera pokonanej partii czerwonych. Przekreśliło to szanse Fiszbacha na zjeździe. Delegaci zupełnie nie mieli ochoty, żeby Wałęsa naznaczał im przywódcę. Fiszbach czytał z trybuny nudne frazesy spotykając się z ostentacyjną wrogością sali. Pompatycznie zachwalał głównie siebie jako uczciwego człowieka z zasadami. Zawsze lepiej, gdy takie pochwały wygłasza ktoś drugi, ale niewielu było innych niż sam Fiszbach apologetów Fiszbacha. Widząc, że nie ma szans, wyprowadził ze zjazdu grupę swoich zwolenników, aby założyć własną, odrębną partię. Potem wrócił oznajmiając, że niczego nie zakłada i nie robi rozłamu. Następnie wyszedł ze zjazdu na przekór temu, co mówił przed chwilą, i założył socjaldemokratyczną Unię – ugrupowanie pozbawione członków. Ma za sobą tylko grupę posłów, którzy wkrótce przestaną być posłami i tym samym zniknie Unia, jak i sam Fiszbach. Jego protektor Wałęsa stracił bowiem dla Fiszbacha zainteresowanie, kiedy okazało się, że nie ma on poparcia potrzebnego do rozwalenia resztek popezpeerowskich ugrupowań i poddania ich władzy ambitnego elektryka.

Fiszbach pokazuje się w telewizji jako człowiek nagle pobożny, klękający w kościołach, lecz to mu nie pomaga, gdyż nawrócenie jest nieco spóźnione. Dawni współtowarzysze śmieją się z neodewota do rozpuku.

Tak to polityk bez zdolności, charakteru i konsekwencji w swej postawie, nie umiający się w toku walki opowiedzieć ani w tę, ani we w tę, wzbudza po obu stronach niesmak i przegrywa. Być może to epitafium jest ostatnią wzmianką o Fiszbachu, która ukaże się drukiem. Pograży się – wieszczę – w należytym mu niepamięci.

FRONCZEWSKI Piotr – sztukmistrz

Najszybciej kopulujący mężczyzna świata. Pokazywał to w „Kabarecie pod Egidą”, gdzie mówił sprośny wierszyk któregoś z klasyków, a następnie odwracał się twarzą do filaru i ilustrował tekst zapładniając filar ruchami niespotykanymi prędkimi. Tak pospieszne są tylko króliki i dzięki temu zdążają robić wiele dzieci.

Fronczewskiego poznałem w jego młodości. Grał wtedy w życiu epizodyczną i podrzędną rolę adoratora Wrzesińskiej, więc brała go do zakładów gastronomicznych. Wiedziałem, że jest początkującym aktorem, robił jednak wrażenie inteligenta – jakiegoś nieśmiałego, milczkowatego pracownika naukowego o twarzy właściwej młodym uczonym, takiej bez wyrazu i nie do zapamiętania. Ciągnął za Wrzesińską nijaki, zdawało się nieudany, uśmiechał się blade, milczał. Pewnie się czał i czekał na to, co zaraz z niego wytrysło: najbardziej plastyczny aktor, głęboki o najszerszej skali możliwości, najbardziej wzięty i jeden z największych.

Fronczewski powiedział o sobie, że może grać wszystko, od Hamleta do odkurzacza. Mało tego, on może na scenie robić za Marilyn Monroe i wał korbowy równocześnie. Tragik, komik, amant, starzec, baba, Hamlet, pajac – wszystko świetnie pokazywał.

Tuż po stanie wojennym odbywała się noworoczna lampka sikacza dla artystów. Imprezę ozdobił swym przyjściem premier Jaruzelski i telewizja pokazała w dzienniku przywitanie się generała z Fronczewskim oraz serdeczną ich rozmowę z uśmiechami. Aktorzy wtedy prowadzili jeszcze bojkot telewizji, więc żywcem wrzucili Fronczewskiego do bębna automatycznej pralki moralnej: sprzedawczyk, zdrajca, kolaborant, pohańbił wojujące komedianstwo polskie. Scena narodowa w żałobie. Gdyby śp. Stefan Jaracz zrobił heil Hitler generalgubernatorowi Frankowi albo gdyby Komorowska

czytając modlitwy w Katedrze rozebrała się równocześnie do naga, nie byłoby gorzej. Hańba.

I tej swojej roli zaszczonego Fronczewski nie potrafił rozegrać np. szybko migając kolegom i koleżankom miejscem, w które go mogą pocałować. Zaczął wydawać oświadczenia, że to wszystko stało się niechcący. On tylko chciał muchę odegnać, więc wyciągnął rękę, a premier to wykorzystał i złapał go za tę rękę. On przecież myślał, iż rozmawia z angielskim premierem, no skąd mu mogło wpaść do głowy, że to polski. Chyba nawet widział spódnice, pewnie generał ją włożył umyślnie, aby go zmylić. Kamera telewizyjna go podeszła. Zauważył, że jakieś prostokątne pudełko gapi się na niego szklanym okiem, ale przecież on nie wiedział, co to za przedmiot. A w ogóle to jakiś goryl z UB przystawił mu pistolet do szyi i szeptał do ucha: uśmiechaj się albo strzelam! No tak to dokładnie było. W sumie Fronczewski uroczyście odwołał jeden uścisk dłoni.

No cóż, jeżeli nawet człowiek umie trzymać klasę wyłącznie na scenie – to w dzisiejszych czasach już i tak nie ma.

GARLICKI Andrzej – smakosz

U Garlickich była najlepsza kuchnia w Warszawie. Z latami zaczęła się stopniowo obsuwać, więc moja bezinteresowna przyjaźń do Andrzeja – więdnąć. Wreszcie kiedyś u Garlickich podano do stołu chińskiego profesora historii najnowszej oraz parówki w sosie pomidorowym, a ja jedząc je poczułem, że nasze drogi z Garlickim się rozchodzą: sos był za bardzo czerwony, gospodarz za mało.

Andrzej Garlicki jest jedynym człowiekiem, z którym lubię zwiedzać świat. W ogóle bowiem ogromnie lubię podróżować, lecz nie podróżować lubię jeszcze bardziej. W latach 60. zjedliśmy z Garlickim osiem obiadów na jeden obiad w ośmiu jadłodajniach na bazarze w Sarajewie – mieście w Bośni.

Potem, gdziekolwiek w świecie zdarzyło mi się coś ciekawego, zawsze bolałem, że nie ma już ze mną Garlickiego. Tak było, gdy na Sycylii w Messynie podano jednodniowe koźle zapiekane w mleku jego matki z dodatkiem ziół i czosnku. Tak było przy krabach z rusztu wyławianych przez nurka na Karaibach i rzucanych wprost na jacht na którym się ten ruszt kiwał. Tak było w San Sebastian w pałacu królowej matki poprzedniej kadencji, gdzie homary miały długość ludzkiego niemowlęcia, a gotowano je nie w wodzie, lecz w białym winie, oliwie i wywarze z bazylii. Andrzej Garlicki nie marnuje jedzenia, nie wydala go z siebie, nawet w postaci energii, lecz wszystko, co zjadł, nosi na sobie przykryte namiotem zaopatrzonemu w rękawy i nogawki.

Andrzej Garlicki jest profesorem Uniwersytetu Warszawskiego i na ogół dziekanem historii. Napisał także dużo bardzo grubych książek o Piłsudskim i jego ludziach. Są to jedyne książki obiektywne i rzetelne na ten temat i bardzo erudycyjne, mimo że Garlicki nie czytuje nigdy niczego z wyjątkiem książek kucharskich oraz czekowych. Pracuje w „Polityce”. Jego ojciec był adwokatem, dziekanem adwokatów i przed wojną jednym z najwybitniejszych działaczy PPS. Stary Garlicki był i wyglądał jak bardzo szlachetny adwokat z amerykańskiego filmu, gdzie aktorów starannie się dobiera do swoich ról. Pamiętam, jak Stanisław Garlicki – ojciec – bronił adwokata oskarżonego o dawanie łapówek. Brawurowo udowodnił przed sądem, że jego klient nikomu nie mógł smarować. Kiedy uniewinniony kauzyperda jeszcze na sali sądowej rzucił się uszczęśliwiony ku dziekanowi Garlickiemu z wyciągniętą swoją łapówkarską łapą, aby dziękować – stary Garlicki demonstracyjnie schował swą prawicę za plecy, głośno powiedział do klienta: Ty łobuzie, i majestatycznie wyszedł. Działo się to w Łodzi.

Andrzej Garlicki był w PZPR, ale zawsze trzymał kurs po przekątnej, między swoją partią a opozycją. Sądzę, że póki jego kumpel Samsonowicz jest ministrem, nie wyrzucą go z Uniwersytetu, niestety. Widzę go bowiem za szynkasem małej knajpki dla znawców, gdzie na ścianie wisiałby obsrany przez spalone muchy portret różowego jeszcze Piłsudskiego z czasów przed wyskoczeniem komendanta z socjalistycznego tramwaju na przystanku niepodległość. Tramwaj, jak wiadomo, chwiejąc się mocno stał na tym przystanku przez 20 lat. Ciekawe, ile teraz postoi.

GEREMEK Bronisław – polityk

Raz tylko widziałem Geremka z bliska, zapewne nawet podaliśmy sobie ręce. Było to w 1981 r. w gabinecie Rakowskiego jako wicepremiera, w obecności Cioska, majstra od gaworzenia z „Solidarnością”. Geremek majestatycznie chodził po gabinecie, każdym ruchem pokazując, że oto nosi głowę męża stanu, oto podnosi rękę męża stanu, oto rusza nogą męża stanu. Coś perorował o sytuacji z ogromnym namaszczeniem i poczuciem znaczenia każdego swego słowa.

Rakowski, Ciosek i ja dyskutowaliśmy we trzech, a raz także u premiera Jaruzelskiego na ten temat: kto właściwie rządzi „Solidarnością”. Jaki człowiek tym wszystkim kręci? Z kim więc rozmowa jest najbardziej miarodajna i wiążąca? Dochodziliśmy niezmiennie do wniosku, że Geremek jest szefem interesu: capo di tutti capi, jak mówią w mafii.

To się potwierdziło po roku 1988, czyli w drugiej odsłonie spektaklu. Geremek należy do trzech-czterech ludzi, którzy rządzą Polską. Zabawne, że mając taki łeb i taką władzę, dba o to, aby tę swoją rolę akcentować i uzewnętrzniać w telewizji każdym słowem i gestem. Mówi, podkreślając intonacją, że cokolwiek wypowie, ma to wartość i wagę worka złota. Nosi się jak monarcha, na oczach milionów wręcz puchnie od ważności. Takie przedstawienie urządzają z siebie na ogół ludzie, którzy władzy nie mają, lecz obnoszą tylko jej pozór. Tymczasem to polityk poważny i rozważny, a władzę ma rzeczywistą. Jednym słowem, facet wyjęty jakby z prowincjonalnego teatrzyku, który nieudolnie i mozolnie udaje kogoś, kim jest rzeczywiście Geremek ma PZPR-owską przeszłość i podobno niearyjskie pochodzenie, więc wzbudza w obozie władzy nienawiść skrzydła narodowego.

Tuż po 1956 r. Witold Jedlicki ogłosił w paryskiej „Kulturze” szkic pod tytułem „Chamy i Żydy”. Twierdził, że główny podział w partii przebiega pomiędzy nacjonalistycznymi zaściankowcami, ksenofobami i demagogami, miewającymi skłonności populistyczne, a czasem wręcz faszyzujące, oraz skrzydłem liberalnych pragmatyków, elastycznych kombinatorów o ponad-polskim horyzoncie.

W toku lat 70. lub później te antagonizmy zamazały się, ustępując placu bardziej aktualnym, wciąż zmiennym konfiguracjom i podziałom. Zdaje się jednak, że treści szkicu „Chamy i Żydy” można w pewnym przybliżeniu odnieść teraz do dzisiejszych podziałów w obozie „Solidarności”.

Próbowałem ostatnio przeczytać luksusowo wydaną księgę naukową Geremka „Świat opery żebraczej” – o marginesie społecznym średniowiecznej Francji, złodziejach, prostytutkach itd. Drętwa, profesorska, erudycyjna książka. Trzeba szczególnego talentu, żeby tak bardzo nudnie przedstawić taki fajerwerkowy temat. Lektura przyczynkowego nudziarstwa wskazuje, że prof. Geremek musiał się wziąć za politykę czy jakąkolwiek inną robotę, która nie wymaga pisania książek.

GIEŁŻYŃSKI Wojciech – dziennikarz

W smutnych rzekomo czasach realnego socjalizmu warszawskim Krakowskim Przedmieściem szedł wesoły studencki pochód. Najładniejsze dziewczyny zgrupowano razem i płaśły one przebrane w negliże panienek upadłych. Niosły transparent, który łopotał rozpięty na całą szerokość ulicy: „Szkółka Giełżyńskiego”. Był pierwszym samcem PRL-u. Widywałem go w akcji. Na przykład zamawiamy kawę w studenckim klubie w Łodzi, Giełżyński mówi: Niech trochę przestygnie. Podchodzi do stolika obok, szepce coś do ucha siedzącej tam obcej dziewczynie, ona z miejsca wstaje, idzie z nim do „Grand Hotelu”. Po kwadransie wracają i Giełżyński dopija kawę.

Kiedyś, pamiętam, zaprosił mnie on na orgię poranną do swojego mieszkania. Posadził gości, wyskoczył na chwilę do miasta, zgarnął z ulicy parę uczennic i wrócił. Rozebrał się tak, że miał nagi tors i był bosi, a nosił tylko wschodnią chustę zamotaną u pasa. Na sucho, czyli bez ceregieli, wina i muzyki, zawołał: Rozbierajcie się dupenki – zaczynamy orgię! W tym momencie odezwał się dzwonek u drzwi i weszła stara pani Giełżyńska. Dalszy ciąg orgii polegał na tym, że uczennice piły herbatę, a mama Giełżyńska przepytywała je z postępów w nauce.

Raz Giełżyński jadł obiad w SPATiF-ie z niejaką Fredą, która mu się skarżyła, że ją już męczy swawolne życie. Rada by już wydać się za mąż i ustatkować. – Pierwszy facet, który tu wejdzie, będzie twój – obiecał Giełżyński. Po sekundzie do knajpy SPATiF-u wszedł reżyser Passendorfer i odtąd już przez kilkadziesiąt lat uprawiał z panią Fredą szczęśliwe małżeństwo.

Po wojnie Wojciech Giełżyński był ymciarzem, co znaczyło, że należy do amerykańskiej organizacji młodzieży chrześcijańskiej i słucha jazzu. Jego ojciec redagował mikołajczykowską „Gazetę

Ludową” – organ PSL. Po rozgromieniu Mikołajczyka zrobiła się poruta. Okazało się jednak, że prezydent Bolesław Bierut przed wojną był drukarzem w gazecie należącej do starego Giełżyńskiego i redaktor „Gazety Ludowej” spokojnie osiadł w redakcji „Gromady”, a jego Wojtusia kazano przyjąć na Uniwersytet.

Później Wojciech Giełżyński był już normalnym partyjnym dziennikarzem, tyle że o odchyleniu rozrywkowym. Traktowano je znacznie łagodniej od odchyłeń ideologicznych. Pracował w „Dookoła Świata”, magazynie propagującym dolce vita mieszane z czerwonym krawatem.

Giełżyński jest fenomenalnie utalentowanym dziennikarzem, jednym z największych. Uważam, że był i jest nie doceniany głównie przez to, iż żadna polityczna orientacja nie traktowała go całkiem serio. Miało na to wpływ zabawowe życie, skazy charakteru, gdyż akurat charakteru nigdy nie objawiał i jakiś, cholera, brak zawodowego szczęścia. Giełżyński umie wszystko. Napisze poważną książkę o perspektywach Trzeciego Świata albo o polskiej gospodarce, głęboki lub perlisty zagraniczny reportaż, wnikliwy artykuł o polityce wewnętrznej, felieton, wstępniak, chałturę i znakomite reporterskie studium polskiej prowincji.

W sierpniu 1980 roku pojechał do Stoczni Gdańskiej na strajk. Wrócił nawiedzony, miłością do „Solidarności” i Wałęsy. Odtąd tego się trzyma. Wylaliśmy go z „Polityki” już we wrześniu 1980 r. za doniesienie Wałęsie, że Andrzej Krzysztof Wróblewski publicznie przedrzeźnia Przewodniczącego. Nawet jako ofiara reżimu Giełżyński nie zrobił jednak kariery. Inicjując usunięcie go z „Polityki” dałem mu szansę senatorską, on ją zmarnował.

Na panienki przestał już Giełżyński polować, może to starość, a może zblazowanie. W czasach nadaktywności erotycznej objawiał rodzaj seksualnej nerwicy zwanej kompleksem Don Juana. Rwał, rwał i rwał tak gorączkowo jak impotent, który musi się sprawdzić. Żyje jednak z tysiąc kobiet, które mogłyby powiedzieć, czy po pójściu z nimi do łóżka powodował trzęsienie tego mebla i ziemi, czy tylko proponował herbatę i dyskusję o Trzecim Świecie. Ja niczego nie wiem, gdyż Giełżyński nie chodził na chłopców.

GIEREK Edward

Nieprzerwanie zadowolony z siebie człowiek. Nigdy w życiu z nim nie rozmawiałem, a widziałem go tylko raz, w ostatnich tygodniach jego władzy. Wsiadłem do windy w KC razem z nim i jego świtą. Przejechaliśmy jedno piętro. Nie jest to więc znajomość szczególnie bliska. Stał w windzie dorodny pan, ubrany w świetnie skrojony garnitur i pachniał pierwszorzędnymi kosmetykami. Otoczony był wymiętymi, spoconymi kurduplami. Pamiętam ten kontrast: wielkie panisko, a wokół folwarczne parobczaki o szemranych bużkach, ustawione do niego jak plażowicze do słońca. Konfiguracja ta mignęła i wysiadła.

W 1969 r. Mieczysław Rakowski wezwał członków redakcji „Polityki” do składania na piśmie projektów spraw i kierunków działania, jakie w nadchodzącej dekadzie pismo powinno popierać. Napisałem wówczas bardzo obszerne opracowanie-program polityczny „Polityki”, będący właściwie programem dla kraju. Ten dokument, krążąc po redakcji, skłonił także innych kolegów do poważnego potraktowania tej pracy domowej i każdy dawał wizję dotyczącą dziedziny, którą się zajmował. Michał Radgowski zredagował z tego spójny dokument – program dla Polski, jaki „Polityka” chciałaby popierać. Był on kolportowany wśród przyjaciół pisma.

Edward Gierek, członek Biura Politycznego, siedział wtedy w Katowicach i wbrew temu, co twierdzi w *Przerwanej dekadzie* montował w partii swoje stronnictwo, przeciągał na swoją stronę kolejnych szefów województw. Rozglądał się także za programem, w którego imię mógłby przejmować władzę w Polsce.

Gierek był wrogi Rakowskiemu, ponieważ mu złożono donos, że to Rakowski pierwszy nazwał jego Śląsk Katangą. Pojechał do Gierka Marian Turski z „Polityki”, który z późniejszym I sekretarzem Śląska chodził razem do szkoły partyjnej, aby ocieplić stosunek Gierka do Rakowskiego i umożliwić im spotkanie. Doszło potem do wizyty Rakowskiego u Gierka, w trakcie której gość dał gospodarzowi w prezencie program opracowany w „Polityce”. Sposobiący się już do objęcia władzy w kraju Gierek obłudnie powiedział, że te nasze koncepcje wzbogacą program katowickiej organizacji PZPR.

Kiedy Gierek objął władzę, program „Polityki” stał się jedną z podstaw światłego, reformatorskiego programu całej PZPR, uchwalonego na VI Zjeździe Partii. Związało mnie to osobiście z polityką ekipy Gierkowskiej w pierwszych, lepszych latach jej prowadzenia. Miałem bowiem poczucie, że znajduję się w rzędzie jej myślowych współtwórców.

Obecnie Edward Gierek coraz częściej wypowiada się publicznie. Odgrywa się na Wojciechu Jaruzelskim za to, że internował go w stanie wojennym. Teraz w swych wystąpieniach sugeruje, że za jego czasów Polska kwitła, i że gdyby go nie obalono, współżyłby z „Solidarnością” jak z najczulszą kochanką. Niewygodne mu fakty omija. Na przykład ten podstawowy, że nie przeprowadził dojrzałych już w latach siedemdziesiątych i możliwych do zastosowania reform modelu politycznego i ekonomicznego. Zmarnował znaczną część z 70-miliardowych kredytów zachodnich, przeznaczając je na rozwój produkcji niesprzedawalnej u kredytodawców lub na sztuczne podnoszenie spożycia w kraju. Doprowadził do kryzysu. Opozycji nie urządzał procesów, co jest jego zasługą, ale ją nękał. Wobec sygnału ostrzegawczego, jakim były wydarzenia 1976 w Radomiu i Ursusie, zachował się jak obrażony monarcha. Uważam, że przy wszystkich swych zasługach Gierek ośmiesza się dziś, próbując występować jako Katon wobec swych następców w partii i państwie oraz przedstawiając się jako potencjalny aliant „Solidarności” i kolega jej działaczy z internatu. Fajnie to jednak, że jego starość przestała być taka ponura.

GLEMP Józef – prymas

Przypisują mu podobne do moich uszy, ale to nie jest jedyna skaza Eminencji. W stanie wojennym odbywało się w kościele akademickim spotkanie prymasa ze studentami. Purpurat zastał salę politycznie rozpaloną i hałaśliwie wznoszącą okrzyki przeciw komuchom. Kardynał palnął wtedy mowę o swojej zetempowskiej przeszłości. Mówił, jakie to piękne były wtedy lata, jak ofiarna i ideowa młodzież, jak silnie wierzyliśmy, że świat ruszamy z posad i zmieniamy na lepsze. Oczywiście mówił też o późniejszych rozczarowaniach propagując inne wartości, ale i tak publiczność zgłupiała i para z niej uszła.

Rozmowy z kościelnymi dygnitarzami zawsze były satysfakcjonujące i krzepiące dla przedstawicieli poprzedniej władzy. Kościelni notabie uważnie słuchali, okazywali głębokie zrozumienie, gdy zaś pragnęli cokolwiek załatwić w materii politycznej, nie szczędzili zapewnień i gwarancji. Ponieważ słowom arcykapłanów należy wierzyć, nigdy nie prowadzono protokołów tych zapewnień, co byłoby dla biskupów wręcz obraźliwe, ani nie proszono o gwarancje na piśmie, co zresztą byłoby bezowocne.

W toku wypadków żadne z kościelnych zapewnień ani nie było przez gwarantów pamiętane, ani nie miało żadnego znaczenia. Magia sutann tak działała na ateuszy, że zawsze brano za dobrą monetę słowa, przenigdy potem niedotrzymywane.

W relacjach naszych dygnitarzy różnego szczebla o rozmowach z kościelnymi notablami zawsze uderzało mnie jedno. Nasi ludzie dużo opowiadali o tym, co oni mówili kościelnym rozmówcom i jak gorliwie ci kiwali głowami. Trudno było się zaś dowiedzieć, co mówili przedstawiciele Kościoła, zawsze odzywający się skąpo i mówiący okrężnie i ogólnikowo.

Pamiętam pewną dyskusję na taki to temat: czy wśród dygnitarzy kościelnych istnieją ludzie rzeczywiście wierzący w Boga? Otóż, uważam sam problem za postawiony fałszywie, gdyż osoby zajęte ważną pracą nie mają głowy do zastanawiania się nad kwestiami w niej nieprzydatnymi.

GŁOWACKI Janusz – I Playboy PRL

Towarzysz Żdanow ogłosił był, że potrzeba nam Sałtykowów-Szczedrinów i Gogoli. W odpowiedzi na ten apel Janusz Głowacki szybko przyszedł na świat. Z wiekiem został pisarzem oraz rozchełstany m łwem salonowym.

Obracał się w światku warszawskich kawiarni lub knajp i kpił z niego ucieszenie. Nosił paradoksalny przydomek: Głowa. Wyemigrował. W Polsce publikować zaczęto opinie, że zrobił

światową karierę pisarską. Głowacki przyjechał i oznajmił w paru wywiadach, że to żadna kariera. Problem nie może być rozstrzygnięty, dopóki Głowacki jest jedynym świadkiem w swojej sprawie, a nie można znaleźć na świecie nikogo, kto umiałby stwierdzić, czy Głowa zrobił światową karierę, czy nie.

GONTARZ Ryszard – postać

Młodego Gontarza poznałem, jak wielu ludzi, przy wódce, w knajpie dziennikarzy na Foksal, w latach jeszcze pięćdziesiątych. Współpracował wówczas z pismem milicyjnym i już starał się robić wrażenie człowieka tajemniczego, o mocarnych powiązaniach.

Później w latach sześćdziesiątych mój kolega – dziennikarz Mieczysław Górski – człowiek co prawda niespecjalnie wiarygodny, opowiedział mi następującą historyjkę. Nie biorę odpowiedzialności za to, że to prawda, opowiadam, jak usłyszałem. Górski pił z Gontarzem w SDP, aż tu pojawił się u Dziennikarzy ich stary, dawno nie widziany kolega tow. Bęben, ongiś ze „Sztandaru Młodych”. Bęben opowiedział, że pracował przy Władysławie Kruczkowi kierującym rzeszowskim KW. Zajmował się Bęben delikatną robotą tajnego drukowania antygomułkowskich ulotek. Było to za władzy Gomułki, którego zwalczał będący członkiem Biura Kruczek. Gomułka przyjechał do Rzeszowa i pojednał się z Kruczkem, co dokonało się na skórze Bębna. Wygnano go z KW i zrobiono kierownikiem wytwórni win owocowych. Po pewnym czasie naśladali mu tam kontrolę i zamknęli za nadużycia. Bęben siedział w celi z jakimś wielkim, bogatym aferzystą i za jego pieniądze mieli w tym zamknięciu wszystko, co najlepsze. Aferzysta ów, idąc siedzieć, wszystko co miał: willę, samochód, pieniądze, zostawił dziewczynie, z którą żył był na wolności. Teraz zaś doszła go wiadomość, że dziewczyna go zdradza i nie zamierza mu niczego oddać. Prosił wychodzącego Bębna, żeby zajął się tą dziewczyną i majątkiem.

Z knajpy panowie pojechali do jakiegoś mieszkania. Tam pijąc dalej wezwali przez telefon tę dziewczynę. Gontarz poddał ją ostrej indagacji w cztery oczy. W rezultacie dramatycznego sam na sam uzyskał od kurewki pisemne oświadczenie, że dziewczyna załatwiła sprawy aferzysty nocując w określonym hotelu z oskarżającym go prokuratorem. Potem zdobył potwierdzenie tego w dokumentacji hotelowej. Naciskając, uzyskał od niej też inne oświadczenia i miał ją w ręku, niebogę. Jednym słowem, nierzetelną dziewczynę jakoś efektownie załatwił, okazując przy tym talenty policjanta-amatora. Istotnie Gontarz specjalizował się w publikowaniu tekstów opartych na własnych dochodzeniach, ostrzejszych niż zwykła indagacja reporterska.

W 1968 r. Ryszard Gontarz stał się jedną z najbardziej znanych w Polsce osób. Teksty, które publikował, wstrząsały krajem. Były to antysyjonistyczne donosy, opisujące to, jak antynarodowe, kosmopolityczne mafie rządzą różnymi dziedzinami w Polsce. Teksty te oparte były na materiałach z góry przygotowanych przez urzędowych przyjaciół Gontarza. W ślad za nimi szły polowania na czarownice, usuwanie ludzi z posad. W publikacjach tych specjalizowało się m.in. „Prawo i Życie” Kąkola, „Walka Młodych” Andruszkiewicza i Wysznackiej, ale też „Sztandar Młodych” i „Słowo Powszechne”.

Politycy wspierający nurt marcowy dawali w owym czasie do zrozumienia, że Gontarz i paru podobnych dziennikarzy żydojadów, np. niejaki Kur, to brudna piana na ich czystym nurcie, przejściowo tylko potrzebni ekstremiści.

Gontarz nie ograniczał się do pisaniny. Uzdrawiał Polskę biegając także na zebrania. Tam ogłaszał ciekawostki o różnych osobistościach, ich niewłaściwym pochodzeniu, kontaktach z Zachodem, mafijnym działaniu, antynarodowych spiskach itp., itd. Kiedy już nurt marcowy zaczął słabnąć, gomułkowskie KC walnęło w Gontarza. Za chodzenie po komórkach MSW z różnymi rewelacjami, m.in. o kierownictwie PZPR i jego żydowskich żonach, dostał zakaz występów, bodaj także publikacji, i karę partyjną.

Zszedł ostatecznie z wielkiej sceny wraz z nastaniem Gierka. Wtedy stał się dramaturgiem i pisał antysyjonistyczne utwory sceniczne, które wystawiał głównie Ryszard Filipiński. Raz byłem na takim spektaklu Filipińskiego, nie wiem czyjego pióra. Z widowiska wynikało mniej więcej, że żydzi głównie sami i z własnej winy pozabijali się za Hitlera. Nurt marcowy trwał w teatrze oraz filmie i Gontarz obsługiwał go swoim topornym piórem. Działal także w czasopiśmie „Barwy” redagowanym przez Gaworskiego, gdzie różne grupy pomarcowe zagryzały się wzajemnie. Resztki tego nurtu zmarły w latach 70. chyba z braku zasilania finansowego. Szło ono z niektórych ambasad bliskowschodnich, ale tej

wiedzy nie mogę już zdradzać. W każdym razie nie było to przedstawicielstwo Izraela – tyle mogę powiedzieć.

Gontarz pozował na mocnego człowieka, osamotnionego przywódcę. Zawsze miał wokół siebie grupkę wyznawców, którzy go czcili jako wodza, i nie ukrywał, że uważa się za człowieka, którego powołaniem jest zawładnięcie Polską. Czeką na swój czas. Może się i doczeka. Będę się śmiać, jak weźmie władzę, gdy nikt inny nie będzie miał już siły, żeby się schylić i podnieść ją z ulicy.

Stylistyka Gontarza, acz nie tak kwiecista jak Kura (Gontarz lubił fakty), powinna być zachowana w historii piśmiennictwa. Marcowcy budowali długie zdania starając się, aby w każdym z osobna zawarta była cała prawda o świecie. Pisywali coś w tym stylu: „Podczas kiedy Naród Polski znojnym wysiłkiem, przewyciężając upokorzenia i całe zło, które narosło w naszym kraju w wyniku agenturalnej działalności niektórych farbowanych lisów, próbuje dokonać odnowy politycznej i moralnej, by nie naruszając sojuszków sam decydować o swoim losie, ludzie, którzy gotowi są zmieniać ojczyznę jak rękawiczki, w trosce o swój monopol władzy, przeżarli kraj rakiem klik działających pod obcą komendą.” itd., itp.

GÓRNICKI Wiesław – sekretarz stanu

Dziwny człowiek. Znamy się od trzydziestu kilku lat. Formalnie – jesteśmy zaprzyjaźnieni. W latach osiemdziesiątych przez około osiem lat pracowaliśmy razem w jednym budynku, dwaj starzy koledzy w zupełnie obcym otoczeniu, i nie widywaliśmy się prawie wcale. Czasem Górnicki pisał do mnie listy i wysyłał je z jednego skrzydła Urzędu Rady Ministrów do drugiego. Bywały to listy sentymentalne. Wolał kontakt papierowy. Chyba byłem dla niego osobą pesząco niepoważną i mogącą jakimś nieopatrzonym słowem coś uszczknąć z jego majestatu.

Górnicki to jeden z największych dziennikarzy, jakich miała Polska. Przyszedł pracować do Urzędu, uparł się, że przestaje pisać, i gwiazda zgasła. A pisał bywało, że pięknie, mądrze i głęboko, ale był nierówny. Miewał zaćmienia rozsądku, ponosiły go nagle emocje niskiego lotu. Np. napisał kiedyś historyczny tekst, że od szmuglu upada kraj i naród.

W 1967 r., kiedy był polskim korespondentem w Nowym Jorku, zaprotestował przeciwko popieraniu przez nas Arabów w wojnie z Izraelem i zrywaniu z tym państwem stosunków dyplomatycznych. Akurat na sesji ONZ był premier Cyrankiewicz i minister Rapacki. Perswadowali Górnickiemu, żeby wycofał swój sprzeciw i dymisję. Górnicki się zaciął. KC podminowane było aferą Górnickiego, spodziewano się, że wybierze wolność i zostanie w USA. Górnicki normalnie wrócił i odtąd był w politycznej niełasce.

On wie najlepiej i wszystko. Czy rozmowa zejdzie na rozmnażanie się lilii wodnych, obroty ciał niebieskich czy generacje komputerów, Górnicki będzie autorytatywnym ekspertem w każdej dziedzinie.

Ma upodobania nietypowe dla intelektualistów: kocha wojsko i ono mu niezmiennie imponuje. Uwielbia też biurokrację kancelaryjną: pieści dokumenty, wytwarza artystyczne maszynopisy, numeruje, segreguje. Sądzę, że gdyby okoliczności nie wyniosły Górnickiego tak wysoko, mógłby być jedynym na świecie kancelistą wojskowym z powołania.

W 1967 był korespondentem polskim w Nowym Jorku. Wybuchła wtedy wojna izraelsko-arabska. Polska zerwała stosunki dyplomatyczne z Izraelem. Górnicki napisał do kierownictwa partii list sprzeciwiający się przyjęciu antyizraelskiego kursu i zgłosił dymisję. W Nowym Jorku na sesji ONZ był wtedy premier Cyrankiewicz i minister Rapacki. Namawiali Górnickiego, żeby podporządkował się polityce zagranicznej kraju. Odmówił. W KC w Warszawie jego postawa była sensacją. Liczono się z tym, że Górnicki wybierze w USA wolność, obradowano, jak temu zapobiec. Wiesiek lojalnie wrócił.

Górnickiego poodsuwano od poważniejszego dziennikarstwa jako politycznie nieposłusznego. W 1981 r. pracował w „Przekroju”. Zadzierał z „Solidarnością” i bronił Samitowskiego, który w telewizji ośmielił się zaatakować solidarnościowych bonzów lokalnych. Stał się więc w „Przekroju” persona non grata, gdyż zespół ten już rozpoczął przenosiny polityczne zgodne z modą tego sezonu. Zaproponowałem Górnickiemu listownie wzięcie posady w politycznym pionie rządu, którym kierował Rakowski. Premiera Jaruzelskiego poprosiliśmy, żeby nadał mu status doradcy premiera, bo doradca wicepremiera to byłoby za kuso dla takiej gwiazdy. Wojciech Jaruzelski zgodził się zrobić Rakowskiemu i mnie tę uprzejmość. W URM-ie pełno było urzędników w randze doradców premiera, których żaden premier nie

widział i nie chciał widzieć, bo to tylko urzędniczy tytuł. Nikt wtedy nie wiedział, że ta formalność stanie się ciałem i Górnicki przez długie lata będzie najbliższym osobistym doradcą Jaruzelskiego. Odtąd stał się wielkim sensatem (Sensat to nie jest – jak się sądzi – człowiek lubiący sensacje, tylko człowiek traktujący wszystko z nadmierną powagą.). Zrodził się nowy Górnicki traktujący siebie więcej niż serio, oschły, ważny, napięty, nerwowy, wymęczony, przeskakujący z tematu na temat, jakby gorączkowo, w każdej chwili chciał ogarnąć cały świat i wszystkie jego sprawy równocześnie. Były okresy, kiedy nie sypiał pod kilka nocy z rzędu i widziało się go wyblakłego z kilkudniowym zarostem i 97. wersją dokumentu pod pachą.

Kiedy zaczął się stan wojenny, tj. o północy z 12 na 13 grudnia 1981 r., przejechałem z domu do urzędu i odsiedziałem tę noc w gabinecie Rakowskiego. Cały gmach rządu był taki jak każdej nocy, wyludniony i ciemny. Jedynym przejawem niezwykłości tej nocy było to, że przy wejściu potknąłem się o coś miękkiego i włochatego. W drzwiach leżał pies milicyjny, a mogę snuć te wspomnienia dzięki temu, że bestia nosiła kaganiec.

Noc w opustoszałym gmachu rządu, w którym znajdował się też bohater generał Jaruzelski, wyglądała zupełnie inaczej niż filmy przedstawiające scenerię zamachów stanu. Nie było ludzi, którzy wbiegają i wybiegają, krzyżujących się poleceń, narad, dzwoniących równocześnie licznych telefonów. Generał zajęty był bez reszty swoim przemówieniem. Rakowski i ja nie mieliśmy nic do roboty, czekaliśmy na rozwój wydarzeń i nudziliśmy się.

Rakowski zajmował wtedy nieduży, brzydki, ciemny gabinet. Mówiono, że przed wojną była to sypialnia Piłsudskiego i że marszałek tam umarł. Legenda ta była jedyną ozdobą tego pokoju, a i to fałszywą. Biuro Piłsudskiego znajdowało się w przybudówce do dzisiejszego gmachu URM (przed wojną Główny Inspektorat Sił Zbrojnych) i w pokoju, gdzie spał Marszałek, teraz urzędował generał Jaruzelski. Umarł zaś Piłsudski w Belwederze, gdyż agonię wypada odbywać w mieszkaniu żony, a nie kochanki, z którą mieszkał w GISZ. Mniejsza o niego, zajmujemy się innym wojskowym.

Za gabinetem Rakowskiego był maluteńki salonik, z którego wchodziło się do klozetu. Przechodząc, naglony potrzebą, przez salonik zobaczyłem śpiącego na kanapie żołnierza. Sądziłem, że to jakaś wojskowa ochrona, ale to była większa sensacja: Górnicki jako umundurowany kapitan! Potem wystraszył się go Józef Tejchma, minister kultury, którego Rakowski wezwał nad ranem. Wcielenie Górnickiego na 13 grudnia do wojska było operacją ściśle tajną i jedną z niespodzianek, jakie wojsko zrobiło tej nocy.

Wydaje mi się, że wpływ Górnickiego na Wojciecha Jaruzelskiego jest od wielu już lat bardzo znaczny. Górnicki jest człowiekiem samodzielnie i często myślącym, wnikliwym analitykiem, bystrym obserwatorem sceny politycznej i prognostą. Odważnie wypowiada swoje zdanie i stawia się szefowi, a więc zaprzeczenie dworaka. A jednak dworak, bo człowiek serio przejęty drobnymi sprawami dworu, prestiżu i rozmaitymi małostkami. Znarkotyzowany wielką polityką facet o infantylnych równocześnie upodobaniach i odruchach. Potrzaskana i pokręcona indywidualność, obracająca się wśród jakże szarych przeważnie funkcjonariuszy.

Wiesiek Górnicki nie jest już zdolny do samodzielnego istnienia bez Wojciecha Jaruzelskiego – stałby się wtedy zgorzkniałym dziwakiem. Sądzę, że kiedy dobiegnie końca prezydentura Jaruzelskiego, on dalej zostanie przy Generale. Pojedzie z nim na każdą świętą Helenę. Zazdroszczę mu tego.

GÓRSKI Mieczysław – nikt

Ten akurat Górski nie jest postacią publicznie znaną, ale ponieważ był moim przyjacielem, niechaj uzupełni kolekcję polskich życiorysów. Specjalnością narodu polskiego są bowiem życiorysy jego członków. Np. życiorysy Szwajcarów tak mają się do życiorysów Polaków jak książka do nabożeństwa do powieści sensacyjnej.

Pomiędzy śmiercią Stalina a ogłoszeniem Berii agentem imperializmu, czyli w 1953 r., pracowałem w biurze prasowym Światowego Kongresu Studentów, który odbył się latem w Warszawie. Moimi szefami, licząc od dołu w górę byli: Sarna Obozowicz, siostra Józefa Światły (który za rok ucieknie i wstrząśnie Polską), wicedyrektora X Departamentu w Ministerstwie Bezpieczeństwa, Jiri Pelikan – w 1968 r. szef telewizji czechosłowackiej, po interwencji emigrant i deputowany z ramienia

Włoch do parlamentu europejskiego i Enrico Berlinguer, późniejszy przywódca Włoskiej Partii Komunistycznej. W trakcie kongresu mieliśmy wydawać wielojęzyczny dziennik kongresowy, lecz trudności językowe, polityczne i techniczne sprawiły, że wyszedł tylko jeden numer i to po kongresie. Za to na stronie 1 wersji angielskiej wielki nagłówek głosił: „Mary F. pierdoli się w Warszawie”. A miało być, że słynna wówczas piosenkarka śpiewa w Warszawie. Nie był to koniec kłopotów z kobietami. Zachwyciłem się delegatką meksykańską – Metyską, tancerką Rositą i zaprosiłem ją do nocnej knajpy „Kameralnej”. W środku nocy i ją, i mnie wyjęli z lokalu smutni, po czym zostałem ochrzaniany: przepiękna ta dziewczyna była komunistką i zabranie jej w tango oznaczało zubożenie nas o jeden głos w jakimś nocnym głosowaniu kongresu.

Jako pokutę zadano mi zabranie do tejże nocnej „Kameralnej” szefa delegacji Narodowego Związku Studentów Anglii, Walii i Północnej Irlandii, wielkiego dygnitarza, który na Kongres Studentów na Bielany przyjeżdżał limuzyną brytyjskiego ambasadora. Celem było takie spicie jego i kolegów, żeby rano nie przyszli na głosowanie i nie głosowali przeciw. W tej dyplomatycznej misji odniosłem wielki sukces, bo Brytyjczycy nie tylko nazajutrz nie pokazali się na kongresie, ale ich przewodniczący sztywny super Anglik z Oxfordu przestał nad ranem udawać, że nie umie po polsku i bełkotał pięknym polsko-żydowskim dialektem oraz zgryzał w mordzie kieliszki i połykał szkło. Potem już nie pamiętał, że się zdradził, iż mówi po polsku, oraz że pytał o swe rodzinne Nalewki, a delegacja brytyjska – niesamowicie! – odmówiła wstania z miejsc, kiedy grano „Jeszcze Polska nie zginęła”, czyli melodię będącą u nas hymnem narodowym, gdyż uważali ją za komunistyczną.

Kongres zakończyło przyjęcie wydane w Pałacu Namiestnikowskim na Krakowskim Przedmieściu przez przewodniczącego Rady Państwa Aleksandra Zawadzkiego. Znów pilnowałem tu swoich Angoli, także i teraz pijanych. Dosiadł się do naszego stolika gospodarz, człeczyna niepozorny i onieśmielony. Brytyjczycy zaczęli go serdecznie, choć obcesowo walić w plecy. Skonsternowany napominałem ich moją znakomitą angielszczyzną. Jak twierdzą świadkowie, rzekłem: „Nie bić ten chłopak, wy macie królową, a my to”. Angole zerwali się jak oparzeni i już cały czas stali dygocąc z respektu.

Takie były okoliczności poznania Mietka Górskiego. Przysłano go ze „Sztandaru Młodych”, żeby jak i ja pracował w biurze prasowym kongresu.

Z Górskim całe noce piliśmy w „Kameralnej” i stamtąd jeździliśmy wprost do pracy, nie sypiając w ogóle. Górski dużo mówił o sobie; jego ojciec zginął na wojnie, on był w Korpusie Kadetów, szkoły nie skończył, mając 16 lat został dziennikarzem „Sztandaru Młodych” w Szczecinie, a kiedy miał te 16 lat, ożenił się, ma dziecko, lecz żony nie lubi oglądać. Mietek liczył wówczas 19 lat i to się wszystko zgadzało.

W „Kameralnej” po wielu wódkach Górski zaczął rzucać frytkami w gości i głośno szlochać z powodu dramatów dzieciństwa, które, jak opowiadał, były takie: jego ojciec był żydem i ukrywał się w czasie okupacji, a matka gojką. Ona usiłowała swego małego Mięcia wydać gestapo. Więc jej za to nienawidzi i dlatego właśnie obrzuca ludzi frytkami! Był to pierwszy objaw jego mitomanii. Matka Górskiego była pocziwą, zabiedzoną korektorką trzęsącą się o synka. Sprawiała wrażenie typowej żydowskiej mame. Pamiętam z późniejszych lat stałą scenkę, jak ta matka rano, przed pójściem do pracy, przyjeżdżała kawał drogi do synka i przez uchylone drzwi wsuwała tylko rękę podając mu świeżą koszulę. Górski miał tylko dwie koszule, a matka codziennie jedną prała i przywoziła, lecz nie wchodziła do środka, bo w kawalerce Górskiego zawsze rano była jedna albo kilka nagich dziwek.

19-letni mój przyjaciel powiedział, że się rozwodzi. Ilekroć bowiem wraca do domu po paru dniach i nocach nieobecności, żona nie chce z nim w ogóle dyskutować, tylko bierze doniczkę, rzuca w niego, co jest wyraźnym przejawem jej antysemityzmu. Rozwód się dokonał. O wiele później okazało się, że Górski już po rozwodzie zrobił swojej byłej żonie dziecko czy też może nawet dwoje.

Nastał rok 1956 i Górski jako reporter „Sztandaru” zawzięcie jeździł w teren. Robił to z koleżanką-dziennikarką Hanką Adamiecką lub Adamczewską. Jesienią 1956 dziewczyna ta robiła reportaże dla „Sztandaru” z Budapesztu powstanie i radziecką interwencję. W jakiś czas później popełniła samobójstwo.

Ludzie ze „Sztandaru” byli zdania, że do samobójstwa doprowadził ją Górski. Rozgłaszali taką to wersję: kochała się z Górskim, ale miała męża i także go kochała. Górski naciskał, aby od męża odeszła do niego. Ona nie chciała. Górski jej zagroził, że jak ona nie rzuci męża, to on pójdzie do niego i opowie

o ich romansie. Dziewczyna uznała, że sytuacja jest bez wyjścia, gdyż Górski zrukuje jej związek z mężem, a jej romans z nim samym już zniszczył okazując się szantażystą. I otruła się gazem zostawiając małe dziecko.

Z tej śmierci sfery ówczesnej opozycji zrobiły sprawę polityczną, ogłaszając, że ona się zabiła, gdyż nie mogła przeżyć radzieckiej interwencji na Węgrzech. Pogrzeb był więc manifestacyjny, z węgierskimi sztandarami, a nad trumną przemawiał Wiktor Woroszyłski, gorliwie dyskontując politycznie to wydarzenie.

Mietek Górski na pogrzeb nie poszedł, jako człowiek uznany za moralnego zabójcę, lecz kazał mi zostać na cmentarzu, żebym go podtrzymywał, jak przyjdzie po wszystkim solo składać kwiaty na grobie. Zostałem. Górski wyłonił się zza krzaka, skąd obserwował pogrzeb. Był uroczysty i żałobny, nosił ciemne okulary, ale miał też w kieszeni pół litra. Pojechaliśmy do mnie na dwuosobową, wesołą zresztą stypę.

W „Sztandarze” robiono nad Górskim sądy czarownic i uchodził za czarną owcę, więc załatwiłem mu przejście do „Po prostu”. Po zamknięciu tego pisma poszedł do „Polityki”. Stamtąd go szybko wyrzucono. Ja zacząłem pracować w redakcji Agencji Robotniczej i tam ściągnąłem za sobą Górskiego. Też go wyrzucono, gdyż prawie nic nie robił, za to znikał, bywało i na dwa tygodnie, z jakąś panienką. Potem pracował w jakimś periodyku branżowym i coraz niżej spadał w hierarchii zawodowej. Wreszcie opadł z dziennikarstwa i dostał w jakiejś spółdzielni posadę organizatora kursów fryzjerskich.

Zanim to się stało, Górski poderwał w Łodzi śliczną studentkę o nazwisku Barbara Bolińska, pannę z tak zwanego dobrego i zamożnego domu. Wkrótce się pobrali. Teść dał Górskiemu forszę, żeby wpłacił do spółdzielni na mieszkanie. Górski oznajmił, że pieniądze zgubił. Dostał je drugi raz i Górscy zamieszkali w swoim mieszkaniu. Bolińska skończyła studia i została aplikantką adwokacką. Skarżyła mi się na męża, że on całe noce gra w brydża i dopiero rano wraca. Dziwiłem się, że są jeszcze takie pierwsze naiwne, które wierzą w brydża, mając na głowie kolekcję rogów. Potem Bolińska z Górskim rozwiodła się, a przy tej okazji wraz z przyjaciółką Krystyną Wojtasik (później żoną słynnego adwokata Pocięja, dziś wziętą adwokatką) odkryły w papierach sądowych, dotyczących pierwszej sprawy rozwodowej Górskiego, że ma on dwoje lub troje dzieci, co w ogóle ukrył przed Bolińską.

Kiedy Górski znów został rozwodnikiem, dostał kawalerkę i stała się ona miejscem wesołego życia. Był wówczas kierownikiem kursów fryzjerskich i dziwiły mnie dwie rzeczy: on, który zawałał pracę w każdej redakcji, teraz po nie wiem jak przehulaney nocy pilnie biegnie na te kursy oraz ma wciąż pieniądze, tak iż co noc chadza do nocnych lokali. Odbylem z nim rozmowę, w której uprzedzałem, że w naszym środowisku mówi się gęsto o tym, iż jego źródła dochodów są mocno podejrzane. Oburzył się i wyliczył mi, ile gdzie zarabia. Nagle został aresztowany. Jego przestępstwo nie było wyrafinowane. Brał od dziewczyn pieniądze za kursy, chował je do kieszeni i coś tam szachrował w dokumentacji. Poprosiłem Jana Olszewskiego, żeby go bronił. Górski dostał wieloletni wyrok więzienia za ukradzenie pieniędzy stanowiących „własność społeczną” – bo wtedy były za to ostre wyroki.

Przed aresztowaniem Górski związał się z montażystką filmową o nazwisku Łukasik, ogromnie w nim zakochaną, jak niezliczone zresztą tłumy kobiet. Była ona jakąś wychowanicą Mieczysława Moczara, wówczas ministra spraw wewnętrznych i czyniła dramatyczne starania na rzecz Górskiego. Po aresztowaniu go okazało się zresztą, że pożyczal na wieczne nieoddanie forszę od wielu pań, z którymi żył. Chyba z niektórymi z nich miało sens i można było żyć tylko dla pieniędzy.

Rok 1968 zastał Górskiego w więzieniu. Aresztowani wówczas komandosi, typu Michnik, puścili potem w miasto opowieść, że Górski wędrował po ich celach i przedstawiał się jako były redaktor „Po prostu” oraz więzień polityczny. Ich zdaniem grał więc rolę kapusia lub przynajmniej usiłował ją zagrać. Nie wiem, jak to było. Faktem jest, że zaraz po 68 roku Górski wyszedł zwolniony ze względów zdrowotnych.

Kiedyś w poprzednich latach Górski uczęszczał do szkoły partyjnej, gdyż, co oczywiste, był partyjny i to gorąco. Miał więc kolegów w aparacie. Towarzysz Bejm, wtedy wojewoda gdański, pomógł mu, ja mu pomogłem i wrócił do dziennikarstwa. Załatwiłem mu przez Chelstowskiego pracę w „Życiu Gospodarczym”. Po wyjściu z więzienia pomogłem więc Górskiemu po raz nie wiem który, ale już dawnej przyjaźni nie nawiązałem, gdyż wydawało mi się, że to jednak nie jest dżentelmen, jak mówią Anglicy. Poza tym bałem się go jako człowieka zdolnego do różnych rzeczy.

Kiedy nadszedł rok 1980 Górski pracował w redakcji czasopisma „Fundamenty” i oczywiście stał

się płomiennym miłośnikiem „Solidarności” oraz uczestnikiem jej rozrób na redakcyjną skalę.

W czasie stanu wojennego zadzwonił do mnie, już rzecznika rządu, że jest nie zweryfikowany, więc żebym mu pomógł, gdyż pragnie emigrować. Natychmiast załatwiłem mu paszport. Osiadł w Szwecji i tam podobno redagował jakieś polskie pismo.

Nagle patrzę: Mieczysław Górski jest w Monachium w Wolnej Europie, pełni funkcję komentatora politycznego i mój rząd nazywa niemoralnym. Tego mi już było za wiele, więc publicznie na konferencji prasowej powiedziałem, kto zacz ów Górski i jakie ma prawo pawić nam morały. Redakcja Wolnej Europy nic się nie odezwała, tylko Mieczysław Górski natychmiast na zawsze zniknął z ich programów i słuch o nim na razie zaginał. Spodziewam się jednak, że wkrótce wróci do Polski jako pokrzywdzony przez PRL emigrant polityczny i zostanie ministrem, naczelnym redaktorem albo sekretarzem komitetów obywatelskich lub innych.

GRABOWSKA Alina – jutrznia Wolnej Europy

Primo voto „Głos Robotniczy”, organ KW PZPR w Łodzi. Alina Grabowska jest w TVP Wandą Odolską epoki budowy kapitalizmu w Polsce.

GROTOWSKI Jerzy – prorok

Grotowski stworzył we Wrocławiu teatr Grotowskiego. Jego spektakle były misteriami, czymś innym niż dotychczasowe teatry na świecie. Elita Europy i Ameryki uznała go za geniusza i artystycznego proroka. Uchodził za najwybitniejszego Polaka wszechczasów.

Grotowski pragnął zamazać przedział między aktorami i publicznością, wciągając widownię do gry, którą reżyserował. Potem już nie używał w ogóle aktorów, tylko inscenizował misteria dla tłumu i był jego prorokiem. Kręcono o nim filmy, pisano książki, on udzielał wywiadów i teoretyzował. Później znudził się światu, zasypali go epigoni, zdziwaczał i gdzieś się zgubił.

W 1968 r. robiłem w domu przegląd papierów, gdyż lękałem się rewizji. Niszczyłem wówczas wszystko, co miałem, nawet własne, stare, nie wydrukowane rękopisy z czasów „Po prostu”. Bałem się, że rewidenci mogą uznać, iż to są aktualnie pisane teksty przeznaczone do nielegalnego wydania, co byłoby podejrzeniem absurdalnym, ale bardzo dla mnie przykrym. Podobne niszczenie papierów zrobiłem także w 1990 r., obawiając się wizyty nowej policji politycznej. Popaliłem je, gdy tylko przeczytałem o powstaniu UOP.

Otóż, w 68 znalazłem wśród papierów, przeczytałem i spaliłem dokument szczególny: odbitą przez kalkę kopię maszynopisu zbioru przemówień politycznych Jerzego Grotowskiego z lat 1956–1957. Były mądre i świetne. Żałuję, że je zniszczyłem, ponieważ wątpię, czy zachował się jakikolwiek egzemplarz, a wszystko, co napisał Grotowski, swego czasu miało światową wartość.

Z Grotowskim zetknąłem się przelotnie, ale ze względu na kaliber osoby jest to warte opowiedzenia. Działo się to w okresie zwanym październikowym. „Po prostu” zajmowało się rozwalaniem ZMP jako organizacji „totalitarnej”. Ja też brałem, niestety, udział w uśmiercaniu mojej ukochanej ongiś organizacji. ZMP rozsadzane było też od dołu. Powstawały różne nowe organizacje młodzieży, kluby i grupki. W pewnej chwili miesięcznik teoretyczny ZMP – chyba „Walka Młodych” – zaproponował, aby „Po prostu” współfirmowało spotkanie dyskusyjne przedstawicieli tych nowotworów. Na czele jakiejś warszawskiej organizacji młodzieży robotniczej z Woli stał Józef Lenart – później czynny jako literat, i on napisał referat na to spotkanie. Myśmy ten referat odrzucili, po czym Ryszard Turski i ja napisaliśmy przez noc inny, który też został odrzucony. W końcu Lenart nikogo nie pytając o pozwolenie i tak wygłosił swój referat.

W przeddzień spotkania okazało się, że na imprezę, która miała być kameralna, walą do Warszawy tysiące uczestników. Mieliśmy w „Po prostu” geniusza organizacyjnego Marka Perelmana, o którym nawet w STS śpiewano pełną czci kantatę: „Lepimy bałwana Perelmana”. Załatwił on przez wiceministra obrony gen. Janusza Zarzyckiego noclegi dla tysięcy ludzi. Uruchomiono rezerwy mobilizacyjne.

Perelman zdobył też pieniądze i wynajął Salę Kongresową.

Wieczorem w dniu poprzedzającym imprezę dowiedzieliśmy się, że uczestnicy wielkiego zjazdu młodzieży porozumiewają się, żeby „Po prostu” skrytykować, potępić i unicestwić politycznie jako grupę ugodowców i kolaborantów. Motorem tej akcji byli demokraci z Łodzi, działający przy Stronnictwie Demokratycznym, oraz wielka delegacja krakowska. W nocy Turski i ja pojechaliśmy urabiać delegację krakowską.

Z trudem po ciemku odnaleźliśmy jakiś internat, gdzie mieszkała, i wkroczyliśmy na salę wypełnioną piętrowymi łózkami, pełną śpiących ludzi, których obudziliśmy. Zaczęli wyć i gwizdać tak, że nie byłem pewny, czy wyjdziemy stamtąd nie pobici. Wodzem był jakiś felczer z Krakowa, ogromne chłopisko, typowy watażka. Spuścił z pryczy nogi w długich kalesonach z troczkami i ryczał na nas jako pacholków reżimu. Negocjacje z nim wydawały się przedsięwzięciem beznadziejnym.

W prozie Izaaka Babla, mówiącej o czasach wojny domowej w Rosji, zawsze przy watażce występuje jego mózg polityczny – inteligent w okularach. Tak było i teraz. Z pryczy pod watażką podniósł się puciołowaty inteligent w drucianych okularach i co watażka ryknął, to on szepnął mu coś do ucha. W wyniku tych podszeptów watażka zmienił front, zaczął się z nami bratać i obiecywać poparcie dla „Po prostu”. Rzeczywiście nazajutrz nasze pismo nie zostało potępione. Tylko małe skrajne grupy prawicowe występowały przeciw nam.

Otóż ten inteligent, działający u boku rozszalałego watażki, to był student Jerzy Grotowski.

Nazajutrz w Sali Kongresowej odbył się zjazd młodzieży. Przewodniczył późniejszy mecenas z opozycji Jan Olszewski, obecnie bardzo czynny politycznie. Referat miał Józio Lenart. Ja proklamowałem z trybuny rozwiązanie ZMP i powołanie Rewolucyjnego Związku Młodzieży istniejącego tylko kilka dni, przez które jego przywódcy wrywali sobie dywany po sekretarzach ZG ZMP. Deklarację ideowo-programową zaimprovizował Roman Zimand. W imieniu władz płomienną mowę do młodzieży, całkowicie pozbawioną treści, wygłosił min. Władysław Bieńkowski. W łóży siedział obserwator z ramienia kierownictwa PZPR – sekretarz KC Jerzy Morawski, którego cucila Anna Bratkowska, ilekroć próbowano uchylać zbrojną interwencję polskiej młodzieży przeciw zbrojnej interwencji radzieckiej na Węgrzech. Jerzy Grotowski w tym politycznym spektaklu już nie grał ani też go nie reżyserował.

GRUZA Jerzy – panisko

Jego serial TV „Czterdziestolatek”, według scenariusza robionego razem z Teoplitzem, był najlepszy ze wszystkich polskich seriali. Gruza był najzdolniejszym z typowo telewizyjnych reżyserów. Objął dyрекcję Teatru Muzycznego w Gdyni i wszelki słuch o nim zaginął. Podobno żyje, dochowując wierności małżeńskiej, więc tak jakby nie żył.

GUCA Zdzisława – gwiazda

Żyje tylko na telewizyjnym ekranie. Odkrycie Karola Sawickiego. Jeden z tych ludzkich fenomenów, że patrzysz na żywą osobę – w ogóle nic. Jeśliby siedziała samotnie na pustej widowni teatralnej, zainteresowałbyś się raczej krzesłem. Dopiero kamera kreuje z niej postać. Ma telewizyjną magię i ekspresję, która sprawia, że nieważne jest, co mówi ta przewodniczka informacyjnego programu. W „Panoramie” puszcza się na własne komentarze i głądzi głuptactwa tak pokrętne, że niepodobieństwem wydaje się powiązanie końca jej wywodu z początkiem. Łaska boska jakoś te mętności i banały wiąże i pewno stąd Guca wpadła w dewocję.

Widziałem ją tylko raz. Może oboje braliśmy nagrodę telewizyjną „Wiktora”? Nie! Chyba dostawaliśmy pospół tytuł mężczyzny roku.

Kandydowała do Senatu przeciw „Solidarności”. Teraz gorliwie odrabia ten grzech pierworodny i kłajstruje go wazeliną.

HALL Aleksander – minister

Nie znam. Krytykowany tylko za niedbałą fryzurę. To jest za słaba platforma publicznego zainteresowania jak na ministra.

W jednej z rozmów politycznych Hall samookreślił się: jestem narodowcem, ale nie antysemitą.

Nikt Halla nie wiązał, u licha, z antysemityzmem. Słowa takie oceniam więc jako polityczną nieostrożność, biorącą się z nieuświadomienia. Zapewnienie, że się nie jest antysemitą stanowi otóż znak rozpoznawczy odczuwania antyżydowskich emocji.

W Polsce nie ma ani jednego człowieka, który by siebie określał jako antysemitę. Cytat z listu do mnie jako felietonisty „Trybuny” (przytaczam z pamięci): „Nie jestem w żadnym razie antysemitą, ale kiedy widzę w rządzie, w Sejmie i w spółkach samych żydów, to pytam, kto nareszcie da nam Polskę, w której Polak czułby się u siebie, skoro nawet Hitler nie pomógł”.

Ja także nie jestem antysemitą, ale z braku choćby jednego w całym kraju, może zgodzę się zapłacić ten vacat.

HOLOUBEK Gustaw – mąż aktorki Magdaleny Zawadzkiej, także aktor

Specjalnością role parlamentarne. Reżyser Edward Gierk obsadził go w roli posła na Sejm PRL. Holoubek zerwał kontrakt.

Zaraz po Sierpniu, w 1980 r. Gustaw Holoubek, wówczas prezes SPATiF stał się gwoździem programu uroczystego wjazdu do Warszawy Lecha Wałęsy, świeżego zwycięzcy strajków nadmorskich i mistrza skoków przez płotki okalające Stocznnię. Holoubek rąbnął przed Wałęsą na kolana, wygłosił wiernopoddańczą mowę i pozował fotoreporterom całując szefa „Solidarności” w usta, które mu też świdrował jęzorem. Zapłatę dostał zdawkową, bo fotel senatora tak jak wszyscy inni. Natomiast występ przed Wałęsą w rzeczywistości był kulminacją, od której rozpoczął się schyłek kariery aktorskiej Holoubka. Artysta uchodził za grającego intelektualnie, ale od tego orgazmu politycznego uznano, że jest już staroświecki, prowincjonalny i fatalnie szarżuje.

Przedstawienie komediowe, w którym obecnie gra, miało już kilkadziesiąt powtórek w telewizji. Ostatnio Holoubek zwrócił się przeciwko Wałęsie i na tym tle doszło do publicznego skandalu, o którym opowiadają liczni naoczni świadkowie.

Gustaw Holoubek poszedł do kościoła i padł na kolana przed ołtarzem. Wtedy wielka jasność z szybkością 300 tys. km/sek. prześwieciła witraże, a barokowi aniołkowie ze złożonego drewna machać zaczęli skrzydłami i dać w trąby. I rozległ się w świątyni tubalny głos Pana Boga: Holoubek! Wstań z klęczek! Naucz się grać swoje role na stojąco! Mój syn Wałęsa skarżył się, że przed nim też klękałeś, ale jak tylko wstaniesz z kolan, to zaraz kopiesz, Holoubek. Wałęsa może to wytrzymać, ale ja mam już widzieć za stare kości, żeby ponosić takie ryzyko.

Następnie głos zamilkł, światłość zgasła, aniołki zamarły, a Holoubek zgłupiał i to nie pierwszy raz.

Edukacja polityczna Gustawa Holoubka miała charakter doświadczalny. Artysta deklamował Breżniewowi *Ode do młodości Mickiewicza*. – Młodości – krzyczał do starego sekretarza, mając na myśli młodzienczość idei, którą reprezentował słuchacz. Ale Breżniew nic. – Ty nad poziomy wylatuj – zachęcał towarzysza Breżniewa Holoubek, ale generalny sekretarz nie wzlatywał. Skoro szef komunistycznej orientacji nie pozwalał się porwać talentowi artysty, skłaniać się on zaczął ku opozycji. Znaczyło to, że siadał przy opozycyjnych stolikach w kawiarni „Czytelnika”.

IŁOWIECKI Maciej – prezes dziennikarzy prorządowych

Prawdziwe nazwisko Kowalski. Jako młodego asystenta biologii Fikus przyciągnął go do „Polityki”, wówczas zmienił nazwisko, żeby nie zginąć w książce telefonicznej i aby łatwiej można było go znaleźć, gdy Historia zechce go powołać do szlachetnych czynów. Miły, mądry, miękki, mazgaj i niezguła. Już dziesięć lat temu powinienem był spostrzec, że socjalizm realny jest konający, skoro nawet

taki zając jak Howiecki odważył się wyszczerzyć nań zęby.

Miał wielki dar pióra – minęło. Miał powodzenie u kobiet o skłonnościach macierzyńskich – jest za stary na dziecko. Jego dążenia polityczne są czyste i szlachetne – i pod tym względem marny dla Howieckiego czas nastał.

JANDA Krystyna – wajdemonium

Dostała jakąś zachodnią nagrodę za zagranie ofiary stalinizmu. Jej robotę w *Przesłuchaniu* Bugajskiego uważam za bardzo dobrą. Ta nagroda pokazuje, że robienie sztuki wymaga dobrego wyczucia, ofiarę czego grać w jakim czasie. Ja dałbym Jandzie Oscara za monodram Biała bluzka Osieckiej, ale na scenie, bo w telewizji to już był kit. Kto tego nie widział, ten niczego nie widział i nie wie, co ona może naprawdę. To była Janda liryczna. Była też Janda głęboka, skupiona wewnątrz w spektaklu *Z życia glist*. *Przesłuchanie* Bugajskiego to jest Hollywood na temat stalinizmu. Z Polski na ten temat powinno wychodzić coś bardziej autentycznego i mądrego. Stalinizm miał swój klimat, smak, swoją surowość i rygor obejmujący tych, którzy męczyli innych. Niemożliwe więc było branie więźniarki na imieninki towarzyszy z Bezpieczeństwa, żeby ją sobie pomęczyć dla uciechy i kazać wypić plwociny ze spluwaczki. To są sceny wyjęte z innej operetki, jakby z jakiegoś filmowego kiczu o Ilzie Koch. Niemożliwe także były, przynajmniej w Polsce, przedstawienia w więzieniu, polegające na udawanym rozstrzeliwaniu więźnia przy użyciu czerwonej farby. I to jeszcze rozstrzelany po strzale otrzepywał się i wstawał. A już na pewno nie trzyma się realizmu zdradzanie tej komedii przed więźniarką. Stalinizm traktował siebie serio. Podłością jest w tym filmie pokazywanie uwięzionych komunistów jako obrzydliwszych moralnie niż funkcjonariusze. Stawianie ofiar poniżej katów. Epizody z komunistką, grane sugestywnie przez Agnieszkę Holland, niosą przesłanie: podłością stalinizmu było znęcanie się nad katolickim narodem, ale czerwonym represje należały się jak najbardziej. Nie bez powodów zresztą ten film u nas w kinach zrobił prawie klapę, mimo że Janda robiła w nim, co mogła, a nawet trochę za dużo.

Zacząła się Janda od roli w *Człowieku z marmuru* Wajdy, filmu wybitnego, który niczym nie zapowiadał upadku reżysera z okazji *Człowieka z żelaza*. Ta aktorka pokazała całe pokolenie młodych w zupełnie nowy sposób. Stworzyła całkowicie inny niż dotychczas, niespotykany, ostry, kanciasty, szorstki styl aktorstwa. Polska podzieliła się wtedy na większość antyjandystów („Ona jest okropna” jęczały panie) i mniejszość projandystów. Już coś takiego jest sukcesem aktorki, który zdarza się raz na 50 lat.

Raz tylko zetknąłem się z Jandą *modo privato*, jak powiada Episkopat, kiedy wdaje się w delikatną politykę z dala od ołtarza. Po jakimś spektaklu w „Kabarecie pod Egidą”, gdzie Janda śpiewała i świetnie wyglądała jako wamp, poszliśmy do „Czarnego Kota” – nocnego lokalu w warszawskim hotelu „Victoria”. Działo się to w głębi lat siedemdziesiątych. Był tam jej ówczesny mąż, aktor Seweryn, i Jan Pietrzak, a może jeszcze ktoś. Tę noc pamiętam, gdyż stworzyła drobną, nie rozwiązaną zagadkę.

Moja ówczesna żona, wychodząc z knajpy nad ranem, spostrzegła, że nie ma swej ulubionej zapalniczki marki „Ronson”. Zawróciliśmy, ale kelner powiedział, że nie została na stoliku. Nazajutrz też się w knajpie nie znalazła. Obdzwoniliśmy wszystkich, którzy byli przy stoliku, czy ktoś nie zabrał odruchowo. Nie. No to pies drapał zapalniczkę.

Moja żona pracowała w małej instytucji zajmującej trzy pokoiki w kącie za szafą w ogromnym biurowcu. Instytucja była nie znana. Nikt z towarzystwa nie wiedział, gdzie żona pracuje, pod jakim adresem ani jakie nosi nazwisko. Po roku dosłownie dostała w tym biurze kopertę ze swoim nazwiskiem. Wewnątrz była zapalniczka i ani słowa. Żadna hipoteza nie trzyma się tego zdarzenia, nigdy nie wyjaśniono.

JANISZEWSKI Michał – generał

Z intelektualistami zawsze miałem do czynienia. Ze stosunków tych wynosi się różne uprzedzenia, w tym wyobrażenia, że mundur wojskowy obleka ludzi prymitywnych i ciasnych. Z wojskowymi stykałem się tylko w czasie studiów. W studium wojskowym Uniwersytetu, na początku lat pięćdziesiątych, podlegałem władzy wrzeszczących kaprali w randze kapitanów lub pułkowników.

Służyli oni z pożytkiem do polepszania samopoczucia studentów. Każdy studiujący matoł błyszczał i zwyżkował w oczach swoich i osób bliskich, opowiadając o przejawach głupoty oraz nieuctwa tresujących go oficerów. Ich istnienie i popisy myślowe były jedynym na świecie kontrastem, dzięki któremu studiujący idiota mógł się czuć mądry, wykształcony oraz subtelny.

Po przyjeździe do rządu zetknąłem się z wojskową elitą, czyli generalicją. Wśród niej poznałem tylko jednego totalnego bęcwała, z którym jadałem często obiady w stołówce. Sam był dla siebie całym światem i bez przerwy opowiadał, jakim jest zachwycającym zjawiskiem. Świat w swym istnieniu nie krył dlań żadnych zagadek i komplikacji, a był tylko tłem służącym owemu generałowi do okazywania mądrości i dokonywania wspaniałych, olśniewających posunięć.

Obserwując rzeszę generałów nigdy nie włączałem do tej grupy generała Jaruzelskiego, który w ogóle się nie mieści w żadnych przegrodach stanowych jako największy w ogóle i najciekawszy umysł epoki.

Pokazuje się on w generalskiej roli tylko na publicznych paradach. W sytuacjach kameralnych gen. Jaruzelski gra generała tylko wówczas, gdy zamawia kawę u swego adiutanta. Wydaje tę dyspozycję nerwowo i ostrymi, urywanymi słowami, jakby rzucał dywizje do boju. Pewne jednak skazy Wojciecha Jaruzelskiego wyglądają na wyniesione z wojskowych struktur. Jest to np. przekonanie, że na zjawiska polityczne, społeczne, a nawet gospodarcze można wpływać wydając proste dyspozycje, kontrolując ich wykonanie i stosując inspekcje. Szczególnie w pierwszym okresie sprawowania władzy był on zaskoczony siłą oporu całej maszynierii władzy i mechanizmu społecznego. Nie doceniał tego, że poruszenie polskiego życia wymaga wielostronnych, długich zabiegów pobudzających. Śladem dowodzenia był też u Jaruzelskiego nawyk wzięty z wojskowych odpraw: drobiazgowo odnoszenie się do każdego zdania wygłoszonego na zebraniach przez niższych odeń rangą. Jest to wreszcie nabożny stosunek do słowa pisanego, połączony ze złudzeniem, że powiedziane niemal równa się zrobione, że słowa zawsze są w polityce faktami, czynami. Na tej płaszczyźnie Wojciech Jaruzelski doświadczał bolesnych rozczarowań.

Każdy człowiek na ogół najniżej ceni strukturę, z której sam się wywodzi, gdyż ją dobrze zna. Lekarz pyskuje na służbę zdrowia, aparaczyk na aparat, urzędnik na urzędy. Generalicja – przeciwnie – najwyżej ceni maszynierię wojska i na niej opiera swe działania pozawojskowe. U podłoża stanu wojennego, poza wszystkimi politycznymi koniecznościami jego wprowadzenia, leżała także chęć odwołania się do aparatu sprawnego i odstawienia na bok kulejących. Wynika to ze złudzenia, że to, co sprawnie obraca wojskiem, może podobne skutki wywołać w społeczeństwie, gospodarce czy życiu politycznym. Część generałów miała skostniałe wyobrażenia polityczne i przywiązana była do raz kiedyś przyjętych przeświadczeń. Mechanizmy demokratyczne były dla nich czymś po prostu niezrozumiałym i kojarzącym się tylko z bałaganem. Nie dotyczyło to generalskiej czołówki, która wybiła się na polityków wysokiej próby. Wspomnę nazwiska Kiszcza, Hupałowskiego. Wreszcie wojskowi, jako kasta, emanowali podwyższoną prawością. W połączeniu z rzetelnością i słownością tworzyło to zespół cech sprawiających, że Ignąłem do mundurów i odwoływałem się do nich w różnych sprawach chętniej niż do struktur KC.

Generała Michała Janiszewskiego Wojciech Jaruzelski, zostawszy premierem, wziął ze sobą z wojska, gdzie był on szefem jego gabinetu jako ministra obrony. Ten gabinet Jaruzelskiego w MON musiał być miejscem niebanalnym, skoro pracował tam płk Stanisław Kwiatkowski, ten od badania opinii – wolny i rozgrymaszony intelektualista, pozbawiony jakiegokolwiek służbistości i stroniący od dyscypliny. Janiszewski został ministrem – szefem URM, tym, kim teraz jest Ambroziak, następnie zaś szefem kancelarii prezydenta. Był i jest wykonawczym ramieniem Wojciecha Jaruzelskiego, człowiekiem, który notuje dyspozycje i pilnuje ich wykonania. Miał też jednak własny, ogromny obszar władzy.

Był odpowiednikiem szefa personelu Białego Domu w Ameryce. Janiszewski, człek wesoły, wręcz śmieszek, ma wielką zdolność do analizy – wnikliwie wszystko rozdlubie. Nie jest natomiast syntetykiem i wizjonerem, nie dawał swemu szefowi impulsów do nowych poczynań. Pilnował mu gospodarstwa i ludzi. Latami siedział do późnej nocy i przeżuwał papierki. Raz to był projekt doniosłej ustawy, który pedantycznie redagował, innym razem – faktura dotycząca kupienia spinaczy. Drobiazgowość i podobne traktowanie spraw ważnych i drugorzędnych jest jedną z wad wynoszonych z wojska – cechujących generalicję.

Z Michałem Janiszewskim, nosicielem wszystkich tajemnic z kuchni władzy, czuję się zaprzyjaźniony. Był to jednak człowiek tak zapracowany, tak pilnie uczęszczający na wszelkie zebrania i tak zakopany w papierach, że dostanie się do niego było dla mnie bardzo trudne. Dziesięciokrotnie trudniejsze niż do gen. Jaruzelskiego, który zawsze tego samego dnia, a w miarę możliwości od razu, odpowiadał mi, gdy sygnalizowałem jego sekretarce potrzebę kontaktu. Kiedy już jednak wdarłem się do Janiszewskiego, to od tej chwili miał już dla mnie czasu bez liku, nie spieszył się, nie ponaglał i godzinami plotkowaliśmy zawzięcie. Sferę plotek limitował – miał swoje tajemnice i zdradzał tylko te, które chciał i mógł. Upodobanie do wielogodzinnych rozmów z ludźmi było jedną z przyczyn jego braku czasu.

Urzędował w wielkim gabinecie, urządzonym starymi meblami z pięknego, orzechowego drzewa. Naprzeciw tego gabinetu kazał sobie urządzić drugi – mniejszy, ciemny i tandetnie umeblowany, bez telefonów. Ten drugi służył mu do rozmów. Zawsze zapominałem zapytać, po jakiego diabła mu ten drugi pokój, z drugim biurkiem i drugim kompletem foteli, a bez sekretariatu. Może i w tym była jakaś tajemnica?

Janiszewski pochodzi z poznańskiej, solidnej rodziny mieszczańskiej. W trakcie mojego urzędowania w gmachu URM Michał owdowiał i ożenił się powtórnie z bardzo wdzięczną i bystrą dziewczyną – naukowcem. Anka jako osoba z pokolenia o wiele młodszego niż mąż, prezentująca akademicki luz, rozwichrzenie myślowe i swobodny styl, rozsadziła generalski gorset Janiszewskiego. Demilitaryzował się przy niej w sposób widoczny i kiedy przejdzie na emeryturę nie zdziwię się, jeśli go zobaczę w roli wesołego hippisa, dyrygującego różowym bałecikiem roznegliżowanych panienek. Raj z generalskich marzeń zawsze jest bowiem mocno erotyczny.

JANIUREK Włodzimierz – rzecznik rządu

Moim poprzednikiem na posadzie rzecznika rządu był Józef Barecki, ale on urzędował krótko. Pierwszym rzecznikiem rządu był Janiurek z Katowic i działał przez blisko 10 lat.

Kiedy objąłem jego gabinet, nie zastałem ani jednego papierka i żadnego w ogóle śladu po Janiurku. Ci moi współpracownicy, którzy za jego czasów już pracowali w biurze rzecznika, nigdy nie wspomnieli o nim ani słowa. W czasie mojej pracy raz tylko padło nazwisko Janiurek, kiedy sekretarka płakała, bo obciążają ją należnością za telewizor, który stał u Janiurka, a on zabrał go ze sobą. Telewizor jednak się znalazł, sekretarka przestała płakać.

Nigdy mego poprzednika Janiurka nie widziałem i to, że nikt go źle czy dobrze nie wspominał, wydaje mi się nienaturalne. Cieszę się, że dla Niezabitowskiej ja, jako jej poprzednik, nie jestem Janiurkiem.

Ks. JANKOWSKI Henryk – polityk

Ks. Jankowski był przez lata dyrektorem mityngowej sali politycznej w gdańskim kościele św. Brygidy, główną osobą przy Wałęsie oraz lampą świecącą, do której jak ćmy ciągnęły osobistości i pieniądze z Zachodu. Jako rzecznik rządu zwalczałem więc ks. Jankowskiego zawzięcie i z powagą polemizowałem z jego mowami wiecowymi.

Pewnego pięknego dnia byłem na przyjęciu w ambasadzie amerykańskiej, gdzie zapraszano mnie jako ministra. Tam zobaczyłem po raz pierwszy ks. Jankowskiego. Działo się to w ogrodzie, latem, podczas południowego upału. Ks. Jankowski kroczył wystrojony w czarny smoking z londyńskimi orderami na piersi. Szedł nadęty jak afrykański królik, a za nim kroczyły dwa goryle, też w czerni. Na ten widok wpierw gruchnąłem śmiechem, a potem zrobiło mi się wstyd, że byłem niby lotnik, który z powagą i zawziętością usiłuje rzucić bombę atomową na lunaparczną budę.

Teraz ks. Jankowski przeszedł już do obozu wrogiego Wałęsie, a plotka głosi, że ma za to zostać generałem-kapelanem polowym armii. Marszałkowie i hetmani nazywali się polnymi jak kwiaty w czasach, kiedy armie rozwijały się na świeżym powietrzu, zamiast siedzieć w silosach. Dziś wszystko w wojsku, co polowe, także brzmi komicznie.

Historia biegnie, kariery rosną i łamią się, Wałęsa weźmie górę, to ks. Jankowski upadnie. Wolałbym, żeby nie doszło do tego, że z byłym księdzem Jankowskim spotkamy się w jakiejś podziemnej, czerwonej jaczajce przy sporządzaniu bomb zegarowych.

JAROSZEWICZ Piotr – były premier

Nigdy nie miałem przyjemności poznać ani widzieć choćby z daleka premiera Jaroszewicza. Pamięć o nim żyje jednak u urzędników URM, wśród których 9 lat pracowałem. Wiem więc, że to w ogóle nie był premier we współczesnym rozumieniu tego urzędu, tylko rodzaj ekonoma u pana Gierka, dobrego rządcy zarządzającego folwarkiem pod nazwą Polska. Opowiadano np., że kiedy Jaroszewicz jadąc do pracy zobaczył na szosie przejechanego psa, to kazał potem swym urzędnikom jeździć, aż go znajdą, i posprzątać truchło – takie miał zmartwienia. Nazywało się to gospodarnością.

Znałem, ale wyłącznie przez telefon – żonę Jaroszewicza, dziennikarkę Alicję Solską, która często dzwoniła do „Polityki”, do Szeligi lub Fikusa, a ja odbierałem telefony. Była kuzynką eks-żony mego przyjaciela, Haliny Paczesnej, więc wiedziałem, że Solska mnie ogromnie nie cierpi, co było normalne, bo drażnię porządnym ludzi. Poznałem natomiast osobę najbardziej znaną z ich rodziny – syna Andrzeja. Było to w 1971 roku w Zakopanem. On był bardzo młodym, świeżym premierowiczem. Robiliśmy zeń balona, np. w nocnej knajpie kazać mu zdjąć łokcie ze stołu barowego czy też rękę z pupy panienki. Co chwila go strofowaliśmy, pouczając, że mu już czegoś czynić nie wypada, gdyż stał się synem premiera. Ten Andrzej Jaroszewicz miał romans z Marylą Rodowicz. Kiedy potem byłem z nią, moją żoną i Agnieszką Osiecką w Bułgarii, Maryla coraz wyrывała się ku jakiemuś nagusowi, bo jej przypominał Jaroszewicza. Po prostu ciągle jej tkwił w oczach.

Kiedy nastąpiłem w rządzie, premier Jaruzelski pokornie siedział w gabinecie, który Jaroszewicz urządził dla siebie, wedle swego gustu. W gmachu rządowym było kilkanaście pięknych gabinetów, a ten Jaroszewicza był najbiedniejszy i ohydny. Meble – jakaś nieudolna rzemieślnicza robota, wykładzina na podłodze ze sztucznego tworzywa trawiastego koloru, no rozpacz. Jaruzelski nawet popielniczki nie kazał wyrzucić czy dokupić, gdyż jest ponad takie sprawy. Messner, kiedy został premierem, zajął dawny gabinet Cyrankiewicza, wyłożony pod sufit boazerią, z marmurowym kominkiem, złoceniami, kinkietami, fotelami z białej skóry. Kazał go zmodernizować. Ten gabinet zajął po nim Rakowski, a po Rakowskim Mazowiecki. Apartament premiera składa się: z wielkiej poczekalni, w której gości szczuje głowa Mickiewicza z brązu, sekretariatu, obszernego gabinetu właściwego, gdzie oświetlenie leje się ze stiukowego kręgu u sufitu, z łazienki i garderoby. Dalej przechodzi się do salonu prywatnego, następnie do salonu do przyjmowania gości i salki konferencyjnej do rozmów w wąskim gronie.

Kiedy Mazowiecki nastał, dziwił się tym wspaniałościom, w których tkwi mnóstwo pieniędzy i brzydota. Teraz zaś kazał w nowym skrzydle budynku, zajęтым po Akademii Nauk Społecznych przy KC (miał ten gmach dostać Uniwersytet!) budować sobie prawdziwie wytworny gabinet z przyległościami, nowe biuro premiera. Rozwydrzenie tych ulubieńców narodu jest naprawdę ogromne. Zachowali nawet sklep z złotymi firankami. Niegdyś korzystało zeń niewiele osób, ministrowie już nie mieli dostępu, tylko wicepremierzy. Teraz ci nowi rozszerzyli to na wszystkich ministrów, a nawet wice-, ale o ile za naszych czasów ceny tam były takie jak we wszystkich sklepach i w „Peweksie”, licząc po wolnorynkowym kursie dolara, to teraz nowa władza każe sobie sprzedawać towary krajowe i z importu podobno ciut taniej niż w zwykłych sklepach.

JARUZELSKI Wojciech – prezydent – abstynent pijanego kraju

Największy umysł, z jakim się zetknąłem, przynajmniej wśród ludzi. Wielka i już nieuleczalna moja miłość.

Kiedy Generał jako premier angażował mnie na rzecznika, powiedział, że oczekuje ode mnie, iż z werwą i talentem będę pisał komunikaty z posiedzeń rządu, które są ogólnikowe i nudne. Poprzednio pisywałem teksty ambitniejsze, więc obstalunek mnie rozczarował. Pokiwałem głową, wziąłem ministerialną nominację i nigdy komunikatów z posiedzeń rządu nie pisałem, potem już nawet nie

czytałem. Złożyłem premierowi projekt moich działań i była tam wzmianka o tym, że będę dziennikarzy podejmował obiadami i częstował dobrze zamrożoną wódką. Okazało się to dla Szefa niezwykle szokujące i ekscytujące. Dużo było mowy o tym, że Urban chce częstować zimną wódką. Dyspozycje dla rządowego bufetu przewidywały więc ciepły winiak.

Jaruzelski pisał swoje przemówienia dniami i nocami bez snu i wytchnienia, a grupa doradców asystowała w tej mordędze. Pamiętam kiedyś nad ranem, po kolejnej nie przespanej nocy, do parówek, które podawano już czterokrotnie, adiutant przynosił w filiżankach wódkę zabarwioną herbatą. Zgraja doradców cuchnęła po chwili wodą jak nieboszczyk Himmelsbach za życia. Premier niczego nie zauważał, bo picie przy nim i przy pracy jest poza wyobrażeniami generała-abstynenta. Zapytany o to, czy bardziej podoba mi się taki czy inny szyk jednego zdania w 67 wersji tekstu jutrzejszego przemówienia, odparłem, że o czwartej nad ranem w ogóle nie rozróżniam szyku i sensu zdań. Jaruzelski – najdelikatniejszy i najuważniejszy człowiek na świecie, odtąd nigdy więcej nie zapraszał mnie do grona ekspertów od słowa pisanego.

Kiedyś Generał kazał się adiutantowi ze mną połączyć i ten odnalazł mnie o 12 w południe w redakcji „Polityki”. Odprawiano tam jakiś jubileusz. Podniosłem słuchawkę w sali pełnej ludzi. W pewnej chwili oddano salwę korkami od szampana. Powiedziałem wtedy do aparatu, żeby się Generał nie niepokoił, ta salwa to tylko szampan. Zaniepokoił się bardziej, niż gdyby to były armaty. „Mam nadzieję, że oni się nie popiją, proszę, wpłynicie tam jakoś.” – rzekł z troską w głosie. Generale – odparłem – teraz w Polsce w setkach tysięcy placówek pracy personel pije. Cóż to ma więc za znaczenie, jak się rzecz potoczy akurat w „Polityce”. – No tak, prawda, macie rację – rzekł w generale racjonalista.

Kiedyś znów adiutantura znalazła mnie wieczorem w restauracji hotelu „Victoria” i *maitre d'hotel* ogłosił na całą salę, że pana ministra prosi do aparatu premier Jaruzelski. Telefon stał na pulpicie szefa sali. Wszyscy goście zamilkli, zagapili się na mnie i poczęli podsłuchiwać rozmowę. Jej temat był delikatny, więc ja mówiąc do tubki misternie wiłem się i kręciłem bąkając ogólniki. Nie ośmieliłem się powiedzieć, że rozmawiam nie z za biurka, lecz z restauracji. Byłaby to rewelacja zbyt szokująca jak na wyobrażenia Generała o trybie życia jego ludzi.

Zwierzenie, że jestem w knajpie, nie spowodowałoby subtelnych chociażby wymówek, to wykluczone. Byłoby jednak po prostu niedelikatne, gdyż wywołałoby zawiść więźnia wobec człowieka bujającego sobie wolno. Generał Jaruzelski chętnie by urwał się, gdzieś wyskoczył, coś narozrabiał, ale on sam sobie narzucił klauzulę jednoosobowego klasztoru. Prawdę mówiąc zresztą, gdzie ma iść abstynent i jak rozrabiać? Jest regułą, że wspaniali ludzie zawsze cierpią na jakieś kalectwo. Tylko gdzieś pomiędzy przeciętnością a wielkością mieści się osobowość najbardziej dla człowieka opłacalna.

Wojciech Jaruzelski to taki dziwny generał, który bardziej wierzy w siłę sprawczą słów niż wojsk. Powiedziane oznacza dlań w polityce – sprawione. Decyzje rodzi powoli, dojrzewa do nich solidnie i gruntownie. Pech chciał, że w epoce, kiedy miał władzę, czas historyczny biegł nie czekając. Jeżeli historia nie uzna Jaruzelskiego za największego polskiego polityka XX wieku, będzie to jedna z jej nieustannych pomyłek.

JULSKI Cezary – samarytanin

Cezary Julski jest największym polskim aktorem. Mierzy blisko 2 metry. Jechałem niegdyś z nim w jednym przedziale wagonu sypialnego i opowiedział mi pewną historię. Nie miał mieszkania, wynajmował więc sublokatorskie pokoje. Dostał pokój u starszego małżeństwa. Ona wychodząc do pracy zamykała w swoim pokoju męża na klucz. Historia więzionego tak okrutnie człowieka była następująca. W młodości pracował on jako bokser. Trudno nie zostać alkoholikiem, kiedy zajęciem człowieka jest wystawianie się na razy, toteż gospodarz Julskiego obrał i to powołanie. Któregoś dnia w knajpie pobił się z innym bywalcem, uderzył go i zabił, gdyż nie zdawał sobie sprawy ze swojej siły. Z więzienia wyszedł z moralnym urazem. Bał się odtąd uderzyć człowieka. Stał się z tego znany, więc pijackowie w knajpach z upodobaniem lali siłacza, wiedząc, że nigdy nie odda. Aby więc uchronić go przed maltretowaniem, żona zamykała go w pokoju starannie oczyszczonym z alkoholu.

Julski jest artystą o dobrym sercu. Żał mu było człowieka, który w zamknięciu całymi dniami płakał i skowyczał tęskniąc do wódki. Julski przynosił taką rurkę, którą kolarze wysysają napitki z

plastikowych flaszek, żeby urozmaicić sobie pedałowanie. Przewlekał cienką rurkę przez dziurkę od klucza i przez tę rurkę więzień ssał odtąd wodę do syta. Żona nieszczęśnika po powrocie do domu zastawała go szczęśliwego i upitego. Wściekała się więc, ale mimo skrupulatnych rewizji nie znajdowała alkoholu w pokoju męża. Wreszcie przyłapała Julskiego na jego samarytaństwie i tak stracił pokój.

Już od 42 lat nie jestem prawiczkim, ale doświadczenie mi mówi, że spośród wszystkich dziurek, jakie zna przyroda, najwięcej rozmaitych, wspaniałych możliwości stwarza dziurka od klucza.

JURCZYK Marian – wódz „Solidarności 80”

Ongiś druga w „Solidarności” osoba po Wałęsie i zawsze jego konkurent. Lotny jak furmanka. Z zawodu i osobowości magazynier. Po podpisaniu z Barcikowskim porozumienia szczecińskiego Jurczyk, wtedy jeszcze otoczony liberalnymi inteligentami, których potem wykosił jak chwasty – przyjechał do Warszawy i przyszedł do „Polityki”. Pamiętam wieczór u Passenta z udziałem Jurczyka i innych wodzów szczecińskiej „Solidarności” oraz Rakowskiego i jego ludzi. Trwały długie nocne rozmowy toczone w atmosferze współmyślności. Oto polityczny debiutant z uwagą i szacunkiem pobiera nauki u politycznego wyjadacza.

Mam pewną prywatną hipotezę historyczną, taką mianowicie, że podpisanie porozumień sierpniowych chytrze wymuszone zostało przez Breżniewa. być może trzeba więc zapisać je na jego dobro. Kojarzę ze sobą mianowicie następujący łańcuch zdarzeń. Pod koniec sierpnia 1980 r. strajki wchodzi w taką fazę, że w Polsce grozi już wybuch, który w tamtych okolicznościach pociągnąłby za sobą dla Moskwy konieczność rozważania, czy interweniować militarnie, czego koszty polityczne byłyby ogromne. Rozpoczynają się negocjacje władz ze strajkującymi w Szczecinie i Gdańsku, ale wloką się bez skutku. Fakt pierwszy: zachodnie agencje prasowe podają za amerykańskimi źródłami wywiadowczymi, że zamarł cywilny ruch lotniczy w ZSRR. Samoloty nie startują, tłumy podróżnych koczują na lotniskach. Fakt drugi, który znam z opowieści ówczesnych kolegów Jurczyka. Tuż przed kolejną rundą rokowań miejscowy biskup wzywa natychmiast do siebie przywódców strajku. Odpowiadają, że nie mogą teraz przyjechać, gdyż Barcikowski już na nich czeka. Biskup z naciskiem powiada, że trzeba Barcikowskiego przeprosić, bo wcześniej u niego muszą się stawić. Kiedy w kurii zjawiają się negocjatorzy z ramienia strajkujących, biskup mówi poufnie, że miał sygnał od papieża: trzeba natychmiast podpisać porozumienie. Nie kłócić się już o sporne punkty. Przywódcy strajku jadą do Barcikowskiego. *Roma locuta causa finita*. Porozumienie zostaje podpisane. W efekcie Wałęsa i Jagielski podpisują też porozumienie w Gdańsku.

Być może więc w Związku Radzieckim zarządzono przerwę w ruchu lotniczym po to, aby amerykańskie satelity zwiadowcze zarejestrowały, że coś się dzieje i szykuje. Wywiad USA kupił mistyfikację i np. Brzeziński zaalarmował Watykan, a ten kurie szczecińską. Takiemu Jurczykowi zdawało się, że tworzy Historię, podczas kiedy był tylko trybikiem maszynierii samoczynnie reagującej, gdy uruchamiają ją wielcy operatorzy.

KACZMARSKI Jacek – bard

Polski Wysocki, tylko bez jego głosu. Śpiewał w Wolnej Europie tak natężając głos, aż komunizm w Polsce pękł i rozpadł się na kawałki. Od tej chwili jest bohaterem narodowym.

Ma być nadal wykorzystany do prac rozbiórkowych. Istnieje projekt, aby postawić go przed Pałacem Kultury, żeby śpiewał. Potem Kaczmarek ma zostać ustawiony nad Bugiem gardłem na Wschód.

KAŁUŻYŃSKI Zygmunt – ubogi antychryst

Kiedy zostałem szefem telewizji, wiedziałem jedno: jedynym wspaniałym, żywiołowym zwierzęciem telewizyjnym jest Zyzio Kałużyński, a nie widuje się go na ekranie. Poinformowano mnie

zaraz, że to nie jest błąd repertuarowy ani żadna intryga. Kałużyński jest próżny i małostkowy, on sam nie chce występować, ponieważ nie ma zębów. Uważałem to za śmieszne, bo nie jest on spikerką, która powinna ślicznie się szczerzyć do publiczności. Czym bardziej jest odrażający, tym lepiej, ale cóż robić, jeżeli on chce strugać Fernandela. Od razu przystąpiłem do dzieła i załatwiłem, żeby lecznica rządowa darmo wstawiła mu zęby, w imię potrzeb propagandowych, dla umacniania sprawy socjalizmu. Był on bowiem bezzębny ze skąpstwa: nie nosząc zębów oszczędzał sobie i na dentyście, i na jedzeniu. Tłumaczyłem też, że zęby Kałużyńskiego to ważna sprawa państwowa, więc trzeba go do protetyka zwabić, usidlić, przymusić.

Niestety, historia pracuje w Polsce szybciej niż dentyści. Kałużyńskiemu wprowadzono liczne, wyszczerzone, jadowite zębiska, ale w trakcie tej pracy ustrój się zmienił i całe te zęby są o dupę rozbić. Nie chcą go teraz w telewizji jako antychrysta, solidarnościoczercę, połykacza Wajdy i Zanussiego, ryczącego czerwonego potwora.

Kałużyński za stalinizmu przebywał na stypendium we Francji. Przybył do Warszawy z Paryża tuż przed odwilżą lat pięćdziesiątych i czytającej publiczności otworzył okno na świat książką Podróż na Zachód. Byliśmy za Stalina całkowicie odizolowani od książek, filmów, sztuk i prądów umysłowych przejawiających się na zachód od Łaby. Książka Kałużyńskiego przynosiła zaś niezliczoną ilość opisów tamtejszych filmów, streszczeń książek i relacji o nurtach myślowych lub wprost przeciwnie, artystycznych. Była rozchwytywana. Zaraz potem jednak wybuchł skandal w całej polskiej prasie, gdyż znawcy, te gryzonie, których nigdy nie brakuje, pisali, że Kałużyński większość filmów, książek i prądów, które opisuje, zmyślił całkowicie lub częściowo. W naszym grajdołku nic zaś nie pomogło mu to, że filmy, które wykoncypował, były lepsze niż te, które gdziekolwiek rzeczywiście nakręcono, i że książki, których treść przeinaczył, miały fabułę i przesłanie ciekawsze niż te oryginalne.

Kałużyński to wielki erudyta, ale jeszcze większy łgarz. wierzyć mu nie należy. Jeśli ktoś chce wierzyć, to niech sobie idzie do kościoła.

W początkach „Polityki” Zyzio, który zawsze tam pracował, coś nałgał strasznie, czy też przekreślił, czym wywołał ogromną furję osoby zainteresowanej. Zrobił się skandal pod niebiosa. Redakcja poczęła go szukać, bo znikł i ukrywał się. Passent znalazł go w Tworach, w szpitalu dla wariatów, gdzie Kałużyński leżał na sali wśród szaleńców i udawał, że w ogóle nie wie, o co chodzi, bo cierpi na pomieszanie zmysłów. Wyrabiał sobie tam wariackie papiery. Skandal zgasł, bo któż się będzie procesował z wariatem.

Z Francji Kałużyński przywiózł sobie prześliczną ponoć żonę, nie wiem, bo nie jestem taki stary, aby pamiętać. Żonę tę odbił mu reżyser filmowy Aleksander Ford, w pierwszym okresie PRL- u największy artysta naszego kinematografu, tyle że niezbyt zdolny. Krytyk Kałużyński tak ostro zabrał się do tych filmów, które Ford kręcił (a były wśród nich straszne knoty jak Krzyżacy lub Ulica graniczna – łzawy kawałek okupacyjny, w którym reżyser eksploatował dzieci, w tym Majkę, córkę Broniewskiego, a matkę tego Pijanowskiego z telewizji), że reżyser musiał uciekać z Polski i wszelki ślad na zawsze po nim zaginął. Odbitą żonę zabrał jednak ze sobą na emigrację.

Kałużyński w ogóle był dramatycznie kochliwy. Opowiadano mi, że pewnego dnia poczuł miłość do bliźniaczek sióstr; Wahl, które kiedyś były żonami Bratnego i Mularczyka, a teraz prowadzą galerię na Żoliborzu. Wyrażał swe uczucia w ten sposób, że podobno całą dobę leżał na chodniku przed ich segmentem mieszkalnym w pobliżu dawnej carskiej cytadeli i donośnie wył, nie dając spać całej dzielnicy. Obecnie Kałużyński opowiada, że przestał już sypiać z kobietami, gdyż jako człowiek ubogi oszczędza energię fizyczną, aby nie wydawać zbyt dużo na jedzenie. Żywi się wyłącznie na przyjęciach, na które jest zapraszany. Od strony płciowej wystarcza mu, gdy jest otoczony wiankiem młodych wielbicieli, które zachwycają się nim platonicznie.

W latach 70. dominował w filmie polskim mocno zanudzający sale kinowe nurt zwany kinem moralnego niepokoju. Pokazywał on ohydę stosunków ustrojowych poprzez kameralne ludzkie losy, czyli jakby w kropli wody.

Działał w tym nurcie Kieślowski i Zanussi. Działała też pupilka Wajdy, Agnieszka Holland, córka mojej pierwszej szefowej Ireny Rybczyńskiej oraz Henryka Hollanda, o którym pod koniec lat pięćdziesiątych ogłoszono w gazetach, że jest podejrzanym o szpiegostwo i był defenestrowany ze swojego mieszkania, co spowodowało rozejście się grupy Puławskiej w PZPR z Gomułą. Na pogrzebie Hollanda śpiewałem „Międzynarodówkę” wraz z tysiącami rewizjonistów, którzy się zbiegali na tę

antygomułkową manifestację.

Kałużyński nienawidził kina moralnego niepokoju i niszczył je jako nudne, minoderyjne i podszyte fałszem. Filmowców tego nurtu, bardzo zachwyconych sobą, mocno bolały te miażdżące recenzje. W końcu doszło do spotkania czołowych speców od moralnego niepokoju z Rakowskim w „Polityce” i zawarliśmy sojusz ideowy. Kałużyńskiemu zakazano atakować filmy tej klik. Doszło do strasznych awantur o to, że go się knebluje, chciał nawet odejść z „Polityki” i zaczął pisać w innych pismach. Nadszedł jednak rok 1980, filmowcom minął moralny niepokój, bo poszli na dyspozycyjnych artystów do „Solidarności”, Kałużyński zaś odzyskał swobodę przykładania im.

W latach 70. w zasadzie nie wolno mnie było pokazywać w telewizji, choć od tej reguły trafiały się wyjątki. Powody były różne od ogólnopolitycznych po kuchenne, jak np. takie, że obraziłem panią Dziedzic wmawiając publiczności, iż nie jest ona podlotkiem, albo to, że napisałem coś w lekceważącej tonacji o prezesie Szczepańskim. W pewnym okresie jednak przyzwolono na moje występy rano w programie kulturalnym w tzw. paśmie najniższej oglądalności. Odbywaliśmy dialogi w duecie z Kałużyńskim. Braliśmy jakiś film, książkę czy sprawę związaną z dziełem artystycznym i jeden bronił, a drugi atakował. Nasze dialogi podobno były bardzo zabawne. Przed wejściem do studia umawialiśmy się, który z nas będzie bronił danego filmu czy powieści, a który będzie atakował. W przypadkach spornych rzucaliśmy monetę losując swe postawy. Rzucana moneta zawsze była moja, gdyż on za nic się nie przyzna, że ma w kieszeni jakieś pieniądze. Zresztą wyjmując złotówkę do rzutków bałby się ją stracić.

Ten oryginał o wielkim umyśle i odwadze (w naszym przykościelnym kraju walczy m.in. o wolność pornografii) mieszka sam jeden w ruderze pozbawionej podłogi i nigdy nie sprzątanej. Nosi starą, podartą odzież, którą 50 lat temu jakiś nędzarz otrzymał w „Caritasie”, następnie zużył, wyrzucił, a Zyzio znalazł i donasza. Kupuje natomiast po świetle książki, płyty i albumy malarstwa, tworząc zbiór warty więcej niż parę mercedesów, którymi puszą się nowobogaccy. Skąpi sobie na bilet autobusowy czy też herbatę w bufecie, a wyrzuca pieniądze na przedmioty, które żadnemu jeszcze człowiekowi na świecie do niczego nie okazały się potrzebne.

KANIA Stanisław – I sekretarz KC

Bardzo ciepły człowiek, który emanuje spokojną mądrością. Na początku roku 1981 napisałem list czy też memoriał do I sekretarza KC, a był nim Kania. Przedstawiałem tam mój pogląd na sytuację. Proponowałem wciągnięcie polityków przykościelnych z umiarkowanej opozycji do rządu i współodpowiedzialności, aby rozbić walec „Solidarności” miażdżący kraj. Z listu tego w KC porobiono odbitki i po ośmiu latach któraś przeciekła, tekst mój wydrukowało piśmko podziemne, przedrukowała „Kultura” paryska, a potem już za moją zgodą „Polityka”.

Stanisław Kania ten mój tekst wtedy przeczytał, zaprosił mnie na rozmowę i wtedy po raz pierwszy w życiu rozmawiałem z I sekretarzem KC, co bardzo wówczas polectało moją miłość własną. Uważał, że moje propozycje nie są złe, tylko nierealne. To, że on mnie poznał, było praprzyczyną powołania Urbana, w parę miesięcy później, na rzecznika rządu. Partia zawsze dysponowała dramatycznie małą bazą personalną przez to właśnie, że brani pod uwagę na różne funkcje byli (i są!) tylko ludzie osobiście znani decydentom, czyli okropnie wąski krąg osób.

W sierpniu i wrześniu 1981 r. stykałem się już czasem osobiście ze Stanisławem Kanią i wtedy wyczuwało się, jak bardzo narasta jego przeciążenie psychiczne. Rozładowywał je popijając białe wino. Dla znacznej części aparatu jako ugodowiec ucieleśniał zdradę. Nacisk radziecki był przepotężny. On dotychczas powiedział na ten temat tylko część prawdy.

W historii Polski ostatnich lat osoba Stanisława Kani traktowana jest epizodycznie. Doszedł do władzy już po porozumieniach sierpniowych, a odszedł przed stanem wojennym, czyli kadencja jego przypadła na czas pomiędzy wielkimi wydarzeniami. Był pierwszym przywódcą partii rządzącej, który był i pozostał głęboko zaprzyjaźniony ze swym następcą Jaruzelskim. Sądzę, że pisana z większego dystansu historia doceni tego polityka, który współtworzył, nieudaną wówczas jeszcze, koncepcję historycznego kompromisu i torował drogę przemianom w Polsce w trudnych dla siebie okolicznościach Breżniewowskich rządów. Co to znaczyło, tylko on wie w całej pełni.

Kiedy pierwszy raz przyjął mnie Stanisław Kania, to była moja pierwsza wizyta w gabinecie I

sekretarza KC, więc rozglądałem się ciekawie. Urządzenie odziedziczone po Gierku szokowało skromnością: proste, jasne, wręcz surowe meble. Jedynym luksusem był, ustawiony tam już po odejściu Kani, komplet złożony ze skórzanej, ciemnozielonej kanapy i dwóch foteli. Później podczas kadencji Wojciecha Jaruzelskiego w gabinecie tym bywałem często, a w okresie schyłkowym, za czasów Mieczysława Rakowskiego wręcz włożyłem tam jak do byle pokoju biurowego. Sakralność tego miejsca ulotniła się.

Po opuszczeniu przez kierownictwo SdRP gmachu KC i zabranii ruchomości nikt nie chciał mebli, które stanowiły urządzenie gabinetu I sekretarza, bo były do dyspozycji inne, bardziej ozdobne komplety, choć, prawdę mówiąc, wszystkie brzydsze. Dziś biurko I sekretarza i zielona kanapa z fotelami stoją w bocznym pokoju koło gabinetu Leszka Millera. Umeblowanie to i ten pokój służą do intymnych zebrań, przyjmowania gości. Czasem korzysta z niego M. Rakowski, gdy jako polityk-senior przyjmuje jakiegoś zagranicznego rozmówcę. Wspominam o tym, gdyż zza tego prostego biurka przez 20 lat rządzono Polską.

Kiedy składałem wizytę kanclerzowi Austrii Vranitzky'emu, powiedziano mi, że w tym gabinecie i za tym biurkiem siedział jeszcze kanclerz Metternich w XVIII wieku. Podobnie jest z wnętrzami, w których urzędolą brytyjscy promineneci. Gabinet I sekretarza KC uznać by należało za historyczny zabytek, ale to niemożliwe, bo i nasze ekipy, i ta obecna głównie dbają o rwanie ciągłości. Przez to polskie państwo wciąż jakby staje się od nowa, a to, co było, jest unieważniane. Polska ma status nieustannego noworodka.

KĄKOL Kazimierz – antyhitlerowiec

Profesor prawa i sprawny umysł. Stał się sławny w 1968 r., kiedy to był naczelnym redaktorem głównego organu ruchu marcowego „Prawo i Życie” oraz jednym z naczelnich ideologów i interpretatorów marcowych. Poza tym pan jowialny i bardzo sympatyczny.

Miałem z nim związki, o których on nie wie. W toku wypadków grudniowych Kąkolowi powierzono pisanie różnych dekretów, odezw, przemówień, obwieszczeń, jakie we wszystkich krajach, w sytuacjach kryzysowych redagowane są na wszelki wypadek. Kiedy trwa kryzys polityczny, strajki, manifestacje, leje się krew, padają strzały, wówczas wypadki mogą toczyć się szybko i w różnym kierunku. Trzeba się liczyć z powstaniem sytuacji, kiedy zabraknie czasu na redagowanie tekstów odpowiadających wymaganiom chwili. Władza więc zamawia projekty dokumentów prawnych i oświadczeń politycznych na różne hipotetyczne okazje. W razie konieczności łatwiej jest redagować przygotowany projekt, niż pisać go od podstaw. Otóż Kazimierz Kąkol – o ile wiem – zatrudniony został przy takim pisaniu. Stara ekipa wszakże upadała, nowa formowała się cichcem i nie wszyscy główni aktorzy politycznej sceny dowierzali profesorowi związanemu dotąd z Moczarem. Wobec tego mnie poproszono o dublowanie Kąkola, czyli równoległe pisanie. Niektóre możliwe sytuacje mi wskazano (np. strajk generalny), inne miałem sobie wyobrazić. Wśród tych pierwszych była także militarna interwencja radziecka. Żadnych wskazówek, co pisać, nie dostałem. Miałem proponować rozwiązania. Na wypadek interwencji redagowałem polityczny protest połączony z odezwaniami o niestawianie oporu. Potem to wszystko oddałem i więcej o tych moich pracach pisemnych nie usłyszałem, pewnie to wszystko zostało zniszczone, choć może i przechowywane było na podobną okazję. Nie wiem. Tym dość pasjonującym zajęciem parałem się po nocach. I tak trudno było wtedy spać. Asystowała mi moja ówczesna politycznie podekscytowana przyjaciółka.

Kazimierz Kąkol był potem ministrem do spraw stosunków z kościołami, wreszcie został szefem Głównej Komisji do Spraw Badania Zbrodni Hitlerowskich. Instytucja ta zawsze ma silne związki ze światowymi organizacjami żydowskimi oraz pokrewnymi placówkami w Izraelu. Kąkol ze szczególną pasją zajął się więc stosunkami polsko-żydowskimi.

Otóż, istnieją ludzie niezwykle podekscytowani żydami. Jedni są antysemitami, inni filosemitami, u jeszcze innych obie skłonności są ze sobą przedziwnie splątane, niektórzy zaś zmieniają orientację z biegiem czasu. Kąkol mieści się w którejś z tych kategorii. Filosemityzm i antysemityzm uważam za bliźniacze rodzaje tej samej ułomności pod nazwą rasizm.

Gdy prof. Kąkol miał jechać do USA celebrować zbliżenie polsko-żydowskie, amerykańskie

żydostwo dało mu po nosie, wypomniano mu Marzec i odwołano zaproszenie. Miałem na tę okazję przygotowaną jakąś wypowiedź rzecznika rządu, na wypadek gdyby mnie na konferencji prasowej zapytano o stosunek rządu do sponiewierania jego funkcjonariusza Kąkola. Była ona wykrętna. Nie miałem bowiem ochoty brać na siebie obrony Kąkola jako reprezentanta Polski w stosunkach z żydami, bo w głębi duszy nie martwiłem się tym, że dostał prztyczka.

Wiosną 1989 byłem w Waszyngtonie i tam mnie zaproszono na premierę amerykańskiego filmu fabularnego o życiu i działalności Szymona Wiesenthala – sławnego wiedeńskiego myśliwego, polującego na przestępców hitlerowskich. Film był tak fatalny, kiczowaty, rzewny i nudny, że nie wysiedziałem na projekcji, tylko w foyer, tuż pod klozetem czekałem końca. Nie odjechałem zaś z kina, bo po filmie był bankiet, czego nie chciałem stracić.

Na premierze był Wiesenthal jako główny bohater i potem honorowy gość bankietu. Przedarłem się przez całe masy waszyngtońskiej śmietanki, dotarłem do niego i zaprosiłem do Polski, na co miałem upoważnienie. Wiesenthal, traktując polskiego ministra niczym monarcha lokajczyka, zaczął mi wypominać czasy marca 68, kiedy w Polsce pisano o nim artykuły i broszury przedstawiając go jako agenta CIA oraz takiego syjonistę, który jest polakożercą i chce Polskę połknąć. Zacząłem tłumaczyć, że minęło ponad 20 lat, inne czasy, inna władza. O nie. On nie przyjedzie dopóty, dopóki w Polsce działa Walichnowski i Kąkol. Wiesenthal dokładnie wiedział, co robi każdy z jego wrogów. Choć sądziłem, że Kąkol już jest jego przyjacielem. Przerwałem Wiesenthalowi mówiąc, że spieszę się do deserów i odszedłem. Był on typem tak antypatycznym, że już musiałem solidaryzować się z Kąkolem.

Z Komisją, którą kierował prof. Kąkol, tą antyhitlerowską, miałem na pieńku, ale w czasach, gdy jego jeszcze tam nie było. Pisałem w „Kulisach” jako Kibic. Była tam pewna historia o eks-esesmanie żyjącym w Anglii i o polskiej emigrantce, która wprawdzie była jego więźniarką w Oświęcimiu, a potem żoną w Wielkiej Brytanii. Dałem hitlerowcowi zmyślane nazwisko Pollack, ale widocznie bezwiednie zastosowałem gdzieś przeczytane, gdyż ono się zgadzało i ten człowiek był poszukiwany. Prokurator przesłuchiwał mnie w imieniu Komisji działającej z kolei na zlecenie policji angielskiej i żądał adresu mojego bohatera. Kiedy mówiłem, że historia jest zmyślona, podejrzewał mnie o krycie hitlerowskiego zbrodniarza.

W miesięczniku „Odra” wydrukowałem w latach 70. reportaż o wycieczce Polonii amerykańskiej zwiedzającej Polskę, w tym Oświęcim. Gospodyni domowa pod ścianą straceń powiedziała do mnie: „W Rzymie także widziałam takie straszne miejsce. Tam lwy jadły chrześcijan”. Gdy to zacytowałem, Komisja Badania Zbrodni oskarżyła mnie przed sądem dziennikarskim o obrazę narodu polskiego. Zostałem uniewinniony, gdyż wziąłem statut Komisji i udowodniłem, że do jej kompetencji należy tylko ściganie zbrodniarzy hitlerowskich, a nie polskich, więc ja nie podlegam jej pościgom, gdyż jestem niehitlerowcem, a w czasie wojny byłem dzieckiem.

Ciekawe, co też porabia prof. Kąkol i czy może to być, że jego kariera dobiegła kresu?

KĘPIŃSKA Elżbieta – kobieta sceniczna

Trzydzieści circa lat temu cała Warszawa biegała na Kępińską, przy tym nie była to ulica, tylko całkiem świeża aktorka, największy w owym sezonie talent, który nagle strzelił. Janda epoki Gomułki, była to gwiazda ciepła, przytulna, z męskich marzeń do poduszki. Cała Warszawa obejmowała mnie także, więc pierwszy raz w życiu zobaczyłem Kępińską w jej szczytowej roli i chwili. We dwójkę z Cybulskim na małej scenie „Ateneum” wykonywała amerykańską sztukę „Dwoje na huśtawce” przed widownią skowyczącą z zachwyty i wśród recenzentów walących czołem w podłogę.

Nie było sceny, widzowie kołem na krzesłach otaczali aktorów, ja siedziałem w pierwszym rzędzie. Reżyser kazał Cybulskiemu, w dowód uniesienia czy determinacji, rzucać na podłogę zapalonego papierosa. Wtedy nosiło się spodnie z mankietami i rekwizyt ten wpadł mi tam właśnie. Począłem wydzielać swąd i poczułem, że portki mi się żarzą i mnie parzą. Zareagowałem jak człowiek, który się pali. Cybulskiego dobrze znałem z „Bim-bomu”, a potem z pijaństw barowych we dwójkę oraz domowych w szerszym towarzystwie. Widząc, że podpalił kolegę, Cybulski dał spokój Kępińskiej i zrobił ku mnie gest przeproszający, tak że w pewnym sensie wziąłem osobiście udział w spektaklu z Kępińską, dodając mu dramatyzmu dziurą w nogawce.

W Kępińskiej kochała się więc wtedy cała Warszawa, a ona kochała się z aktorem Kowalskim imieniem Władysław. Z czasem plotkować zaczęto, że artysta ma rogi w dobrym gatunku, bo made by Rakowski. Szef „Polityki” był wtedy młodym przystojniakiem jeżdżącym oplem i mężem Wandy Wilkomirskiej, która na skrzypcach przygrywała mu do kariery.

Pierwszy pech Kępińskiej polegał na tym, że zaczęła pracę od takiego sukcesu, iż większy był potem już nie do zrobienia. Zaczynać karierę od szczytu kariery to dokładnie to samo, co zaczynać wspinaczkę górską od szpicu Mont Everest. Drugim pechem Kępińskiej jest związek z Rakowskim. Każda wybitna aktorka powinna mieć męża, który społecznie wyróżnia się wyłącznie jako jej mąż. Modrzejewska miała męża, który był tylko mężem Modrzejewskiej. Brigitte Bardot zawsze miała kogoś znanego tylko jako mąż B.B. Kiedy o Marilyn Monroe zaczęto mówić jako o żonie Artura Millera, a nie odwrotnie, rozwiodła się, a gdy i to nie pomogło – popełniła samobójstwo. Przez krótki zaś tylko czas mówiono w Warszawie: Rakowski – ten kochanek Kępińskiej, potem Rakowski – ten mąż Kępińskiej. Rychło zaczęto ją określać: Kępińska żona Rakowskiego. Kiedy aktorka ma status czyjejś żony, z tą chwilą się obsuwa i reżyserzy patrzą, jak mąż artystki przystaje do roli, którą można jej dać. Zresztą jak ktoś ma pecha, to złapie trypla nawet wachając różę. Kępińska oprócz Rakowskiego ma w domu kocurkę Franciszkę o bardzo przykrym usposobieniu, bydlę prawdziwie wredne, naślane chyba przez „Solidarność”, bo nienawidzące swych państwa mimo dobrego wyżywienia.

Aż do 1980 roku Kępińska była normalnie apolityczną aktorką i żoną liberała większego niż mężowie wszystkich innych aktorek, oczywiście jeśli w ogóle miały mężów posiadających przekonania, a nie badyłarnię. Stopniowo, po sierpniu 1980 r. Rakowski, zupełnie nie zmieniając swoich poglądów, przemienił się z liberała w czerwoną bestię, a Kępińska w żonę potwora. Środowisko aktorskie nagle bowiem w części zmieniło przekonania, a w pozostałej części zaczęło je mieć i ono było krzykliwe antyreżimowe.

Kępińska jako wicepremierowa przez cały dzień wysłuchiwała aktorów którzy mieli mnóstwo zarzutów wobec polityki rządu, i wieczorem była już wzdętym workiem pretensji politycznych. Jej mąż przez cały dzień siedział na zebraniach to z „Solidarnością”, to z branżowcami, to w KC i wysłuchiwał krytyki rządu. W nocy wracał do domu i wówczas rozpoczynała się polityczna sesja rozrachunkowa z żoną, opromieniana świtami. Rano z dziurą przewierconą w brzuchu odrywał się od swej nocnej siły nacisku i wtedy zaczynało się wszystko to samo z „Solidarnością”. Przy tym Kępińska nie jest może najinteligentniejszą z ludzi, ale na pewno najmądrzejszą z aktorek, więc Rakowski miał w łóżku prawdziwie trudne dyskursy, a nie jakieś tam kobiece pokwėkiwania.

Po ogłoszeniu stanu wojennego Kępińska stała się główną męczennicą ekipy rządzącej. Nie kwapiąc się do wyruszenia na czołgi, komedianci z „Powszechnego” podjęli ostrzał koleżanki Elżbiety. Było w dobrym tonie na jej widok opuszczać bufet i codziennie komponować nowe złośliwości. Tym sposobem prosolidarnościowa Kępińska politycznie spychana była ku mężowi i właśnie zaczerwieniła się zupełnie, kiedy akurat komunizm w Polsce umarł, co ogłosiła inna aktorka – Szczepkowska. Ewolucja polityczna Kępińskiej biegła więc w odwrotną stronę, niż środowiska aktorskiego, odbywającego w większości podróży od serwilizmu do bojkotu, podobnie więc jak kariera zawodowa tej aktorki postawiona była na głowie.

Kiedy młoda Kępińska zażywała sukcesu w sztuce „Dwoje na huśtawce” nie wiedziała nieboraczka, że tytuł tej sztuki na zawsze określi bieg jej realnego życia.

KISIELEWSKI Stefan

Kiepski kompozytor, średni krytyk muzyczny, drugorzędny powieściopisarz, nudny felietonista, dobry publicysta, naiwny i niewytrwały polityk. Talentów ma wiele, ale wszystkie mierne. Marks twierdzi jednak, że ilość przechodzi w jakość. Wbrew swoim interesom Kisiel wszakże zaciekle zwalcza marksizm.

KISZCZAK Czesław – myśliwy

Kto wie, jak potoczyłyby się losy Polski, gdyby Wojciech Jaruzelski miał dziesięciu Kiszczaków. Nie wiem, czy na świecie jest ktoś drugi, kogo można by z nim porównać. Jego fenomen polega na zdolności do przekraczania granic klatki, w jakiej tkwi każdy bez wyjątku człowiek. Otóż, ludzie uformowani są przez jakiś system wartości i wyobrażenia o świecie, zdobyte umiejętności i swą rolę zawodową, podległości służbowe i więzi społeczne, panujący w ich otoczeniu poziom myślenia i działania itp., itd. To wszystko składa się na pręty ich ciasnej lub przestronnej klatki, poza którą tylko trochę udaje się niekiedy człowiekowi wychylić lub wysunąć. Generał Kiszczak coraz to przeskakiwał samego siebie. Tkwił zaś w klatce ciasnej przecież także względów doktrynalnych, jak i przez rolę oraz horyzonty zawodowego oficera – kolegi generałów Baryły czy Oliwy.

Świat zdumiał się, że w Polsce, gdzie nic nigdy się nie udaje, bo wszystko jakoś się rozłazi i rozmazuje w bałaganie, psychologiczna operacja pod nazwą stan wojenny wykonana została z imponującą, mistrzowską precyzją. Kiszczak!

Prowokacja z zabiciem księdza Popiełuszki. Wszystko wskazywało na to, że był to detonator subtelnie przemyślanego betonowego przewrotu. Kiszczak dokonał błyskawicznego odwrócenia sytuacji zapoczątkowanego aresztowaniem Piotrowskiego i publiczną deklaracją polityczną.

Mieć status szefa policji, jedyne instrumentu do trzymania opozycji pod wodą. Równocześnie przez lata być godnym zaufania przeciwników negocjatorem w rozmowach politycznych z tą właśnie opozycją i z Kościołem, rok po roku, aż po okrągły stół. To także Kiszczak. Chyba unikatowy na świecie szef policji politycznej, który w rządowym pałacu osobiście ścisnął dłonie wszystkim najważniejszym ludziom, jakich poprzednio powsadzał.

Człowiekiem numer 1 konspiracji, którego najbardziej poszukiwali ludzie Kiszczaka, był Zbigniew Bujak. Kiedyś SB już znało miejsce, gdzie odbędzie się konspiracyjne zebranie z Bujakiem. Wkroczyli po 40 minutach od rozpoczęcia obrad. Bujaka nie było. Spóźnił się jeszcze bardziej, gdyż zacięło mu się auto, a widząc akcję policyjną w toku oczywiście nie wszedł na melinę, gdzie było zebranie, lecz odjechał. Równoległe ten tropiony wciąż i wreszcie potem złapany przez ludzi Kiszczaka Bujak w czasie, gdy się ukrywał, odwiedził ministra spraw wewnętrznych Kiszczaka w jego biurze. Nawet zapomniał tam swego kożucha. Gdyby to wymyślił autor sensacyjnej powieści, uznano by, że wikła się w nieprawdopodobieństwach.

Kiszczak swobodnie przenikał z klatki szefa policji. Robiąc to, co do niego należy jako ministra spraw wewnętrznych, sposobami właściwymi tej instytucji, uprawiał równoległe politykę wielkiego formatu. To on toczył rozmowy z Kościołem. To on pojechał do internowanego Wałęsy do Arłamowa i przeprowadził negocjacje, których efektem był list do Jaruzelskiego z podpisem „kapral Wałęsa” dający pretekst do zwolnienia go do domu. To Kiszczak poparł amnestię. To on celebrował spotkania w Magdalence, które zapoczątkowały przewrót w Europie Wschodniej. I we wszystkich tych poczynaniach ogromną rolę odgrywała jego osobowość – człowieka tchnącego zniewalającą rozmówców prawością, szczerością, powagą, uczciwością i skupioną mądrością. Za wszystkimi poczynaniami Kiszczaka stał generał Jaruzelski, ale osobowość to już jego niepodzielna własność i zasługa.

Generał Kiszczak wywodzi się z wywiadu i kontrwywiadu, dziedzin tajemniczych, których obraz tak został zamazany przez niezliczone powieści, jak prawda o polskim wieku XVIII została na zawsze przesłonięta przez sugestywne imaginacje powieściowe Sienkiewicza. być może wywiad jest najlepszą uczelnią do kształcenia polityków.

Podczas finału swej kariery Kiszczak zabłysnął kosztowną dlań i niezłomną lojalnością wobec szefa. Mam na myśli oddanie się do dyspozycji w nieudanych już operacjach kandydowania na premiera i potem prezydenta. No, ale wiernych i oddanych wszędzie ma się na pęczki, rzadko jednak ludzie wybitni wyrzekają się gry na własny rachunek.

W klatce Kiszczaka rozbitej przez niego jakby od niechcenia są dwa pręty – ograniczenia, których jednak nawet nie wygiął. Jeden to lęk przed słowem, skrupowanie, sztywność publicznych enuncjacji – typowa właściwość wojskowych, którzy słowo traktują z nabożeństwem, jakby najbardziej obawiali się tej właśnie broni.

Drugie ograniczenie polityka Kiszczaka to jego wyobrażenia o gospodarce.

Minister Kiszczak żywo pasjonował się rolnictwem i projektował operacje polegające na tym, że wyśle się dobrego szeryfa w stosowne miejsce, za nim hufce pomocników i tak placówka po placówce zapewni się, poprzez organizacyjne operacje, stopniowy rozkwit gospodarczy. Sądę, że minister

niezupełnie rozumiał, że te właśnie sposoby próbowano praktykować przez 40 lat i że w gospodarce może cokolwiek zmienić tylko samoczynny mechanizm ekonomiczny.

Polska miała swoich wielkich: a to Kopernik, a to Curie-Skłodowska, Mickiewicz lub Chopin. Wstawianie tu gen. Kiszczaka uzna się za świętokradztwo pogrążające pomysłodawcę w śmieszności. Prawda jest jednak taka, że astronomów rangi Kopernika było wtedy paru, w epoce Chopina kilku kompozytorów mu dorównywało lub go przewyższało, sporo narodów miało w epoce romantyzmu wieszczów bardzo genialnych, a Skłodowska-Curie należała do całej sztafety fizyków odznaczających się w nowej dziedzinie badawczej. Kiszczak zaś to szef policji nieporównywalny z żadnym innym politykiem tej specjalności. Szkoda, że zużyty został przedwcześnie zaś rządy nie angażują obcych najemników, więc teraz, kiedy w Polsce stał się niepotrzebny, nie może pokierować policjami i operacjami politycznymi jako minister któregoś mocarstwa.

KLECHTA Jerzy – komentator TVP

Dziennikarz, ujmujący tym, że szczerze i publicznie przyznaje się do kilku błędów i niedopatrzeń. Niechcący wstąpił do PZPR i przez zapomnienie nie wystąpił na czas. Redagował podziemne pismo drugiego obiegu „Radar”, które przez fatalne niedopatrzenie poddawane było cenzurze i bez wiedzy i zgody redaktora finansował je ohydny partyjny koncern RSW „Prasa”. Klechta przez pomyłkę podlizywał się Rakowskiemu, sądząc, że to Morawiecki. Przy tym wszystkim zawsze tkwił w podziemiu, tylko konspirował w konspirze tak sprytnie, że było to niezauważalne.

Ten telewizyjny wielbiciel nowej władzy i pogromca czerwonych był egzaltowanym adoratorem Rakowskiego. Rakowski przechowuje list od Klechty z 1983 r. wyrażający zachwyt wobec wicepremierowskiej mowy w Stoczni Gdańskiej i drwiący z Wałęsy, z którym tam w Stoczni Rakowski staczał telewizyjny pojedynek.

Rakowski rano pływa w basenie hotelu „Victoria”. Gdy był wicepremierem, wicemarszałkiem, premierem, zawsze w wodzie podążał za nim Klechta. Od wyborów w czerwcu 1989 r. Jerzy Klechta jakoś przestał wchodzić do wody.

KOBYLIŃSKI Szymon – spiralny

Prorok z długą brodą o tubalnym głosie. Przez 33 lata obok tytułowej winiety „Polityki” ukazywały się jego rysunki. Na co dzień docinał władzy, z okazji świąt, rocznic i zjazdów partyjnych kadził jej przepięknie i zgrabnie. Jako rysownik miał jedną wielką wadę: lubił pisać felietony. Kiedy Kobylński pisze, dzieje się tak, jakby np. Roman Malinowski w Teatrze Wielkim Opery i Baletu tańczył partię Odetty w Jeziorze Łabędzim.

Po 33 latach rysowania w „Polityce”, kiedy władza antykomunistów już dobrze utrwaliła się i utwardziła, Kobylński nie wymknął się po cichu z „Polityki” do nowych panów, co byłoby normalne, naturalne i nie wyróżniało go spośród innych szczurów umykających z tonącego okrętu. On narysował manifest polityczny, że odchodzi z „Polityki”, gdyż przejrzał i jej linia przestała mu odpowiadać. Odpowiadała mu, kiedy pisał przed członkiem KC Rakowskim. Nie odpowiada mu „Polityka”, gdy działa pod bezpartyjnym już Bijakiem. Odpowiadała mu, gdy broniła socjalizmu – nie odpowiada mu, gdy się zeń wyślizguje. Odpowiadała mu, gdy broniła linii partii – nie odpowiada mu, kiedy dyskretnie przecina różne linki łączące ją z przeszłością.

W sumie z pompatycznego odejścia z „Polityki” brodatego proroka o głosie zapożyczonym od Boga Ojca z jasełek wyniknął tylko wielki śmiech. Skowyczeli wszyscy, bo aż tak bardzo nikt się dotąd nie zbłąźnił. Ryczeli ze śmiechu czerwoni, biali i czarni. Nowi władcy, do których Kobylński chce się przytulić, na jego widok zatykają nosy, chociaż przecież oni nie oddychają górskim, lecz bagienным powietrzem, więc ich powonienie jest niezbyt czułe.

KOCIOŁEK Stanisław

Podobno był ukochanym dzieckiem Gomułki, który uważał tego przedstawiciela aparatu za ulepionego na swój obraz i podobieństwo i wyobrażał sobie, że Kociołek kiedyś będzie jego następcą.

Kiedy Gomułka kończył się w grudniu 1970 r. Kociołek został ubrany w dramat na Wybrzeżu. Był tym, który w telewizji wzywał do przyścia do pracy w Stoczni, podczas kiedy Stocznia była obstawiona uzbrojonymi oddziałami mającymi rozkaz strzelania do ludzi, którzy zechcą wejść do niej. Niedogadanie się różnych ośrodków dyspozycji, drobny bałaganik w obrębie władzy, spowodował straszliwe, krwawe koszty. Zaczęły się spory, kto winien. Trwają zresztą nadal. Dość, że Kociołek, jako co najmniej mimowolny współsprawca tragedii, poszedł na drugorzędne posady do drobnej wytwórczości i na prostego ambasadora. W następnej epoce Wojciech Jaruzelski jako szef partii z trudem i wysiłkiem wydzwignął go na stanowisko I sekretarza KW PZPR w Warszawie. On zaś przyjął skrajnie betonową orientację prawdziwego marksisty- leninisty, czyli prawdziwka, i pozbywanie się go jako eksponenta tej lewej, betonowej opozycji wymagało jeszcze większego wysiłku niż wyciągnięcie go z niebytu.

Potem Kociołek był ambasadorem w Moskwie i nie zachwalał na pewno reformatorskich dążeń naszej ekipy kierowniczej. Określiłem to kiedyś Wojciechowi Jaruzelskiemu w ten sposób – on nie ma ambasadora, natomiast Moskwa ma za to dwóch przy polskich władzach: jeden urzęduje w Warszawie, a drugi w Moskwie. Była to oczywiście opinia krzywdząca radzieckie kierownictwo, gdyż sugerująca, że ono znosi się z Kociołkiem.

Pierwszy raz zobaczyłem Stanisława Kociołka, kiedy już jego kariera dobiegła była końca. Pracował jako redaktor miesięcznika „Polish Perspectives”. Ja jako rzecznik rządu miałem zaś, gdzieś pod Warszawą, spotkanie z redaktorami czasopism drugorzędnych z całej Polski i on tam był. Mówiłem o sytuacji politycznej, przedstawiałem swoje na nią poglądy i cały czas miałem na uwadze tylko jednego słuchacza – Kociołka. Mówiłem wyłącznie do Kociołka i moja do niego niechęć oraz właściwa mi przekora sprawiały, że wszystko, co mówiłem, miało go prowokować.

Było to moje najbardziej bliskie opozycyjności wystąpienie publiczne. Gdyby tam zamiast mnie zaproszono wtedy Michnika czy Onyszkiewicza, opowiadaliby rzeczy zbliżone. Czułem niewidoczne iskry nienawiści przeskakujące między mną a Kociołkiem i drażniłem go. O ile pamiętam, nie odezwał się w dyskusji.

KOMAR Michał – mózgowiec

Tak zwany Mały Komar, w odróżnieniu od Władysława Komara – kulomioty. Syn Wacława Komara, generała-komunisty, bohatera wojny domowej w Hiszpanii, potem za stalinizmu bardzo męczonego więźnia, następnie znowu generała. Mąż bardzo ładnej Ewy Łapki, producentki olejków do ciast i innych trujących chemikaliów. Zawzięty autor książek, erudyta i intelektualista. Z Komarem jest pewne nieszczęście: on traktuje siebie bardzo serio, w czym zresztą jest osamotniony. Dla własnego dobrego samopoczucia pisze więc dzieła erudycyjne, ciężkie i nudne na różne dowolne tematy, np. terrorizm. Dla pieniędzy, czyli na zamówienie, umie jednak pisać dosyć barwnie i ciekawie. Byłby więc wybitnym autorem, gdyby nie był się bogato ożenił.

Moją drugą żonę wpierym znałem ze słyszenia i kręciłem się wokół niej, ale długo nie udawało mi się jej poznać. Stało się to przypadkiem na przyjęciu u Komarów. Siedziała na tapczanie i mówiła, że jej przeszkadza budzik Ewy Komar, który głośno tykał. Żeby zwrócić na siebie uwagę tej dziewczyny, wziąłem budzik i wyrzuciłem przez okno. Budzik był tandetny, a mieszkanie położone wysoko. Komarowie ciężko przeżyli tę stratę. Natomiast ja ich kosztem dopiąłem swego.

Tej samej nocy pierwszą randkę odbyłem z udziałem Komara, który nie bardzo chciał zrozumieć, że nie jest na swojej randce.

Mały Komar od dawna zwąchał się z opozycją, ale jak to wolny mózgowiec: od strony intelektualno-salonowej, a nie organizacyjnej. Był przez chwilę internowany. Po wzięciu przez opozycję władzy wynagrodzono go, ale słabo: został wiceprezesem „Czytelnika” po usunięciu stamtąd Wacka Sadkowskiego, takiego samego intelektualisty, niestety partyjnego. W związku z tym uważam, że: po pierwsze Komar mógłby być nawet prezesem, po drugie, nie trzeba było w tym celu strzelać z armaty do wróbla, czyli aż obalać socjalizmu.

Z Komarami zakolegowałem się 20 lat temu, pewnej zimy w Zakopanem, kiedy było tam bardzo wesoło. Michał Komar był wówczas o 20 lat młodszy, ja zaś o 20 lat starszy niż teraz.

KOMAR Władysław – artysta estradowy

Komar był kiedyś popularnym bohaterem narodowym, ponieważ na olimpiadach sportowych ciskał jakimś ciężkim przedmiotem Za cholerę nie pamiętam, jak się ten przedmiot nazywa. Dostał za to jakiś olimpijski medal i jako nagrodę otrzymał za żonę córkę ówczesnej głowy polskiego państwa, marszałkównę Małgorzatę Spychalską. Miał kolosalne szczęście nie tylko przez to, iż ożenił się z prezydentówną swojego kraju, ale ponieważ Małgorzata ma też siostrę, której zdołał uniknąć.

Gdy Polska zaczęła biednieć, tak że nie było już czym rzucać, Komar został objazdowym artystą estradowym. Jest bardzo wielki i ciężki, więc skoro nazywa się Komar, już jest śmiesznie. Publiczność waliła popatrzeć na olbrzyma i nadal jeszcze płaci za bilety. Na scenie Komar przestępuje z nogi na nogę, umie także tupać i nucić orkiestrze do wtóru, a jak się odezwie – trzęsą się żyrandole. Te sukcesy artystyczne odnosi po dziś dzień.

Jest to sympatyczny, inteligentny i ciepły mężczyzna formatu Yeti. Spychalska zaś jest dziewczyną bardzo niską, chudą i drobną. Ich współżycie seksualne przypominać musiało spółkowanie doga z pinczerkiem. Sto razy zapytać chciałem Małgosię, jak ten Komar w niej się mieścił, bo to jest jedyna zagadka przyrody, która mnie ciekawi. Nigdy się jednak nie zgadło.

KORWIN-MIKKE Janusz – przywódca Ruchu Polityki Realnej

Barwna postać zawsze w muszce. Łączy nas stara znajomość i niechęć do „Solidarności”. Korwin-Mikke stworzył własną, kieszonkową partię – Ruch Polityki Realnej. Jest to ugrupowanie konserwatywno-liberalne, sprzymierzone z monarchistami, których mamy razem trzech. Ruch jest za całkowitym liberalizmem ekonomicznym, przeciw wszelkim ingerencjom państwa w sferę gospodarki. Na płaszczyźnie politycznej Korwinowcy nie są tacy liberalni i optują za silną władzą, ograniczającą parlamentaryzm i demokratyczne rozpasanie.

Wielki oryginał, co podkreśla wiążąc sobie zawsze muszkę. Facet postrzelony w najsympatyczniejszym sensie tego słowa. Dogmat pluralizmu i karzełkowatość wszystkich partii sprawiają, że obecnie przeżywa swoje wielkie dni, gdyż z całą powagą traktowany jest jako szef jednego ze stronnictw. Lubi pisać i pokazywać się w telewizji, więc jest na niego koniunktura. Gdy trzeba pokazać w TV paletę polityczną, Korwin-Mikke zawsze jest na podorędziu. Gdy chce się do druku jakiś żwawy, szokujący tekst – on napisze go zawsze i da wszędzie.

Przychodził w latach 70. do „Polityki”, gdzie przynosił felietony na różne tematy, zawsze oryginalne, gdy idzie o poglądy, żywo napisane, tylko pod koniec przeważnie rozłazące się. Drukowałem go od czasu do czasu. Stale tego robić nie było można, gdyż był zbyt płodny. Strach było zamieścić jakiś tekst, ponieważ to znaczyło, że nazajutrz, zachęcony, przyniesie dziesięć nowych. Ja zaś jako redaktor byłem leniwy i zawsze wołałem mieć do czytania mało tekstów, a nie dużo. Z tej banalnej przyczyny limitowałem publikacje Korwin-Mikkego, ale również i z powodów politycznych. Chodziło o to, że on przecież był opozycją, więc co innego występ gościnny w „Polityce”, a co innego, kiedy utrwali się jako stały autor pisma. Poza tym bałem się, że za tego wroga socjalizmu dostaniemy po uszach. Zrobiłem więc coś, czego nigdy nie czyniliśmy i za co Rakowski zdarłby ze mnie skórę. Zadzwoiłem do MSW i poprosiłem o ich opinię na temat roli Korwin-Mikkego. Nasze władze bowiem – mówiłem – leją nas za drukowanie ludzi z opozycyjnego podziemia, a skąd my niby mamy znać grzechy różnych autorów, wiedzieć, gdzie są zapisani i w jaki sposób ryją pod naszym ustrojem?

Odpowiednia komórka MSW odparła, że możemy go spokojnie drukować. Píše różne manifesty, ale rozkleja je tylko na swojej klatce schodowej, a resort nie jest drobiazgowy ani małostkowy.

Kiedy zostałem szefem telewizji, Korwin-Mikke skarżył mi się, że go nie pokazują na ekranie. Poleciłem dawać go na ekran, ile tylko wlezie, bo to polityk prawdziwie niezależny. Ile razy się zmieścił w programie, tego nie wiem, mniej w każdym razie niż on by chciał, a więcej, niż pragnęłaby tego

„Solidarność”, która podobnie jak PZPR nie znosi ludzi nie zapisanych u siebie.

KOZAKIEWICZ Mikołaj – marszałek Sejmu

Ćwierć wieku temu przez kilka godzin siedziałem w domu u Mikołaja Kozakiewicza. Propagował on wówczas swobodną miłość i miał dużo listów erotycznych, które przyszedłem wykorzystać do czegoś, co pisałem. Otóż, w mieszkaniu była jakaś dziewczyna, jak oceniałem mniej więcej piętnastoletnia, niezwykle powabna. Między nią a panem Mikołajem widać było sprzężenie miłosne, cały czas przebiegały między nimi jakieś prądy. Śledziłem chyłkiem znad papierów gesty, dotknięcia, słowa, znaki. Podpatrywałem zaś dlatego, że chciałem dostrzec i uparłem się podpatrzeć, czy to córka gospodarza czy jego dziewczyna. To się zawsze poznaje, to się widzi i wie. Ja zaś nie umiałem ustalić, co tych dwoje łączy i to mnie męczyło.

W ćwierć wieku później w ogromnym, starym mieszkaniu, zagraconym z wielkim smakiem i tą nieznaną nuworyszom elegancją, jaka bywa tylko owocem nieurządzenia, niekomponowania, niemuskania wnętrza, zapytałem marszałka Sejmu: niech mi Pan powie. Profesorze, te ćwierć wieku temu, to była panienka czy córka? – To była ona – odparł wskazując na swoją żonę i Weronikę.

Skoro marszałek Kozakiewicz ma dzisiaj kapelana, który za nim chodzi po Sejmie a to z opłatkiem, to z kropidłem, to zaś z jakimś innym religijnym rekwizytem nie dziwie się już, kiedy stowarzyszenie ateistów wybierze swoim prezesem prymasa Glempa i gremialnie uda się na kolanach z pielgrzymką do Częstochowy.

KOZŁOWSKI Krzysztof – minister spraw wewnętrznych

Kiedy red. Kozłowski z „Tygodnika Powszechnego” został szefem policji politycznej w Polsce, Warszawa zatoczyła się ze zdumienia. Subtelny intelektualista, tweedowy arystokrata, wykwit krakowskiego kwietyzmu tak się niby ma do policji tajnej, jak orchidea nadaje się na nahajkę. Niektórzy przypominali, że Feliks Dzierżyński też nie wywodził się z kurnej chaty. Inni na to, że Dzierżyńscy to szlachetkowie dworkowaci, a Kozłowski hrabia i to galicyjski. Tak dyskutowała warszawka.

Ja jeden tylko się nie dziwiłem, gdyż znałem skryte zamiłowanie hrabiego do pracy policyjnej. Gdzieś w roku 1983 czy 1984 miałem sprawę w „Tygodniku Powszechnym” i byłem w redakcji. Kiedy wychodziłem Kozłowski skrzyknął swoich redakcyjnych ludzi, otoczyli mnie jako obstawa, czyli goryle, i pod komendą przyszłego szefa policji odprowadzili do samochodu. Kozłowski więc jako wolontariusz praktykował pracę w ochronie oraz ćwiczył prowokowanie efektów politycznych: chodziło o zademonstrowanie, że jego przeciwnik polityczny Urban nie może rzekomo wyjść bez opieki na ulicę, gdyż lud krakowski zaraz go rozszarpie.

KRALL Hanna – wicepisarka

Kiedy studiowałem dziennikarstwo, wśród moich koleżanek były dwie przyjaciółki: Krallówna i Bykówna. Jedna była śmieszna, a druga robiła na drutach. Potem druga poszła do cenzury, a pierwsza, co gorsza, wyszła za Jerzego Szperkowicza. Nie ma jednak tego złego, co by na dobre nie wyszło: Szperkowicz został korespondentem prasowym w Moskwie, więc Krallówna żoną korespondenta. Do Moskwy jeździł zaś Rakowski i Krallówna urządziła dla niego kolacje. Złe były czy dobre, Rakowskiemu smakowały i zrobiła dzięki nim karierę, ale to później.

W końcu 1968 r. Hanna Krall nadesłała z Moskwy do „Życia Warszawy” tekst, który opublikowano. Był to wówczas rodzaj żydowskiej dostawy obowiązkowej. Napisała kwieciste podziękowanie aryjczykom, którzy ją dzieckiem przechowali i uratowali przed Hitlerem. Hitler pragnął bowiem Krallównę zagazować. W 1968 r. przez publiczne dziękowanie gojom dobrzy, lojalni żydzi odróżniali się i odcinali od syjonistów. Krallówna dopełniła tego marcowego rytuału.

Z tym przechowywaniem ja sam miałem innego niż Krallówna rodzaju kłopotliwą sytuację. W

trakcie okupacji, będąc dzieckiem mieszkałem z rodzicami we wsi Budzanów, położonej na Podolu w okolicach Trembowli. Żyliśmy na tak zwanych aryjskich papierach, czyli udając katolików. Nasi stamtąd sąsiedzi i znajomi na ogół przesiedlili się później na Ziemię Zachodnie. Po wojnie dowiedzieli się oni, że Urbanowie są tak chrześcijańscy, jak wilk zre trawę. I otóż z biegiem dziesięcioleci do moich rodziców lub do mnie zaczęli przychodzić różni ludzie z Budzanowa prosząc o rozmałą pomoc za to, że nas przechowywali. Gdy powiadałem, że pamięć ich zawodzi, gdyż nikt nas nie przechowywał i nikomu nic nie jesteśmy dłuźni, oburzali się bardzo: oni życie dla nas narażali, a tu taka niewdzięczność! Odnosiłem wrażenie, że tamtejsza społeczność szczerze uwierzyła, że nas przechowywała. Ktoś z nich powiedział zaś tak na moje zapewnienia, że nas nie przechowywał: ale myśmy wtedy podejrzewali, że możecie być żydami, a mimo to nie wydaliśmy was Niemcom. Rozmaite bywają, jak widać, wyobrażenia o zaciąganiu dłuów wdzięczności, i w tym miejscu dziękuję wszystkim, którzy mnie nie przejechali, chociaż mijali tuż obok samochodem.

Krallówna wróciła ze swoim Szperkowiczem z Moskwy do PRL i pracowała w „Życiu Warszawy” nie publikując jednak tekstów, które by ją wyróżniały. Rakowski mimo to, przez wspomnienie jej kuchni, wziął ją do „Polityki” i tu zrobiła karierę. Stała się najwybitniejszą po Kapuścińskim reporterką i tak jak on twórcą odrębnego gatunku. Jej historie wyszydzały stosunki w Polsce. Opisywała ludzkie losy i wypowiadała z wielką wyrazistością prawdy ważne, generalne. Te historie, wysublimowane i wypieszczone, byty niczym krople wody, w których obejrzeć można było w pomniejszeniu cały kraj i społeczeństwo. Zjadliwie krytyczne spojrzenie Krallówny na stosunki w Polsce wyrażało się w tekstach politycznie bezpiecznych, dla cenzury nietykalnych. Uogólnienie ludzkich przypadków, które opisywała, dokonywało się dopiero w czytelniczej głowie. Krallówna nie pisała o ustroju, tylko, dajmy na to, o zdziwaczalej pani Pipsztyckiej, która hoduje koty, ale w rzeczywistości to nie było o pani Pipsztyckiej i o kotach, lecz sam PRL wychodził z jej reportażu bez portek. Krallówna osiągnęła w reportażu sztukmistrzostwo pisarskie dające jej tekstom rangę wielkiej literatury. Czytelnicy – smakosze uznawali w niej mistrzynię, ale nie miała szerszej popularności jako autorka. Jej teksty były zbyt subtelne, aby każdy mógł się na nich poznać, i zbyt zjadliwe wobec różnych ludzkich postaw oraz właściwości grup społecznych, aby szerokie rzesze chciały je polubić. Ludzie wyczuwali, że Krallówna wyszydza ich i ich świat, a też traktuje jak owady nadziewane na szpilkę i krojone pod mikroskopem bez litości.

W redakcji Krallówna nie była lubiana. Szefom przymilała się, resztę zespołu ignorowała, bo nosiła się jak gwiazda przy pewnym przesłodzeniu. Uprawiała codzienny kult Rakowskiego. Ustawicznie rzucała mu się na szyję, on zaś traktował ją jak swoją ulubioną kotkę. Zagłaskiwał tę faworytkę. Rakowski ma tę wadę, że ufa ludziom narzucającym mu się z ostentacyjną miłością i ufa im. Przeżywa więc nieustanne rozczarowania. Pozostałych raziła ta przymilność Hanny Krall, a redakcyjne baby zazdrościły jej pieśczot Szefa i faworów u niego. Krallówna umiała je dyskutować. Kiedy napisała książkę o Edelmanie, Rakowski załatwił z Willy Brandtem, jeszcze wtedy kanclerzem RFN, że własną ręką napisze przedmowę. Było to więcej niż dużo. Przedmowa Brandta zapewniła prowincjonalnej dziennikarce światowe zainteresowanie książką „Zdażyć przed Panem Bogiem” oraz jej autorką.

Krallówna, jak wielu członków redakcji „Polityki”, miała salonową styczność z opozycją, kokietowała ją i zezowała w tamtą stronę. Kiedy wybuchł rok 1980 i „Solidarność”, opowiedziała się po stronie „antyreżimowej” i to ją zabiło jako pisarkę. Zaczęła na kolanach pisać teksty hagiograficzne, np. o Annie Walentynowicz, który wydrukowała w „Tygodniku Powszechnym”, co uznaliśmy za zdradzieckie wobec „Polityki”. Rakowski cierpiał, jakby mu kochanka przyprawiła rogi. Później publikowała niekiedy kompromitujące brednie, np. o architekcie, który musiał tworzyć ohydny i nieludzką, gdyż reżimową dzielnicę warszawską – Ursynów, aż zyskał rozkosz oczyszczenia się z tej brudnej roboty, ponieważ zaprojektował kościół. Potem Krall jeła sporządzać powieści, gdyż uznała, że ma literacki talent. Żadnej nie zdołałem przeczytać, bo to byłoby ponad ludzkie siły. Krallówna podniosła swoje reportaże do rangi dobrej literatury, lecz siebie w obręb literatury czystej dźwignąć nie zdołała. Píše książki pretensjonalne, zakrawane z góry na arcydzieła. Są one pozbawione wzięcia u czytelników. Muszą jej starczać komplementy krytyków z kręgu „Solidarności”, zawsze zachwyconych każdym knotem napisanym przez kogokolwiek, kto był antyreżimowy.

Zespół „Polityki” stanowił grono patriotów swego pisma. Zespołowo zajęci byliśmy tworzeniem wspólnego dzieła. Hanna Krall odstawała od nas, ponieważ nic jej nie obchodziło oprócz własnej osoby i

tekstów.

Na przełomie 1980 i 1981 roku zrezygnowałem z kierowania działem krajowym, ponieważ byli w nim Krallówna, Wróblewski, Skalski, Falkowska i temu podobne osoby przechodzące na inną stronę politycznej barykady niż ta, gdzie ja stałem. Nie można zaś przewodzić gronu o dążeniach przeciwnych celom kierownika. Krallówna poczęła wtedy zbierać podpisy pod petycją, żebym nie przestawał kierować działem. Podpisała ją zresztą pilnie cała redakcyjna opozycja, co oznajmiam, bo może Skalskiego za to Michnik wyleje z posady swego zastępcy. Jest to pewien hak w życiorysie. Zareplikowałem ze złością na piśmie, że dla Krallówny ważniejszą rzeczą niż jakiekolwiek poglądy jest to, iż jako szef zawsze zachwycam się jej tekstami i nie próbowałem absorbować tej gwiazdy żadnymi obowiązkami pracowniczymi. Unosząc nad głową sztandar „Solidarności” Jej Przymilność Krallówna myślała przede wszystkim o tworzeniu warunków sprzyjających jej lenistwu. Jakże powszechna to skłonność.

KRASICKI Ignacy – towarzyssimus

Lewe skrzydło polskiej arystokracji. Wpierw marcowiec, potem najsilniej utwardzony partyjny beton. Pracował w „Trybunie Ludu”, lecz związany był z dawną „Rzeczywistością” i różnymi grupami i organizacjami nieprzejednanych tzw. prawdziwych komunistów. Jest to nurt skupiający ludzi samooślepiających się gorliwie. Dla mnie red. Ignacy Krasicki stanowi cenne alibi polityczno-towarzyskie. Jest jedyną osobą, która na przyjęciach dyplomatycznych nie odklania mi się z motywów lewostronnych. Wszyscy inni, którzy się nie odklaniają, czynią to z prawa.

Szef rodu Krasickich, hrabia Ksawery, ogłosił w „Życiu Literackim”, że towarzysze hrabia Ignacy kompromituje rodzinę tylko nieznacznie, gdyż wywodzi się z bocznej linii. To samo mówili na naradach aktywu szefowie PZPR-owskiej rodziny: Nie przejmujcie się Krasickim, towarzysze, to boczna linia naszej polityki. Jest więc boczniką dla wszystkich traktów.

Czerwonego hrabiego cechują mierne właściwości prorocze. Na plenum KC PZPR w 1981 r. Rakowski wezwał Związek Radziecki do wyrazistego sprecyzowania swoich interesów na zachód od Bugu.

Potem, na przyjęciu w ambasadzie radzieckiej Krasicki spotkał Rakowskiego i krzyczał nań: będziesz odpowiadał przed narodem polskim za zdradę socjalizmu! I taką skamieliną pozostał.

KRASIŃSKI Zygmunt – minister wzrostu cen

W 1981 r. Wojciech Jaruzelski zaprosił do swojego rządu profesora-teoretyka polityki cen, człowieka bezpartyjnego, a nawet doradcę „Solidarności”. Stworzono dla niego Urząd ds. Cen. Pełnić miał we władzy tę funkcję, którą w społeczeństwie spełnia dentysta – zadawać ból i koncentrować na sobie niechęć. W przeszłości podwyżki cen bywały impulsem do rewolt, kryzysów, przesilen politycznych, a nawet rozlewu krwi. Krasiński miał więc kroczyć przez pole minowe przed ekipą rządową w roli sapera.

Był ministrem idealnym. Po pierwsze – przybył z opracowaną w szczegółach ekonomiczną i społeczną koncepcją ewolucji cen. Po drugie – był pierwszym i wówczas jedynym prawdziwym politykiem w roli gospodarczego ministra. Znaczy to, że bardziej zajmował się sposobami dialogu ze społeczeństwem niż czysto ekonomicznym sensem swych operacji. Po trzecie – był odważny i nie chował się za niczyje plecy. Sam firmował swe poczynania i publicznie je uzasadniał. Po czwarte – był święcie przekonany, że podwyżki cen są dobrodziejstwem i przystępował do nich z zapalem, którym chciał zarazić naród. Trzeba go było powstrzymywać przed windowaniem cen w górę, nie zaś popychać do tego. Po piąte – był czarujący i ujmujący, a każdy wie, że przy świdrowaniu w zębach lub ich rwaniu najlepszym znieczuleniem jest sympatyczny dentysta. Po szóste – mimo ponurej roli grabarza nadziei na tanie życie, tryskał wesołością i optymizmem. Po siódme – miał talent telewizyjny sprzęgnięty z wielką zdolnością do logicznych wywodów fachowych. Po ósme – był wielkim popularyzatorem ekonomii. Po dziewiąte – był człowiekiem nadzwyczajnie skromnym i oszczędnym, więc naprawdę przekonany, że

człowiek może zażywać dobrobytu o kromce chleba i uchu od śledzia. Po dziesiąte wreszcie- nie był cenologiem zasklepionym w swej specjalności, lecz na posiedzeniach rządu przedstawiał bardzo kompetentną krytykę całej polityki gospodarczej i wysnuwał z niej mądre wnioski.

Przeprowadzanie operacji cenowych rozumiał jako grę ze społeczeństwem rozłożoną na różne etapy. Pierwszym było zawsze pobudzanie niechęci do istniejącej struktury cen i jej skutków. Ostatnim – dawanie społeczeństwu do wolnego wyboru różnych wariantów podwyżek, urządzenie swoistych, głosowań. Oczywiście nie miałyby sensu pytanie nabywców, czy chcą za skarpetki płacić dwa razy drożej czy dwa razy taniej. Była to inna gra. Jeśli trzymać się analogii z dentystą, to prof. Krasiński pozwalał pacjentom, aby sami wyrwali sobie zęby i samodzielnie decydowali o tym, w jakiej kolejności i który ząb chwycą szczypcami.

Opinia publiczna miała wobec Krasińskiego mieszane uczucia. Z jednej strony nie lubiła go jako zwiastuna podwyżek, z drugiej – uwielbiała jako człowieka i wielką osobowość ekranu. Odruchy przyjazne przeważały.

Przed jakąś podwyżką cen pieczywa Krasiński obiecał, że w zamian za wyższe ceny w piekarniach będą chrupiące bułeczki z makiem. Przenośnię tę naród potraktował dosłownie, gdyż nie wie, że współcześnie na Zachodzie chrupkość pieczywa uzyskuje się sztucznie przez specjalne chemiczne dodatki, na których import nas nie stać, a uprawy maku zostały ograniczone przez prawa antynarkotykowe. Tych bułeczek nie chciano mu zapomnieć, podobnie jak mnie poglądu, że rząd zawsze sam się wyżywi.

Krasiński obmyślił jeden ze swoich programów telewizyjnych tak, że miał on ukazywać jego odwiedziny w stale tej samej rodzinie robotniczej. Rodzina ta reprezentowałaby troski, racje i argumenty nabywców, on zaś wyjaśniałby, dlaczego ceny muszą rosnąć dla jej dobra. Wraz z panią domu analizowałby budżet domowy tej rodziny, jego strukturę i fluktuacje. Jeden taki, świetny zresztą program poszedł. Drugi musiałem zdjąć osobiście, bo lękałem się, że rozeźli naród tak, iż pójdzie palić komitety. Krasiński wkraczał do mieszkania tej swojej robotniczej rodziny, zabierał dziecku jabłko i gromił rodziców: Cóż to?! W czerwcu dziecko je jabłko? Toż to straszna rozrzutność! Jabłko zaś uchodzi u nas za owoc podły i każdemu dziecku należny. Rolę symbolu luksusu pełni podłużny owoc o smaku kartoflanym, który nazywa się bananem.

Chyba uznano, że Krasiński się już zużył na tych chrupiących bułeczkach, gdyż nie wzięto go do rządu Messnera. Spotkałem profesora w roli radcy ekonomicznego ambasady w Waszyngtonie, czyli w podłym miejscu, na marnej posadzie, zgazzonego. Marnuje się u nas talenty z wielką łatwością, chociaż są takie rzadkie.

Krasiński to jednak minister, do którego ekipy rządzące bezustannie tęskniły: o, gdybyś ty był Krasiński, Krasiński by to w telewizji wytłumaczył, przy Krasińskim to by inaczej przeszło... Gdy jednak wspominałem, że on nie umarł i można go na powrót zaprosić do rządu – zapadało głuche milczenie.

Dziś w przededniu wielkich podwyżek cen takiemu Związkowi Radzieckiemu byłby bardziej potrzebny polski arystokrata – hrabia Krasiński, niż bomby wodorowe i rakiety międzykontynentalne.

KRAUZE Zygmunt – kompozytor

Światowej sławy kompozytor muzyki nowoczesnej i prezes światowego związku tego rodzaju kompozytorów. Imponował mi trzema rzeczami: ma domy i w Warszawie, i w Paryżu, był mężem ogromnie pikantnej i egzaltowanej aktorki i poetessy Ewy Pokas i wytrzymywał to oraz że w jego pokoju zobaczyłem kiedyś stos wielkich polnych kamieni. To był jeden z jego instrumentów muzycznych. On stukał tymi kamieniami o siebie i zapisywał dźwięki.

Przy Krauzem czuję się głuchy, przy Starowieyskim lub przy Dudzie-Graczu – ślepy, przy Werblanie czuję się wymóżdżony, przy Olku Kwaśniewskim – niemy, przy Maziarskim – tłusty, przy W. Komarze – beźmięsny, przy Millerze – mało przystojny – najlepiej mi więc w towarzystwie przy budce z piwem, tylko tu pech chce, że nie znoszę piwa.

KRAWCZUK Aleksander – cesarolog

Prowadzę konferencję prasową. Z ramienia rządu doproszony jest jeszcze minister kultury prof. Krawczuk. I oto, co się dzieje. Służba Bezpieczeństwa w całym kraju konfiskuje nielegalne drukarnie i druki oraz wsadza ich kolporterów. Ja co tydzień wydzieram się przeciw opozycji. Krawczuk zaś w imieniu rządu oznajmia spokojnie i od niechcena, że drugi obiegi jest bardzo pożyteczny i powinien zostać zalegalizowany. Tam u nas na wyższych piętach władzy trochę konsternacji i delikatnych napomnień, ale nikt się tym nie przejmuję. Wiadomo, Krawczuk sobie chłapie, no, wobec Rakowieckiej to nielojalne, ale tak zupełnie między nami mówiąc, przecież on ma rację.

Profesor Krawczuk to najlepszy minister kultury, jaki był i jaki kiedykolwiek będzie. Po pierwsze – niczego i nikogo się nie bał. Po drugie – nie używał swojej władzy i w nic się nie wtrącał. Po trzecie – lekceważył różnicowania polityczne i był życzliwy ludziom sztuki wszystkich kierunków, dziwując się, o cóż to oni właściwie się gryzą. Po czwarte – okazywał nonszalancką władzę: on obcuje z rzymskimi cesarzami, a do komunizmu wpadł na chwilę gościnnie i jest niezależny. Przy tym naprawdę był niezależny: politycznie, finansowo, umysłowo i administracyjnie. Po piąte – był zawsze zadowolony z siebie. ze stanu spraw w powierzonych mu dziedzinach, więc promieniał optymizmem, lecz nim nie drażnił swojej klienteli. Widać bowiem było, że wierzy w to, co mówi. Po szóste – pochodził z Galicji, z Krakowa, a minister kultury powinien stamtąd pochodzić, nie zaś z surowego Poznania. Akurat na odwrót niż minister policji.

Krawczuk, profesor historii starożytnej i telewizyjny gwiazdor w salonach władzy, nosił ksywę Filutek. Podkreślał zawsze, że on żyje starożytnością, wśród rzymskich bogów, cesarzy i poetów, a na współczesność patrzy z tego dystansu. Był jednak bardziej przytomny i współczesny, niż udawał. Na starożytności zyskiwał popularność i zbijał forsy: pełno go było w telewizji oplotkowującego cesarzy, a wydawnictwa w wielkich nakładach tłukły czterdzieste wznowienia jego książek. Wiezorami jednak ku jego warszawskiemu mieszkaniu przemykały się zamaskowane postacie i nie były to bynajmniej duchy Wergiliusza czy Nerona, lecz całkiem dzisiejsze telewizyjne gwiazdki – dupinki.

KRZAK Marian – dyrektor PKO

Pracowałem z nim w redakcji „Życia Gospodarczego”. Kolegowałem się w rządzie Jaruzelskiego, gdzie był elokwentnym ministrem finansów wyposażonym zawsze w więcej słów niż pieniędzy. Udało się potem znaleźć jeszcze gorszego od Krzaka ministra finansów. Proponowano mu prezesa RSW „Prasa” – wybrał ambasadora w Wiedniu, bo tam parzą dobrą kawę.

Metodą różnych prób i błędów Marian Krzak doszedł do stołka dyrektora PKO i rozwija ten bank nadzwyczajnie. Szczęśliwi są ludzie, którzy odnajdują wreszcie swoje powołanie i wtedy nie jest ważne, czy to się stało przez kolejne szczeble awansów czy też w drodze stopniowego upadku.

KUBERSKI Jerzy

Był warszawskim kuratorem szkolnym, ministrem oświaty, ministrem ds. stosunków z Kościołem i wreszcie przedstawicielem rządu w Watykanie. Pan bardzo wszystkim podekscytowany. W większym stopniu niż dewoci uważa, że Kościół jest pępkiem świata. W sposobie bycia i mówienia upodobał się do biskupów; ścisza głos, waży słowa. Przyjeżdżając z Watykanu do Warszawy, często mnie odwiedzał w moim biurze w gmachu rządu i z wielkim podnieceniem opowiadał, co który prałat powiedział o sprawach polskich. Traktował to z takim przejęciem, jakby Bóg był i mówił przez swoich urzędników do Kuberskiego, określając losy Polski.

Tak się Jerzy Kuberski przy Kościele zasymilował, że moim zdaniem powinien teraz zostać księdzem i kurialistą. Chyba z ateizmu można się wypowiedzieć, a czerwoną przeszłość wyrzucić z siebie przez gardło niczym nieświeżą rybę.

KUBIAK Hieronim – pogromca wojny

Prof. Kubiak z Krakowa na początku lat 80. był członkiem Biura Politycznego i sekretarzem KC. Potem już tylko członkiem Biura. Następnie objął przewodnictwo polskiego Komitetu Obrońców Pokoju i odniósł historyczny wręcz sukces: wojna nie wybuchła. Był ultraliberałem partyjnym, a także człowiekiem bardzo eleganckim. Nosił szkockie krawaty, kamizelkę, brodę i palił fajkę. Wyglądał więc przepięknie. Mówił mądrze, głęboko i też pięknie. Często siadywał wieczorami u Wojciecha Jaruzelskiego. Jego dywagacje intelektualno-polityczne trwały wiele godzin. Dobrze rozumował i zawsze miał rację mówiąc, co należy robić. Szkopuł tkwił zawsze w tym, kto to będzie robić. Kubiak jest bowiem wyłącznie człowiekiem myśli i kiedy nabije fajkę, już czuje się przemęczony.

Odcięty został od kierownictwa PZPR jako skrzydło. Nadszedł czas, żeby amputować skrzydło betonowe. Nie pamiętam już, czy chodziło o Olszowskiego czy Siwaka czy o obu. Wiadomo, że wtedy odcinać trzeba także drugie skrzydło: liberalne. Partia jest jak wspaniały ptak, więc kiedy ma korpus i tylko jedno ze skrzydeł mu się podetnie, wówczas ptak nie poszybuję równo w przestworza. Kubiak był potrzebny jako drugie skrzydło do podcięcia i poszły w ruch nożyce do drobiu.

Wtedy powstał wielki problem. Kubiak miał pójść obronić światowy pokój, ale funkcję naczelnego obrońcy zajmował Józef Cyrankiewicz. Cyrankiewicza, człowieka swego czasu wspaniałego i polityka z bożej łaski (który minął się z najlepszą dla siebie epoką, bo był to urodzony lider typu parlamentarnego), tknęła już wtedy mocno skleroza. Mówił w kółko to samo, żył odległą przeszłością, mało co już rozumiał i tylko instynkt oraz trening sprawiały, że w sytuacjach publicznych odzywał się do rzeczy. W każdej jednak chwili mogło się zdarzyć, że Cyrankiewicz, z którym, nie chwaląc się, byłem na ty, wygłosi na forum międzynarodowym mowę ostrzegającą, co prawda przed wojną, ale przed drugą wojną punicką. Nie wiedział, co się z nim dzieje. Ta właściwość sklerozy jest dobrodziejstwem ludzi starszych. Powstał więc problem, jak spławić Józka, żeby sprawę zachowania pokoju oddać w ręce Hieronima. Wiesław Górnicki jako zastępca obrońcy pokoju biegał ogromnie tą operacją przejęty. Jakoś to załatwiono. Cyrankiewicza ugłaskano tytułem honorowego przewodniczącego zwolenników pokoju na całym świecie i Kubiak objął tzw. Ochabówkę, willę w pobliżu Starego Miasta, gdzie obrońcy pokoju mają swój bunkier obronny.

Słuchałem go ostatni raz z rozkoszą, kiedy piękną swą mową robił na szaro epigonów Marca, konkretnie bodajże reżysera Porębę, na ostatnim likwidacyjnym zjeździe PZPR. Ten Krakauer i liberał został po lewicy.

Zalew profesorów był i jest plagą polskiej sceny politycznej. W KC zawsze pracowało kilkuset magistrów, którzy nienawidzili profesorów panoszących się w Biurze, rządzie i Sejmie oraz w opozycji. Tych ostatnich zawsze mniej nienawidzili, bo nie byli od nich zależni. To jednak nieprawda że każdy profesor jest durniem. Uważam, iż istnieją wyjątki, a mogę tak uważać, ponieważ nie jestem magistrem i nie mam kompleksów dla nich typowych. Posiadam zaledwie maturę, a i to po części biorącą się ze ściągania na egzaminie, a po części wyplakaną u belfrów przez moją zaradną matkę.

KUROŃ Jacek – minister

Kuronia poznałem przed wyborami. Przyszedł do mnie jako szefa telewizji w roli sekretarza propagandy KC opozycji. Na widok Kuronia i na dźwięk jego aksamitnego głosu doznałem straszliwego szoku. Byłbym przysięgł, że to Rakowiecka i ja wymyśliliśmy tę postać, gdyż taki polityczny potwór był nam niezbędny do straszenia. I oto okazało się nagle, że Kuroń opuścił naszą wyobraźnię i istnieje naprawdę.

Jest to wybitny polityk, którego zgnojono czyniąc go ministrem od bezrobocia i ubóstwa, wydzielając mu odpowiedzialność za ujemne skutki polityki rządu, w którym jest. Ma zgrzebną tekę i żadnego programu. Wykańczanie Kuronia obejmuje także wtorkowe gawędy telewizyjne. Wielki wiecowy mówca o dramatycznym chrapliwym głosie głądzi w roli dobrej cioci i przymila się do emerytów. Byłby świetnym rzecznikiem rządu. Zrobiono zbyt wielki błąd w obsadzie, aby on nie był umysłny.

KUROPIESKA Józef – generał

Ostatnio któregoś lata sąsiadowałem czas jakiś na plaży w Bułgarii z dwoma rozbrykanymi chłopcami. Byli to generałowie czasów wojny: Kuropieska i Skibiński, kawalarze, żywo zajęci tematami: popić i kobitki. Niestety Skibiński miał za szerokie majtki i męskość dyndała mu na wierzchu a jej widok nie przyciągał młodych i wymagających dziewczyn.

Generał Kuropieska chodzi już słabo, ale wódkę ciągnie mocno. Uroczy gawędziarz i dobre pióro. Za stalinizmu siedział, miał wyrok śmierci i swoje straszne przeżycia opisał w książce. Ciekawe, że taki przedwojenny oficer, ciężko skrzywdzony przez powojenny ustrój, pełen jest sympatii do Jaruzelskiego i w ogóle ekip rządzących poprzednio, a demonstrowuje brak adoracji dla drugiej strony, która przejęła władzę.

Od kiedy stuknął mu dziewiąty krzyżyk, został podróżnikiem, objeżdża obie Ameryki i Australię, żeby pokazać, że jest nie do zdarcia.

KUTZ Kazimierz – szczęściarz

Reżyser filmowy i teatralny. *Perła w koronie* itd. Dyrektor krakowskiego ośrodka telewizji. Ma wzrost Mieczysława Wilczka. W stanie wojennym internowany. Kiedy władze centralne połapały się, że zamknięto Kutza, przyjął go minister Czesław Kiszczak i przeprosił wyjaśniając, że został internowany tylko dlatego, ponieważ w internacie łatwo było go upchnąć: zajmował mało miejsca. Minister przyznał mu także reparacje wojenne w postaci mieszkania nade mną. Rozdziela nas tylko Miodowicz. Dzięki internowaniu Kutz jako kombatanat dostał coś i od obecnej władzy – fotel dyrektora, ale ponieważ internowany był krótko, dyrekturuje na prowincji.

Kazimierz Kutz jest atakowany. Jako dyrektor krakowskiego ośrodka TVP odmawia rozpoczynania dnia pracy od głośnego odmawiania różańca i nie chce przyklękać nawet na jedno kolano, kiedy mija w swoim budynku pokój „Solidarności”. Poza tym wyreżyserował dla TVP sztukę Różewicza *Do piachu*, która gruntownie obraża bohaterskie oddziały leśne AK. Sztukę tę obecna władza natychmiast uczyniła półkownikiem, w drodze wyjątku od zasady, że mamy wolność i niczego nie odkłada się na półki.

Ma żonę Iwonę, aktorkę. Wiek i aparycja amantki, ale już z upodobaniem do grania ról matki. Olga Lipińska wyrzuciła ją z teatru „Komedia”, ponieważ była pyskata oraz cierpi na chroniczną ciążę. Oczywiście, zaraz potem dyrektor „Komedii” Lipińska wyrzucona została z teatru. Kutzowa zrobiła lalkę Lipińskiej i przebiła ją szpilką.

Oprócz żony Kutz ma dom wysokogórski ze stromym podejściem, ponieważ również w tej dziedzinie życie stara się sobie utrudniać.

KWAŚNIEWSKI Aleksander – wódz socjaldemokracji

Cudowne dziecko PZPR-u, ksywa Młody. Już się zresztą starzeje, lecz czyż to nieprzyjemnie być starym dziadem z pseudonimem Młody dla kontrastu? Polityk brawurowy, ale w sposobie bycia, myślenia i mówienia. Piankowy, lekki, rozperlony – przeciwieństwo Geremka i w ogóle odętych aparatczyków. Człowiek rozrywkowy.

W PZPR było tak. Dopóki sytuacja uchodziła za stabilną, dopóty polityka zawsze była w ręku masywnych, solidnych, szarych aparatczyków kooptowanych wedle pokoleniowej regularności i upodobań wąskiej grupy kierowniczej. W chwilach przełomu, gdy wszystko się chwiało, szeregi aparatu władzy ozdabiano spieszenie osobami jak na daną chwilę egzotycznymi. Jaruzelski sięgnął po Rakowskiego, Świrgonia (zabieg nieudany), po profesorów Krasieńskiego, Krawczuka, po Urbana. Rakowski po Kwaśniewskiego, Wilczka, Sekułę. Ludzi nieco barwniejszych bierze się więc wtedy, kiedy jest niedobrze. Na ogół więc za późno. Za pięć dwunasta tej północy, która wybijała właśnie realnemu socjalizmowi, doproszono do władzy dziennikarza Kwaśniewskiego, redaktora „Sztandaru Młodych”, wcześniej „ITD”, i umoczono biedaka w niezmywalnej czerwonej farbie.

Na ostatnim zjeździe PZPR, który planowo przerodził się w pierwszy Zjazd Socjaldemokracji, Kwaśniewski przeżył swój wielki triumf. Skłócona sala poszła za nim jako przywódcą, stwarzającym nadzieję na uleczenie ciężko chorej lewicy. Święto było, minęło. Socjaldemokracja ma status zdechłego śledzia. Okoliczności zmarują nam Kwaśniewskiego. Może się stoczyć w dół – zostać działaczem sportowym, czyli wykonywać prace mniej inteligentne niż zajęcia złodzieja czy sutenera.

KYDRYŃSKI Lucjan – konfehansjehr

Wywodzi się z kołtuńskiej, półinteligentnej półkulturki „Przekroju”. Zapowiadacz sceniczny, radiowy i telewizyjny. Był bożyszczem kobiet, lecz już wyleniał. Lenienie nie wywodzi się od lenia. Pracowity niezmiernie. Specjalnością Kydryńskiego są teraz ekshumacje artystów z dawnych epok. Grabarz Ordonki. Jako konferansjer ima się każdej pracy: w stanie wojennym czytał Biblię w kościołach. Ponieważ arystokratycznie graseje, musiała to być najwytworniejsza, wielce salonowa interpretacja Chrystusowej Evaużelii. Obecnie, w telewizji Kydryński zapowiada filmy i wszystkie, które anonsuje, noszą nazwę Kina Kydryńskiego. W ten sposób stopniowo staje się – w społecznej świadomości – właścicielem, a może nawet twórcą, połowy światowej kinematografii. Nie tylko to dowodzi jego zmysłu do interesów. Prowadzi (często razem z Młynarskim) wielki rodzinny biznes. Kiedy Kydryński w Sali Kongresowej uprawiał nekrofilę na jakiejś zmarłej gwiazdce, pełną obsadę zapewniali Kydryńscy i Młynarscy: żona Kydryńskiego, syn Kydryńskiego, córka Młynarskiego Paulina Młynarska. Jeszcze jednak siedzi w Szwajcarii nie wykorzystana siostra Młynarskiego – Barbara, która mogłaby doskoczyć i zaśpiewać, powiedzieć wierszyk lub zagrać na bębnie.

LASOTA Eligiusz – potocznie Lilek

Kiedy na początku 1955 r. przyszedłem do studenckiego i zetempowskiego jeszcze „Po prostu”, redaktorem naczelnym był Gruszecki, człowiek trunkowy. W 1951 r., gdy miałem 18 lat, zacząłem pracować w „Nowej Wsi” i uszyłem sobie pierwsze w życiu wizytowe ubranie – poszedłem w nim na pierwszy bal sylwestrowy do gmachu ZHP na Konopnickiej. Gruszecki zaszczylił mnie swoim towarzystwem, nachylał się ku mnie coraz intymniej, aż wreszcie załat mi to dziewicze ubranie ogromnym pawiem.

Faktycznym szefem redakcji „Po prostu” był jednak nie Gruszecki, lecz płomienny Ignacy Waniewicz – istny prorok marksizmu-leninizmu. Otóż Waniewicza, tak jak i Gruszeckiego, niebawem wylano, nie wiem czy za nadgorliwość, czy też w czymś się odchyłał. Został on potem twórcą w telewizji oświatowej na światową skalę i chyba nią i dziś steruje z ramienia ONZ czy UNESCO. Miał on żonę Irenę Waniewiczową, która pracowała ze mną w „Nowej Wsi”, a poza tym studiowała medycynę i była stewardesą. Ta efektowna osoba została potem dziewczyną Pajetty, jednego z przywódców Włoskiej Partii Komunistycznej. Mówiono więc, że widmo komunizmu, które krąży po Europie, to współcześnie właśnie Irena Waniewicz.

Po parze Gruszecki-Waniewicz, szefem „Po prostu” został młody chłopak Lilek Lasota. Był komendantem chorągwi harcerskiej w Szczecinie. Posłano go do Moskwy, gdzie skończył szkołę Komsomołu i po tej doniosłej edukacji dla zaufanych został osadzony w „Po prostu”. Miał żonę Halinę Mirską, która studiowała w Bukareszcie i mówiła biegle po rumuńsku oraz uciekała Lilkowi z domu, gdyż była młoda, ładna i kapryśna.

Z Eligiuszem Lasotą przyjaźniłem się i piliśmy razem co dzień i co noc. Zresztą, on był przyjazny każdemu. Nie lubił tylko pracować. Miał za to zamiłowanie do reprezentowania, przyjmowania gości i podróży zagranicznych, więc tym się zajmował. Jest to bardzo częsta skłonność u redaktorów naczelnych i działaczy.

Historyczna rola Lasoty polegała na tym, że postawiony przez władze na straży linii pisma, poddał się całkowicie demokracji, jaka rozpanoszyła się w redakcji, i nie przeciwstawiał się przemianie „Po prostu” z pisma drukującego głównie uchwały i konsultacje ideologiczne w żywy tygodnik opozycyjny. Przeciwnie, wspierał tę metamorfozę, choć to on, a nie my, ryzykował stanowiskiem.

W późniejszym okresie władze postanowiły zdjąć Lasotę. Dowiedział się wieczorem nieoficjalnie, że rano powiedzą mu o tym oficjalnie. Noc spędziliśmy, jak zawsze, w „Kameralnej”, gdzie królował Hłasko, który u nas pracował dopóty, dopóki go Lasota nie wyrzucił za skopanie i połamanie dziecka sanek na ulicy. Też mi wielkie przestępstwo!

Lasota postanowił nad ranem uciec z Warszawy wprost z „Kameralnej”, bo uważał, że podczas nieobecności nie będą go mogli zdymisjonować. Redakcja miała wówczas stary kabriolet marki „Horch” – niemiecki, ze skórzanymi siedzeniami, piękny. Legenda głosiła, że był to wóz marszałka Rzeszy Hermanna Goeringa, ale o wszystkich dobrych domach, jachtach i autach mówiono wtedy, że były jego. Wóz ten prowadził dystyngowany kierowca – pan Kostek, w białym kaszkiecie. I on wywiózł Lasotę nad Bug, nad radziecką granicę, gdzie Eligiusz miał zaprzyjaźnione lotnisko.

Nazajutrz Bratkowska pobiegła do Jaworskiej, przewodniczącej całego ZMP, aby wstawiła się za Lasotą. Jaworska poszła gdzieś na samą górę, chyba do Ochaba, i Lasotę uratowano.

Faktycznie pismo prowadzili Ryszard Turski i Anna Bratkowska, zastępcy Lasoty. Redagowanie odbywało się jednak metodą sejmikową, to znaczy, kto tylko był w redakcji, siedział w gabinecie naczelnego, czytano tu teksty, dyskutowano i kłócono się. Lasotę wszyscy kochali, ale miał opinię głuptaka. W okolicach październikowego przełomu dokonano więc wyboru nowego naczelnego redaktora. W głosowaniu zwyciężył Ryszard Turski ku wielkiemu zdumieniu i rozpaczy kontrkandydatki Bratkowskiej. Ona jednak wkrótce została zastępcą szefa całej prasy w KC i zrzekła się na korzyść Lasoty fotela w Sejmie. Tak więc został posłem i na koniec cała czołówka redakcji miała swoje konfitury, póki nie doszło do rozwiązania pisma.

Usunięto wtedy Lasotę z partii, potem jednak przyjęto go z powrotem. Długie lata pracował w „Głosie Pracy”. Zajmował się sprawami międzymarcowymi. Cokolwiek jednak robił przez całe dalsze swoje życie, był już wyłącznie i ciągle byłym naczelnym „Po prostu”. W zasadzie jego życie skończyło się więc, jak miał 25 lat. Później, jeżeli był dostrzegany przez ludzi z prasy, dyplomatów, zagranicznych korespondentów, to wciąż w związku ze wspomnieniami o „Po prostu”. Idiotyczne życie.

Kiedy tylko w Polsce następowały zmiany polityczne, np. w 1971 r. i w 1980 r., zaraz dawna czołówka ludzi z „Po prostu” zbierała się, żeby reaktywować pismo. Ta nadzieja, ten zamiar był znakiem orientacyjnym ich życia. Ostatnio ludzie ci wznowili „Po prostu”, sukcesu ono nie odniosło, więc umarła nadzieja ich życia i mit, który mu nadawał sens.

LASOTA Grzegorz – pokutnik

Lasota wraz z Woroszylskim, Borowskim, Mandalianem, Konwickim itd. należał do przyszczatych. Skupieni oni byli w „Nowej Kulturze” i ostro propagowali socrealizm skrajny, zwalczając w literaturze wszystko, co nim nie było. Działo się to na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych. Młodziutki Lasota napisał wówczas sztandarową dla przyszczatych broszurę pt. „Kierunek natarcia”. Większość jego kolegów zmasakrał potem grzechy młodości przechodząc do opozycji i zajmując w niej postawy równie skrajne, tylko odwrotne. Lasota nie wykonał żadnych płaśw, nie usiłował jeszcze raz odegrać wielkiej roli politycznej i przez to ciągle chodzi z garbem ideologa socrealizmu.

Kiedys zrobiłem mu świństwo. W 1956 r. Grzegorz Lasota przyszedł do „Po prostu” i powołując się na przewodniczącą ZMP Helenę Jaworską oznajmił, że bierze warendę część pisma i będzie redagował dodatek kulturalny. W poprosiakiach krew się zagotowała po zetknięciu z taką hucpą. Przy tym w ogóle nie chciano Lasoty jako skażonego stalinizmem. Był już w zespole Zimand z tej samej grupy skrajnie przyszczatych i część zespołu uważała, że to kompromituje pismo. Intrygowała więc, aby pozbyć się Zimanda. Ambroziewicz powiedział wtedy Lasocie, żeby policzył schody wiodące do redakcji „Po prostu”, by potem nie twierdził, że spadł z większej liczby stopni, niż ich jest. Lasota chyba domyślił się w tym odmowy i poszedł sobie w siną dal.

Moje draństwo polegało na tym, iż napisałem apokryf: rzekomy list Lasoty skarżącego się na spuszczenie go w „Po prostu” ze schodów. Miał on być szeroko kolportowany, aby go ośmieszyć. Oczywiście pary starczyło tylko na napisanie apokryfu, a na dystrybucję już nie i mało kto to oglądał poza samym Lasotą.

W późniejszych latach związał się z telewizją, robił znakomity pod jego ręką magazyn kulturalny

„Pegaz” oraz reżyserował filmy o sztuce. Dostał za jeden wysoką nagrodę międzynarodową. Ten mądry, zdolny i spokojny człowiek jednego razu zgłupiał.

Otóż, w dzienniku telewizyjnym zawsze był i jest baron Shoen-Wolski, człek trunkowy i fajny. Mieszkał on z Mulatką z Wenezueli o imieniu Carmen, która u nas studiowała. Była to przepiękna dziewczyna, bardzo czarna, córka aptekarza z Caracas. Tak długo studiowała w Warszawie ekonomię socjalizmu i socjologię, że się zupełnie spolonizowała. Carmen grywała epizody w filmach, w których potrzebna była czarna dziewczyna. Jeździła też do Szwecji pozować do luksusowych wydawnictw porno, do czego nadawała się świetnie każdą częścią ciała.

Kiedyś prof. Marek Waldenberg, socjolog z Krakowa był na weekendzie pod Madrytem, u rektora tamtejszego uniwersytetu. Przechodząc oblał czerwonym winem bardzo białą sukienkę bardzo czarnej Murzynki. Ku jego zdumieniu ta czarna, nie wiedząc, że Waldenberg jest z Polski, bluznęła polsko-studenckim slangiem: – A to chuj na kaczych łapach itd. Krakauer był mocno zaszokowany.

Wolski zwykł był do Carmen mówić: Gdyby nie ja, nago i boso byś. Murzynie, po Caracas biegła. Ona jednak uniezależniała się coraz bardziej od barona i Shoen-Wolski nosił jedne z większych rogów w całej telewizji.

Jednego razu Lasota do mnie zadzwonił i zapytał, czy nie znam telefonu do Murzynki imieniem Carmen, bo on się do niej bardzo pali. Znałem. W połowie zamieszkiwał odtąd w Wenezueli, która leży w Ameryce Południowej, hen.

Ostatnio widziałem Lasotę przy windzie, kiedy byłem radiowo-telewizyjnym prezesem. Wydał mi się jedyną rozsądną i zrównoważoną osobą w tym domu wariatów. Jest to człowiek, który mógł być wszystkim jako ktoś utalentowany artystycznie i myślowo oraz politycznie. Nie ośmielił się jednak zostać czymkolwiek po swym niefortunnym starcie. Paradoksem jest, że Lasota, który umie wiele rzeczy i nadaje się do wszelkich zajęć umysłowych od rządzenia poczynając na kręceniu filmów kończąc, najmniej potrafi pisać. Ale pisanie było jego pierwszym zawodem, lecz na nim tak zwicznął nogę, że całe życie już kuleje.

Kiedyś Lasota otrzymał nominację na naczelnego redaktora którejś z telewizyjnych redakcji i kadry dostały drzączki, gdyż okazało się, że on ma tylko podstawowe wykształcenie, a i to niepewne. Przepisy zaś wymagały, żeby naczelnym był kretyn z doktoratem. Został naczelnym, a kadrowe urzędniczeki z magisteriami poczuły, że ziemia się pod nimi zatrzęsała i góry się wały.

LIPIŃSKA Olga – reżyser

Osoba, która nie wie dwóch rzeczy:

1. Ze to ona właśnie dlatego pierwsza w Polsce stworzyła kabaretową sztukę prawdziwie telewizyjną, odrębną od innych sposobów przedstawiania, ponieważ Lipińska nie nadaje się do konwencjonalnego teatru, który kładzie i morduje.
2. Że to nieprawda, iż jej suka rasy spaniel popadła w depresję nie mogąc znieść nowego mieszkania. Natomiast prawdą jest, że pieśczone przez aktorów teatru „Komedia” zaraziła się od nich alergią na swoją panią.

LIPIŃSKI Eryk – strażnik rysunków

Bardzo miły i ozdobny pan, ale niezwykle kosztowny. Zrobił dowcip podatnikom zakładając, tworząc i wyposażając państwowe Muzeum Karykatury. Oczywiście jest jego dyrektorem. Odtąd to, czego Polsce jeszcze brak, to Muzeum Wykałaczek.

Był posiadaczem największej w kraju liczby cegiełek na budowę domu partii. Przekazał je na rzecz Uniwersytetu, aby wykurzyć z biura w gmachu KC swego własnego szwagra, czyli brata żony Maruszki – Marcina Borowicza, dyrektora gabinetu ostatniego I sekretarza KC PZPR M. Rakowskiego. Bo tak to się na naszej polskiej prowincji wszystko spleta.

LIPSKI Jan Józef – przywódca PPS

Jest on bodaj senatorem i przewodzi jednemu z kilku istniejących PPS-ów. Nikt nie wie, ile jest Polskich Partii Socjalistycznych, które zajmują się głównie wzajemnymi kłótniami, porozumiewaniem, łączeniem i dzieleniem.

Razem z Janem Józefem Lipskim pracowałem w „Po prostu”, gdzie on pod koniec kierował działem kulturalnym. Potem go widywałem, kiedy sterował Klubem Krzywego Koła, dokąd pilnie uczęszczałem, żeby przysłuchiwać się dyskusji. Niektóre były niezwykle ciekawe np. o granicach kolaboracji w czasie okupacji i o likwidowaniu kolaborantów przez AK. Dyskusja toczyła się z udziałem naocznych świadków wydarzeń, bo samych likwidatorów, ludzi, którzy zabijali, co było ekscytujące. Wspominali oni o tym, że zabili przez niewiedzę jednego z głównych agentów wywiadu brytyjskiego w okupowanej Warszawie.

Lipski dał mi poznać, jak opozycja wciąga do swoich przedsięwzięć. Było to chyba u zarania lat sześćdziesiątych. Umarł właśnie prof. Stanisław Ossowski, wybitny socjolog, którego trochę znałem. Lipski zadzwonił, czy nie podpisałbym zbiorowych kondolencji do wdowy. Prof. Maria Ossowska wykładała mi na Uniwersytecie. Czemu bym miał nie podpisać kondolencji? Lipski umówił się ze mną w Klubie pracowników Uniwersytetu. Przy jego stoliku siedział Paweł Jasienica i jeszcze jakieś znane osoby. Podano mi list kondolencyjny. Okazało się, że był to tekst polityczny, jedno z uprawianych w tych latach zbiorowych wystąpień, których podpisywanie oznaczało akces do opozycji. Nie miałem ochoty tam przystępować. Z drugiej strony nie wypadało mi odmówić podpisania wyrazów żalu z powodu śmierci profesora Ossowskiego, szczególnie że parę osób przy stoliku patrzyło, jak się zachowam. Podpisałem. Fakt sam w sobie był bez znaczenia, pokazywał tylko metody wciągania ludzi w krąg politycznej opozycyjności. Więcej Lipskiego nie widziałem.

LOSKA Krystyna – spikerka TV

Z epoki Gierka przetrwała cała jej estetyka, w tym Krystyna Loska w telewizji. Uwielbiana przez dwie generacje widzów TV. Teraz na ekranie pojawiła się także jej córka, Loska Młodsza. Trwają wokół niej starania, aby zaszła i urodziła dla telewizji kolejną Loskę, która zabezpieczy potrzeby programu TVP do końca XXI wieku.

ŁAPICKI Andrzej – aktor

Mój zwycięski przeciwnik w wyborach z 4 czerwca 1989 r. Wygrał 80 do 20 procent, wstyd się przyznać, bo wart byłem przegranej z kimś prawdziwym.

Za dawnych dobrych czasów, kiedy nie było jeszcze Wałęsy i jego drużyny wybieranej do parlamentu poprzez pstryknięcie zdjęcia przez fotografa, Łapicki miał dwie specjalności aktorskie. Jedną z nich był głos aksamitny, a zarazem dźwięczny jak dzwon. Cały naród kochał timbre głosu Łapickiego, a idąc za tym głosem pokochał również socjalizm. Ten głos zaangażowany był w Polskiej Kronice Filmowej, która w pierwszym dwunastoleciu PRL zastępowała telewizję. Zrósł się więc ze sławieniem wszystkich przewag socjalizmu oraz z rozgramianiem jego wrogów. Zdziwiłem się więc, gdy się okazało, na początku lat osiemdziesiątych, że Łapicki jest doradcą prymasa. Mnie się on kojarzył z Kościołem wyłącznie przez to, że pamiętałem dźwięk jego głosu komentującego z sugestywnym oburzeniem proces biskupa kieleckiego Kaczmarka.

Drugą specjalnością aktorską Łapickiego był bardzo przystojny wygląd i szlachetny rodzaj urody. Jest rzeczą ciekawą, że reżyserzy mało go obsadzali jako amanta, co wymaga dynamizmu, czyli ikry ewentualnie charakteru. Domeną Łapickiego za socrealizmu były role ludzi z amerykańskiej elity. Przejawiał się w tym bezwiedny szacunek dla wrogów klasowych oraz politycznych przeciwników naszego ustroju. Uważano mianowicie, że mają być nieskazitelnie gładcy, raczej śliscy niż chropowaci. Pamiętam go więc w takiej roli w sztuce 30 srebrników Howarda Fasta.

Pan grzeczny, jak lud mówi: kulturalny człowiek. osobowość nie poddaje się opisowi, gdyż

wymagałaby wnikliwego obserwatora. Zresztą osobiście Łapickiego nie znam. W kampanii wyborczej raz czy dwa palnął jakieś głupstwo, które wykorzystałem, ale na ogół mówił nylonowe frazesy. W pracy sejmowej też się niczym nie wyróżnia. W sumie sympatyczna postać, format małoobrazkowy.

ŁOMNICKI Tadeusz – aktor

Eks-członek KC, który zrobił hop wprost do opozycji. Podobnie uczynił Dmochowski, ale on niczemu nie winien, gdyż żona mu kazała.

Łomnicki to wielki aktor, tak ogromny, że mu wszystko wolno. Jest to taki geniusz aktorstwa, że potrafi udawać wszystko, w czym się go obsadzi. O złym aktorze wiemy, jaki jest, a co gra. Łomnicki nie istnieje jako taki, ma tylko wcielenia, które zawsze są doskonałe. Zacierą też granice pomiędzy tragedią a komedią. Zawsze jest tragikomiczny.

MALINOWSKI Roman – eks-marszałek Sejmu

Popularnie zwany Grossmarchall. Rzeczywiście, Europa miała tylko dwóch polityków tak wielkich i ciężkich. Ostał się ten bardziej mikry – Helmut Kohl. Swobodnie przechodziłem marszałkowi między nogami nie zawadzając głową o krocze. Latem 1988 r. strajki przerwały nam obu urlop w Bułgarii i wracaliśmy we dwójkę małym wojskowym samolotem, który przyleciał po marszałka. Nie wiedzieliśmy, że poprzedniego wieczoru Jan Pietrzak na imprezie piosenkarskiej, bodaj nadawanej przez Interwizję na całe RWPG, powiedział o Polsce, że wkrótce dogoni Rumunię. Rumuńskie władze obraziły się i za Pietrzaka retorsje dotknęły Malinowskiego – Rumuni nie przepuścili naszego samolotu przez swoją przestrzeń powietrzną, co stanowiło demonstrację szokującą, której powód poznaliśmy dopiero po wylądowaniu w Warszawie. Dość, że lecieliśmy we dwójkę okrężną drogą nad Związkiem Radzieckim, co wymagało lądowania w Odessie dla nabrania paliwa. Na odeskim lotnisku tłumy podróżnych przechodząc gapiły się, objawiając radość, na dwie figury sterczące samotnie w słońcu na płycie lotniska. Roman Malinowski mógł to brać za objaw swojej światowej popularności, ale tubylców bawiła dysproporcja między rozmiarami marszałka polskiego Sejmu a rzecznika rządu.

W saloniku samolotu politykowaliśmy zawzięcie, omawiając rozmaite kombinacje polityczne i gabinetowe. Gdybym wtedy Malinowskiemu powiedział, że wkrótce pójdzie do Wałęsy zawierać z nim koalicję parlamentarną, wyrzuciłby mnie chyba z samolotu w locie i to bez spadochronu.

On w tym czasie mniej już czuł się wodzem chłopów i szefem lobby rolnego na polskiej arenie wewnętrznej, a więcej mężem stanu międzynarodowej skali – rozmówcą papieża i szefów rządów, jednym z tych, którzy podróżując i gadając lepią swymi językami kształt świata.

Malinowski jest człowiekiem niezwykle sympatycznym i pysznym rozmówcą, nie wymagającym wysiłku, ponieważ wystarcza mu słuchanie samego siebie. Czyni to z wielkim zainteresowaniem, nigdy się nie nudząc ani nie nużąc. Pracę nad tworzeniem stosunków światowych przerwali mu delegaci na Zjazd ZSL, którzy będąc ludźmi gminnymi, mało zaciekawionymi sukcesami międzynarodowymi szefa stronnictwa nie wybrali go na kolejną kadencję. Papież, Wałęsa i ogół europejskich prezydentów i premierów nie pospieszili Malinowskiemu z pomocą.

MAŁACHOWSKI Aleksander – prorok

Brodaty, telewizyjny prorok. Jest teraz w telewizji tym, czym plama na mojej paradnej koszuli: jak by nie prac, wyłazi na zewnątrz. Podobnie Małachowski – jak by telewizora nie nastawiać, zawsze pojawią się jego pocziwe oczy, patriarchalna broda i pobrużdżone czoło. Na początku 1990 r. nagrywałem program z Małachowskim. Polemizowaliśmy ze sobą, ale nie razem w studiu, bo byśmy się – zdaniem redaktorów – pogryźli. On gadał, ja gadałem, potem to pocięto i zmontowano razem. Oglądam ten program później w telewizorze, a że jest nudny, przerzucam z drugiego na pierwszy kanał – w obu programach jednocześnie ten sam gadający tors Małachowskiego, tylko on tu i tam perorował na inny

temat. Czegoś takiego nie byłoby nawet za Stalina, gdybyśmy już mieli wtedy telewizję.

Z Małachowskim sfotografował się Wałęsa, co znaczy, że go mamy w Sejmie. Czuje się tam jak w rodzinnych dobrach. Jego prapradziadziś był – jak wiadomo – marszałkiem Sejmu Czteroletniego. To dziedziczenie mandatu nie jest dla Polski dobrą prognozą. Sejm Czteroletni, także wśród wzniesłego głędzenia, uchwalił przecież Konstytucję 3 maja i ona sprowadziła na państwo polskie ostateczny koniec.

Znam Małachowskiego od niepamiętnych czasów i w różnych wcieleniach: Małachowskiego radiowego, Małachowskiego z Krzywego Koła, Małachowskiego jako lokalnego rzecznika „Solidarności” z 1981 r., wcześniej jako publicystę także piszącego. Zawsze szlachetna postać, lecz z poczciwości zbliżająca się do samych granic samoośmieszenia.

Kiedys napisał, bodajże w „Kulturze” warszawskiej, wspomnienia eks-arystokraty, wywodząc, że w tych magnackich pałacach mieszkano się podle, ponieważ zimą były niedogrzone. Jest to coś takiego, jakby potomków poddanych jakiegoś króla pocieszać, że wcale niefajnie było być monarchą, gdyż tron to fotel mniej wygodny, niż na to wygląda. Obśmiałem Małachowskiego i, co jest u nas rzadkością, nadal mi się odklaniał. Niewygody pałaców doświadczyłem zresztą w moich czasach półdygnitarskich. Miałem zajechać do pałacu w Baranowie, gdzie tarnobrzeski wojewoda czekał na mnie z kolacją. Trafiam z trudem. Wszędzie ciemno. Niełatwo odróżnić pałac od ładu. Znajduję. Ciemno. Wyszukuję reflektorami auta drzwi. Wchodzę. Cicho. Ciemno. Posuwam się wymacując ściany jak ślepy speleolog, któremu stłukła się latarnia. Wołam. Znajdują mnie. Okazało się, że wysiadło światło. Jemy zimną kolację przy świecach. Nastrojowo. Teraz – mówi gospodarz – podadzą nam herbatę w weneckiej galerii północnego skrzydła. Kroczy po pałacu człowiek ze świecą, my za nim, przechodzimy ze sto komnat, szukamy i szukamy. Jest wenecka galeria, ale herbata nie tu, bo tam, gdzie ma być pita, już jest nakryte. No i żeby nie przeciągać – chodziliśmy całe kwadransy i przez całe kilometry komnat ze świecą, ale salonu, gdzie nakryto nam do herbaty, nie znaleźliśmy nigdy. U mnie w mieszkaniu różne rzeczy bywały, nawet świńskie, ale to byłoby nie do pomyślenia. Rzeczywiście więc pałace nie są specjalnie wygodne, szczególnie, że elektryfikacja była u nas marna, jak i władza rad.

Ostatnio, dobrałem się do Małachowskiego za jego clikliwe „Wieczorne rozmowy” telewizyjne dla idiotów, które wyszydziłem w „Szpilkach”. On nadal grzecznie się do mnie uśmiechał, a nawet wyjaśniał, że to nie jest program dla takich jak ja intelektualistów. Każdego prostaka kupuje się takim słowem. Więc teraz nie umiem Małachowskiego się czepiać.

MARGUERITTE Bernard – dziennikarz

Francuz, który się spolonizował. Zaczął przyjeżdżać do nas ćwierć wieku temu i wahał się z tą opozycją, która teraz jest władzą, m.in. z Michnikiem i Kuroniem. Z czasem osiadł tu na stałe jako korespondent francuski. Ożenił się z Polką i nauczył języka polskiego, zaczął przejmować się Polską i dusza mu się spolszczyła. Francuscy pracodawcy postawili mu ultimatum: albo zmieni kraj, albo zostanie już w Polsce na zawsze, gdyż Polska to zbyt ciasna specjalność, trwanie tu oznacza zatrącenie kwalifikacji zawodowych. Wahał się, radził, ale poświęcił karierę zawodową i został.

Był gwiazdą moich konferencji prasowych. Ich skutek uboczny stanowiło to, że występujący stale z pytaniami korespondenci zachodni, w swoich krajach nikomu nieznani i należący do drugiego lub trzeciego garnitur dziennikarzy, w Polsce dzięki telewizji stawali się ludźmi popularnymi, rozpoznawanymi na ulicach i w sklepach, fetowanymi. Ta rola wciągała wielu. W rezultacie Margueritte, jak i większość jego kolegów, zadawał pytania z myślą o polskiej publiczności, a nie o czytelnikach swoich gazet. Stali korespondenci stawali się częścią Polski, bo tylko tu czuli się znani i ważni.

Z panem Bernardem mieliśmy jakiś rodzaj prywatnej, szczególnej więzi czy też raczej sprzężenia. Kiedy on obmyślał efektowne, agresywne pytania i wstawał, żeby je zadać, rozsądzała go wewnętrzna wesołość i lekko ją uzewnętrzniał. Zarażał mnie nią, a także poczuciem teatralnego jakby charakteru podziału naszych ról. Odpowiadając z trudem zachowywałem więc powagę i nie zawsze mi się udawało nie parsknąć śmiechem. Swe pytania zawsze poprzedzał zjadliwym wstępem sygnalizującym: zaraz Cię walnę. Ja od razu, gdy wstawał po skrzyżowaniu spojrzeń, pękałem wewnątrz ze śmiechu: oho, zaczynamy grać.

Margueritte, latami pracując w Warszawie, poznał wszystkich i wszystko. Stał się biegły w

codziennych niuansach tutejszej polityki. On już od dawna za dużo czyta, słucha, wie i rozumie, aby to wszystko, co gromadzi o polskich sprawach, mogło ciekawić Francuzów, których Polska interesuje z grubsza, a do tego słabo i rzadko. Francuscy odbiorcy publikacji Margueritte'a są więc coraz mniejszym pretekstem do jego pracy warszawskiego kibica politycznego, coraz gorszym pretekstem, aby w Warszawie siedzieć i brać pensję z Paryża.

Jeszcze z dziesięć czy osiem lat temu, pamiętam, odbywałem kameralne rozmowy w gabinetach władzy, gdzie zastanawialiśmy się, czy i z jakim wywiadem jest związany Margueritte, bo coś za dużo jak na dziennikarza się kręci, zbyt wiele wie i chce wiedzieć, za dużo ma przecieków. Takie podejrzania uważam dziś za pomyłkę. Agenci wywiadu zachowują się ze śmiertelną powagą.

W czasie, kiedy stosunki polsko-francuskie były bardzo marne, Margueritte jeździł do Paryża, starał się docierać do tamtejszych polityków i jako wolontariusz działać za kulisami, żeby zaprzyjaźnić na powrót obie swoje ojczyzny.

MAZIARSKI Jacek – opozycjonista

Jacek Maziarski ściągnięty został z Katowic na kierownika Wydziału Propagandy CK SD. „Polityka” mieściła się na Rutkowskiego 7, w oficynie stojącej za gmachem Stronnictwa. Pamiętam, jak zajechałem kiedyś autem do pracy i funkcjonariusz SD przeganiał mnie z parkingu wołając, że to miejsca zarezerwowane dla SD. – Dobrze – odparłem zostawiając swój wóz, bo nie było go gdzie przestawić. – To wstąpię do SD. – Ale to miejsce tylko dla Centralnego Komitetu – krzyczał przez okno funkcjonariusz. – Dobrze – odparłem – wstąpię więc do Centralnego Komitetu! Okno zamknęło się z trzaskiem.

„Polityka” po sąsiedzku podkupiła Maziarskiego i był u nas publicystą. Po 1980 r. przystał do opozycji. Maziarski to jest jednak łódź z jednym wiosłem i bez steru, gdyż umie skręcać wciąż tylko na prawo. Teraz jest on w „Tygodniku Solidarność” i jako zajadły wałęsowiec zwalcza rząd Mazowieckiego oraz tzw. lewicę OKP. Natomiast jego syn Wojciech Maziarski, eks-działacz NZS jest w „Gazecie Wyborczej” i zwalcza piórem – ojca.

Pamiętam, że Wojciech Maziarski jako dziecko miał uczulenie na dywany. Kiedy coś takiego leżało na podłodze, reagował ciężkimi przypadłościami alergicznymi. Uważam więc, że sfanatyzowany Jacek Maziarski spłodził polityka na wagę złota. Alergia na dywany chroni bowiem biologicznie przed dygnitarstwem i przed jakimikolwiek dążeniami do kariery.

MAZOWIECKI Tadeusz – premier

Polską rządzi człowiek, który każdym swoim gestem przeprasza, że żyje, słabnie na parlamentarnej trybunie i przerywa *exposé*, aby pobiec do doktora, demonstruje rozterki i brak pewności siebie, pokazuje twarz umęczoną, mówi z trudem, postępuje miękko.

Na pierwszym posiedzeniu rządu Mazowieckiego minister kultury Izabella Cywińska powiedziała, że jako reżyser uważa, iż gdyby premier nie zasłabł w trakcie *exposé*, to chwyt ten należało wymyślić i zastosować. Zdawałoby się, że jest to pogląd politycznego dyletanta. Wszyscy przywódcy na świecie starają się okazywać krzepę i pewność siebie. Grają twardych ludzi, którzy wiedzą, czego chcą i dokąd prowadzą naród. Usiłują obywatelom pokazać: Otom jest ten silny człowiek, któremu możecie zawierzyć swoje sprawy, spuścić je na moją głowę. To ja ucieleśniam wasze dążenia i nadzieje. Zaufajcie mojej krzepie. Idźcie za mną. Ja wiem, czego chcę i jak to osiągnąć, a sprawy państwa trzymam w twardej łapie. W każdym razie doradcy przywódców radzą coś takiego udawać, taką osobowość publicznie tworzyć. Niech obywatel czuje się jak dziecko, a rządzący uosabia ojca. Ludzie idą bowiem za tymi, o których sądzą, że nad nimi górują.

Okazało się jednak, że Cywińska miała rację. Premier taki, jaki jest, zyskał najwyższą popularność i zdystansował Wałęsę, który gra mocnego człowieka i wodza. Po trosze jest to reakcja na poprzednią władzę, która modelowała się paternalistycznie. W znacznym stopniu jednak wzięcie Mazowieckiego ma inne źródła. Przeciętny Polak się z nim utożsamia, bo premier jest na obraz i podobieństwo przeciętnego

polskiego, zahukanego inteligenta: pełen rozterek, przygnieciony troskami, niepewny siebie i przyszłości, zagubiony jak większość ludzi. Przeciętny Polak okazuje Mazowieckiemu sympatię i poparcie dlatego, że premier właśnie nad nim nie góruje, jest taki, jakby prosił o opiekę. Ludzie wolą tych, którzy budzą współczucie, gdyż denerwują ich ci, którzy im imponują. I oto najlepsze notowania ma człapiący, umęczony inteligent o twarzy starego spaniela.

W rzeczywistości Mazowiecki wcale już nie jest tym bezradnym szarym intelektualistą, choć człowiekiem zasad, którego z dnia na dzień okoliczności z szeregowego redaktora wyniosły na szczyt władzy. Już uwierzył w siebie w swoją wyjątkowość, misję i zdolności. Tak oddziałuje sama substancja władzy i otoczenie każdego prominenta.

Podaję także, że miękkość, kurtuazja i układność nie są jedynym wcieleniem Mazowieckiego. Miałem, a może jeszcze mam, taśmę z nagraniem jego rozmowy ze mną w 1981 r. Jako rzecznik rządu trzymałem bowiem magnetofon podłączony do telefonu. Dawałem przez telefon wypowiedzi i odpowiedzi prasie i w razie przeinaczenia moich słów musiałem mieć dowód na to, co w rzeczywistości powiedziałem. Otóż Mazowiecki w roli redaktora „Tygodnika Solidarność” ryczał na mnie arogancko i brutalnie, jak nikt nigdy przed nim i po nim. Chodziło o sprawy papieru i nakładu jego pisma. Przysiągłem sobie nawet więcej nigdy z tym arogantem nie rozmawiać. Istnieje więc inne od znanego oblicze premiera.

Wydaje mi się, choć nie jestem tego pewny, że Tadeusza Mazowieckiego poznałem jeszcze w „Po prostu”. Należał do dysydentów, którzy około 1956 r. opuszczali PAX i wtedy nas odwiedzali, aby publikować w „Po prostu” swoje odszczepieńcze manifesty. W każdym razie nie znałem go, kiedy był jeszcze katolikiem reżimowym i pisał w paxowskiej prasie np. sprawozdania z procesu biskupa Kaczmarka.

Kiedy on już był desygnowanym premierem i formował gabinet, nasz stary rząd jeszcze przez długi czas pełnił swoje obowiązki. Dla nas, odchodzących, szokujące wtedy były dochodzące nas informacje, jak ostro nowi piją na państwowy koszt i jak swobodnie żądają różnych dóbr. Zdaje się, że oni sądzili, iż komunistyczni premierzy czy ministrowie żyją bogato na państwowy koszt i rozdzielają mieszkania rodzinie. Tak jednak nie było. U nas już od dawna reżim był spartański, co stanowiło reakcję na potępioną wielkopańskość ekipy Gierka. Rakowski dostawał na reprezentację butelkę polskiego winiaku tygodniowo czy nawet miesięcznie i karton papierosów, inna rzecz, że nikt nie starał podsuwać mu wedle potrzeb, gdyż wszystko było urzędowo uregulowane, nawet liczba ciętych kwiatów wazonie, przysługująca premierowi i ministrom. Mnie przysługiwały trzy kwiaty dwa razy w tygodniu i z początku dwie pięćdziesiątki winiaku tygodniowo dla mnie i dla gościa, ale potem ten przydział skreślono. Otóż rzecznik raz w tygodniu podejmował obiadem w swoim biurze jednego z dziennikarzy. Ten stołówkowy obiad z jednym winiakiem do kawy akceptował mi Jaruzelski jako premier. Za następcy, wydatek ten skreślono z budżetu i sam płaciłem za ten rytualny obiad, którym przyjmowałem raz na tydzień. Oczywiście, to nie był liczący się dla mnie wydatek, ja tylko charakteryzuję te idiotyczne reżimy oszczędnościowe, które znikły za Mazowieckiego, ponieważ ulubieńcy publiczności nie muszą się, tak jak my, lękać jej opinii.

Dymisjonowanie mnie z szefa Radiokomiteu we wrześniu 1989 r. to było wręcz pasmo pieszczot i rozkoszy. Audiencja u Mazowieckiego, kurtuazyjna rozmowa w cztery oczy, przejście do salonu, godzinna polityczna rozmowa przy kawie w gronie poszerzonym o Ambroziaka i Drawicza, potem rewizyta premiera w Radiokomitecie i moja kawa z nim w gabinecie po Szczepańskim, który opuszczałem. Cóż za kontrast z poprzednim premierem Rakowskim, który nie tytułował mnie, jak Mazowiecki, ministrem, gdyż mówił do mnie wyłącznie per ty baranie i rozmawiając ze mną przeważnie nie odrywał się od innych zajęć, czy to było czytanie gazety, czy zgola robienie siusiu, kiedy to szedłem za szefem w pobliże stosownych urzędów.

MESSNER Zbigniew – były premier

Nad wszystkimi po wojnie polskimi premierami prof. Zbigniew Messner górował pod jednym względem – jego nazwisko mógł bez trudu wymówić i zapamiętać każdy cudzoziemiec.

Ściągnięty został z Katowic, gdzie był rektorem szkoły ekonomicznej i profesorem księgowości, a

w epoce odnowy został odnowicielskim I sekretarzem KW PZPR, jedynym w Katowicach, o którym potem nikt nie mówił niczego złego. Wszedł też do Biura Politycznego. Człowiek rzeczowy, bezpośredni, energiczny. Dodaje się do takich komplementów: „ale prochu nie wymyśli”. Otóż nawet proszku do zębów, a to nie tylko metafora. Proszek do zębów był u nas poważnym problemem, nad którym rząd debatował w latach 82–84. Brakowało mydła oraz tego wszystkiego, czym czyszciszki usuwają podobno brud z włosów i zębów. Rząd dyskutował nad możliwością eksploataowania kopalni kredy na potrzeby wytwórni proszku do zębów. Władze sanitarne nie zezwalały jednak na to, żeby kredę z rodzimych pokładów Polak brał do pyska, wolno ją tylko brać w palce i rysować na tablicy.

Generał Jaruzelski ściągnął Messnera do Warszawy na wicepremiera i głównego koordynatora gospodarki. Premier – generał był – że przypomnę – także I sekretarzem i chciał zająć się polityką, a kłopoty gospodarcze Messnerowi puścić w ajencję. Messner od razu został więc kimś w rodzaju półpremiera. Wiadomo było, że ma niebawem przejąć szefostwo rządu. Rakowski – druga dotąd osoba w rządzie – przyjął to o dziwo dobrze, gdyż Messner zajmował nie pole polityczne, lecz gospodarcze. Poza tym przybysz z Katowic starał się Rakowskiego ująć, traktując go jako swego mentora na obcym, warszawskim gruncie.

Vis a vis Belwederu jest ślepa uliczka Bacciarellego, sąsiadująca też z biurem ministra obrony i ogrodem rezydencji ambasadora królowej brytyjskiej. Stoi przy niej przedwojenny dom Rydza-Śmigłego, przytykający ścianą do tylnych zabudowań ambasady szwedzkiej. Dom Rydza należy do rządowego kompleksu hotelowego z ulicy Klonowej i mieści apartamenty przeznaczone dla członków rządu, sprowadzanych spoza stolicy i czekających na mieszkanie. Pierwsze piętro domu Rydza zajął więc Messner, a ja sąsiadowałem z nim mieszkając na poddaszu. Byłem wtedy między rozwodem a kolejnym ślubem, o które to pożytki zabiegałem u dwóch różnych kobiet, i czekałem na jedno i drugie oraz na trzecie, tj. mieszkanie. Na niektóre noce przychodziła do mnie narieczona z małym jamnikiem. Jamnik Smyk wodzony był na siusiu, choć czasem i kupkę, do ogrodu przytykającego do hotelu na Klonowej, a mającego tylne wyjście także na Bacciarellego. Otóż służba hotelowa powiedziała mojej narzeczonej, że premier przez ogród chodzący na śniadania do hotelowej restauracji nie życzy sobie widoku jamnika. Jestem pewien, że Messner z tymi rugami szczeniacka z rządowego ogrodu nie miał nic wspólnego, a tylko pracownica hotelu posłużyła się jego autorytetem. W każdym razie sprawa jamnika sprawiła, że byłem w domu wrogo nastawiany do premiera Messnera, a bardzo ulegam wpływom trzeciej żony.

Wieczorami na Bacciarellego narieczona przychodziła do mnie, Rakowski zaś niżej, do Messnera. Popijali tam we trójkę z prof. Porębskim, sekretarzem KC i członkiem Biura. Zwróciłem z czasem uwagę Rakowskiemu, że ta jego przyjaźń wydaje mi się cośkolwiek fałszywa, gdyż rano, gdy ma z premierem wspólnego kaca, wciąż jest, na tym kacu, zaskoczony decyzjami koordynatora gospodarki. Jednym słowem, nie jest wtajemniczany w zamiary Messnera. Czy te jego wódeczki na Bacciarellego naprawdę przyprawione są szczerością? Moje wątpliwości były podszyte jamnikiem.

Kiedy Messner został premierem i kompletował rząd, Mieczysława Rakowskiego spławił. Było to naturalne. Nikt nie chce mieć zastępcy bardziej popularnego od siebie i będącego politykiem o wiele większego kalibru. Sam Rakowski też nie pragnął zostać zdegradowany z zastępcy Jaruzelskiego na zastępcę Messnera. Przejście Rakowskiego do kierownictwa PZPR Generał określał jako na razie niemożliwe. Dziś już szerzej wiadomo, że Rakowski był wtedy w Moskwie nie do strawienia. Zrazu nawet Gorbaczow odziedziczył po poprzednikach awersję i nieufność do mego przyjaciela. Jego awans partyjny byłby więc wówczas ryzykownym wyzwaniem wobec Kremla, którego emisariusze pytali: a długo jeszcze będziecie trzymać tego socjaldemokratę Rakowskiego? Generał Jaruzelski, nie mając co z nim zrobić, zaproponował mu funkcję wicemarszałka Sejmu. Zapewnił go zarazem, że to jest chwilowe odsunięcie – pragnie mieć Rakowskiego w rezerwie i w odpowiedniej chwili zapewni mu powrót na wielką scenę. Obietnice te zostały, jak wiadomo, spełnione, gdy Rakowski wszedł do kierownictwa partii, a potem został premierem. Ja go namawiałem, żeby nie brał tego wicemarszałka nie ozdobionego nawet członkostwem Biura, tylko żeby się wycofał z powrotem do „Polityki”, zrobił na tym kapitał polityczny, uzyskał pewną niezależność i czekał. Rada chyba była trafna, lecz nie została przyjęta.

Messner omawiając wstępnie skład rządu pragnął pozbyć się mnie z posady rzecznika. To naturalne, gdyż rzecznik, jak szczoteczka do zębów, powinien być swój własny. Ja zaś miałem bezpośrednie kontakty z I sekretarzem, czego żaden premier – jako szczebel pośredni – nie znosił u swojego personelu. Żażywałem też znacznego publicznego rozgłosu, drażniącego człowieka nowego,

szerzej nie znanego, jakim był świeży premier. Generałowie Jaruzelski i Kiszczyk wybroniли mnie zdecydowanie i Messner uległ. Wygłosił w Sejmie życzliwe słowa pod moim adresem i zapewnił posłów, że zachowa Urbana.

Stosunki nowego premiera z jego de nomine rzecznikiem układały się tak, że ja w miarę konieczności lojalnie broniłem polityki gospodarczej rządu, ale bez szczególnego zaangażowania. Starałem się być raczej rzecznikiem politycznym władz w ogóle. Coraz rzadziej przychodziłem na posiedzenia gabinetu, a z premierem konsultowałem się zaledwie kilka razy w ciągu trzech lat jego urzędowania. Pracowałem, opierając się na kontaktach z wicepremierami i ministrami.

Zaraz po przyjeździe do Warszawy Zbigniew Messner, jeszcze jako wicepremier, konsultował ze mną kandydaturę Jerzego Locha na swego osobistego rzecznika prasowego. Zostawszy wicepremierem zrezygnował z Locha, a wziął Aleksandra Perczyńskiego, nadając mu rangę zastępcy rzecznika. Bezustannie, także za Rakowskiego i Sekuły, poszukiwaliśmy wicerzecznika do spraw gospodarczych. Trzecim był Zbysław Rykowski, którego ja zaproponowałem. Nic z tego nie wychodziło. Każdy z nich wsysany był przez Urząd i zajmował się doradztwem, wywiadami i podróżami premiera, przemówieniami i kontaktami z prasą. Był więc urzędnikiem prasowym, ale nie rzecznikiem, który by odgrywał publiczną rolę i bronił polityki gospodarczej.

Być może, nie istniała zresztą przy Messnerze możliwość swobodnego oddziaływania na prasę. Kiedy został premierem zaraz jako rzecznik dałem propozycję odbycia wielkiej konferencji prasowej w sali kolumnowej Urzędu Rady Ministrów, mieszczącej kilkuset ludzi. Zaproponowałem, że przygotuję z góry parę pytań i poproszę zaprzyjaźnionych dziennikarzy o ich zadanie po to, żeby dać premierowi sposobność do wypowiedzenia się np. na temat polityki zagranicznej (o którą inaczej może go nikt nie pytać) i paru innych bardziej ogólnych, a ważnych spraw. Zrobiłem to, a kopie tych pytań przekazałem premierowi, aby je znał.

Moja rola na konferencji premiera sprowadzała się do udzielania głosu dziennikarzom. Prezydując zza stołu imprezie zorientowałem się po chwili, że siedząc zawadzam moim torsem przy podawaniu premierowi kartek z odpowiedziami. Podsuwali mu je z dwóch stron ludzie z jego osobistego sztabu. Jak za Gierka wszystkie, lub prawie wszystkie, pytania i odpowiedzi były z góry ustalone i napisane, co zrobiono za moimi plecami, choć niby to ja byłem organizatorem imprezy.

Rządy Messnera przypadły na okres, kiedy ożywianie gospodarcze lat 1983-85 się kończyło, gdyż uruchomienie prostych rezerw już się dokonało. Nadszedł czas, aby robić reformę radykalnie, naprawdę, a w latach 1985-86 istniało jeszcze niezbędne po temu minimum społecznego przyzwolenia. Tymczasem ekipa Messnera uległa rozszczepieniu. Wicepremier Zdzisław Sadowski, bezpartyjny profesor i rzeczywisty reformator, pracował nad nowym modelem gospodarczym i nad ustawami, które rzeczywistość mają do tego modelu zbliżać. Z drugiej zaś strony wicepremier Zbigniew Szałajda realny kierownik gospodarki, sterował nią ręcznie w świętym przekonaniu że rozwiązania systemowe to jakaś teoria. Na razie, jak nie ma butów dla dzieci to trzeba załatwić, żeby je wytworzono, gdyż zanim zaczną działać samoistny mechanizm, wszystko się zawali. Reforma respektowana więc była tylko o tyle że zamiast telefonować i mówić dyrektorowi fabryki, że macie robić buty dla dzieci, używało się do tego samego instrumentów reformy. Dawało się więc ulgę podatkową przy produkcji dzieciennego obuwia albo zamówienie rządowe połączone z dotacją. Reforma biegła sobie, a życie gospodarcze też, sobie osobną, utartą koleiną. Reforma stanowiła wtedy coś w rodzaju projektu architektonicznego domu, jaki w przyszłości miał być stawiany i nawet już grzebało się coś przy fundamentach, tylko nie burząc starego gmachu. Przed posiedzeniami rządu Zbigniew Szałajda zbierał na ogół ekipę swoich ministrów gospodarczych i zstawiali się, jak wspólnie rozgrywać sprawy na formalnych zebraniach gabinetu. W ten sposób minimalizowane były wpływy miękkiego intelektualisty Sadowskiego na codzienne obroty maszynierii gospodarczej.

Załamanie się polityki rządu Messnera nastąpiło, jak wiadomo, po wprowadzeniu podwyżek cen żywności. społeczeństwo zareagowało na nie naciskiem płacowym, niwelującym skutki zmiany cen. Opozycja nie bez racji wołała, że te podwyżki są zamiast reformy. Trzeba było raczej ustanowić już wolne ceny, niż brnąć w kolejną podwyżkę urzędowych. W to wszystko ubrany został Zdzisław Sadowski, który podwyżkę cen publicznie firmował. Odtąd zaczął się schyłek rządu Messnera. Notabene Sadowski występował też z polityczną inicjatywą rozmów z Wałęsą, która niestety została zablokowana.

Zbigniew Messner jako premier nie miał żadnej własnej wizji czy poczucia misji. Działał

ostrożnie i niewyraźnie, dbając o spychanie odpowiedzialności na Biuro Polityczne. Każdy zamysł przedstawiał więc kierownictwu PZPR i to w formie stosów szczegółowych dokumentów przygotowanych przez urzędników. Nikt tego nie mógł przeczytać czy zanalizować. Potem przybywał z posiedzeń Biura na posiedzenia swego gabinetu zaopatrzone na ogół z góry w tak zwaną polityczną aprobatę tego, nad czym rząd miał dopiero debatować. Ubezważował więc siebie i swych ministrów, by podczas finału swego gabinetu publicznie powiedzieć w Sejmie że to Biuro Polityczne, a nie on rządziło, więc dlaczego Messner ma odbierać lanie.

Cały ten system rządów był już zupełnym anachronizmem. Zalatywał też absurdem. Aparat rządowy swymi analizami i propozycjami w praktyce przesądzał o kształcie decyzji Biura Politycznego, a decyzje Biura przedstawiane były z kolei rządowi jako obowiązujące. Messner był wirtuozem tej metody rządzenia, gdyż zdawało mu się, że uprawiając ją, odpowiedzialność odsuwa od siebie.

U schyłku, kiedy jego rząd długotrwale upadał, a wszyscy już wiedzieli, że na pewno upadnie – premier nie rozumiał, iż już właściwie poległ. Uważał, że jest przedmiotem intryg, spisku Władysława Baki, Alfreda Miodowicza i nade wszystko prasy, która go szczypie. Robił piekło o każdą krytyczną publikację, nerwowo reagował i grał na przeczekanie.

Od początku 1986 r. aż do okrągłego stołu działałem jako członek pewnego trzyosobowego zespołu. Zbieraliśmy się w słynnej później Magdalence: jeden członek Biura Politycznego (Ciosek), jeden bardzo wysoki przedstawiciel MSW (gen. Pożoga) i ja. Projektowaliśmy posunięcia polityczne. Spisywałem je i przedstawiałem I sekretarzowi KC Jaruzelskiemu, z tym że wcześniej kopię dostawał tylko gen. Kiszczak. W ten sposób zaprojektowaliśmy amnestię i takie tam różności. W którymś kolejnym dokumencie, chyba w 1987 r., uzasadnialiśmy potrzebę zmiany premiera i rządu. Było tam sformułowanie, że trzeba powołać politycznego premiera. Mieliśmy wówczas na myśli gen. Kiszczaka, ale w tekście pisanym nie istniała żadna sugestia personalna. Popeliłem wówczas nieojalność. Otóż, rozmawiałem z Rakowskim o sytuacji, wyrażał on poglądy zbieżne z moimi i wtedy pokazałem mu dokument, który już dałem Jaruzelskiemu. Poprosił mnie, żebym mu to na jeden dzień zostawił, zapewniając, że nikomu go nie pokaże. Dał to jednak do przeczytania prof. Porębskiemu, a ten zawiadomił premiera. Sądzę zresztą, że Messner dostał wiadomość o tej naszej propozycji także z innego źródła via KC.

Skutek naszej propozycji zmiany premiera był odwrotny od zamysłu. Messner poszedł do Szefa i spytał, co jest grane i w obliczu wyspy uzyskał potwierdzenie swojej premierowskiej misji.

Przed sporządzeniem antymessnerowskiego memoriału, dla spokoju sumienia, odwiedziłem wicepremiera Szałajdę, który był alterego prof. Messnera. Ciekawiło go, czy moim zdaniem upadnie cała ekipa kierownicza, czy rząd zostanie zjedzony osobno. Pocieszyłem go wtedy, że cała ekipa. Złożyłem ofertę. Jestem – powiedziałem – rzecznikiem rządu. Nie ufacie mi. Odsuwacie od konwentyki, gdzie zapadają gospodarcze decyzje. Nie śledząc dyskusji i argumentów, nie znając racji stojących za posunięciami, nie mogę trafnie bronić polityki rządu. Do publicznego boksowania się nie macie jednak nikogo innego tylko mnie. Proponuję sojusz. Szałajda powiedział, że on jest za i że ofertę przekaże. Oczekałem. Odpowiedzi na ofertę nie było. Tego się spodziewałem. Uznałem, że mam wolną rękę do podjęcia w naszych tajnych memoriałach kwestii zmiany rządu. (Był to zresztą jedyny przypadek, kiedy wdałem się w intrygi na szczycie). Miałem słusność. Zmiana rządu Messnera dokonała się za późno. Czy jednak moje intencje były czyste, więc czy w podgryzaniu Messnera nie grało roli to, że mnie nie chciał i ignorował, a być może naprawdę kazał z rządowego ogrodu wypędzić mojego jamnika, który rano chciał siusiać nie na beton, lecz wachając kwiatki? Może. Me sumienie jest zbyt zmętne, aby w nie zaglądać. Jednakże mój osobisty status przy Messnerze był właśnie niezwykle wygodny. Siedziałem sobie w jego ekipie i gmachu jako rezydent, mając ośrodek dyspozycyjny poza budynkiem rządowym i zwiększony zakres swobody. Z punktu widzenia interesów i ambicji Urbana, Messner mógłby rządzić wiecznie. Już za czasów Mazowieckiego, po usunięciu mnie z Radiokomitetu, dostałem na miesiąc pokój sublokatorski w KC, abym miał jakieś biuro w mieście. Odwiedził mnie tam prof. Zbigniew Messner i porozmawialiśmy sobie o tych przeszłych sprawach, a to w tej intencji, żeby nie przenosić w nowe czasy osobistych animozji z epoki, która minęła.

Otóż, w parku Łazienkowskim są kwartały alejek, po których spacerują ze sobą członkowie różnych przeszłych ekip władzy. Kwartały, ekipy i ludzie są oddzieleni od siebie niewidocznymi przegrodami. Kiedy ludzie z jednej ekipy zbliżą się do cudzej alejki i zobaczą ludzi z innej ekipy, wtedy

warczą na siebie wzajemnie. Dawne antagonizmy, które wstrząsały kiedyś Polską, nie są w stanie dziś spłoszyć nawet wiewiórki. Ich nosiciele drepczą jednak wciąż głęboko nimi przejęci. Nie mam zamiaru popadać w taki kretynizm ani zresztą w epoce samochodów spacerować na nogach po Łazienkach czy gdziekolwiek.

W połowie 1990 roku prasa podała, że prof. Zbigniew Messner mieszka w willi po byłym pułkowniku Kuklińskim. Eks-premier składał w związku z tym wyjaśnienia poprzez telewizję.

Kiedy byłem rzecznikiem rządu, konsultowałem projekt wywiadu prasowego ministra – generała Kiszczaka, w którym wspominał on o sprawie Kuklińskiego. Wcześniej wiedziałem z grubsza o tej szpiegowskiej aferze. Skoro minister Kiszczak miał ją ujawnić, po uzgodnieniu z nim (w pierwszej instancji), przygotowałem obszerne omówienie sprawy i jej interpretację, aby to wszystko przedstawić na mojej konferencji prasowej i odpowiedzieć na pytania.

Kukliński był to pułkownik polskiego Sztabu Generalnego, a zarazem amerykański szpieg, zwerbowany, jak mi podawano, ongiś w Wietnamie, gdzie wywiad USA prowadził udany werbunek w komisji kontroli i nadzoru. Kukliński znał szczegółowe plany wprowadzenia stanu wojennego. Kiedy w listopadzie 1981 r. został wraz z rodziną wywieziony z Polski przez amerykański wywiad, orientował się już, że jeżeli stan wojenny będzie ogłoszony, to prawdopodobnie w grudniu. Sprawa była żenująca dla władz amerykańskich, które też Kuklińskim nie chwaliły się, tylko pilnie zataiły jego istnienie. Ucieczka Kuklińskiego w listopadzie 1981 oznaczała, że rząd USA wcześniej wiedział o projekcie stanu wojennego i szczegółowo znał technikę jego wprowadzenia oraz zamiar internowania czołówki „Solidarności”, jednakże nie ostrzegł swoich polskich sojuszników z opozycji. Nie uniemożliwił też wprowadzenia stanu wojennego przez ogłoszenie, że jest szykowany i jak. Dlaczego rząd USA przez zaniechanie pomógł wprowadzić stan wojenny w Polsce i pozamykać swych przyjaciół? To stało się przedmiotem sporów po ogłoszeniu faktów związanych z Kuklińskim.

W dyskusji, jaka rozgorzała, wziął też udział sam Kukliński, który firmował wywiad prasowy dla paryskiej „Kultury”. Wzbudził on wesołość generałów Jaruzelskiego i Kiszczaka. Oto Kukliński przemawiał niemal jak mąż stanu, podczas gdy jego przełożeni pamiętali go jako oficera o niewybujałych możliwościach intelektualnych. Były minister obrony powiedział, że pamięta, że był w Sztabie taki Kukliński przyzywany do różnych gier wojennych i narad, ale eksponował się na tych imprezach i w pamięci tylko dlatego, ponieważ szczególnie ładnie rysował, co trzeba, na mapach. Kukliński zaś prezentując swoją rolę ogromnie ją wyolbrzymiał. Prawdą jest jednak, że wiedział bardzo dużo.

Kiedy wystąpiłem na konferencji prasowej ze sprawą Kuklińskiego, orientowałem się, że prof. Messner mieszka w willi po Kuklińskim, która przejęta została przez skarb państwa i sprzedana premierowi. W gronie rządowym zdumiewaliśmy się wówczas, dlaczego bierze dom z tak śliską przeszłością.

Byłem przekonany, że zagraniczni dziennikarze akredytowani w Warszawie szukać tu zaczęli śladów po uciekinierze, łatwo odnajdą jego dom, aby np. pogadać z sąsiadami, i wykryją, kto jest jego obecnym lokatorem. Lękałem się pytania na ten temat nie dlatego, że nie umiałbym odpowiedzieć. Miałem przygotowaną odpowiedź, że nie wiem, gdzie premier mieszka, gdyż nie bywam u niego w domu. Ponieważ jednak jako rzecznik inspirowałem poufnie niektóre do mnie pytania i powodowałem niekiedy przecieki, bałem się przypuszczeń podejrzliwego premiera, że ja jestem sprawcą połączenia afery Kuklińskiego z jego domem, że dopuściłem się niełojalności na zewnątrz.

Zachodni dziennikarze okazali się na tyle leniwi lub nieudolni, że tego kąska nie wyszperali. Sprawa willi Messnera wypłynęła dopiero w roku 1990, kiedy już o żadne intrygi antymessnerowskie nie mogą być podejrzewany.

MICHNIK Adam – poseł, redaktor „Gazety Wyborczej”

Zawsze się myliłem w ocenie Michnika. Po aresztowaniu go w 1968 r. wezwano mnie na Rakowiecką. Pytano. Co wiem o działalności i jak oceniam. O działalności wiedziałem tylko z gazet, a oceniłem, że jest niepoważna, nieznacząca, niegodna uwagi resortu, co zostało zaprotokołowane i podpisane. Zawiniłem więc wtedy wobec MSW opinią błędną.

Po wypuszczeniu Michnika zapowiedziałem mu: kiedyś zostaniesz tu premierem. Pokraśniał z

zadowolenia. Znów byk. Wygląda w Polsce na to, że ta przepowiednia nigdy się nie spełni. Oddawałem Michnikowi prezesurę ministrów w trakcie zbiorowego pijaństwa u młodego Nieszporka, syna starego Nieszporka, który był ministrem górnictwa, wojewodą katowickim, po czym wyleciał – na ambasadora. Do postaci starego Nieszporka przywiązałem się, bo na każdym zgromadzeniu towarzyskim Andrzej K. Wróblewski odgrywał swoją z nim rozmowę, kiedy był w zagranicznej podróży. Nieszporek miał chodzić po salonie ambasady ściskając rozporek i instruując dziennikarza rytmicznie przerywać swe genitalia z nogawki do nogawki. W końcu jego rzecz.

Potem jako rzecznik rządu oceniałem Michnika zawsze razem z Kuroniem i zawsze jako skrajne uosobienie zła. Para ta pełniła funkcję politycznego diabła, mocno oderwaną od tych realnych osób, od ich poglądów, działań, w istocie funkcję symboliczną. Zdiabolizowanie Michnika i Kuronia, którego źródłem było MSW, stworzyło tak mocny stereotyp zła, że rozmowy przy okrągłym stole odwołane zostały duży kawał czasu, gdyż wydawało się możliwe negocjowanie z każdym tylko nie z tymi dwoma. Idiotyczne uprzedzenia wobec Michnika nie wyszły partii na zdrowie, bo wcześniejsze zawarcie politycznego kontraktu leżało w naszym interesie. Przy okrągłym stole nagle zobaczyłem, po dwudziestu latach, żywego Michnika i to było szokujące. Abstrakt mówił, chodził, jękał się i jadł.

Michnik znowu jest wcieleniem politycznego zła – teraz dla narodowo-katolicko-fundamentalistycznej prawicy i Wałęsy. Czuję się z nim bardzo związany w tym rozumieniu, że kiedy jego życie znów potoczy się normalnie, to znaczy Michnik pójdzie siedzieć, zaraz potem ja pójdę wisieć.

Naszą nienawiść do Michnika odziedziczyło Porozumienie Centrum i „Tygodnik Solidarność”. Czesław Bielecki rozprawiał się w nim z Michnikiem z większym znacznie ogniem niż kiedyś z komuną. Czytuję takie teksty nie bez schadenfreude. Wymiar moralny Michnika i jego intelektualny kaliber są dla mnie – wyznam – upokorzeniem.

MIODOWICZ Alfred – przewodniczący OPZZ

Ma 61 lat. Wygląda na 50, ale też codziennie o brzasku ubrany w dres biega niezmordowanie. Miał już 54 lata, kiedy rozpoczął karierę, więc teraz nie żałuje potu, żeby wydłużyć swoje perspektywy życiowe. Jego życiorys jest zagadkowy. W latach 1951-52 był przewodniczącym Zarządu Wojewódzkiego ZMP w Krakowie, czyli dosyć wysoko postawionym lokalnym notabłem, aparaczką. Mimo wyraźnych politycznych talentów przed tym epizodem, a także po nim, był hutnikiem, nie ostał się w aparacie i aż po rok 1984 nie objawił skutecznie ambicji politycznych. Nietypowe jest jeszcze jedno. Mało który człowiek, wywodzący się z inteligencji, zostawał w Polsce robotnikiem. Miodowicz należy do takich wyjątków.

Córka Miodowicza zginęła w Himalajach wspinając się na góry. Syn był działaczem WiP, a obecnie zajmuje czołową pozycję w formowanej nowej policji politycznej, tj. Urzędzie Ochrony Państwa.

W 1981 r. Miodowicz należał do „Solidarności”, podobnie jak setki tysięcy robotników członków PZPR. W latach 1983-88 był przeciw „Solidarności”: „Jeden związek w jednym zakładzie pracy”. Po wyborach 1989, kiedy wszystkie pokomunistyczne struktury rozpadły się, OPZZ pozostał wielomilionową organizacją, dwukrotnie liczniejszą niż zwycięski związek „Solidarności” Wałęsy. Mimo że Miodowicz był członkiem Biura Politycznego KC PZPR i mimo że strukturami OPZZ wstrząsają konflikty personalne, wygrywał wszystkie wybory i pozostał na czele Związku.

W 1988 r. po podwyżkach cen żywności skutecznie zażądał dymisji rządu Messnera. W tym samym roku zainicjował swoją dyskusję telewizyjną z Wałęsą. Dostarczył Wałęsie trybunę, a dyskusję sromotnie przegrał. Wypowiadał się w niej przeciw reaktywowaniu „Solidarności” jako osobnej konkurencyjnej organizacji. Równocześnie dopuszczając Wałęsę do głosu w telewizji, gwałtownie zwiększył popularność przewodniczącego „Solidarności” i wbrew swoim intencjom oraz poglądom legalizację związku uczynił nieuchronną.

Przy okrągłym stole przeliczył „Solidarność” w żądaniach politycznych: znieść cenzurę, wolne wybory.

Tuż przed końcem PZPR ustąpił z Biura Politycznego.

Zdystansował się zupełnie od SdRP. Patronuje różnym próbom organizowania własnego ruchu politycznego o populistycznym charakterze, ale nie proklamuje go. Czeka i waży szanse.

Znienawidzony przez rządzącą „Solidarność” jest jedynym eks-pezetpeerowcem, z którym rządzący muszą się liczyć i którego się boją.

W sumie niezwykła kariera, która może jeszcze mieć zaskakujący ciąg dalszy.

Sąsiaduję z Alfredem Miodowiczem w tej samej klatce schodowej. Koni bym nie poszedł z nim kraść. Mówi jedno, robi drugie. Po wysunięciu przez niego propozycji telewizyjnej dyskusji z Wałęsą uczestniczyłem w zebraniach, gdzie członkowie Biura Politycznego przekonywali go, iż postępuje absurdalnie. Sprzeciwia się perspektywie legalizowania „Solidarności”, a przez tę debatę niezwykle zwiększa nieuchronność powrotu tego związku na scenę. Miodowicz zobowiązywał się wtedy wysłiznąć z zainicjowanej dyskusji i ustalał tego sposoby. Czynił zaś na odwrót, niż mówił, parł do dyskusji i publicznie ją przesądzał. Przyjmował rady, jak dyskusję poprowadzić, po czym mówił po swojemu, ale nieudolnie i niespójnie. Jest zaś znakomitym telewizyjnym gwiazdorem o silnej, spokojnej osobowości, znacznym uroku osobistym, dużym refleksie i sugestywnym sposobie argumentowania. Twardy!

Bardzo tajemnicza postać. Jeszcze nie powiedział ostatniego słowa. Przy silnych, zorganizowanych objawach niezadowolenia społecznego Miodowicz może spróbować odegrać ważną rolę w życiu kraju.

Ten dziwny, samorodny talent polityczny pożytkowany chytrze, a pokrętnie, jest niemal wszystkim, co realnie zostało na placu z dawnej, potężnej PZPR.

MŁYNARSKI Wojciech – bard

Bardzo ozdobny mężczyzna, który świetnie się konserwuje, gdyż zasycha. Autor kiedyś wspaniałych piosenek. treść najlepszych oparta była na wnikliwej obserwacji społecznej. Wszystko, co pisze, sam śpiewa i od kilkudziesięciu lat jest ulubieńcem publiczności.

Młynarski mógł się urodzić jako Turkmen, Eskimos, Portugalczyk albo Amerykanin Północny, lecz wygrał wielki los na biologicznej loterii i urodził się Polakiem. Nie ma zaś drugiego na świecie kraju, gdzie przez 40 lat można śpiewać na estradach, ściągać tłumy i wzbudzać entuzjazm słuchaczy nie posiadając w ogóle głosu.

MŁYŃCZAK Tadeusz – były wódz demokratów

Rok 1988. Lato. Bułgaria. Plaża przy polskim rządowym domu wypoczynkowym. W związku z falą strajków w Polsce żegnam się ze wszystkimi tam będącymi. Rozgorączkowany odlatuję do kraju ratować socjalizm.

Tadeusz Młyńczak stoi na rozstawionych nogach na piasku w miejscu, gdzie fale go ubijają i przepływają Młyńczakowi między palcami nóg. Trzyma ręce podniesione do góry i wykręcone ku słońcu. Prezes stronnictwa polskich demokratów i wiceprzewodniczący Rady Państwa podjął oto długofalowe dzieło opalania wewnętrznej strony rąk.

Historia przyznała rację postawie Tadeusza Witolda Młyńczaka.

MOCZULSKI Leszek – wódz KPN

W epoce października 1956 Stefan Staszewski jako partyjny sekretarz Warszawy i reformator miał przybocznego człowieka, naczelnego „Expressu Wieczornego” Leszka Wyszackiego. W ramach walki z rewizjonizmem Wyszacki poszedł w odstawkę na redaktora „Stolicy”, czasopisma dla hobbistów miłujących Warszawę, bo tacy podobno istnieją. W odstawce tej spędził 30 lat, ale z błyskiem nadziei. W 10 lat po Październiku znowu coś zaczęło się dziać, więc przystąpił do nurtu Moczarskiego wraz z eks-żoną Wyszacką i tygodnikiem. Nurt ten w „Stolicy” reprezentował m.in. dziennikarz Leszek Moczulski. Wtedy jego nazwisko po raz pierwszy pojawiło się w publicznym obiegu. Ci, którym marcowcy dawali popalić, zapamiętali je sobie dobrze i na zawsze jak wszystkie inne.

W latach siedemdziesiątych Moczulski pojawił się na czele kieszonkowej partii wodzowskiej,

skrajnie antykomunistycznej, tj. niepodległościowej, oraz nacjonalistycznej. Plotkowano, że to jest jakiś numer, który Rakowiecka wycięła KOR-owi. Grupka skupiona w Konfederacji Polski Niepodległej okazała się jednak uparta i pracowita. Dziś ma całkiem realną wielotysięczną bazę członków i sympatyków. W wyborach się nie liczy, ale w życiu publicznym i na ulicy istnieje. Zaciekle nacjonalistów jest sporo i partie tego typu mają przyszłość.

Różnie może wyglądać marny koniec polskiej demokracji. Nie wykluczałbym takiego, że na deser wolności to Moczulski właśnie zostanie prezydentem, da sobie uprawnienia nadzwyczajne, a ci, co teraz rządzą, wrócą tam, skąd wyszli, czyli do internatu. Żydokomuna, jak to żydokomuna – zdążymy uciec. Trochę mówi się o Chinach, ale nie liczę na to. Jak przyjdzie co do czego, wiać będziemy tradycyjnie tam, skąd wyszliśmy, znowu do Szwajcarii.

NAJDER Zdzisław – nieszipieg

Był dyrektorem w Wolnej Europie. Nazywaliśmy go więc najgorszym łobuzem, wymyślaliśmy mu od amerykańskich pacholców i conradologów, skazaliśmy go na śmierć jako szpiega USA.

Następnie za obecnej władzy, został zrehabilitowany. Wałęsa osadził go w pałacu po Dobraczyńskim jako swego agenta w Warszawie i szefa ruchu na rzecz Wałęsy.

W tych okolicznościach Zdzisław Najder stał się nabitym pistoletem wymierzonym w serce obecnego rządu.

Spodziewam się, że wkrótce wszystko, co mówiliśmy złego o Najderze, zostanie otrzepane z kurzu i powtórnie użyte. Moja wersja Najdera uwiarygodni się wkrótce, chyba że Najder wypadł już z łask Wałęsy i stracił znaczenie.

Jak powiadają, kiedy Micewski mianowany został nagle rywalem Najdera, szefem doradców Wałęsy, przybył do jego pałacyku po Dobraczyńskim i kazał Najderowi oddać sobie wszystkie salony, a dla siebie i Komitetu Obywatelskiego wolno mu było zachować tylko dwa pokoje.

Upokorzenie to oznaczać może niewpuszczenie Zdzisława Najdera na kozioł prezydenckiego powozu.

NASIELSKI Aleksander – kapitał zagraniczny

Poznałem go jesienią 1944 r. w stołecznym wtedy Lublinie. Chodziliśmy do jednej szkoły podstawowej, działała tam tylko jedna organizacja – PCK i on był jej prezesem, czyli osobistością ważną. Obie nasze rodziny były z Łodzi i wróciliśmy do tego miasta. Miałem wówczas już 11 lat, ale byłem zapóźniony w rozwoju. Nasielski uświadomił mnie seksualnie w parku im. Sienkiewicza oraz nauczył palić papierosy. Jedno i drugie mi się przydało na całe życie.

W swoim przedwojennym mieszkaniu łódzkim Nasielscy zastali Niemkę z dzieckiem – resztkę rodziny, która je okupowała. Niemkę z pani domu przemianowali na służącą, a jej chłopca torturowaliśmy w odwecie za Oświęcim, prowadząc go ciągle do kina na radzieckie filmy o złych hitlerowcach, których dobrzy ludzie radzieccy leją jak chłap, chcą zaś bardzo.

Z Nasielskim krótko znów chodziłem do jednej szkoły. Został on esperantystą, prowadził samochód, uczył się angielskiego i był pod każdym względem imponujący. Potem został aparaczykiem w ZMP. Gdy w 1950 r. przeniósłem się do Warszawy, Nasielski pełnił bardzo wysoki urząd kierownika wydziału w ZG ZMP. Miał gabinet, sekretarkę i bezustanny dostęp do szefa ZMP Władysława Matwina. Przestał nawet palić, bo raz Matwinowi odmówił wzięcia odeń papierosów i potem wołał udawać, że jest niepalący, aby nie powstało wrażenie, iż nie chciał od przewodniczącego całego ZMP wziąć papierosa.

Wiadomo było, że członkowie kierownictwa ZMP, tacy jak Nasielski, w przyszłości w drodze sukcesji będą członkami Biura Politycznego i oni mieli tego świadomość.

Ojciec Olka Nasielskiego był naczelnym dyrektorem wielkiego państwowego przedsiębiorstwa spedycyjnego HARTWIG i wyjeżdżał za granicę, co wtedy stanowiło ewenement. Nasielski miał więc eleganckie ubrania, które umyślnie niszczył przed włożeniem, żeby nie różniły się zbyt od innych. Koneksje domowe zmuszały go też do studiowania na Uniwersytecie, ale to czynił krótko i lewą nogą. Tą

samą, która mu się powinięła. Matwin oszedł z ZMP, Nasielskiego szurnięto zaś na wiceprzewodniczącego zarządu wojewódzkiego. Miał w województwie warszawskim zostać przewodniczącym, ale przed wyborami szepnięto mu do ucha, że to nie wchodzi w grę, bo jest żydem, a żydzi powinni się trzymać na drugim planie.

W tym zarządzie wojewódzkim ZMP Nasielski jako stary kolega dawał mi zarabiać pieniądze. Pisałem pogadanki dla kół ZMP, a oni je drukowali, np. „Od podniebnych szczytów Tatr do sinych fal Bałtyku, wszędzie, jak Polska długa i szeroka, wre pokojowa Praca”. Piękne to i moje. Kto tę pracę chciał zakłócić, dziś nie opowiem, gdyż wspomnianie tego nie jest modne. W każdym razie wróg zewnętrzny i wewnętrzny.

W 1956 roku ZMP rozpadło się i czołowi działacze brali byle jakie posady nauczycieli lub jeszcze gorzej, jeśli można gorzej. Nasielski zbyt wcześnie uznał, że jego idee zawały się, a wraz z nimi także kariera. Przedwcześnie tak myślał, gdyż członkowie kierownictwa dawnego ZMP tylko krótko siedzieli na marnych posadach i prędzej czy później weszli do Biura Politycznego lub w jego pobliże. Przykładem Kania, Barcikowski, Tejchma, Szydlak i inni. Nasielski dzięki anglojęzyczności i kontaktom ojca wziął wszakże posadę w Holenderskich Królewskich Liniach Lotniczych KLM, co znaczyło, że polityczna kariera zamknięta zostaje dla niego na zawsze. W ślad za ojcem i całą rodziną wyemigrował do Australii, gdzie wszyscy stali się dość zamożni.

Mój Olek skończył tam prawo, został adwokatem i do spółki z tubylcem anglosaskim miał dwie kancelarie. Przysłał mi nawet gazetę z relacją z procesu, w którym bronił polskiego marynarza z polskiego statku. Ten marynarz oskarżony został o to, że w trakcie zwiedzania statku przez australijskie osobistości oficjalne, robiące na pokładzie przyjaźń polsko-australijską, usiłował zgwałcić australijską bohaterkę narodową, złotą medalistkę olimpijską, atletkę. Kiedy prokurator oznajmił: W imieniu królowej brytyjskiej oskarżam o gwałt tego tu Polaka – adwokat Nasielski przerwał mu i powiedział: Czy królowa widziała tę chudzinę mojego klienta i tę olbrzymkę atletkę? Gdyby widziała ich razem, nie pozwoliłaby panu w jej imieniu mówić takich głupstw. Polska i Nasielski wygrali, a prasa sprawę o gwałt opisała.

Olek Nasielski był więc adwokatem, miał australijskiego wspólnika, żonę szwajcarską jak zegarek, wyposażoną w trzy doktoraty, willę z basenem kąpielowym i maszynami do czyszczenia wody, jednym słowem, żył bogato i czysto. Nic go to jednak wszystko razem nie obchodziło. Głową był wyłącznie w Polsce i w Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Prenumerował „Nowe Drogi” i „Trybunę Ludu”. Australijskiego wspólnika nauczył po polsku, aby także mógł czytać szczegółowe relacje z posiedzeń plenarnych KC PZPR i żeby mieli o czym dyskutować w pracy. Przyjeżdżał Nasielski do Polski i tylko tu odżywał, odwiedzając swoich kolegów, którzy byli w Biurze Politycznym lub kierowali organizacjami wojewódzkimi PZPR, jak Bolesław Koperski w Łodzi, Marian Renke w Bydgoszczy itd. Spotykał się też ze mną i zawsze przywoził z Sydney całą listę pytań: Kto został ostatnio sekretarzem ekonomicznym KW w Rzeszowie? Na czym polegają różnice programowe między Tejchmą jako ministrem rolnictwa a wydziałem rolnym KC? W którą stronę odchyła się Grudzień? I wiele innych. Nasielski sondował swych polskich możliwych towarzyszy – przyjaciół, czy miałyby jakieś szanse polityczne, gdyby wrócił do Polski, lecz wszyscy smutno kiwali głowami i radzili mu siedzieć w Australii.

W tej sytuacji Aleksander Nasielski postanowił zająć się polityką australijską. Wydawać począł tygodnik dla australijskiej Polonii, chociaż nikt go nie chciał kupować ani czytać oprócz konsulatu PRL. Kandydował na posła i wraz z żoną objeżdżał zebrania wyborcze. Na kampanię tę wydał majątek i przegrał wybory. Żona powiedziała mu, że jeżeli jeszcze raz będzie kandydował na posła, odejdzie od niego na zawsze. Kandydował jeszcze raz i został rozwodnikiem. Po utracie wszelkiej nadziei, pieniędzy i kancelarii wrócił do Polski jako kapitał polonijny.

Powitano go tu uprzejmie, gdyż uosabiał przypływ kapitału, ożenił się w Polsce powtórnie, no i kręci się wśród kapitału polonijnego w Warszawie nie robiąc niczego określonego i mając raczej społeczny status posiadacza niż pieniądze.

Nasielski wracał z nadzieją, że przynajmniej będzie mógł w Warszawie czytać „Nowe Drogi” wprost z maszyny drukarskiej i na bieżąco śledzić w kawiarni przesunięcia w PZPR. Tymczasem „Nowe Drogi” przestały istnieć, PZPR również, kawiarnia nie mówi o polityce, rządzą w Polsce podobnie jak w Australii jacyś zupełnie obcy ludzie i życie jego zostało ostatecznie przegrane.

Opowieść o dawnym moim przyjacielu Olku Nasielskim jest opowieścią o paru naraz rzeczach:

sile naszej socjalistycznej idei, marności życia w świecie zachodnim i o tym, jak łatwo stracić grunt pod nogami, oraz o naturze i rozmiarach zachodniego kapitału, który przyplywa do Polski, aby nas zbawić.

NIEZABITOWSKA Małgorzata – rzecznik rządu

Zetknąłem się z tym nazwiskiem czytając jej reportaż w amerykańskim czasopiśmie „New Geographic”. Opisywał Amerykę oglądaną z cielecym zachwytem przez przybysza z Polski – nędznego i dzikiego, lecz szlachetnego kraju. Do ludowej jadłodajni za 2 centy schodzą się na lunch prości Amerykanie. Przed wszystkimi na talerzu krwisty, dwufuntowy beefsteak wydzielający aromat nieokiełznanej wolności. Reporterkę widok befsztyka dławi w gardle, więc nie je, lecz płacze i łyż kapią na danie zmieniając befsztyk z rusztu w sztukamięs z wody, gdyż myśli o tym, że to jest roczna racja mięsa polskiego górnika wychowującego dziesięć sierot po ofiarach komunistycznego reżimu. Od befsztyka autostrada z wodotryskiem prowadzi w Góry Skaliste do ubogiego wigwamu Indianina Skośna-Pała, przed którym parkuje czarny lincoln ze srebrnymi klamkami. Niebiańska woń magii i dezodorantów wiedzie reporterkę do wigwamowego wychodka. Sedes z różowego marmuru pokrywa elektrycznie ogrzewana pulsująca poduszka. Reporterka kuca koło tego ołtarza dobrobytu i odczuwa skurcze serca na wspomnienie polskich obesranych klozetów ze słojami skamieniałego kału ułożonego w nawarstwione kręgi z epoki paskudnego Bieruta, tępego Gomułki i oślizłego Gierka. Niebiański powiew amerykańskiej wolności niesie reporterkę wraz ze ślubnym małżonkiem od indiańskich wigwamów ku prawym traperom, a potem mijając zbratanych hippisów trafia do pobożnych mormonów i kormoranów.

Baśń o ich szczęściu, której od stuleci słuchać muszą Amerykanie, wymaga odnawiania podniet. Niezabitowska zaniósł Amerykanom polski koszmar, aby ich raj zalśnił na nowym tle.

Małgorzata Niezabitowska, zwana, od swej niewinnej urody, Lilią Bagienną, po odbyciu w Ameryce praktyki w nieposkromionym chwaleniu, zyskała kwalifikacje rzecznika rządu.

Niezabitowska jest dobra od pasa w dół. Złośliwa telewizja uporczywie pokazuje niewłaściwą jej połowę.

NOWAK-JEZIORAŃSKI Jan – głośnociemny

Jak wiadomo z lektury jego świetnej, niestety, książki *Kurier z Warszawy*, w czasie okupacji Nowak-Jeziorański był kurierem z Zachodu do Warszawy. Teraz, blisko pół wieku później, pełni tę samą funkcję. Znowu cichociemny, chociaż bardzo głośny.

W swojej książce o Wolnej Europie Jeziorański napisał, że w 1957 r. spotkał się w kawiarni w Monachium z ludźmi z „Po prostu”, co było prawdą, oraz że ja wśród nich byłem, co było nieprawdą, więc zaprzeczyłem publicznie. Ku mojemu zdziwieniu Wolna Europa sprawdzała u tych kolegów z dawnego „Po prostu”, mieszkających jeden w Warszawie, drugi w Sztokholmie, którzy w 57 r. gadali z Jeziorańskim, czy moje zaprzeczenie jest prawdziwe. W takiej drobnej sprawie tyle trudu i nieufności!

Żyjemy teraz w czasach, kiedy nie tylko Jeziorański, ale znaczna część polskiej ekipy RWE z Aliną Grabowską na czele, pokazuje swoje arcymile bużki w telewizji polskiej. Grono to przeżywa paradoksalny dramacik. W sensie politycznym oni zwyciężyli, osiągnęli swe cele, ale przez to są u progu likwidacji, czyli przejścia na chude złotówkowe etaty do Radiokomitetu.

Jeszcze tak niedawno bawiliśmy się następująco. Ja, jako rzecznik rządu, zaproponowałem publicznie, że przyjadę do Wolnej Europy do Monachium, żeby odbyć transmitowaną dyskusję polityczną z zespołem polskim. (Działo się to w czasie, kiedy Jeziorańskiego już od dawna w RWE nie było.) Amerykański szef całej Wolnej Europy Gene Pell natychmiast odpowiedział zapraszając mnie. Zespół polski ogłosił protest wobec swego chlebobawcy. Twierdził, że skazi się kontaktem ze mną. Skądinąd jednak, czyli z raportów naszego wywiadu, wiedziałem, że tam zapanował lęk przed taką dyskusją, związany z przypuszczeniem, iż zabiorę ze sobą do Monachium jakąś propagandową Wunderwaffe. Całe zaś związane z tą sprawą podniecenie było bzdurą, gdyż wszystko, co miałem do powiedzenia, już sto razy publicznie mówiłem i podobnie zespół RWE – już dziesięć tysięcy razy powtarzał wszystko, co byłby mi powiedział. Dyrektor Pell napisał, że dyskusji w ich rozgłosni nie będzie, ale proponuje mi

spotkanie i rozmowę poufną. Odpowiedziałem, że tak, i zaproponowałem Wiedeń, Berlin Zachodni lub Nowy Jork, gdzie właśnie wyjeżdżałem. Pell przystał na Nowy Jork. Umówionego dnia przyszedłem pod wskazany mi adres do biura pana Forbesa, przewodniczącego amerykańskiego organu zawiadującego różnymi radiostacjami i telewizjami, nadającymi na za granicę, a poza tym multimilionera i wydawcy „Forbes Magazine”. Przyjął mnie pan Forbes ze swoimi ludźmi. Pytam więc, gdzie dyrektor Pell, z którym się umówiłem. A nie ma go. To oni określają – oświadczył Forbes – z kim będę rozmawiać. A więc i dyrektora Wolnej Europy Pella chronili przed skażeniem. Po dwakroć zrobili z niego durnia przed komunistycznym ministrem. Ja dałem u Forbesa godzinny odczyt o kłamstwach, nieprawościach i rozmiłowaniu się z amerykańskimi wytycznymi polskiej rozgłośni RWE. Forbes mi odpowiedział, że Wolna Europa jest wspaniała, komunizm zaś paskudny. Ja na to wstałem mówiąc, że niepotrzebnie przyszedłem. On załagodził sytuację i dał mi w prezencie zielony krawat i zielony parasol z napisami „prawdziwy kapitalista”. Krawat z napisem dałem w prezencie Mietkowi Wilczkowi, bo mu się należał. Parasola z tym napisem używam i staram się być godny napisu.

Przeczytałem nie tylko, jak wszyscy. *Kuriera* z Warszawy, ale i dwie książki Jeziorańskiego o Wolnej Europie. Wydały mi się uczciwe w opisach stosunków z Amerykanami. Jan Nowak w jednej z nich chwali jako dowcipny mój primaaprilisowy felieton oparty na pomyśle, że Jeziorański incognito przyjechał do Warszawy w przebraniu hinduskiej kobiety. Ja go pamiętam jako okropny i niedowcipny. Dyrektor RWE nie ma wysokich wymagań. Natomiast ja teraz na telewizyjnym ekranie nie odróżniam Jeziorańskiego od mecenasa Siły-Nowickiego, tak są podobni. Wciąż więc mi się wydaje, że Nowak-Jeziorański jest amerykańskim kurierem, który przybywa do Warszawy ucharakteryzowany na Siłę-Nowickiego.

OLSZOWSKI Stefan – baby-sitter

W naszym czerwonym gangu nosił ksywę Funio alias Gruby.

Kiedy Olszowski był ministrem spraw zagranicznych, odbywał jakąś oficjalną podróż do Afryki. Jego samolot nadział się na dziurę powietrzną i tak gwałtownie omsknął się w dół, że nawet bardzo zwalistego Olszowskiego podrzuciło do góry. Rąbnął wtedy głową o półkę nad sobą z taką mocą, że otoczenie sądziło, że czaszka męża stanu poszła w drzazgi i za chwilę wypłynie jego świetny mózg. Tymczasem Olszowski spokojnie rozmasował guza na czerepie i powiedział: Zostało teraz dowiedzione, że rzeczywiście jestem z betonu.

Olszowskiego poznałem w 1955 r., kiedy przychodził do „Po prostu” jako właściciel synekury pod nazwą przedstawiciel Polski w Międzynarodowym Związku Studentów w Pradze. Kolegowałem się wtedy zresztą z innym takim synekurzystą, Włochem Carlo Rodrigo de Meana. Był on księciem, synem królewskiego kuzyna i kiedy doszedł do pełnoletniości, odbyła się jego intronizacja na rodowym zamku, bo rodzina królewska właśnie odzyskała swe dobra, z których wyгнаła ją zrazu republika.

Zjechała się cała włoska arystokracja. De Meana przemówił, nabluzgał im i ogłosił, że jest komunistą. Partia wysłała go więc na kwarantannę do Pragi, żeby w MZS przesiedział skandal. Wtedy on bywał w Polsce i bardzo szczegółowo studiował nasze sprawy i historię. Zajmował się np. przedwojennym polskim kinem, a to już zupełnie nie było czym. Potem wrócił do Rzymu już jako rewizjonista. Redagował pisemko à la „Po prostu” o nazwie „Nuova Generatione”. Odwiedzali go wtedy koledzy z „Po prostu”. Mieszkał biednie i był bez grosza, ale jak trzeba było jechać w miasto do nocnych knajp oraz burdeli, księżna-siostra przysyłała swą limuzynę, jej szofer chodził za towarzyszem de Meana i płacił rachunki. Teraz de Meana jest socjalistycznym senatorem. Pamiętam, że, kiedy byłem w Rzymie w 1956 r., Włoska Partia Komunistyczna nie chciała mi podać jego telefonu, gdyż był ohydny odszczepieńcem. Nie chciano mnie zresztą wtedy wpuścić ani do KC WłPK, ani do redakcji „Unity” motywując to tym, że jako facet z „Po prostu” jestem wrogiem Związku Radzieckiego. Dygresja ma zilustrować tę prawdę, że czasy się zmieniają i na tym tle zmian ogólnych Olszowski zmieniał się stosunkowo mało, co wreszcie doprowadziło do jego upadku.

Po powrocie z Pragi on kierował Zrzeszeniem Studentów Polskich i my w „Po prostu” miewaliśmy z nim znów kontakt.

W 1968 r. Stefan Olszowski odgrywał jedną z głównych ról w nurcie marcowym, kto wie, czy nie

ważniejszą niż sam gen. Moczar, który hamletyzował i był ponoć bardziej wysuwany przez otoczenie na wodza, niż sam się palił do wykopania Gomułki i brania pełnej władzy. Olszowski kierował wtedy Biurem Prasy KC. Osobiście się nie afiszował publicznie we frondzie marcowej, ale sterował tym, co pisała prasa, a ona odgrywała główną rolę w walce z syjonizmem, kosmopolityzmem technokratyzmem i innymi -izmami oraz dawała sygnały, kogo kolejno bić i wyrzucać. To on zatwierdzał większość marcowych tekstów żydożerczych oraz ataki prasowe na „Politykę” – w każdym razie sztandarową napaść Mysłka w „Trybunie Ludu”. Redaktorzy w większości właśnie do Olszowskiego chodzili zapisywać się do marcowego nurtu. On zaś im to przejście ułatwiał tłumacząc, że tylko teraz ten nurt narodowo-antysemicki jest taki dziki, gdyż przeżywamy okres szturmu. Później, kiedy zwyciężymy, nadejdzie czas syntezy i uspokojenia, a także odstrzelania krzykliwych marcowych radykałów. Olszowski działał tak, że później nikt go się nie czepiał o marzec 68 ani też zrazu nie zwichnął sobie do cna kariery, kiedy gierkowcy rozprawiali się z marcowcami. Później zesłany został na prowincję, potem jeszcze gorzej, bo na prostego ambasadora do Berlina. Wrócił stamtąd do Biura Politycznego w trakcie kryzysu 1980, jako odsunięty, więc nie skompromitowany działacz. Dokooptowano go razem z Grabskim.

Wracam do 1968 r. W tym to czasie ja od trzech lat miałem zakaz publikowania i pracy w prasie. Zabiegałem o zgodę KC na uzyskanie jakiegokolwiek posady, bo Artur Starewicz kazał mnie przeganiać nawet z instytucji reklamowych. Starania na moją rzecz robił u swego szefa sekretarz Zenona Kliszki – Ryszard Frelek. Szlaban postawił przede mną sam Gomułka, więc i Kliszko nie mógł go uchylić. Polecił mnie gdzieś ulokować na boku i po cichu, a Jan Głowczyk, naczelny „Życia Gospodarczego”, podjął się tego ryzyka i dał etat w swojej redakcji, z tym że miałem pisać pod pseudonimem. Teraz tę operację polegającą na tym, że Kliszko przymknie oko, a Głowczyk mnie weźmie, zaaprobować miał Olszowski jako szef prasy. Rozmowa z nim była przykra. Podkreślał, że mój los zależy tylko od niego, gdyż coś bąknąłem o Kliszce. Krzyczał na mnie, iż jako dziennikarz jestem szmatławcem i tu wyciągał mi grzechy z „Po prostu” i „Polityki”. Sponiewierał, ale dał zgodę na posadę.

Potem stykałem się z Olszowskim jako rzecznik rządu, gdyż był sekretarzem propagandy KC i członkiem Biura. Chadzałem więc do niego na różne zebrania, jednakże ja mu nie podlegałem. Był to człowiek bardzo mądry i niezwykle sympatyczny – jeżeli chciał, ale chciał nie zawsze. Z przerażeniem uczestniczyłem w scenie rugania Józefa Bareckiego. Ryczał na niego i zwymyślał jak smarkacza. Chodziło o jakieś przekroczenie kompetencji w rozmowach z „Solidarnością”. Wobec mnie Olszowski zawsze był pełen kurtuazji, koleżeński i uroczy. Miał jednak swoją własną ferajnę i trzymał mnie jako rzecznika na bardzo daleki dystans od wszelkich spraw związanych z kierowaniem propagandą. Nie wziął mnie np. w skład bardzo rozległego tzw. sztabu grupującego mnóstwo aparatczyków i redaktorów, który ustalał politykę propagandową w stanie wojennym. Doszłusowałem do tego zespołu dopiero o wiele później. Nic np. nie wiedziałem o zamiarze rozwiązania SDP i powołania SDPRL. Po fakcie poszedłem do gen. Jaruzelskiego bardzo to krytykując z tego mianowicie punktu widzenia, że delikatnym środowiskiem dziennikarskim nie można tak apodyktycznie obracać. Uważałem, że ta operacja, którą uznawałem za trafną, powinna być przeprowadzana subtelnie, wolniej, metodami politycznymi. Powinny się odbyć zebrania zespołów redakcyjnych, należało ogłosić dokumentację na temat politycznej działalności SDP Bratkowskiego w 1981 r., a rozwiązanie i tworzenie nowej organizacji gruntownie uzasadnić. Szef przyjął te argumenty i upoważnił mnie do spotkania się z grupą opozycyjnych dziennikarzy, aby udzielić im odpowiedzi na jakiś ich list protestacyjny. Przyszedł, jak pamiętam, Giełżyński, Paszyński, Wróblewski, także Hłowiecki. Z upoważnienia premiera złożyłem ubolewanie dotyczące metod likwidacji jednego, a połogu drugiego z dziennikarskich stowarzyszeń. Był to pstryczek w sam nos Olszowskiego.

Bardzo go lubiłem i ceniłem, choć należał do innej niż ja orientacji. Nie miałem przystępu do jego koterii, ale oficjalnie zachowywał się wobec mnie z wielką kurtuazją.

Akcja pozbywania się Stefana Olszowskiego jako pretendenta do władzy z ramienia twardego, zachowawczego skrzydła aparatu trwała bardzo długo i prowadzona była ostrożnie i nie bez lęku. Główny Szef zawsze nadmiernie bał się lewego skrzydła, przeceniał jego siłę, wpływy i determinację. Kiedy wreszcie nadszedł czas, żeby Olszowskiego unicestwić, wszystko wypadło jak najgorzej.

Był bardzo kochliwy. Miał skłonność do panienek. Ja, pomiędzy pierwszą a drugą żoną, prowadziłem np. dom otwarty przez całą dobę w wynajętym mieszkaniu nad „Pewexem” w Alejach Jerozolimskich. Wśród różnych innych panienek przychodziła tam do mnie korektorka, która twierdziła,

że żyje z Olszowskim. Wiedziała dziewczyna, czym podniecać. Przypuszczalnie jestem więc suchym szwagrem Olszowskiego, ale któż nim nie jest, chyba tylko Ignacy Loyola.

Kiedy już dojrzało odcięcie od korpusu kierowniczego partii lewego jego skrzydła w osobie Olszowskiego, akurat towarzysz Funio zmaistrował dziecko dziennikarce z „Trybuny Ludu” i dziecko to uznał. I ta „niemoralność”, polegająca na niewierności małżeńskiej czy może uznaniu swego ojcostwa, wyciągnięta została przeciw niemu na Plenum KC jako główny zarzut. Olszowski rozżłościł się i trafnie nazwał to zupełnym drobnomieszczaństwem dziwnym w partii. Wszyscy, także ci, którzy radowali się z jego upadku, przyznawali mu rację. Operacja polityczna, ubrana w kostium dulszczyzny, robiła żenujące wrażenie.

Olszowski nie wziął żadnej posady zastępczej. Jako człowiek z charakterem ogłosił, że poświęci się pracy publicystycznej, co jest oczywiście czystą przenośnią i co w języku potocznym czytać trzeba: pocałujcie mnie gdzieś.

Z dotychczasową żoną (zresztą koleżanką mojej przyjaciółki z lat dziecińczych) Olszowski się rozstał, zostawiając jej dom w osiedlu koło ulic Belwederskiej i Chełmskiej, zwanym Czerwona Oberża, ze względu na barwę dachów oraz przekonań lokatorów.

Oglądałem go potem w Juracie na Helu, w trakcie urlopu, jak zabawiał to swoje dziecko, co dla mnie było widokiem szokującym, gdyż łączę w sobie estymę do polityków dużego formatu z obrzydzeniem do dzieci.

Dziewczyna Olszowskiego, która tak nie zachowywała higieny osobistej, że urodziła dziecko, wyjechała na posadę do ONZ. On się z nią podobno ożenił, w każdym razie osiadł przy niej w Nowym Jorku i pracuje przy dziecku jako guwerner. Opisywała to prasa amerykańska, uznając za objaw sensacyjnego upokorzenia czerwonego polityka. W obecnych czasach oddawanie się przez dawnych dygnitarzy podłym zajęciom stało się czymś tak powszechnym, że przestało wzbudzać sensację.

ONYSZKIEWICZ Janusz – wiceminister obrony

Jest on prازیęciem Józefa Piłsudskiego i stąd zapewne skłonność do wojskowości. Ożenił się z Joanną, wnuczką lub prawnuczką Piłsudskiego. Objasnić trzeba, że prateść Onyszkiewicza miał posadę marszałka w przedwojennej Polsce.

Poza tym Onyszkiewicz jest senatorem i to chronicznym, gdyż wcześniej za naszej czerwonej władzy był senatorem uniwersytetu, z którego to urzędu nie udało się go wyrugować, mimo pewnych starań. Dalej wyliczając, jest tatarnikiem, matematykiem i cyklistą. Jako rzecznik „Solidarności” w 1980 i 1981 r. przyjeżdżał do gmachu rządowego na rowerze. Ta ostatnia jego właściwość, historycznie rzecz biorąc, jest najważniejsza. Kiedy Wałęsa i nacjonałści dojdą do władzy, ogłoszą – zgodnie ze swą endecką tradycją, że wszystkiemu byli winni żydzi i cyklisci, rządzący pod Mazowieckim. Z żydami sprawa jest jasna, lecz nikt nie widział w Polsce na oczy cyklisty. I otóż tu Onyszkiewicz jest na wagę złota.

Przyjmowałem go ze dwa razy jako rzecznik rządu bojąc się dosyć, gdyż ma zimne, stalowe oczy i pokazywał twarz przepojoną nienawiścią. Jemu jednak zawdzięczam swoją karierę. Ja stałem się w rządzie rzecznikiem, kiedy Janusz Onyszkiewicz był nim w „Solidarności”. Organizacja ta z rzecznika prasowego uczyniła jedną z głównych osób, najbardziej eksponującą się publicznie. Siłą rzeczy więc ja stałem się kontr-Onyszkiewiczem, dającym kontroświadczenia na codzienne jego różne oświadczenia. I tak w 1981 r. turlaliśmy się z górki. Przez to właśnie, że Onyszkiewicz był ważny, ja zrobiłem się też ważny i znany, zamiast po cichu urzędować, gdzieś w kącie otrzepując zarękawki. Nie jest więc prawdą to, co się głosi, że podniosłem znaczenie rzecznika rządu, ponieważ jestem zdolniejszy niż mój poprzednik Janiurek. To absolutna bzdura. Po prostu Onyszkiewicz mnie ustawił.

Raz – 7 sierpnia 1981 r. przechytryłem go. „Solidarność” zerwała wtedy rozmowy z rządem i przekreśliła szansę na wypracowywane już porozumienie. Napisałiśmy nad ranem z Rakowskim i Górnickim oświadczenie w tej sprawie, wskazujące na złą wolę i winę kontrpartnerów i radio od 6 rano już to czytało na całą Polskę. Przewidywaliliśmy, że delegacja „Solidarności” z Wałęsą na czele, która mieszkała w hotelu „Solec” i ostro tam piła, nad ranem i rano będzie spać. Zanim się obudzi, my pierwsi rozpropagujemy swój pogląd na zdarzenia i oni go nieprędko skontrują. Tak się stało i miało to wielkie

znaczenie psychologiczne, gdyż było przełomem – przejściem rządu do ofensywy. Wałęsowcy istotnie spali. Pierwszy obudził się właśnie Onyszkiewicz, napisał oświadczenie i młodzież zaczęła je rano roznosić po sklepach spożywczych w Warszawie. Moja żona przyniosła taką ulotkę właśnie z kolejki. Oświadczenie było wyjątkowo idiotyczne i „Solidarność” szybko je wycofała, a pod wieczór w telewizji ogłosiła zupełnie inne.

Ostatnio, kiedy Janusz Onyszkiewicz już był wiceministrem obrony, jeden z pułków jego wojska zaprosił mnie na spotkanie z kadra i żołnierzami. Ponieważ jestem teraz człowiekiem wolnym i panuje podobno demokracja, więc podjąłem publiczne kpiny „z waszego przełożonego Onyszkiewicza”. Wojsko, które przyjmowało mnie z aplauzem, nie jest przyzwyczajone, żeby ktoś sobie żarty stroił z ministrów wojskowości czy choćby tylko wiceministrów. Stało się coś, co bym nazwał mieszaniną radości i konsternacji. Tym sposobem osłabiłem nieco hierarchiczną dyscyplinę armii, ale wojna się jeszcze nie szykuje i Onyszkiewicz nieprędko będzie dowodził w polu. I to całe nasze szczęście, bo wstyd byłoby przegrać z Litwą wojnę o Suwałki.

Ks. biskup ORSZULIK Alojzy – polityk

Jest postacią ogólnie znaną jako członek trójosobowego politycznego kierownictwa w Episkopacie. Niedawno został wicebiskupem, na którą to rangę czekał jakoś szczególnie długo. Uczestniczył w wieloletnim procesie, który doprowadził do okrągłego stołu. Taki mój przyjaciel Ciosek współżył z ks. Orszulikiem częściej niż z własną żoną. Ja jednak spotkałem się z nim raz tylko, chociaż byliśmy poniekąd kolegami, gdyż on miał m.in. urząd rzecznika prasowego Episkopatu, ja zaś rządu. Stykałem się z ks. Orszulikiem na przyjęciach dyplomatycznych, zdarzało się rzadko, że telefonowałem doń w jakiejś sprawie, ale spotkaliśmy się tylko raz z jego inicjatywy. Zaprosił mnie na obiad do restauracji „Wilanowska”. Jakoś tak to urządziłem, żeby nie sądził, że prowadzę go w z góry przygotowane miejsce, gdzie jest podsłuch. Wiedziałem bowiem, że my, funkcjonariusze reżimu, jesteśmy podejrzewani o przyciąganie rozmówców do mikrofonów. Byłem zresztą naiwny, sądząc, że taki ważny ksiądz się tego lęka i nie był to ostatni w tym spotkaniu objaw mojej naiwności.

Ks. Orszulik okazał się panem korpulentnym i jowialnym, nieobojętnym na to, co je. Chciał ze mną porozmawiać o kościelnej fundacji rolnej, gdyż wtedy usilnie zabiegał o to, żeby ją zorganizować. Sądzę, że celem spotkania było wysondowanie mnie, co też my w tej sprawie kombinujemy i czy damy zgodę oraz kiedy.

Ja wówczas o fundacji rolnej tylko tyle wiedziałem, że istnieje taki jakiś projekt i Kościół dyskutuje go z rządem. Nic więcej. Potem dopiero, po tej rozmowie zapoznałem się szczegółowo ze sprawą, śledziłem bieg negocjacji i odpowiadając na pytania dziennikarzy często o fundacji mówiłem na konferencjach prasowych.

W rozmowie z Orszulikiem zamiast szczerze powiedzieć, że nic nie wiem, zacząłem snuć jakieś dywagacje. Z początku Kościół proponował, żeby kapitały fundacji ulokować w paru wybranych gminach. Rząd się na to nie godził, uważając, że powstaną w ten sposób wsie o pokazowo bogatej gospodarce budzące mylne wrażenie, iż Kościół może cudownym sposobem tworzyć raj na wsi. Otóż ja, nie mając pojęcia o stanowisku mojego rządu, zacząłem ks. Orszulikowi proponować akurat to, na co się nie godziliśmy: żeby koncepcję fundacji wypróbować na początek w paru wybranych wsiach. Zdradziłem się w ten sposób, że w ogóle sprawy nie znam, ksiądz zmienił temat i na tym skończył się obiad i nasz poobiedni spacer.

Zażądałem od administracji rządowej zwrotu rachunku z restauracji. Nie jestem skąpy, a już szczególnie nie żałuję pieniędzy na wydatki restauracyjne. Chodziło mi jednak o zasadę. Ze sprawą tego rachunku chodziłem aż do premiera Jaruzelskiego. Nie pamiętam, czym się to skończyło, ale patrząc z perspektywy, pieniądze mi się nie należały, gdyż wykonałem złą robotę i zbłądziłem się.

Na odchodnym ks. Orszulik zaproponował następne spotkanie i zapowiedział, że to on mnie tym razem zaprosi na obiad. Obietnicy nigdy nie spełnił. Jeszcze nie wiedziałem wtedy, że to dla kleru typowe. Nie szkodzi, głodny przez to nie chodziłem, gdyż rząd sam się zawsze wyżywi.

ORZECHOWSKI Marian – błąd personalny Wojciecha Jaruzelskiego

Sejm wybrany w 1989r. był już widowiskiem wielu obrzydliwych zdarzeń, ale szczytem stała się mowa posła Orzechowskiego w debacie nad *exposé* ministra od spraw zagranicznych Skubiszewskiego. Był członkiem Biura Politycznego KC i ostatni należący do kierownictwa PZPR minister spraw zagranicznych podjudzał do antykomunistycznej czystki w MSZ. Obelżywie oceniał dyplomatów, którymi kierował, których sam dobierał albo co najmniej aprobował. Ideologa partii raziła ich partyjność. Izba zaś architektonicznie Wysoka, choć niska w swych instynktach, waliła mu brawo. Może te oklaski wynikały ze złego smaku wybrańców narodu i ich nieczułego węchu, a może z radości wynikającej stąd, że oto naród ma pokaz skrajnej zaturbowości członka obalonej ekipy czerwonych władz.

Będąc ministrem od stosunków międzynarodowych, prof. Marian Orzechowski zasłynął głównie tym, że kazał sobie zrobić luksusowe mieszkanie na ul. Górnośląskiej, a szykowanie rezydencji wymagało m.in. zlikwidowania apteki, co pobudziło protesty ludności i wywołało skandal. Rozwydrzenie mieszkaniowe członków władz teraz jest rzeczą normalną, ale za poprzedniej władzy w latach 80. tak nie było i aspiracje mieszkaniowe państwa Orzechowskich stanowiły wielkopański wybryk, szokujący sfery rządzące. Orzechowski tłumaczył się, że nie chodzi mu o pałacowe warunki mieszkaniowe dla niego i żony, lecz o przyjmowanie gości. To wyjaśnienie było jednak wątpliwe, bo on (podobnie jak teraz Skubiszewski), jeśli urządził przyjęcie, miał do własnej dyspozycji świeżo odrestaurowany pałacyk MSZ na Foksal i dawną rezydencję Gierka w Klarysewie. Mógł także przyjmować gości w pałacu rządowym na Krakowskim Przedmieściu, pałacu w Otwocku Wielkim, pałacu w Natolinie, pałacu w Małej Wsi, dwóch willach na Klonowej i w jednej z siedmiu przystosowanych do tego celu willi na Parkowej, dalej w pałacu królewskim w Wilanowie, także w Zamku Królewskim. Pałac Myślewicki w Łazienkach chyba odpadł. W każdym razie nawet teraz rząd ma więcej pałaców z jadalnią, kuchnią i sypialniami niż gości. Tym bardziej za Orzechowskiego, kiedy goście nie byli zbyt liczni i minister nie musiał robić z siebie lewatywy i szukać siedziby w aptece.

Potem Orzechowski awansował z MSZ do sekretariatu KC na ideologa partii. Ta zmiana posady nie podobała się jego żonie, która wolalała podróżować jako ministrowa spraw zagranicznych, niż być zwykłą sekretarzą KC. I oto odbyło się przedstawienie nie mające precedensu w bujnych dziejach komunizmu. Delegacja Biura Politycznego pertraktować poczęła z panią Orzechowską, prosząc ją o łaskawe zezwolenie mężowi na zmianę posady.

Jako ideolog PZPR pisał dzieła standardowe, bezwzględnie słuszne i tak nudne, że nie czytał ich nawet podległy mu aparat. Setki kilogramów jego książek wynoszono na makulaturę przy opróżnianiu budynku KC PZPR, odbieranego pod kłamliwym pozorem zaspokajania potrzeb lokalowych Uniwersytetu. Jako ideolog wsławił się Marian Orzechowski głównie rozgromieniem Adama Schaffa za ideologiczne odchylenia od słusznej linii. Schaff został w latach osiemdziesiątych usunięty przez troglodytów z partii i on tę ekskomunikę gorliwie uzasadniał.

W wyborach 4 czerwca 1989 padła, jak wiadomo, tzw. lista krajowa – czyli najważniejsi kandydaci koalicji wybierani z całego kraju. Przeszli z niej tylko prof. Zieliński i Kozakiewicz, ale nie ten od gestu, tylko profesor, obecny marszałek Sejmu. Opozycja, respektując umowę okrągłego stołu, przystała na uzupełnienie w drugiej turze w wyborach okręgowych brakujących m.in. PZPR-owi mandatów. Tym to sposobem, wystawiony na posła PZPR w ostatniej chwili, Orzechowski bocznymi drzwiami wszedł do Sejmu. Ponieważ był jedynym członkiem Biura Politycznego, który stał się posłem, więc został przewodniczącym klubu parlamentarnego PZPR. Od tej chwili rozpoczął raptowne przeskoki na drugą stronę politycznej barykady i bezgranicznie próbował się przypodobać zwycięskiemu ugrupowaniu, tworzącemu teraz przewodnią i kierowniczą siłę, do której Orzechowski zawsze zwykł był należeć. Związał się z Tadeuszem Fiszbachem, wicemarszałkiem Sejmu, PZPR-owcem, któremu Wałęsa udzielał ostentacyjnego poparcia, próbując go mianować przywódcą PZPR. Zjazd, który zlikwidował PZPR i stworzył SdRP, odrzucił jednak Fiszbacha, który sformował własne ugrupowanie zwane Unią, ale mające kieszonkowy wymiar. Chyba jednak i Fiszbach uznał, że jego mentor i sojusznik to zbyt kłopotliwy bagaż polityczny na nowe czasy i tak Orzechowski został posłem całkowicie bezpartyjnym i idealnie niezależnym. Kadencja obecnego Sejmu przypuszczalnie będzie wkrótce przerwana, co zakończy jego karierę polityczną.

Był to szary i typowy aparatczyk, który mniemał, że zachowa jakąkolwiek pozycję w życiu

politycznym poprzez gorączkowe i nagłe skoki oraz płąsy. Żeby się jednak skutecznie przypodobać, trzeba mieć szansę spodobać się komukolwiek.

Marian Orzechowski wydał w książce swe cenne wywiady i przemówienia głównie z 1989 r. Zatyłował ją ślicznie: Czy partia zdąży na czas. Autor sporo mówi w niej o sobie. Np.: „PZPR jako siła ideowa i polityczna niesie szczególną odpowiedzialność za Polskę. (...) W dialogu, dyskusji, kontrowersjach i walce tak naprawdę liczy się ten i tylko ten, kto potrafi odegrać właściwą rolę, broniąc siłą argumentów swych racji, wyraźnie mówi, do czego dąży, jakimi kieruje się wartościami, jakie ma cele. Odpowiedzialny partner wówczas staje się wiarygodny, zdobywa zaufanie, gdy nie ukrywa swej tożsamości, gdy nie ma janusowego oblicza – dla każdego innego i równie miłego” (strona 274).

Na miesiąc przed wyborami 1989 w wywiadzie dla „Kultury” warszawskiej na pytanie, czy będzie kandydować do parlamentu, prof. Orzechowski odparł: „Nie. Pomimo licznych sugestii, płynących z różnych stron, postanowiłem nie kandydować”.

Na pytanie dlaczego, ideolog odparł m.in.: (str. 307-308) „... chciałbym nadal koncentrować się na sprawach partii, jej ideologii i polityki. Te sprawy uważam dzisiaj za najważniejsze także z punktu widzenia mojej politycznej biografii”.

Takie to deklaracje zapoczątkowały pojawienie się posta Mariana Orzechowskiego, wkrótce całkowicie bezpartyjnego i pełnego obrzydzenia wobec ludzi z PZPR.

OSIECKA Agnieszka – poetka

Osiecka mieszka z mamusią na Saskiej Kępie w Warszawie. W jej pokoju stoi stare biurko przykryte szklanym blatem. Przygnieciona szkłem leży kolekcja fotografii mężczyzn jej życia. Spoczywają tam jak przyszpilone owady, które już nie odruną. Jeden zasłania drugiego, gdyż nie mieszczą się w tłoku, który zrobili. Są tam niemal wszyscy, którzy coś znaczyli przez ostatnie 40 lat, i trochę takich, którzy tylko tyle znaczą, że byli z Osiecką. Leży tam rozplaszczony Frykowski, człowiek światowej sławy, gdyż żeńska banda Mansona zamordowała go w Kalifornii razem z żoną Polańskiego. Był nawet ślubnym mężem Osieckiej. Spoczywają tam Andrzej Jarecki, Andrzej Wajda, Daniel Passent i Marek Hłasko, Inżynier Jesionka – kolejny mąż ślubny, Maryla Rodowicz i Rakowski. Łatwiej by wymieniał, kogo ona nie hoduje pod szkłem. Naliczyłem z ośmiu, których nie ma, w tym Jarosława Iwaszkiewicza, Jerzego Waldorffa i Aleksandra Halla.

Osiecką znam samo przez się i prawie od zawsze. Studiowałem z nią, ale nie jestem pewien, czy wtedy o tym wiedziałem. Nie było jeszcze powodu do rozpoznawania. Pamiętam ją chyba dopiero od stolika w knajpie dziennikarzy na Foksal. Modelowa polska panienka z dworku o regularnych rysach z grubym blond warkoczem. Tymczasem to jest córka węgierskiego grajka z diabelskimi genami. Siedziała wtedy jeszcze cicho, nie próbowała skupić na sobie uwagi, toteż mało kto ją zauważał. Piło się tam wódkę. Został mi w pamięci obrazek: Osiecka chyba z Jareckim przy naszym ludnym stoliku, młoda Sława Przybylska śpiewa z gitarą, kruczy Krzysztof Walicki od stolika do stolika roznosi podeksytowany polityczne plotki, pochyla się ludziom do ucha, wypinając pośladki w bryczesach i kaburę z pistoletem. Błyszczą mu oficerki. Mógł to być rok 1955. Gdzieś wtedy dokonał się wytrysk Osieckiej – pojawiły się piosenki wczesnego STS-u. „Czy sąd nad Wisłą kiedy błądził”, „Kochankowie z ulicy Kamiennej” i mnóstwo innych.

Ostatnie mocne picie z nią też pamiętam: wczesne lata osiemdziesiąte, u eks-wicepremiera Tadeusza Wrzaszczyka.

Najwięcej było tych kontaktów w latach, kiedy mieszkała z Passentem. Asystowałem u początków tego związku. Passent wyszedł ze swojego mieszkania na Kruczej, róg Hożej, odprowadzić Osiecką ze zbiorowej bibki i już nie wrócił. Asystowałem też przy końcu tego bezślubnego małżeństwa. Passent zaprosił mnie na lunch i oficjalnie zawiadomił, że się rozstają. Podłoże znałem od dawna.

Osiecka jest najciekawszym towarzystwem, jakie można mieć w Warszawie. Kiedy mówi, wszystko w jej opowieściach ma stosowne proporcje, kulminację, pointę i starannie rozmieszczone olśniewające spostrzeżenia. Osiecka jakby pisze sobie w myślach rozmowy, obmyśla status i zakres kontaktów z ludźmi, reżyseruje klimat spotkań. To nie znaczy, że bywa mniej szczerą niż przeciętnie. Jest intensywna w obcowaniu z ludźmi. Życie towarzyskie też wymaga zdolności, obmyślenia i fachowej

inscenizacji.

Cały ten kunszt rozmowy i obcowania wali się, kiedy Osiecka wypije za dużo. Czepia się wtedy jednej myśli, zwrotu i powtarza bez końca, aż rozmówca chciałby strzelić, żeby nastąpiła cisza. Bywa też po wódce inaczej: jej opowieść, relacja, tok myśli wyrwa się z literackiej konstrukcji, rozwałkowuje się w przód i na boki, ciągnie się i ciągnie w nieskończoność, donikąd.

W różnych okresach rozmaicie ustawiany jest szczyt hierarchii ogólnoliterackiej i poetyckiej. Buduje się go wedle kryteriów artystycznych i politycznych. Teraz na szpicu są np. Miłosz i Herbert. Jeżeli jednak układać pisarzy w piramidę według ich społecznego znaczenia, wedle tego, czy istnieje kontakt między ich wrażliwością a wrażliwością odbiorców, to Agnieszka Osiecka od trzydziestu lat jest najważniejszą osobą w polskiej literaturze. Dzięki temu, że jej poezja jest śpiewana, kształtuje ona wyobraźnię, smak, wrażliwość i nastroje milionów. Przez to jednak, że jest śpiewana, opiniotwórcy od nadawania poetom rang, klasyfikują ją jako poetesę poślednią. To nie żaden Miłosz tylko Osiecka wzrusza, to ona milionom podaje ton, to ona stwarza klimat rozmów, to jej słowotwórstwo narzuca się kolejnym pokoleniom, to jej zwrotki natrętnie wczepiają się w pamięć, to ona spisuje te nastroje, którymi emitują kolejne generacje młodych, to ona w chwili niepewności pociesza, że życie jest balem. To wreszcie Osiecka napisała *Białą bluzkę*, małe byle co, arcydziełko od niechcenia, ale niczego lepszego i prawdziwszego od wielu już lat nie napisano. Gdyby nie było Osieckiej, literatura nie miałaby ani pierwszego, ani drugiego, bo po prostu żadnego obiegu.

OZDOWSKI JERZY – były wicepremier

Jeden z prezesów klubów inteligencji katolickiej. Został katolickim wicepremierem w rządzie Wojciecha Jaruzelskiego. Rano cierpiał, że premier na nim się nie opiera, w obiad, że prymas go unika, a wieczorem, że Pan Bóg, co spojrzy na swego syna Ozdowskiego, to paskudnie się krzywi i spluwa w niebiosy. Lubił przemawiać, robił to gładko, ale do ilu by ludzi nie mówił, zawsze miał tylko jednego słuchacza: prof. Ozdowskiego, z uniesieniem zasłuchanego we własne frazesy. I tak biegły dni władzy: paciorek – lufa – mowa, mowa – paciorek – lufa.

Degradowany na wicemarszałka Sejmu bardzo się opierał. Udobruchano go pozwalając mu ze sobą zabrać wicepremierowski wóz marki „Peugeot” oraz obstawę.

Osoba równocześnie nadęta i płaczliwa. Przypuszczam, że gdzieś na skrajnej prawicy postara się odpokutować swój udział w rządzie stanu wojennego.

PASSENT Daniel – dziennikarz

Jako dziecko był dzieckiem żydowskim i w czasie okupacji siedział w szafie, ponieważ naziści pragnęli Passenta zabić. Dziwne, ale zostawiło to jakiś uraz. W r. 1968 widziałem, jak się boi, chociaż umiałby rozumieć, że nie ma czego. Córkę zmusza do bezustannej gry w tenisa, jakby uważając przestrzeń zamkniętą za nieszczęście, a otwartą za korzystną. Jest przecież na odwrót.

Kiedy córka Passenta Agata miała zdawać do szkoły średniej, urządził w „Polityce” konkurs dla gimnazjów, żeby wyłonić szkołę godną przyjęcia jego dziecka.

Miał dwie żony i ma trzecią. Dwie pierwsze dały mu w kość, więc wszystko oddaje trzeciej.

Latami pisał felietony, w których umiejętnie przydzwaniał setkom ofiar swojego pióra. Jeżeli jego ktoś jednak zaczepi, jest wściekły i okazuje się pamiętliwy.

Ma kilka zalet: jest ponadludzko zdolny, serio traktuje pracę, niezwykle koleżeński, a przy tym nawet uczynny. Ma też trzy wady: nie pije, nie pije i nie pije.

Passent to mój przyjaciel i powinowaty, gdyż suchy szwagier. Mniejsza o szczegóły.

Jego środkową żoną była Agnieszka Osiecka – co akurat nie znaczy, że brali ślub. Passent ślubów na ogół nie uprawia. Jest człowiekiem akuratnym o mieszczańskich upodobaniach. Osiecka stanowiła w jego życiu huragan. Mężnie bronił siebie i statecznej egzystencji. Jeżeli rano zastawał w mieszkaniu pijanego Olbrychskiego, brał odkurzacza i odkurzał artystę. Jeśli Maryla Rodowicz chciała się przespacerować z żywą świnią, jechał po świnię.

Ostatnio wyjechał do USA i objął tam redakcję jakiegoś miesięcznika. Do Ameryki wyjeżdżało się zawsze z myślą o dzieciach. Passent jest zakochany w swojej córce i postanowił dla niej się zmarnować, żeby skończyła jakiś szablonowy Harvard – wyszła za coś ślicznego i schludnego. Wszyscy już odpłakali Passenta, który popełnił zawodowe harakiri, a ja będę się śmiał, kiedy nagle się okaże, że nawet w Ameryce Passent błysnie i zrobi wszechświatową karierę.

PIETRZAK Jan – ogniomistrz kabaretu

Mój suchy szwagier. Odziedziczyłem po nim jedną z jego byłych żon, ale nie sam i na chwilę. Eks-Pietrzakowa, w której byłem zakochany, robiła mi np. tak: tańczyła nago w moim mieszkaniu dla moich gości i głośno wybierała tego, z którym wyjdzie się przespać. Albo: umawiała się ze mną na wyjazd z Warszawy i przyjeżdżała na tę ze mną randkę z nowym kochankiem i udając przed nami obu, że z drugim nic ją nie łączy, krążyła między sypialniami. Wreszcie wyjechała ze mną do Zakopanego, kopnęła mnie silnie butem narciarskim w kostkę, ochwaciła mnie, po czym oznajmiła, że nie będzie ze mną wychodzić z domu ani nigdzie się pokazywać, bo wstydzi się przed ludźmi kulawego. Po tych doświadczeniach ułatwiłem eks-Pietrzakowej wyjazd do Ameryki na zawsze i pojąłem, że Pietrzak jest świętym męczennikiem zjadanym przez kobiety, chociaż na takiego nie wygląda. Żal mi było wcześniejszego Pietrzaka.

Przez długie dziesięciolecia Pietrzak z Koftą, a potem sam, robił najlepszy kabaret polityczny: „Hybrydy”, następnie „Kabaret pod Egidą”. Tworzył go w zmaganiach z cenzurą i pośród trudnych zabiegów o lokal i licencję polityczną. Kiedy nastała wolność, kabaret Pietrzaka spłaszczył się, zmarniał i legł.

Cztery są tego powody:

1. Cenzura zmuszała do sublimacji treści, operowania aluzją, szukania niedosłowności. Tymczasem wolność spłaszczyła satyrę polityczną i strywalizowała ją.
2. Publiczność niegdyś z entuzjazmem wychwytywała byle aluzję. Wystarczyło powiedzieć: „spasibo” i zmrużyć oko, a sala szalała z uciechy. Teraz publiczność jest zupełnie zblazowana. Kroci się jej na scenie Lenina na makaron, a ona ziewa.
3. Pietrzak, zresztą kiedyś czerwony kadet i dobry towarzysz, śmieje się tylko z czerwonych, co już zostało zbanalizowane i przestało być tematem aktualnym. Publiczność chce w kabarecie bawić się kosztem tych, którzy teraz rządzą, a nie kosztem cieniów przeszłości. Kopiąc Mazowieckiego czy Wałęsę bałby się narazić i władzom, i publiczności. Publiczność nie lubi jednak kabaretu podszytego strachem, a dzisiejsze występy Pietrzakowe mocno nim zajeżdżają. Wiem, nowa władza jest groźniejsza od starej i teraz już rzeczywiście jest się czego bać. Kabaret powinien jednak być heroiczny. I musi iść pod prąd wyobrażeń publiczności, wydobywać jej skryte nastroje, drażnić publikę, nie zaś podlizywać się jej.
4. Pietrzak chałturzy w Ameryce dla publiczności odległej od Polski i pozbawionej wrażliwości warszawskich intelektualistów. Komponuje więc programy z myślą o dolarach, wedle gustu polskiej sklepikarzowej z Detroit.

I z takich to przyczyn Pietrzak się skończył i chyba nawet o tym wie.

W latach siedemdziesiątych pisywałem teksty do kabaretu Pietrzaka, co zaprowadziło mnie na jedną z przedpremierowych prób. Zjadliwy spektakl kończył się ustawieniem zespołu w coś w rodzaju monumentalnego pomnika obrońców Leningradu i ta upozowana grupa śpiewała jako finał podniosłą pieśń patriotyczną „Żeby Polska, żeby Polska, żeby Polska była Polską”. Żeby masło, żeby masło, żeby masło było maślane.

Skrzywiłem się i zdziwiłem. To dla cenzury – tłumaczył się Pietrzak – taki konstruktywny, patriotyczny akcent na koniec.

Po wprowadzeniu stanu wojennego amerykańskie władze urządziły międzynarodowe widowisko telewizyjne z udziałem premierów różnych rządów, prezydenta USA i innych atrakcji. Był to show przeciw Jaruzelskiemu, nadawany przez telewizję krajów NATO, w którym nawet dyktator Turcji,

poddanej ustawicznemu wtedy stanowi wyjątkowemu, uczył nas z namaszczeniem demokracji. Ku mojemu rozbawieniu właśnie pieśń masowa Pietrzaka „Żeby Polska była Polską” stanowiła melodię przewodnią amerykańskiego programu propagandowego. Pieśń stworzona z motywów przypochlebnych wobec KC stała się od razu hymnem „Solidarności”.

Byłem wówczas rzecznikiem rządu i kiedy obejrzałem amerykański program oraz wysłuchałem w nim wielokrotnie hymnu Pietrzaka, skomponowanego dla przyjemności cenzora – powiedziałem naszemu szefowi propagandy Olszowskiemu: proponuję, żeby polskie radio i telewizja wykonywały ten hymn bez przerwy, w kółko, jako czołowy utwór stanu wojennego, aż ludzie zaczną słysząc to szaleć i zamykać odbiorniki. Treść pieśni jest politycznie obojętna, a gdyby nawet nie była, kiedy śpiewają – słów i tak nigdy nie można zrozumieć. Chodzi w nich zdaje się o to, że Bolesław Chrobry był to dzielny wojak.

Oczywiście z przejścia hymnu „Solidarności” nic nigdy nie wyszło, „wicie, rozumiecie, jak by to wyglądało”. I jak nasza ekipa mogła nie przegrać?

Pietrzak na żywo prowadził w telewizji festiwal piosenki odbywający się w Opolu. Ponieważ telewizja z góry zapowiedziała, że w te i te dni o tej i tej porze Pietrzak idzie z Opola na żywo, włamywacze na pewniaka wyważyli wówczas drzwi jego domu.

W trakcie swej pracy złodzieje włączyli telewizor, żeby stale widzieć i upewniać się, że okradany jest w Opolu oraz żeby mieć godziwą rozrywkę przy pracy. Wyniesiono mu wtedy wszystko. Ostatnio telewizja puściła jego występ z Opola w r. 1990. Najzagorzalsi wielbiciele Pietrzaka uznali widowisko za jego artystyczny pogrzeb. Siedział niczym otępy urzędnik już wyprany z wdzięku i zapowiadał żenujące kawałki wymierzone wyłącznie w czerwonych, co nie jest satyrą nazbyt aktualną.

W „Kabarecie pod Egidą” Pietrzak zawsze opowiadał publiczności kolejne wersje swego życiorysu. Następny będzie zapewne brzmiał tak:

„Urodziłem się w imię Ojca i Syna i Ducha Świętego, jako dziecko sfery ziemiańskiej, w wyniku niepokalanego poczęcia, odbytego w łonie świątobliwej redaktor Hennelowej z „Tygodnika Powszechnego”. Jako niemowlę składałem rączki do Bozi, a zamiast w pieluszki szczałem na płótno zerwane z czerwonych sztandarów. Machałem rączką, wołając pa-pa i mając na myśli Jego Świątobliwość”. I tak dalej.

PLANEROWA Janina – emigrantka

Była naczelnym redaktorem telewizyjnych programów młodzieżowych i oświatowych. Wyemigrowała ze 20 lat temu i jest od dawna zapomniana. Zdaje mi się warta przypomnienia ze względu na życiorys.

Ojciec – wielki ziemianin w Wielkopolsce – spolonizowany Niemiec. Jako starzec ożenił się z młodą żydówką, porzucił ewangelicyzm i przeszedł na judaizm. A więc niemiecki junker spolonizowany, a na koniec zjudaizowany. Niesamowite! Po spółdzeniu przyszłej Planerowej umarł. Wychowywała się w ortodoksyjnie żydowskim, ale wielkoziemiańskim przy tym domu. Uciekła z tego reżimu jako podłotek. Żyła w Warszawie z młodym anarchista, który ją głodził i prowadził do luksusowych sklepów spożywczych, żeby bardziej głód odczuwała i silniej nienawidziła przez to burżujów. Działo się to oczywiście przed wojną. Rzuciła anarchistę dla komunisty, który zrobił jej dziecko. Została też komunistką. Po upadku Polski w 1939 r. uciekła samotna już, z niemowlęciem na tereny zajęte przez Związek Radziecki. W 1941 r., kiedy Niemcy uderzyli na ZSRR, znalazła się w transporcie ewakuacyjnym i tam zgubiła dziecko. Przemierzała setki kilometrów – szlaki radzieckiej klęski, ucieczki i gigantycznego rozgardiaszu, szukając na stacjach kolejowych, w bombardowanych transportach i na etapach swojego niemowlęcia. Po niesamowitych przygodach znalazła je. Jest to Włodzimierz Press, aktor, grał m.in. w *Czterech Pancernych* jako jeden z partnerów psa. Z punktu widzenia interesów polskiej sceny i ekranu Janina Planerowa w 1941 roku trudziła się przesadnie, żeby nie zaginęło to niemowlę, skoro potem stało się aktorem Pressem.

Okoliczności wojenne rzuciły ją gdzieś na Syberię. Pracowała tam jako pielęgniarzka. Mały Press był chorowity, ciągle miał skonać. Jego matka dokonywała heroicznych wyczynów wobec lokalnych władz, aby zdobyć niezbędne lekarstwa i żywność.

Wróciła do Polski jako żona komunisty Planera. W czasach, które pamiętam, pełnił różne urzędy

w radiu i prasie. Urodziła córkę, rozwiodła się. Córka Lena była słynną piękną i już w wieku szkolnym miała głośne romanse. Plotka wiązała ją z Dygatem, ale także z bandziorem z podziemia gospodarczego o ksywie Cegła, który był adiutantem pana Rzeszotorskiego zwanego Rotmistrzem lub Wujem. Był królem podziemia walutowego oraz królem życia. Jego specjalnością były orgie. Współpracował z władzami, ale ten pakt działał do czasu, po czym go wsadzono i wyszedł zrujnowany finansowo i zdrowotnie. W czasach świetności Rotmistrz chodził dosłownie otoczony wiankiem pięknych nastolatków i potrafił tę swoją gwardię mundurować kupując im w komisie jednakowe sukienki.

Wiązany z Leną Planer Cegła wpadł swoim samochodem na ciężarówkę wiozącą pręty zbrojeniowe i w trakcie kraksy siedem czy jedenaście prętów przebiło go na wylot. Pogotowie ratunkowe musiało wezwać spawacza, żeby przeciął pręty, aby można było zabrać do szpitala szpikowanego nimi Cegłę, który przypominał jeża. Otóż on przeżył siedem lub jedenaście przebić na wylot i wyszedł z tego całkiem zdrowy.

W dziale telewizji, którym Planerowa kierowała, robiłem razem z Wandą Chotomską i Janem Zalewskim teksty do kabaretu dla młodzieży. Nasz kabaret był to najmarniejszy program w dziejach TVP. Niczego okropniejszego nie było nigdy, że się pochwałę. Przez tę współpracę zaprzyjaźniłem się z Planerową, kobietą, która wówczas mogła dobiegać czterdziestki, więc wydawała mi się sędziwą. Była przystojna, postawna, bardzo efektowna i ciekawa. Jak na osobę o tak szczególnie twardych przeżyciach, rozkapryszona była niezwykle, co w ogóle cechowało damy mające samopoczucie właścicielki Polski Ludowej. Rozsiadała się i np. żądała od podwładnych, żeby ją zabawili, krzycząc, że są nudni. Posyłała reżyserów po pół litra. Wtrącała się szczegółowo w prywatne życie personelu i lubiła sterować jego romansami. Była przy tym dobra. Wzięła do siebie np. małą Różańską, córkę wiceministra Bezpieczeństwa, który wtedy siedział. Dziewczyna ta zdaje się zwariowała pod wpływem wiadomości o zbrodniach ojca.

Kiedyś u fryzjera Planerowa spotkała młodą kurewkę, postanowiła ją reedukować i wzięła do telewizji. Panienka była stałą utrzymanką włoskiego dyplomaty – arystokraty. Włoch chciał się z nią żenić. W dyplomacji zakazane było żenienie się z tubylkami i to jeszcze zza żelaznej kurtyny, a także kurwy zawodowe nie były mile widziane przez włoski MZS. Włocha odwołano z Polski. Odniosł się on do prezydenta Republiki o zezwolenie na ożenek i na razie sprowadził ją do Rzymu. Rodzina dyplomaty odbyła zjazd rodzinny i zakazała mu ożenku, grożąc wydziedziczeniem. Prezydent zaś dał zgodę pod warunkiem, że dyplomata z żoną zostanie zesłany na placówkę do Afryki. Dziewczyna po długim czekaniu w Rzymie została tam jakąś hrabiną czy księżną włoską, przyjeżdżała potem do Warszawy zadawać szyku i odwiedzała Planerową, która patronowała jej perypetiom.

W 1968 r. Planerową wylano oczywiście z telewizji i emigrowała do Paryża w ślad za córką, która wyszła tam za mąż.

Planerowa to barwna mutacja całego gatunku ludzi rządzących Polską w pierwszym okresie. Byli oni nieskończenie ciekawszy niż późniejsze generacje władzy i opozycji także. Sama Planerowa była postacią bujną, osobą mądrą, choć fatalnie niedouczonej. Jej próżność sięgała gwiazd. Obraziła się na mnie śmiertelnie, kiedy na próbie kabaretu powiedziałem, że aktorka Zofia Mrozowska ślicznie wygląda w krynolinie. Wyszła wtedy z reżyserki trzaskając drzwiami, bo w jej obecności nikt inny nie mógł być oceniany jako wyglądający ślicznie – nawet aktorka na planie.

Ciekawe były życiorysy formacji, do której należała Planerowa, a wszystkie tych życiorysów zakończenia, jeżeli nie były straszne, to zawsze bardzo smutne i ciche.

POŻOGA Władysław – szef szpiegów

W powieści Fredericka Forsytha Negocjator występuje szef wywiadu KGB Wadim Kirpiczenko. Co on plus minus potrafi i może? Może wytropić Amerykanina nazwiskiem Quinn, który wymyka się zachodnim wywiadom i policji. Odnaleźć go w górach Korsyki, posłać tam do niego agenta Andrieja, który w przebraniu angielskiego gentelmana uratuje szlachetnemu Amerykaninowi życie pchając wózek bagażowy na czterech uzbrojonych zabójców, robiąc z nich w ten sposób miazgę. Ten Andriej potrafi polecieć za podopiecznym do Londynu, wymanewrować lokalną policję, dopaść swego Amerykanina i uśpić go, dotykając jego nogi parasolem, który w rzeczywistości jest strzykawką. Czyni to tylko po to,

zęby uśpionego zawieźć do ambasady ZSRR w Londynie, gdyż siedzi tam szef całego radzieckiego wywiadu gen. Kirpiczenko, który z Amerykaninem Quinnem chciał pogawędzić. Cała operacja stanowi więc właściwą radzieckiemu wywiadowi formę zaproszenia na pogawędkę. W rozmowie tej szef radzieckiego wywiadu może powiedzieć rozbudzonemu następnie amerykańskiemu supermenowi Quinnowi, że szef KGB oraz szef Sztabu Generalnego ZSRR marszałek Kozłów zawiązali spisek z teksańskimi nacierzami i producentami broni. W wyniku spisku porwali oni wspólnie i zabili syna prezydenta USA, żeby, zwalając winę na radziecki wywiad, uniemożliwić ratyfikację układu o rozbrojeniu powszechnym i wykończyć Gorbaczowa oraz za jednym zamachem prezydenta USA także. Przy okazji i niejako mimochodem Kirpiczenko współdziałał w udaremnieniu przewrotu w Arabii Saudyjskiej, polegającego na wyrżnięciu tysięcy ludzi, stanowiących rodzinę królewską. Kirpiczenko potrafi też wzmocnić inteligencję Amerykanina Quinna, podsuwając mu tłumaczenie umyślowo kształcącej radzieckiej literatury szachowej, oraz powtórnie uratować mu życie z rąk amerykańskiego mordercy-sadysty, pracującego na zlecenie ministra skarbu USA. Agent Kirpiczenki, przebrany za Eskimosa, czeka w odpowiednim miejscu w dzikich skutych lodem górach na amerykańskiej północy, będącej miejscową Syberią, i zabija mordercę z karabinu. Jak więc z tego wyliczenia wynika, szef radzieckiego wywiadu może nie wszystko, ale dużo.

W innych powieściach sensacyjnych szefowie różnych wywiadów także gęsto występują. Może ich działalność i możliwości nie są tak wielkie jak szefa szpiegów KGB, ale również są spore. Na ogół są to panowie o gigantycznej inteligencji, ale np. w wydaniu brytyjskim robiący w rodzinie i wśród sąsiadów wrażenie zwykłego safandudy, zajmującego się gdzieś, w jakimś rządowym biurze, zwykłą pracą urzędniczą.

Znam dobrze długoletniego szefa polskiego wywiadu i kontrwywiadu, pierwszego zastępcę min. Kiszczaka, generała dywizji Władysława Pożogę. Prawdziwego właściciela tak ekscytującej i tajemniczej funkcji przymierzam więc w myślach, obserwując go, do powieściowych wyobrażeń. Czytelnik sensacyjnych powieści wie oczywiście, że prawdziwy obraz takich ludzi jest inny od literackiego, lecz jaki? Prawdę mówiąc, nie wiem.

Gabinet szefa polskiego wywiadu i kontrwywiadu jest bezosobowym, niegustownym wnętrzem miernie wykwintnym i podobnym do gabinetów wiceministrów innych resortów. Nic tam nie jest zasłonięte, elektroniczne (z wyjątkiem magnetowidu) czy w jakikolwiek sposób tajemnicze.

Ośrodek szkolenia szpiegów, w którym bywałem, gdyby przepędzić mundurowego wartownika sprzed bramy, byłby zwykłym, wytwornym pensjonatem, wyrażającym nowoczesność lat sześćdziesiątych. Raz gen. Pożoga rzeczywiście mnie uśpił, ale celem tego nie było nawiązanie szczerej rozmowy, jak to zrobił Kirpiczenko z KGB, gdyż przeciwnie – mój sen uniemożliwił rozmowę. Środek usypiający także nie był podany z parasola, lecz przez kelnera, i miał postać nadmiernie obfitego, a zakropionego obiadu.

Nasza znajomość z gen. Pożogą nie miała charakteru towarzyskiego, tylko służbowy, lecz zaprawiona była więzią osobistą. Otóż szef kontr- i wywiadu nie robił żadnych tajemniczych min ani nie stronił od rozmów o swej pracy. Po prostu zdradzał te tajemnice, które użytecznie było odsłonić dla dobra naszych zajęć. Innych zaś konwersacja w ogóle nie dotyczyła. Nie robił wrażenia człowieka szczególnie mocarnego, przeciwnie, w sprawach dotyczących polityki i polityków zdradzał ostrożność, wręcz lekliwość znaczniejszą od wiceministrów mniej delikatnych resortów.

Dostrzegłem w funkcjonowaniu biura Pożogi dwie odrębności od innych biur rządowych. Po pierwsze, gdy gen. Pożoga chciał mi przesłać lub odebrać ode mnie jakiś papier, to w przeciągu kilku minut zjawiał się odpowiedni wysłannik. Dla innych resortów taka operacja była trudna, wymagała wielu telefonów i trwała godzinami. Po drugie – wszystko, co wychodziło od gen. Pożogi, było tajne. Pieczętkę taką nosiła zrazu nawet kopia artykułu prasowego, leżącego już w redakcji i mającego ukazać się nazajutrz. Po obśmianiu tego rodzaju tajemnic pozbawione one zostały pieczęci tajności.

Cóż wiem, ogólnie biorąc, o rzeczywistej działalności serdecznego, aż przesadnie ceremonialnego pana, jakim jest gen. Pożoga? Wywiad czyni wrażenie instytucji podobnej do przedsiębiorstwa handlowego. Zajmuje się on wydawaniem dużych pieniędzy po to, żeby zarobić jeszcze większe. Cała różnica polega na tym, że kontrakty zawiera się w wielkiej tajemnicy, stosując wypracowane techniki zabezpieczania jej. Kontrwywiad polega m.in. na podstawianiu tego rodzaju handlowcom z innych krajów fałszywych kontrahentów.

Ludziom, których fascynują kulisy, powiedzieć muszę, że najciekawszych rzeczy o funkcjonowaniu szefa wywiadu i kontrwywiadu dowiedziałem się nie z obcowania z gen. Władysławem Pożogą, lecz z jego książki, zawierającej wspomnienia z dawniejszych czasów. Jest tam m.in. historia o tym, jak nasz kontrwywiad sam zmontował i pobudził do działania komendę podziemnej organizacji WiN. Złożona ona była z autentycznych ludzi z podziemia, działających w sposób inspirowany i kontrolowany, ale nie wiedzących na ogół o tym. Wszystko to w grze z wywiadami Zachodu sądzącymi, że to one kontrolują i inspirują. Gen. Pożoga opowiedział to w swojej książce ze wszystkimi szczegółami: jakimi sposobami i technikami to sprawiał.

Niestety, o operacjach tego typu, które mogły być w toku, kiedyśmy się spotykali, nie dowiadywałem się nawet na ucho.

Moja wieloletnia współpraca z min. Władysławem Pożogą miała charakter polityczno-koncepcyjny i w tej płaszczyźnie posmak nieco spiskowy. Spraw wywiadu i kontrwywiadu dotyczyła tylko wówczas, gdy jako rzecznik rządu miałem mówić o czymś z tej branży. Przykładem urządzenie i sfilmowanie spotkania szpiega należącego do dyplomatycznego personelu USA – Muellera z polskim agentem ich wywiadu. Domyślałem się, że ten amerykański agent był także, lub wyłącznie, agentem Pożogi, zastawioną pułapką na mysz, ale ani o to nie pytałem, ani mi tego nie zdradzono.

Generalnie rzecz biorąc, o sprawach tego świata więcej można się dowiedzieć z książek niż z przeniknięcia za kulisy. Zagłądanie tam wzbogaca tylko wiedzę o szczegółowych mechanizmach i motorach. Sens i skutki zawsze są jednak jawne. Podobnie w teatrze – bywanie za kulisami daje wyobrażenie o tym, jak to się robi i poprzez jakie relacje między ludźmi. O teatrze stanowi jednak scena i prawie nigdy niczego naprawdę ważnego dojrzeć nie można poza nią.

PRAŚNIEWSKI Leonard – posiadacz

Przedstawiciel wielkiego polskiego kapitału, który wielki kapitał Zachodu nazywa miejscowym lub tubylczym. Biały gentelman, który jedzie do afrykańskiego buszu, na widok tubylca w stroju narodowym krzywi się i powiada: Ten człowiek nie ma nawet majątek. Taki amerykański pan – dajmy na to – Forbes na widok Praśniewskiego skrzywiłby się podobnie, mówiąc z obrzydzeniem: Fuj, ten człowiek nie ma nawet głupich 100 milionów dolarów!

Inne są kryteria krajowych ocen i tutejsze motory zawiści. Praśniewski – właściciel pięknych nowych fabryk i dynamicznych przedsięwzięć handlowych stał się dziś szczytem społecznych wyobrażeń o karierze. Lata własnym helikopterem. Jego mercedes nie jest przesadnie seryjny. Jego dom ma wnętrza raczej filmowe niż widywane w blokach mieszkalnych z okazji wizyty u szwagra. Dokładnie o tym się marzy i bogata konsumpcja wyznacza kres tych marzeń. Tymczasem w kapitalizmie napędem bogacenia się są dążenia do władzy. Konsumuje się przy okazji i od niechcenia.

Za socjalizmu Praśniewski dorabiał się, ale był zepchnięty do pozycji obywatela drugiej klasy, który powinien wstydzić się swego statusu, skrywać go i bardzo cicho siedzieć.

Budowa kapitalizmu na razie podcina interesy, lecz za to zapewnia Praśniewskiemu status społeczny obywatela modelowego, szczególnie godnego szacunku. Jednocześnie nowy reżim, otwierając na świat drzwi i okna, wpędza miejscowych posiadaczy we frustrację. Póki Polska była izolowana, póty ludzie tacy jak Praśniewski czuli się przynajmniej mieszkańcami szczytu hierarchii materialnej. Dziś czują się ubogimi krewnymi prawdziwych kapitalistów z prawdziwego kapitalizmu.

Praśniewski, pan wytworny, przystojny, wesoły i gęsto myślący powiedział mi kiedyś tak: Mogą mi zabrać wszystko, co posiadam. Wezmę cztery deski i kawałek miejsca na rogu ulicy i znów się dorobię miękkim szwungiem. Nie są to przechwałki, gdyż on w swoim życiu przeżywał odbieranie, po czym już sztuk takich dokazywał.

W obecnym ustroju setki tysięcy ludzi nieporadnie się kręci, pozorując robienie interesów. Fachowców takiej jak Praśniewski skali jest może paru, a może kilkuset. Czy to wystarczy do zbudowania kapitalizmu? A jeżeli nie to czy nowi Praśniewscy już się rodzą, więc pojawią się za 20 lat, czy też dadzą na siebie czekać przez dwa jeszcze pokolenia?

PRZYMANOWSKI Janusz

Uwielbiały go dzieci i posłowie na Sejm. Dzieci za Czterech pancernych i psa, posłowie za to, że w Sejmie dawnej, niesłusznej kadencji działał jako budzik. Jego improwizowane (wtedy rewelacja) mowy skrzyły się dowcipem i swadą. Człowiek witalny raczej niż mózgowy. Największego lotu jego idea polityczna to wsadzić orła koronę na łeb. Jego polityczni antagoniści ten pomysł podkradli, na autora się nie powołali, a orła ukoronowali. Teraz zaczynają ptaka krzyżować.

Przymanowski to był panisko całą gębą. W czasach zgrzebnych, kiedy ludzie byli skromni i budowali jeszcze socjalizm, Przymanowski kupił sobie zachodni samochód i jeździł nim na chałtury, tj. spotkania autorskie. Zajechał do jakiejś miejscowości, gdzie zgromadzili się jego czytelnicy, i zażądał od władz harcerskich, żeby druhowie popilnowali mu wozu. Kiedy harcerze odmówili, powiedział, że nie zaryzykuje zostawienia auta bez ochrony, i wyjechał.

PSZONIAK Wojciech – artysta z zębem

Aktorzy z grubsza dzielą się na dwa rodzaje. Mniejszość, pracując i wcielając się w cudze postacie, zmienia swoją osobowość, dostosowuje ją do cudzej, zmyślonej przez pisarza. To umie u nas Fronczewski i Łomnicki. Większość udziela swojej własnej osobowości wciąż innym postaciom i do tych należy Pszoniak. Ta wypożyczona osobowość aktorska może być bogata, średnia i uboga. Pszoniaka jest bogata. Kiedy waży 5 dkg, jak u Łapickiego, Komorowskiej i setek innych, powiadamy, że artysta wciąż tak samo gra.

Pszoniaka poznałem u Toeplitzów. Bardzo żywy, sympatyczny, skoczny człowiek. Ma aktorską skazę towarzyską, tj. poczucie obowiązku, że w sytuacjach prywatnych zabawianie ludzi także jest powinnością aktora. Komediant z bożej łaski, która na pstrym koniu jeździ.

Teraz Pszoniak u Wajdy gra doktora Janusza Korczaka. Oznacza to, że Korczak wcielił się w niego i że stary Doktor będzie pszoniakowaty. Dla Wajdy żadne ryzyko. Scenariusz dobry (czytałem), bohater chodliwy, cokolwiek Pszoniak zrobi z Korczaka, nikt nie ośmieli się powiedzieć złego słowa, gdyż wyszedłby na antysemitę i antywajdytę zarazem – czyli wyrzutka społeczeństwa.

Ja nie mam specjalnego nabożeństwa do Korczaka, gdyż był on pajdokratą. Pajdokracja zaś nam w Polsce silnie zagraża, o wiele bardziej niż demokracja (Kto nie wie, o co chodzi, niech zajrzy do słownika).

Maciek Zembaty, ten od horror-ballad, które śpiewa głosem Himmelsbacha, i od genialnej Rodziny Poszepczyńskich, opowiadał, iż w trakcie kręcenia Korczaka Wajdy wybił Pszoniakowi ząb przedni. I że zapłacił od razu za trzy zęby, to jest za te także, które ktoś jeszcze, ewentualnie sam Zembaty, może mu wybić.

Nie wiem, czy traktować te wynurzenia serio, ponieważ nomen omen Zembaty ma piękną wyobraźnię nachyloną ku makabrze. Z drugiej strony w jego krwawej wyobraźni wybicie zęba nawet głównemu aktorowi nawet na planie filmowym to za mało, to jak pogłaskanie pieska. Zembaty zmyślając, powiedziałby, że odgryzł Pszoniakowi nogę lub coś jeszcze większego, np. siusiaka.

Historyjka o zębie tym mniej wydaje się wiarygodna, że wszelkie granice prawdopodobieństwa przekracza sugestia, iż Maciek Zembaty za ząb, czy cokolwiek, zapłacił więcej niż trzeba.

RADZIWIŁŁ Anna – wiceminister

Minister, senator księżna Anna Radziwiłł de „Solidarność” jest najwyżej postawioną z około dziesięciu księżnych Radziwiłł, które w Warszawie lub Krakowie kręcą się na scenie politycznej.

Jest to ciekawy objaw nietypowego rodzaju degeneracji tego rodu. W czasach przeszłych rolę odgrywali Radziwiłłowie mężczyźni, różni panie kochanku, hetmani aż po czerwonego księcia Krzysztofa Radziwiłła, dyrektora protokołu dyplomatycznego przy Bierucie. Obecnie Radziwiłłowie mężczyźni znikli. Na czele ziemiaństwa sięgającego powtórnie po władzę szlakiem Barbary Radziwiłłówny kroczą Radziwiłł-samice.

RAKOWSKI Mieczysław

Jest rozproszony po całym *Alfabecie*, ale trochę jeszcze dodam.

Ze dwadzieścia lat temu z okładem „Polityka” ogłosiła konkurs na stałego recenzenta teatralnego. Wynałazłem piękną, młodziutką zawodową dziwkę, napisałem jej dwie recenzje i imponujący życiorys: seminaria teatrolologiczne w Saltzburgu, studia w Oxfordzie itd. Miała przyjść do Rakowskiego i powiedzieć: Jak pan redaktor zechce, to wygram, i dawać mu do zrozumienia, iż opłaci mu się zechcieć. Mieczysław Rakowski przybiegł do mojego pokoju w redakcji bardzo podniecony: Czy wypadało zaprosić ją na obiad? Gwarantowałem, że tak, i cały personel ruszył na ulicę i do samochodów, żeby ją odnaleźć i zawrócić. Dziewczyny nie odszukano, moje recenzje były dyletanckie i konkurs wygrał Witold Filler, co zapoczątkowało jego karierę.

Kiedy indziej wypisałem na blankiecie stadniny koni w Janowie zaproszenie dla Rakowskiego z rodziną na chrzest klaczy nazwanej „Polityka”. Zapowiadałem różne atrakcje i karetę do dyspozycji, włożyłem mu do korespondencji 1 kwietnia. Wieczorem była u mnie impreza towarzyska.

Rozmawialiśmy o primaaprilisowych kawałach. Rakowski powiedział z wielką pewnością siebie: Dostałem dziś zaproszenie, które z pozoru wygląda na dowcip primaaprilisowy, ale to nie jest żaden kawał, i opowiedział o liście dyrektora stadniny. Zbyt bałem się go, żeby dopuścić do wyjazdu.

W 1983 r. odbyło się słynne spotkanie Rakowskiego w Stoczni Gdańskiej z udziałem Wałęsy. Sala nabita i gorąca od emocji. Rakowski bierze tekst swojego przemówienia i wchodzi na mównicę. Ja jak i cała świta siedzimy przy stole w pobliżu i widzę, co się dzieje: on nie ma okularów, nie widzi tekstu. Posyłam oficera ochrony, żeby biegł do budynku dyrekcji, gdzie Rakowski przedtem wstąpił. Mówca stara się zyskać na czasie. Pyta, czy może zdjąć marynarkę i krawat. Zdejmuje marynarkę, krawat. Zaczyna awanturę, bo któryś z ludzi Wałęsy krzyknął a propos krawatu, że przyda się do wieszania. Premier ostro reaguje. Dla zyskania na czasie, potrzebnego do przyniesienia okularów, Rakowski prowokował iskrzenie polityczne, które już nie zgasło. Po dłuższym czasie podano mu okulary i zaczął czytać.

Gdyby nie incydent z okularami, słynne to spotkanie przebiegłoby o wiele spokojniej i nie miałyby owej fascynującej dramaturgii politycznej! Robiłem sobie wyrzuty, że te okulary to był przypadek. Reżyseria polityczna wymagała, żeby Rakowskiemu umyślnie schować okulary.

Rakowski to wielki żywiołowy talent polityczny. Byłby przywódcą w każdej epoce i w każdym kraju. Polityka nie jest jego życiowym wyborem, podobnie jak żaden kot nie decydował, że będzie miękko skakał po meblach, łowił myszy, jednym słowem, zostanie kotem.

Przez ćwierć wieku trzymany był w przedsionku politycznej sceny. Nie miał złudzeń. Znał wszystkie wady systemu i zawsze zawczasu przewidywał bieg wydarzeń, podsuwał realne w danej chwili środki zaradcze. Sięgnięto po niego w fazie ostatecznego kryzysu realnego socjalizmu. Czym było gorzej, tym dopuszczano go wyżej. Już mógł być tylko grabarzem władzy państwowej, sprawowanej przez partię, i potem samej PZPR. Gdyby radykalnie pozbyto się redaktora „Polityki” w latach sześćdziesiątych lub siedemdziesiątych – byłby liderem opozycji. Gdyby posłuchano go i w porę dopuszczono do władzy, to reformy rozpoczęłyby się długo przed sierpniem albo też stałby się on polskim Dubczekiem.

Wrogowie zarzucali Rakowskiemu, że nieźle lądował na każdym etapie i przy każdej ekipie. Niczego nie rozumieją. Na każdym etapie system władzy, kierując się swą własną schorzałą logiką, ustawiał go na spalonej pozycji.

Był dla Solidarności” tym, czym cesarz Konstantyn dla chrześcijaństwa. Zapamiętano mu jednak nie X Plenum, lecz wygrażanie palcem Wałęsie. A przecież i ten gest okazał się po czasie intuicyjnie trafny.

Dla kariery Rakowskiego symboliczna wydaje mi się scena z 3 maja 1982 r. Stan wojenny. Wicepremier wygłasza w Sejmie przemówienie deklarujące swobody twórcze, tolerancję, przedstawia filozofię demokratycznego otwarcia. Pod Sejm podchodzą manifestanci. ZOMO ich rozzagania. Poślowie i publiczność biegną do okien oglądać to widowisko. Ci, którzy zostali, komentują wypadki uliczne. Szmer na sali. Tylko Wojciech Jaruzelski nieporuszony siedzi na siedzisku premiera i uważnie słucha Rakowskiego. Słowa wicepremiera i jego intencje ulatywały i rozwiewały się jak dym z komina za

sprawą obu ścierających się na ulicy sił.

RESZCZYŃSKI Wojciech – obecny Tumanowicz

Wojciech Reszczyński stworzony został wraz z Teleekspresem z inicjatywy tow. Jana Głowczyka, sekretarza propagandy KC, pomiędzy Olszowskim a Cioskiem. Na ekranie świetny prezenter informacji – poza ekranem kapryśny gwiazdorek.

Pokochał obecny reżim. Awansowany do głównego dziennika, stał się Reszczyński naczelną tubą dzisiejszej propagandy sukcesu.

Ostatnio powiedział publicznie, że premier Mazowiecki przypomina mu ojca. Widocznie dzieciństwo miał koszmarne. Stąd ta przypochlebczość, zdradzająca ustawiczne łakomstwo na pieszczoty.

RINN Danuta – reklama nowego reżimu

Była symbolem dostatku epoki Gierka. Wspierała propagandę sukcesu śpiewaniem szlagierów optymizmu: „Wszystkiego najlepszego”. Plepiała! „Na deptaku w Ciechocinku”. Po upadku Gierka doznała politycznej iluminacji. Uprawiała już wyłącznie pienia kościelne, przeważnie w Muzeum Archidiecezji Warszawskiej, gdzie jej jednak nie złożono na zawsze. Śpiewała tam m.in. Brylla, który jest tym w polskiej poezji, czym krył w jadłospisie.

W związku z odzyskaniem przez Polskę suwerenności, arystokracji, akcji, orła z koroną, bezrobocia, Jeziorańskiego, kultu marszałka i ciała Ordonki, Rinn zrzuciła z siebie żałobę narodową i wróciła do twórczości lekkiej. W telewizji robi widowisko oparte na kokietowaniu nadwagą. Pokazywanie na ekranie TVP Danuty Rinn, artystki oryginalnej wyłącznie otyłością, wraz z Zajacówną – artystką, której indywidualizm twórczy sprowadza się do chudości – nie daje niestety wymarzonej średniej jakości występów.

RODOWICZ Maryla – słowik RWPG

Kawał dziewczuchy. Kształciła się na warszawskich Bielanych w Akademii Wychowania Fizycznego. Jest to sławny zakład naukowy z fakultetem pływackim i katedrą podsłukiwania. Wykładała tam socjologię sportu prof. Wohl, który wcześniej na Uniwersytecie Warszawskim, drugiej pod względem ważności szkole, uczył mnie marksizmu. Poszedłem do prof. Wohla na egzamin. Posadził mnie przed sobą, a miał na biurku talerz czereśni i pluł pestkami przed siebie. Ja się uchylałem, a on pluł to po mojej lewej, to po mojej prawej. Denerwujące było to, że cały czas musiałem przewidywać, w którą stronę się uchylić. Pamiętam, profesor zapytał mnie, co Rewolucja Październikowa przyniosła w sensie płciowym. Odpowiedziałem, że korespondencję Lenina z towarzyszką Kołłontaj na temat wolnej miłości, i rozwinąłem temat. Przerwał i objaśnił mnie, że prawidłowa odpowiedź brzmi: Rewolucja Październikowa przyniosła wyzwolenie kobiet. Otóż z tej zdobyczy Rewolucji Rodowicz korzystała pod każdym względem. Pamiętam, jak – w towarzystwie Osieckiej – jechaliśmy dorożką wskroś bułgarskie Wybrzeże Czarnomorskie do knajpy nocnej. Zgromadzone na deptakach RWPG tłumy: NRD-owcy, Czesi, Słowacy, Polacy na widok Rodowicz głośno wiwatowali wołając, każdy w swoim narzeczu: Bułeczka! Bułeczka! Polska Bułeczka! Takie przezwisko miała ona w obrębie socjalizmu, gdyż zawsze była okrągła, jędrna, wyklepana, wygłaskana i do schrupania.

Nigdy się nie ubierała, zawsze przebierała, na ogół za tabor cygański. Była ogromnie wesoła i zabawowa, potem narodziła dzieci, więc posmutniała. Jeszcze dziś głos ma czysty, a tak silny, że kiedy śpiewa, zawsze coś pęka: albo mury Kremla, albo Ślesicka czy inna Prońko – z zawiści.

Miała skłonności do żartów. Pamiętam, że kiedy Osiecka z Passentem na schodkach swego segmentu mieszkalnego wydawali przyjęcie w ekskluzywnym Bad Falenica, to poprzedzającej wydarzenie nocy Rodowicz zajechała do hotelu „Victoria” i przekupiła nocnego portiera. Dała mu na wille z basenem za to, żeby opuścił posterunek, ruszył na wieś i kupił jej po nocy żywe prosię. Potem

rano przywiozła to prosię samochodem, a siedziało ono z radością na przednim siedzeniu, wygniecionym przez maestro Olbrychskiego. Pragnęła, aby zostało członkiem rodziny Passentów, żeby żyli razem długo i szczęśliwie. Perfidny Passent oddał jednak owo prosię nazwane Maryśka (na cześć ówczesnego szlagieru Rodowicz – Złota Płyta) do rzeźnika na wychowanie. Nim to się stało, ono kwiczało, a ja trzymałem je za tylne nogi (te dobre w galaretkę) i pozowaliśmy do fotografii zbiorowej gości. Prosię tak nie lubiło pozować, że zesrało się ze strachu. Odbyt miało ono odrzutowy, że ja zaś trzymałem je leżąc – całą twarz mi obesrało. Stąd m.in. nadawany mi niekiedy przydomek zasrańca. Mam pamiątkową fotografię ze świńskim kałem pokrywającym mi czoło, oczy, nos, zalepiającym usta.

Była epoka, kiedy Maryla Rodowicz kochała się z reżyserem Jasińskim z Krakowa. Wystawiał on na świeżym, choć skażonym powietrzu pod Wawelem, monumentalne widowisko dla ludu ze smokiem wawelskim w roli głównej. Ona przyjechała z Warszawy zabrać go swoim porsche przerobionym na taksówkę. Jasiński był dyrektorem Teatru Stu i Rodowicz mieszkała z nim potem w teatrze, gdzie wydawali wielkie bale krakowsko-warszawskie. Mówiono wtedy w Krakowie a propos jej pobytu w Teatrze Stu: Ich stu, a ona jedna. Rodowicz lubi silnych mężczyzn, a Jasiński był tak mocarnym artystą, że pamiętam, jak moją ówczesną żonę niósł na rękach przez cały Kraków na śniadanie do „Wierzyńka”. Żona mi się ochwaciła na balu i dlatego wymagała dzwigania. W Warszawie w namiocie cyrkowym Jasiński wystawił Szaloną lokomotywę Witkacego z Marylą Rodowicz w roli tytułowej.

Obecnie Maryla Rodowicz jest żoną tak zwanego Pana Peugeot. Mąż tak jest nazywany przez wzgląd na swoją silną indywidualność: od innych mężczyzn odróżnić go najłatwiej po marce jego samochodu. Tego wyboru Maryla Rodowicz dokonała po cierpliwym przeglądzie możliwości matrymonialnych, metodą prób, błędów i wypaczeń. Wśród prób był m.in. słynny z zamożności premierowicz Andrzej Jaroszewicz, wśród błędów zaś – aktor Daniel Olbrychski. Dzięki jej faworom dawano mu pograć w filmie oraz teatrze, gdzie doszedł nawet do Hamleta. Podobno Maryla przychodziła do takiego Wajdy, napinała znacząco muskuły i mówiła trzęsąc szybami: Mojemu chłopakowi nie dasz?! Chodziło oczywiście o rolę. Komu Rodowicz dawała, temu już żaden reżyser nie śmiał odmówić, a również żadna kobieta.

Jest bardzo sentymentalna. W czasach, gdy była pierwszym gardłem RWPG, to jest wtedy, kiedy popijaliśmy w Bułgarii, akurat świeżo rzucił ją był samochodowy Jaroszewicz jr. Na widok każdego rozebranego mężczyzny zrywała się biedulka, bladła i mówiła drżącym głosem: To chyba Andrzej. A wówczas na plażach bułgarskich rozebrane były miliony budowniczych socjalizmu.

Na estrady, z których wieje nudą, wraz z Rodowicz jeszcze wchodzi energia, muzykalność, radość, siła, ożywienie. Wszyscy pamiętają festiwal piosenki w Sopocie lub Opolu, gdzie śpiewała grając zarazem na wielkim bębnie i paru innych instrumentach. Słyszałem od bardzo miarodajnych osób, że ten bęben zrobiony był ze skóry, którą Rodowicz zdarła była z Olbrychskiego.

ROLICKI Janusz – dziennikarz

Znany ostatnio jako autor wywiadu formatu książkowego pt. Przerwana dekada, przeprowadzonego z Edwardem Gierkiem. Szef redakcji telewizyjno-filmowej „Interpressu”.

Kolegowałem z Rolickim w „Polityce” we wczesnych latach sześćdziesiątych. Był młodzieńcem delikatniutkim i tak nieśmiałym, że redakcyjne dziewczyny paliły się sprawdzić dokładnie, czy to aby nie pedał. Specjalizował się wówczas w reportażach szczególnego rodzaju. Przyjmował mianowicie różne życiowe role, tj. najmował się jako robotnik budowlany, konwojent, skupywacz świń itd., po czym opisywał podpatrzone życie. Został klasykiem gatunku i miał naśladowców. Powstała moda na ten typ reportażu, a gdziekolwiek w Polsce coś się działo, np. w barze zwąchali się dwaj obywatele, żeby razem iść ukraść cośkolwiek, albo ktoś od kogoś obcego brał łapówkę, albo panienka przybyła do nieznanomych na rozbieraną prywatkę z tym, że dawać będzie wedle losowania – to człowiek człowiekowi patrzył wówczas w oczy i pytał: zaraz, zaraz, tylko czy pan aby nie Rolicki? Taki wielki powstał lęk przed tym, że ktoś z podających się za normalnego łobuza, oszusta, złodzieja może tylko udawać drania, w rzeczywistości zaś być Rolickim, przebranym reporterem, który to wszystko opisze. Potem epigoni ten gatunek reportażu zbanalizowali, a jemu jako gwiazdzie nie chciało się już nosić zaprawy murarskiej, czy zaglądać świniom w ryje dosłownie oraz w przenośni.

Mnie te sukcesy wczesnego Rolickiego sprawiały frajdę, gdyż czułem się na polskim gruncie prekursorem tych jego chwytów. W 1957 r. w Polsce jeszcze w ogóle nie istniały biura matrymonialne. Zamyślając zrobić reportaż do „Po prostu” dałem w Krakowie ogłoszenie, że zaczyna działać takie biuro i przyjmuje klientelę w „Hotelu Francuskim”. Wynająłem apartament przyjmując tam panie szukające mężów. Potem powstał z tego reportaż *Pamiętnik swata*, przedrukowany w Paryżu przez „Les Temps Modernę” – miesięcznik Sartre'a. U nas zaś zrobił się skandal. Rozgorzała wielka dyskusja, czy jest rzeczą moralną zbierać wiedzę do reportażu przez oszukiwanie ludzi, że się jest kimś innym niż dziennikarzem.

Praktyki Rolickiego rozstrzygnęły dyskusję, gdyż takie kantowanie stało się powszechnie przyjęte. Co zaś się przyjmie, to staje się moralnie nienaganne.

Mnie jednak jeszcze 12 lat później Stefan Olszowski w roli kierownika Biura Prasy KC PZPR wyzywał od szmatławych dziennikarzy właśnie przez to biuro matrymonialne. Wiadomo jednak, że wrażliwość moralna w gmachu KC była nadzwyczaj rygorystyczna, szczególnie kiedy szukano na kogoś kija.

Potem Rolicki odszedł z „Polityki” do „Kultury”, zresztą nie tylko on. Uzasadnienia ideowe na ogół dotyczyły tego, że „Polityka” jest kosmopolityczna, a „Kultura” narodowa. Ambitni ludzie, tacy jak Rolicki, odchodzili z „Polityki” również dlatego, ponieważ hierarchia w tej redakcji była zakrzepła. Nikt nie domyślał się nawet, że delikatny jak panienka reporter Rolicki nadaje się do funkcji kierowniczych i ma takie ambicje. Tymczasem naczelny redaktor „Kultury” Wilhelmi przechodząc do telewizji zabrał tam Rolickiego na szefa wielkiej maszynierii wszelkich programów kulturalnych i artystycznych. Było to już w latach siedemdziesiątych za prezesury Szczepańskiego. Rolicki dokonał w TV wielkiego przełomu. To za jego czasów pojawiły się zachodnie filmy i seriale, różne XYZ i inne gry i zabawy, powstał „Pegaz” Lasoty (Grzegorza), kabarety itd., itp.

„Polityka” przyznawała coroczną nagrodę „Drożdże” człowiekowi, który swoim nieszablonowym działaniem coś w Polsce poruszył. Laureaci należeli jednak do nowatorów praśnych i gminnych. Powiedzmy, ktoś w remizie strażackiej założył chór ślepców z fikołkami. Zaproponowałem, żeby dać nagrodę Rolickiemu. W końcu liczy się społeczny skutek tego, co kto robi. Program telewizyjny wpływa zaś na myślenie, wrażliwość czy smak milionów i to jest ważniejsze niż zainicjowanie poruszenia szwagra i tuzina kolesiów choćby w najpocześniejszym kierunku. W „Polityce” powstał wielki spór i podzielił redakcję na dwa obozy. Michał Radgowski uważał, że nie należy nagradzać człowieka będącego wysokim funkcjonariuszem władz, czym Rolicki był, gdyż nagroda jest dla tych, co własnymi siłami idą pod prąd. W głosowaniu kolegium zwyciężyła moja kandydatura mająca też poparcie Rakowskiego. Antagonistom zarzucaliśmy obłudę – my też działamy przecież w ramach establishmentu, a uważamy pismo za wartościowy zaczyn myślenia. Zarzucaliśmy też skrywanie prawdziwego motywu niechęci do Rolickiego: że chodzi o to, iż odszedł od nas z „Polityki” do niezbyt zaprzyjaźnionego z nami obozu i się na nasze firmę wypiął.

Rolicki dostał prestiżowe „Drożdże”, a Radgowski złożył przez to rezygnację z funkcji wice-Rakowskiego.

Janusza Rolickiego uważam za leniwą Wńkę-Wstańkę. Wciąż jest tak, że przez dziesięć lat o nim cicho, zostaje zapomniany, szersze kręgi nie wiedzą, że żyje. Nagle z czymś wyskakuje, by przez czas krótki stać się bohaterem sezonu. Tak było z reportażami pisanymi pod przebraniem, z programem telewizyjnym, a teraz z Gierkiem, który przywalony najcięższymi głazami dzięki niemu na chwilę zmartwychwstał politycznie.

RYWIN Lew – głowacz

Gdy zostałem prezesem telewizji i radia, na wieść o tej nominacji znajomi załamywali ręce: o jej, więc jedynym inteligentnym człowiekiem w Radiokomitecie nadal pozostanie Rywin!

Mój następca Drawicz zrobił go swoim zastępcą, czym mnie zawstydził, że sam o tym nie pomyślałem. Mogłem tym wyświadczyć Rywinowi taką niedźwiedzią przysługę.

Od kiedy Rywin został wiceprezesem Radiokomiteu, prawie cały swój czas poświęca pisanii próśb o dymisję. Składa średnio dwie dziennie. Miał swoim wielkim łbem wybić telewizję w

przestworza. Tymczasem za jego czasów jest bryndza jak nigdy. Chodzą – na usilne życzenie publiczności – trzecie wznowienia dramatu Pikutkiewicza wystawianego przez teatr w Przasnyszu. Pokazuje się na kopy kupowane po 3 dolary tuzin czarno-białe filmy sprzed 50. lat z dawno już zmarłymi aktorami, którzy na ekranie właśnie świeżo wyszli z niemego kina i uczą się mówić. Lipińska robi kabaret z dwóch aktorów i skórki od chleba. Cały dzień pokazuje się w TV te gadające głowy, które dopłacają do swoich występów. Program żeruje na trupach i ekshumuje się po kolei procesy i groby z epoki stalinizmu. Resztę programu zakleja się kitem w postaci transmisji z posiedzeń Izby Głędzącej i Senatu nudziarzy. Ci, co teraz rządzą, przy okrągłym stole walczyli jak lwy (za przeproszeniem Lwa Rywina) o kawałek dostępu do telewizji. Rychło połknęli całą i wszystkich innych precz od niej odgonili, a teraz nie chcą dać paru groszy na uruchamianie swojej ukochanej zabawki. Przypomina to dziecko w przedszkolu, które tłucze wszystkie inne, żeby zabrać im lalkę, po czym natychmiast odrywanej ręce, nogi, wydłubuje oczy i skręca szyję.

SAMSONOWICZ Henryk – minister edukacji

Bardzo miły pan. Ma drewniany domek na wschód od Warszawy, mniej więcej w kierunku Lublina, i Andrzej Garlicki mnie tam kiedyś zawiózł na letnią niedzielę. – Wiesz, to jest mój dziekan Wydziału, powiedział Garlicki w aucie – mój szef, podkreślił. Po dziesięciu kilometrach znów mnie uprzedzał, wtrącając w jakieś zdanie informację, że Samsonowicz jest partyjny. Tak mnie ten stary spryciarz mimochodem przygotowywał do wizyty po to, żebym czasem czegoś nie palnął i mu tym nie zaszkodził.

W roku 1981 podczas awantur akademickich prof. Samsonowicz kręcił się jako mediator, ale tacy to byli ci mediatorzy: zgłaszali się na rozjemców, a okazywali się parlamentariuszami drugiej strony.

Obecny rząd i w ogóle władze składają się w większości z błędów personalnych poprzedniej władzy. Kto był doceniony, ten ma emeryturę 300 tys., a kto był przez nią niedoceniony – ten teraz rządzi. Za starego reżimu prof. Samsonowicz doszedł tylko do dziekana, za dwuwładzy w 1981 r. już był rektorem, a za obecnego jedynowładztwa „Solidarności” wybił się na ministra.

SATANOWSKI Robert – generał opery

Polskie siły zbrojne składają się z wojsk lądowych, lotnictwa, marynarki oraz baletu, chóru i orkiestry, którymi dowodzi generał Satanowski. Pierwsze trzy formacje znajdują się w stanie stopniowej likwidacji. Wojska Satanowskiego, skupione w Teatrze Wielkim, są dziś bodaj najliczniejsze ze wszystkich, najkosztowniejsze i najbardziej karne.

Mianowanie dyrektora opery warszawskiej generałem kilka lat temu zaskoczyło publiczność, a przecież także za carskich czasów generał sprawował dyрекcję teatrów warszawskich i również wtedy one były bardzo złe.

Otóż w czasie wojny Satanowski utworzył własną formację partyzancką o nazwie „Jeszcze Polska nie zginęła” i nią dowodził w randze pułkownika. Jego własna partyzantka była kolosalna – oddział liczył 2 tysiące ludzi. Niewiele większym zespołem operowym dowodzi teraz jako generał.

SCHAFF Adam – teoretyk

W drugiej połowie lat czterdziestych popularne książeczki Adama Schaffa o marksizmie otworzyły przede mną rozumienie świata i. skierowały ku polityce oraz ideologicznym wyborom. Jako półinteligent obierałem poglądy i postęпки poprzez lekturę. Miałem 15 lat i nie byłem wymagający. Czytałem *Wstęp do teorii marksizmu* Schaffa, a w nim dowód na względność zjawisk w postaci twierdzenia, że strzała wypuszczona z łuku w każdym momencie swego lotu znajduje się i nie znajduje zarazem w danym punkcie geometrycznym. Wtedy to wydawało mi się oszałamiająco mądre. Staram się czytać i współczesne dzieła teoretyczne Schaffa, ale są one o wiele trudniejsze, ja zaś raczej mniej umiem

rozumieć, niż kiedy miałem 15 lat.

Samego profesora poznałem w 40 lat później niż jego książki. Odwiedził mnie, gdy byłem rzecznikiem rządu.

Późny Schaff jest wciąż młodzieńczy, pełen werwy i pasji. Jako filozof wnikliwie analizuje świat współczesny, ale jego prawdziwe zainteresowania są zupełnie inne. Zajęty i przejęty jest wyłącznie osobą Adama Schaffa, a całą wrażliwość ma skierowaną na siebie.

Był obiektem strasznie małostkowej, ciasnej, aparaczkowskiej głupoty. Tego znanego w całej Europie filozofa, który na Zachodzie po stanie wojennym bronił Jaruzelskiego i wysuwał Generała do Pokojowej Nagrody Nobla – nasze tępe, anachroniczne aparaczkę wyrzuciły z PZPR. Pamiętam, jak w czasie mojej wizyty oficjalnej w Austrii podejmował mnie kolacją socjaldemokrata, burmistrz Salzburga i pytał: Dlaczego wyrzuciliście Schaffa? Wstydzilem się strasznie. Odpowiedziałem, że jestem bezpartyjny i oburzony.

SEKUŁA Ireneusz – prezes spółki

Stanisław Ciosek został na krótko ministrem pracy i wtedy jednego ze swych dyrektorów departamentu – Sekułę, mianował prezesem ZUS. Sekuła raz dwa zrobił porządek w tej instytucji, zabagnionej przez notabli, zsyłanych na prezesów, co zaczęło się po wojnie od londyńskiego ministra, który wrócił z Mikołajczykiem – Jana Stańczyka. Unowocześnił tę instytucję i jako szafarz emerytur stał się znany opinii publicznej. Awansował na stanowisko ministra pracy, obecnie okupowane przez Kuronia. Kiedy Mieczysław Rakowski formował rząd, wziął go na wicepremiera – szefa gospodarki. Sam biegałem wokół tego.

Sekuła, pragmatyk, nareszcie nie ekonomista z wykształcenia, lecz psycholog na czele gospodarki, wyzbyty wszelkich powiązań z szefami przemysłu, które paraliżowały jego poprzedników, śmiało pchał gospodarkę w kierunku rynkowym. Popierał zdecydowanie prywatną własność. Szybko wysłał do Sejmu projekt radykalnej ustawy o wolności prowadzenia działalności gospodarczej, likwidującą potrzebę zabiegania o zezwolenia, zniósł ograniczenia dla prywatnej własności, ustawą o joint ventures umożliwił napływ kapitału zagranicznego, jednym słowem, położył podwaliny pod to wszystko, co jest racjonalne w dzisiejszej polityce Balcerowicza. Skończyło się hamowanie reformy. Byłem codziennym świadkiem tego, jak Rakowski Sekułę jeszcze bezustannie popędzał. Służyłem nawet za gońca między nim. Rakowski wierzył, zupełnie zresztą bezpodstawnie, że ja mam wpływ na Sekułę wpływ, i posyłał mnie, abym go poganiał, bo wicepremier rzekomo nadzwyczajnie się ze mną liczy. Sekuła liczył się ze mną jak ze zdechłym kotem, choć tworzył pozory traktowania mnie serio. Umiałby mnie sprzedać i kupić mnie, że ani bym się obejrzał. Poganiać się zaś nie dawał, gdyż działał z pewną logiką, wymagającą określonego tempa i kolejności.

Człowiek twardy, umysł komputerowy. Imponował zresztą ludziom, hodując prawdziwy komputer na swoim biurku oraz zwyczajem międlenia cygara w zębach.

Wygrał wybory do Sejmu na miejscu zarezerwowanym dla PZPR. Przeprowadził kosztowną kampanię wyborczą na Śląsku z wielkim nakładem sił i środków. Były nawet koszulki reklamujące kandydaturę Sekuły. W ogóle lubi różne zabawki.

Obecnie w Sejmie zajmuje się polityką, jest najlepszym mówcą lewicy. Cechuje go spokój, żelazna logika i mówi objawiając wielką, sugestywną pewność swoich racji. Głównie zajął się biznesem. Jest prezesem wytwornej spółki polsko-japońskiej i wkrótce stanie się jednym z największych i najbogatszych bossów w prywatnym biznesie.

Silnemu temu człowiekowi przeszkadzają resztki ludzkich uczuć, a przede wszystkim to, że ten eks-harcercz łatwo zamienia się w małą myszkę – gdyż bardzo boi się żony. Gdyby udało się Irkowi Sekule podsunąć uległą kochankę oraz wywabić z jego przeszłości czerwoną skazę, jeszcze szybciej, niż to się stanie, miałby w kieszeni pakiet kontrolny kapitału rządzącego polską gospodarką.

SKALSKI Ernest – zastępca Michnika

Jesienią 1948 r. w mieście Łodzi, w tramwaju jadącym ul. Piotrowską podszedł do mnie chłopiec w krótkich spodenkach, o dłoniach poplamionych atramentem, różowych policzkach i przejrzystych, naiwnych oczach. Chodziliśmy do tej samej szkoły, więc znałem go z widzenia. Kolego – powiedział błagalnym głosem – ty gdzieś tu w pobliżu mieszkasz, czy mogę u ciebie zrobić kupę? Tak poznałem Skalskiego.

Potem razem działaliśmy w ZMP i piliśmy wódkę. W mieszkaniu jego matki – podobnie jak jego poległy ojciec przedwojennej, komunistycznej funkcjonariuszki – pomazałem wiszące tam obrazy olejne i musiałem przestać bywać. Pochodzenie Skalskiego z rodziców – aparatczyków – zgodnie z dominującą regułą – musiało go zaprowadzić w końcu do opozycji.

Nasze obie rodziny w zbliżonym czasie przeniosły się do Warszawy. Potem Skalski wyjechał do Moskwy studiować tam historię USA. Ja wygłupiałem się w „Po prostu”, dokąd on przychodził po różne polityczne wredne teksty i czasopisma, które woził do Moskwy. Ukończył studia, ożenił się z rosyjską studentką, mieszkał tam dalej, bo pracował w polskiej misji repatriacyjnej. Wybuchła afera, bo KGB wykryło jakąś grupę studentów studiujących nie to, co należy, bo zakazane teksty z Polski, i organizujących się w parszywych politycznie zamiarach. Skalscy mieli z nimi żywe kontakty, a Ernest (normalnie wołało się nań Kajtek) zaopatrywał tych wczesnych destalinizatorów w polską bibułę. Został wysiedlony z ZSRR, cudem i w dramatycznych okolicznościach wywiózł stamtąd żonę Liję. W Warszawie za moskiewskie misjonarstwo polityczne wylano go z PZPR. Pracę mógł uzyskać tylko w jakimś archiwum. Potem, jak to w Polsce, afera przyschła. Ponieważ Skalski nie nadawał się do żadnej pożytecznej pracy, został dziennikarzem. W późniejszych latach ściągnąłem go do „Polityki”. Jako autor tam nie błyszczał, za to stawiał się Rakowskiemu z pozycji półpozycyjnej gangreny. Ku uldze kierownictwa redakcji i mojej wyniósł się do „Kultury”. Był to stały szlak ucieczek z „Polityki” narodowców i opozycjonistów. Odszedł tam Rolicki, Wierzyński, Maziarski, później i Skalski.

Po stanie wojennym Skalski pojawił się na stronicach „Tygodnika Powszechnego”, co mnie zdziwiło dubeltowo. Raz, że rzymski katolik to on nie jest ani też doński kozak. Po drugie, objawił się w „Tygodniku” jako komentator ekonomiczny. To również było całkiem nowym wcieleniem. Ostre jego i, co zaskakujące, doskonale teraz pisane teksty były mieszaniną świętej racji i demagogicznej żonglerki danymi, zawsze układającymi się w jego artykułach tak, aby podeprzeć tezy autora.

Jako rzecznik rządu wciąż indagowany byłem przez kierownictwo gospodarcze: dlaczego nie odpowiadamy Skalskiemu? Moje Biuro Prasowe chronicznie nie miało jednak specjału od gospodarki. Przy tym, zawsze dotąd leniwy Skalski, teraz, kiedy rozszarpywał naszą politykę gospodarczą, był tak płodny, że nim doradcy ekonomiczni rządu sporządzili analizę neglizującą liczby i fakty, którymi się Skalski podpierał w swoim artykule – on już zdążył opublikować trzy nowe teksty i nie umieliśmy za nim nadążyć. W prasie, niczym na torze wyścigowym, szybkością częściej niż słuszością, rozkłada się adwersarzy.

W 1989 r. Skalski pojawił się jako zastępca naczelnego w „Gazecie Wyborczej” i przestał być publicystą ekonomicznym oraz objawiać autorską płodność młodej królicy. Jeżeli on rzeczywiście współredaguje dużą gazetę, co wymaga realnej pracy, znaczy to, że w chrześcijańskie cudy należy wierzyć i że w „Tygodniku Powszechnym” pracujący tam święci ich dokonują.

SKARŻANKA Hanna – pierwszy cyc rewolucji

Artystka sceniczna. Recytuje modlitwy po kościołach lub gra w filmach Zanussiego, co na jedno wychodzi. Pokutuje w ten sposób za grzechy młodości. Było ich niemało.

Skarżanka, pierwsza w polskiej kinematografii, pokazała gołą pierś na ekranie. Co gorsza cyc wyskoczył jej z dekoltu na barykadzie Rewolucji Francuskiej. Była to apoteoza rewolucji w ogóle, której Skarżanka dawała wówczas co miała najlepszego.

Żyła z Józefem Prutkowskim, ulubieńcem aparatu PZPR, MSW i MON. To o tej parze Artur Maria Swinarski powiedział: Nie umywają się do siebie.

Grała w kabarecie „Szpak” dobrze widzianym przez czerwony reżim. Śpiewała nie dość, że romanse, to jeszcze ruskie.

Zaopatrzyła polską scenę w jedną tylko córkę, co przy wcześniejszym bujnym życiu stanowić

może poszłakę, że w młodości używała środków antykoncepcyjnych.

W drodze wyjątku proces beatyfikacyjny Hanny Skarżanki otwarto za jej życia, gdyż nawrócone jawno grzesznice wyżej stoją niż urodzone dewotki.

SOKORSKI Włodzimierz – emeryt

Nigdy z Sokorskim nie spałem, więc nie wiem, czy to rzeczywiście był taki wielki aktywista seksualny. W dziedzinie łóżkowej mężczyźni zwykle dzielą się na tych, którzy dużo robią, i innych, którzy robią tylko wrażenie, obficie gadając o swych podbojach. On jest niewątpliwie erotycznym gawędziarzem. Osobiście zaświadczyć mogę tylko, że kiedy byłem na jakimś posiedzeniu, które prowadził w roli przewodniczącego radia i telewizji, klepał po dupkach dziewczyny roznoszące kawę. Kawa się nie rozlała i to było najważniejsze.

Bez Sokorskiego cała powojenna Polska byłaby mniej barwna. Był kolorystyczną plamą na szarości aparatu politycznego kilku epok. Ścisłe garnitury władzy zawsze odnosiły się doń z pobłażliwą życzliwością, lecz nie traktowały serio. Mimo to, przez krótki czas, odegrał rolę pożyteczną. Wyciągnięty z marginesowych zatrudnień w CRZZ został ministrem kultury w 1952 r., więc wtedy, kiedy socrealizm stawał się już wszechobowiązujący i srogi. W Polsce jednak stalinizm na każdym odcinku był zmiekczony w porównaniu z pierwowzorem. Utopiony w niedbalstwie wykonawców i ogólnym bałaganie, robiony z oporami i nie do końca – zyskiwał też przeciwwagę w licznych odruchach liberalizmu. Sokorski jako policjant sztuk pięknych odbierał powagę, spójność i grozę linii brania twórców za mordę, przydawał operacji przymrużenie oka.

Sokorski to postać witalna, człowiek bawiący się życiem, a sobą bawiący innych. Nikt poza nim samym nie traktuje go z powagą. Wykonywał niezliczone wołty polityczne. W czasie wojny wsadzony Berlingowi do wojska w ZSRR na komisarza politycznego wszedł w konflikt ze swoimi mocodawcami, wysuwając bodaj koncepcję, aby powojenna władza w Polsce opierała się na armii, czyli na nim, a nie na partii. Wówczas wyleciał z jedyne go w swoim życiu poważnego stanowiska. Jako minister kultury zarówno wdrażał ogniście socrealizm, tępiąc odchylenia od obowiązkowego kanonu, jak i ten socrealizm potem gorliwie demontował.

W telewizji dobrotliwie panował nie przeszkadzając tym, którzy nią zarządzili przez jego zastępców. Po utracie tego urzędu zaczął produkować powieści, lecz tylko on sam jeden ma się za pisarza. Ludzie, którzy czytali jego jakąś książkę, a są tacy, opowiadają, że to amatorszczyzna wręcz kuriozalna.

Politycznie zbliżał się do rewizjonizmu i zwalczał go potem, flirtował z moczarowcami i odskakiwał. Kwieciście witał każdy nowy etap i gromko odżegnywał się odeń u schyłku. Teraz ma 82 lata, a ze sprężystą energią maszeruje po Warszawie, wciąż starając się jakoś istnieć publicznie. Pod nowym reżimem oświadczyć miał, że nigdy komunistą nie był, co nikogo nie zaszokowało, bo Sokorski ma licencję na blagierstwo najbardziej nawet absurdalne.

Witał się ze mną z wylewną przyjaźnią i parę lat temu zaczął się do mnie zwracać per ty. Obecnie, w związku z przerabianiem swej przeszłości i staraniami, żeby mieć przyszłość, ogłaszał drukiem opinie, że Urbana nie powinno się więcej publikować. Dlaczego mnie nagle wymyślił sobie na wroga, nie wiem. Może z tego nawyku, żeby być na linii, może zaś z tej przyczyny, iż uważa, że Warszawa to za małe miasto, aby było w nim miejsce dla dwóch pajaców.

Dobrze, że istnieje Sokorski, gdyż póki to widmo krąży po Warszawie, mniej jest w niej smutno i nudno.

Sokorski kiedyś ogłosił, że Stalin go zapytał: „Włodziu, czyś dmuchał Wandę?”, po czym Sokorski podaje swoją listę kochanków Wasilewskiej. Grono towarzyszy, w tym Jurek Majka, Anka Pawłowska i fachowiec od Wasilewskiej – Eleonora Syzdek, wydrukowali w „Trybunie” list pełen oburzenia i dosyć oczywistych stwierdzeń, że on nigdy nie rozmawiał w cztery oczy ze Stalinem, a oglądał go głównie na portretach. No i oczywiście tylko do portretu mógł Sokorski ze Stalinem wypić bruderszaft. Trochę się moi znajomi ośmieszają tymi protestami, a więc traktowaniem go serio.

SOWACKA Czesława – od brylantów

Ma 28 lat. Od lat 10 zajmuje się handlem biżuterią tak skutecznie, że kupiła sobie nadmorską posiadłość w Hiszpanii. Trzyma w niej służące, jacht pełnomorski i psa, a szczyci się tym, że nigdy w niej nie była.

Kiedys urządziła przyjęcie. Byłem. Każdy gość miał prawo nosić tylko jedną pojedynczą część swojej garderoby. Zbysław Rykowski wystąpił w jednej skarpetce, sama Sowacka w kapeluszu z woalką, ja w spodniach, lecz przecięła je wzdłuż na pół mówiąc, że łamię reguły, gdyż spodnie są parzyste, a dopiero nogawka pojedyncza. W trakcie przyjęcia była tak roztargniona, że trzem facetom zaproponowała, żeby zostali u niej na noc. Trzeci ukradł pieniądze z torebki i sobie poszedł. Pierwszy wyrzucił drugiego na schody bez ubrania. Trzeci przyszedł nazajutrz wieczorem odebrać sobie obiecaną noc. Przyniósł ogromny bukiet kwiatów i przez to stał się podejrzany o kradzież forsy. Sowacka kazała mu się rozebrać i pójść do łóżka, a sama udała się do łazienki, skąd zatelefonowała po tego pierwszego z poprzedniej nocy, żeby przyjechał, drzwi będą otwarte. Kiedy przyszedł, dała mu klucze od mieszkania tego, który leżał w łóżku, i kazała mu je przeszukać i znaleźć 400 dolarów w setkach i 120 w dwudziestkach. Rano człowiek ten przyniósł jej odzyskane pieniądze. Aktualny kochanek Sowackiej poprzedniego wieczora zabrał je wraz z kopertą, na której handlarka kosztownościami miała zapisane własną ręką parę telefonów. Obudziła swojego gościa z minionej właśnie nocy, podniosła znacząco kopertę, aby widział, że ją ma, i dała mu z niej 100 dolarów mówiąc: Byłeś wart tylko sto, w żadnym wypadku nie 520. Przerażony, złapał ubranie i uciekł. Jest na to świadek, ten, który przyniósł pieniądze, osoba publicznego zaufania, bo adwokat. Nazwiska nie podaję, gdyż żonaty, a tylko inicjały: S.B.

Sowacka wyszła raz za mąż za wziętego skrobacza, lekarza z Krakowa. Po trzech dniach wyrzuciła go z domu robiąc mu awanturę, że nie dał jej ślubnego prezentu. – Co ci kupić? – zapytał wyganiany pokornie. – Przyślą mi kopię pozwu rozwodowego – odparła.

Jeśli ktoś potrzebuje brylantu lub przygody, to najlepiej u Sowackiej. Ma lekką manię seksualną oraz komunikacyjną. Zamiast płacić za taksówki, bierze podobno ze sobą do łóżka każdego taksówkarza, który wieczorem odwozi ją samą do domu bez względu na jego wiek i płeć. Ma też hobby: filantropia.

SPASOWSKI Romuald – były ambasador

Ambasador Polski w USA. Po ogłoszeniu stanu wojennego wybrał, jak wiadomo, wolność, a prezydent Reagan przyjął go z żoną Wandą na audiencji w Białym Domu, odprowadzając zaś do furtki niósł za nim parasol.

Potem Spasowskiego zupełnie nikt już nie przyjmował. Napisał książkę, w której starał się wyjaśnić, dlaczego całe życie w lukratywny dla siebie sposób służył komunizmowi, mimo że zawsze go, jak twierdził, gorąco nienawidził. Razem z Rakowskim, w tym samym czasie, byli elewami Szkoły Oficerów Polityczno-Wychowawczych w Łodzi. Spasowski na tyle umiał nienawiść skrywać, że dorobił się stopnia pułkownika. Rakowski przeszedł do rezerwy w stopniu kapitana. Prasa książkę wyśmiała, a Amerykanie jej nie kupili. Szczerze przedstawił w niej tylko wątek miłosny. Nie dotyczył on p. Wandy, jego żony. Sprawa była głośna w Warszawie.

U nas dostał wyrok śmierci, co przypomina strzelanie z armaty do śmierdzącego jaja. Prasie w USA Spasowski ustawicznie skarży się na ubóstwo. Należy więc spodziewać się tego, że wróci do Polski a władze obecne przyjmą go kwiatami, oracjami i pieniędzmi. Zostanie bohaterem narodowym, a potem co najmniej znów ambasadorem. Napisze książkę o tym, że Ameryka jest niewdzięczna, i opíše dokładnie, jak go nie doceniła. Polskie gospodynie domowe będą płakać przy tej lekturze.

SPYCHALSKA Małgorzata – marszałkówna

Rysuje, maluje, gotuje, stroi się, mówi po francusku. Uwielbiałem jej towarzystwo dopóty, dopóki nie zdarzyła się tragedia: przestała pić. Scenograf teatralny i telewizyjny, projektuje także kostiumy. Niektóre wkłada potem na siebie. Osóbka drobna, która daje sobie radę w odmętach telewizji – rozgania najtłustsze rekiny. Jest jej głównym scenografem.

Miała różnych mężów, w tym Władysława Komara. Na trzecim jej weselu podawano bardzo zadowalające pieczone prosię z kaszą gryczaną. Robiła różne dziwne rzeczy: ulegała prześladowaniom jako córka wroga ludu, kiedy ojca torturowano w Radkiewiczowskim więzieniu, studiowała we Francji, kochała się z kulomiotem, hodowała dziesiątki tysięcy kur na jaja. Teraz rządzi telewizyjną scenografią i ma wytwarzać pustaki budowlane.

Spychalska uważa, że jej tatuś był bardzo zdolny i mógł być kiedyś zamiast socjalizmu zaprojektować budowlę ładną i trwałą, niestety, zostając tym całym marszałkiem i głową państwa, zwichnął sobie karierę. Politycznym błędem ojca – jak sądzi – była reforma rolna, przez którą kupa ślicznych pałaców i dworów popadła w ruinę.

Udaje pierwszą naiwną, bezradną i zagubioną, ale ma łeb do życia i do interesów. Rysuje ślicznie. Wierzę, że ona zacznie jeszcze pić, co będzie dla jej przyjaciół zmartwychwstaniem, a dla niej samej wniebowstąpieniem.

SZAPOŁOWSKA Grażyna – aktorka

Nosi piękne kostiumy, które Pan Bóg zaprojektował, jak ją stworzył.

SZCZEPAŃSKI Jan Józef – literat

Pisarz, którego jedynym od biedy czytany utworem była relacja o tym, jak został prezesem opozycyjnej większości pisarzy i jakie napotkał trudności w pracy (*Kadencja*).

Jego odpowiednikiem byłby więc np. wielki reżyser filmowy, którego jedyne dzieło stanowi obraz kinowy o zepsuciu mu się kamery, którą chciał cokolwiek nakręcić, aby światu okazać swą wielkość.

SZCZEPAŃSKI Maciej – były więzień

W latach 70. w felietonie w „Szpilkach” chciałem napisać, że coś podała Wolna Europa, ale tym razem bez żadnej pod jej adresem przygany. Zrobiłem więc omówienie: to i to powiedziano przez radio, lecz nie było to radio Macieja Szczepańskiego.

On uważał siebie za osobę, której nazwisko nie powinno się pojawiać w żadnym lżejszym kontekście i bez należnych hołdów. Poczul się więc urażony. Jak mi przekazano, kazał mnie wyeliminować z programu TV, w którym i przedtem w zasadzie nie brałem udziału. Potem pewien pośrednik zawiadomił mnie, że z upoważnienia Szczepańskiego chce ze mną rozmawiać londyński korespondent polskiej telewizji Kornacki i zaprasza mnie do swojego numeru w hotelu „Victoria”.

W hotelowym apartamencie stały trunki, przekąski i kelner na usługi. Kornacki mówił, że Szczepański mnie ceni i jak ja jego nie będę zaczepiał, to on mnie też nie ruszy, lecz otworzy mi możliwości współpracy z TV. Sceneria tego spotkania była jakby obrazkiem ze złego filmu o mafii narkotykowej. Obsmiałem się i wyszedłem coś warknąwszy, że mnie telewizja nie interesuje, a jeśli jej prezes ma do mnie sprawę, to może zadzwonić. Po tej wizycie w hotelu miałem przeświadczenie, że Szczepański naprawdę jest szefem gangu i ja wdepnąłem na chwilę w operetkę nie z mojego świata. Ów Kornacki potem wybrał w Londynie wolność i były z nim jakieś pieniądze problemy, gdyż kierował tam polsko-angielską spółką telewizyjną.

Szczepańskiego nigdy dotąd na oczy nie widziałem, znałem go z opowieści ludzi z TV oraz Rakowskiego. Kontakty z nim przynosiły pecha, np. zaprosił Rakowskiego na śniadanie do telewizji i potem mój szef chorował ciężko zatruty. Rozumiałem więc, że od Szczepańskiego z każdego powodu trzeba się trzymać z daleka.

Kiedy w 1980 r. Szczepańskiego wsadzili. Stowarzyszenie Dziennikarzy chciało pospieszyć się i wyrzucić swego laureata Nagrody im. Prusa z szeregów. Zgłosiłem się wówczas na jego obrońcę, ale do rozprawy nie doszło. Znowu więc miałem coś z nim do czynienia, lecz zaocznie.

W trakcie procesu eks-prezesa zainicjowałem rozmowę wicepremiera Rakowskiego i swoją z

sędzią Michałem Kulczyckim, który prowadził rozprawę. Po zastrzeżeniach, że oczywiście nie czynimy próby ingerencji w niezawisłość sądu, powiedzieliśmy, iż intencja tego spotkania jest następująca. Sędzia Kulczycki być może mniema, że władze pragną, żeby Szczepańskiego skazać, bo tego chce lud, czy też po to, by zademonstrować polityczny rozrachunek z poprzednią ekipą. Jeżeli Kulczycki tak myśli lub ktokolwiek mu sugerował rozprawę ze Szczepańskim, to niech wie, że jego proces jest społecznie już obojętny i nikt z prawdziwych władz nie ma żadnych intencji związanych z tą sprawą.

Michał Kulczycki to był (zmarł kilka lat temu) wspaniały sędzia, który za Gomułki złamał swoją karierę, okazując niepodatność na dyrygowanie jego wyrokami. Odparł, że nikt na niego w tej sprawie nie wywiera nacisku i nacisnąć nie zdołałby. Następnie długo wymieniał przestępstwa Szczepańskiego przekonując nas, jaki to łajdak. Mnie to nie przekonało. Np. Szczepański odpowiadał za defraudację państwowych pieniędzy przez zaproszenie na urlop do Polski brytyjskiego producenta Reynoldsa wraz z rodziną i opłacił ich kosztowny pobyt. Jednakże ten Anglik dał polskiej telewizji w prezencie dobra wielkiej wartości i taki rewanż był uzasadniony. Zresztą szef resortu ma chyba prawo zapraszać kontrahenta. Sam zaprosiłem kiedyś na weekend zagranicznego rzecznika rządowego. Urząd Rady Ministrów to finansował w zgodzie ze swoimi sztywnymi przepisami. Jeśli z oskarżeń wydobyć to, co stanowiło prywatę Szczepańskiego, to chodziło tam wszystkiego o jakiś system alarmowy, zainstalowany gratis w jego domku przez zagraniczną firmę i o jakieś telewizyjne fotele, które ustawił w prywatnym domu. Bzdury jednym słowem. No, ale Szczepański dostał ciężki wyrok więzienia, chociaż to wszystko, co o nim jesienią 1989 roku puszczał w naród Moczarowski NIK i różni ludzie z Komitetu Warszawskiego, okazało się zwykłą nieprawdą. Mówiono i pisano zaś o willi bodaj w Afryce, prywatnym jachcie „Pogoria”, wynajętych dla prezesa dziwkach, w tym Murzynkach, jakie miał do usług seksualnych itd., itp.

Rakowski jeden jedyny zabiegał potem o ułaskawienie Szczepańskiego i załatwił w ten sposób jego wyjście z więzienia. Eks-prezes, zamiast mu być wdzięczny, miał potem do Rakowskiego ustawiczne pretensje, że nie załatwił mu więcej: a to zwolnienia z grzywny do zapłacenia, a to przyznania emerytury, a to dania dobrej posady. Są ludzie bardziej czepliwi wobec dobroczyńców niż wobec swych wrogów. Jest to jeden z objawów egocentryzmu.

Kiedy byłem rzecznikiem rządu, a Szczepański już znajdował się na wolności, zadzwonił, że chce do mnie przyjść. Zgodziłem się oczywiście, aby odczuł różnicę między czasami, kiedy on rozmawiał ze mną przez fagasa. Wtedy to właśnie, w Urzędzie Rady Ministrów, po raz pierwszy w życiu go zobaczyłem. Gadał o sobie, swoich sprawach i kłopotach, a kiedy chłodno rzecz przeciąłem, że to nie są moje kompetencje, zaczął wyjaśniać, iż przyszedł do mnie, ponieważ gdyby prasa zagraniczna mnie o niego pytała, to chce mi powiedzieć, że nieprawdą jest, jakoby był prezesem zagranicznej spółki, gdyż nie pcha się na afisz, a jest tylko skromnym tej spółki pracownikiem. Pretekst do wizyty był jawnie niedorzeczny. Odparłem, że dziennikarze mnie o niego nie będą pytać, a gdyby, to ja w ogóle nie muszę wiedzieć, gdzie on pracuje, bo nie jest osobą urzędową. Poszedł sobie.

Eks-więzień wyraźnie nie umiał się pogodzić z tym, że przestał być ośrodkiem zainteresowania i ważną osobą czy to jako dygnitarz, czy jako podsądny.

W 1989 r. na wiosnę zająłem gabinet urządzonej przez Szczepańskiego dla siebie, ponieważ objąłem m.in. jego dawny urząd prezesa Radiokomitetu. (Drugi lepszy gabinet miałem nadal w URM jako minister informacji). Było to małe i marne pomieszczenie kiepsko urządzone. Do gospodarstwa należał jeszcze ohydny salonik z zapadniętymi krzesłami, których oparcia piły w plecy, tak że nie można było wysiedzieć. Cała w ogóle legenda o wspaniałościach telewizyjnego gospodarstwa za Szczepańskiego tam, na miejscu, okazała się zmyślona.

Widząc moją nieudolność każdy w telewizji mi mówił, że Szczepański, o, to był prezes z prawdziwego zdarzenia. Mam co do tego jednak wątpliwości. Rzeczywiście to był zaradny gospodarz, a miał też dobrą rękę do ludzi. Szef TV powinien jednak być politykiem, a ten człowiek podobno nawet gazet nie czytał. Gust posiadał raczej śląski, spodkowo-enerdowski, a maniery obcesowe, a więc na pewno czymś nad nim górowałem, do cholery, gdyż jestem czytany w gazetach i umiem używać widelca oraz noża.

SZCZEPKOWSKA Joanna – aktorka

Córka starego Szczepkowskiego – aktora. Egeria „Solidarności”. Widziałem, jak podobała się Kuroniowi. Ładniejsza od niego.

Szczepkowska słynie z tego, że ustaliła dokładną datę upadku komunizmu w Polsce i ogłosiła ją w telewizji.

Młode kobiety mają raczej doświadczenie damskie niż polityczne. To dziewczyny upadają, bywa, z nagłą, np. 4 czerwca o określonej godzinie z minutami. Ustroje upadają bardzo powoli i tak stopniowo, żeby wszystkich to upadanie zanudziło na śmierć.

SZCZEPKOWSKI Andrzej – prezes

Po stanie wojennym przywódca aktorów bojkotujących telewizję, a tym samym współtwórca złotego okresu polskiej telewizji.

Najchętniej i najczęściej gra biskupów. Ostatnio grał biskupa w farsie *Pasztet jakich mało*. Potem, na wieczorze Tadeusza Polanowskiego opowiadał publicznie ze sceny, że przygotowując się do farsy, towarzyszył prymasowi Glempowi i podpatrywał, jak się zachowuje, żeby to wiernie oddać. Nieumiejętnym pokazywaniem biskupa przysłużyłby się bowiem czerwonym.

Adam Michnik, będący obecnie wyrocznią w każdej dziedzinie, napisał w „Gazecie Wyborczej”, że córka starego Szczepkowskiego jest utalentowaną aktorką. Cóż, jak Pan Bóg dopuści, to i z kija wypuści.

SZCZYPIORSKI Andrzej – katechumen

Szczypiorski, niegdyś mój kolega z „Polityki”, jest autorem powieści oraz listu do Wałęsy, w którym radzi mu, żeby zamiast pchać się do władzy u nas na prowincji pojeździł sobie trochę po świecie i czegoś się nauczył.

Mieszkanie w Warszawie, przy ul. Parkowej, dzieli z licznymi rzeszami bezdomnych psów i kotów.

Andrzej Szczypiorski dał na piśmie oświadczenie, że kiedy był internowany w stanie wojennym, nawrócił się na katolicyzm. Jest to wielka kompromitacja kleru. Dziesiątki tysięcy księży i zakonników od rana do wieczora łowi dusze takich Szczypiorskich i nic, kłapa, poruta, a to samo generał Kiszczak załatwia za nich małym palcem!

SZEWIŃSKA Irena – piechurka

Szewińską, która podobno miała takie szybkie nogi, że nie musiała używać samochodu, poznałem raz przelotnie w okolicznościach dla niej przykrych. Jakaś załoga warszawskiej fabryki, nie pamiętam której, uchwaliła, że życzy sobie spotkania z nią i ze mną. Życzenie klasy robotniczej w tych latach było rozkazem. Siedzieliśmy więc z Szewińską nad szklankami pełnymi skwaśniałych fusów od kawy, przed salą nabitą ludźmi. Robiła wrażenie osoby miłej i nieśmiałej, która chętnie by wybiegła stamtąd i nie pozwoliła się dogonić. Sięgałem jej do pępka i byłem dumny, że sięgam aż tak wysoko.

Na początku kariery Szewińską nazywała się Kirszenstein, ale to był rok 1968, nazwisko brzmiało z żydowska, więc wszechświatową gwiazdę sportu wydano za męża. Zapytajcie żydoznawców, jak Krallówna, Szczypiorski, Kąkol lub Szurmiej, czy może istnieć żydówka, która na własnych nogach biegać będzie, jeśli nikt jej nie goni, i tam, gdzie można dojechać?

SZLACHCIC Franciszek – szara eminencja

Kazimierz Dziewanowski, obecnie ambasador w USA, ze dwadzieścia lat temu wrócił z

Północnego Wietnamu bardzo podniecony. Tam w prowincjonalnym hoteliku spotkał rodaka, ministra czy też wiceministra spraw wewnętrznych Szlachcica. Długo w noc pili i Dziewanowski odkrył w nim szeroki umysł i wielkiego zwolennika zasadniczych reform w Polsce.

W pierwszych latach władzy Gierka, jego i Dziewanowskiego przyjaciel Szlachcic był drugą osobą w partii, bo bardzo się zasłużył w zapewnieniu Gierkowi objęcia tej władzy. W styczniu 1971 r. wybuchł drugi strajk w Stoczni Szczecińskiej, połączony ze strajkiem generalnym w mieście. Pojechałem tam z Dariuszem Fikusem węszyć, co się dzieje. Był też Szperkowicz, mąż Krallówny, który woził nas swoją wołgą po Szczecinie, a jazda z nim za kierownicą była wielkim ryzykiem dla pasażerów. Ogłosiłem w „Szpilkach”, że Szperkowicz nie umie prowadzić, co pobudziło jego nienawiść do mnie i być może pchnęło potem do opozycji.

Ulokowaliśmy się z Fikusem w domu akademickim, a studenci-ochotnicy doprowadzali nam tam dziesiątki rozmówców i z ich opowieści, będących częstkami mozaiki, staraliśmy się łożyć prawdziwy obraz zdarzeń grudniowych w Szczecinie.

Kiedy zaczęła się rewolta w Gdańsku i palono Komitet Wojewódzki PZPR w Szczecinie, zginęła tam akurat cysterna z benzyną. Nikt jakoś jej nie szukał, a potem taksówkarze dowozili benzynę do palenia szczecińskiego KW. Dowiedzieliśmy się też, że grupa prowodyrów, która wyprowadziła stoczniovców z zakładu na ulice Szczecina, podjudziwszy masy, potem zwartą grupą odeszła w boczną uliczkę. Byli to ludzie w Stoczni nie znani. Inny fakt: tłum idącego zdobywać i palić szczeciński Komitet Wojewódzki żadna milicja nie usiłowała zatrzymać, nie było w robocie pałek, wody i innych środków mogących zapobiec krwawemu potem przebiegowi wydarzeń. Dalej: na czele komitetu strajkowego w Stoczni stał były kadrowy podoficer wojskowego kontrwywiadu. Wszystkie te i inne fakty były poszlakami, że jakieś podskórne siły, związane z aparatem władzy, co najmniej sprzyjały rewolcie, jeśli nie wspomagały ją, czy wręcz prowokowały. Pogłoski wiązały te poczynania z szefem MSW Szlachcicem, przyjacielem Gierka. W Szczecinie zresztą rządził inny gierkowiec ze Śląska – Walaszek. Opisaliśmy to wszystko – do pewnych granic – z Fikusem w „Polityce” i miało to przedruk w „Kulturze” paryskiej.

W czasach bezpośrednio pogrudniowych Szlachcic grał drugie po Gierku skrzypce w KC i bardzo tę swoją rolę eksponował. Utrzymywał też kontakty ze środowiskami opiniotwórczymi, gdzie przedstawiał się, podobnie jak naiwnemu z natury Dziewanowskiemu, jako zwolennik bardzo radykalnych reform liberalno-demokratycznych.

Z kierownictwa partii Szlachcic został usunięty w 1974 r., zgodnym zdaje się wysiłkiem wszystkich koterii. Nienawidzono go w gmachu KC, gdyż się szarogęsił, poza tym, jak opowiadano, nie mógł przeżyć dnia, żeby nie montować jakiejś silnej intrygi.

Franciszka Szlachcica poznałem w 6 lat po jego upadku, na galerii dla gości IX Zjazdu PZPR. Było to w ogóle dziwne towarzystwo, w tym Gontarz i grupa aktywistów marcowych, którzy kręcili się jak w ukropie. Na pulpitych delegatów rozkładano zaś pisma pt. „Margines”, gdzie o Rakowskim i innych eksponentach orientacji liberalnej pisano, że żydzi, rozpustnicy, prywaciarze i złodzieje. Rakowski ze zjazdowej trybuny protestował przeciw temu kolportażowi gadzinówek.

W posiedzeniach rządu Jaruzelskiego F. Szlachcic zawsze brał udział jako przewodniczący Komitetu Normalizacji, tj. miar i wag. Na taki bowiem urząd zesłał go Gierek i tam trwał. Z mar przeszłości w posiedzeniach rządu brał też udział Mieczysław Moczar o sztywnej sylwetce, martwej twarzy bez wyrazu, ubrany w wyszukanie wytworne ciemne ubrania. Był prezesem Najwyższej Izby Kontroli. Nigdy nie zabierał głosu. Podobnie Szlachcic, siedział cicho, raz tylko bodaj, będąc już i tak na wylocie, wygłosił jakąś polityczną mowę. W tym czasie już był przedstawicielem tendencji twardozachowawczej, a nie liberałem.

Szlachcic witał się ze mną wylewnie, klepał protekcyjnie po plecach i chwalił za różne publikacje i wystąpienia. Dawał poznać, że jest ze mnie zadowolony, co mnie irytowało, gdyż z jego strony protekcyjnalizm już nie był wobec mnie na miejscu, stanowił wyraz jego przesadnie dobrego samopoczucia. Zwykł też patrzeć jakoś tak porozumiewawczo w oczy, jakby nas łączyły jakieś tajemne nici. Wiem, że różnym osobom dawał do zrozumienia, iż nadal ma potężne podskórne wpływy w kraju i za granicą. Są to jednak złudzenia powszechne wśród byłych ludzi władzy. Wiem, że Wojciech Jaruzelski, który chciał się Szlachcica pozbyć z Komitetu Normalizacji, bardzo ostrożnie i powoli do tego podchodził. Na giełdzie dworskiej mówiono, że dwa razy przyjął Szlachcica, co mogło znaczyć, iż się go

jakoś lęka. Potem Szlachcic znikł, a ja z jakiegoś źródła dostałem maszynopis jego wspomnień: on nie był winien Grudnia, to inni byli winni tego i wszystkiego, intryganci go wygryźli itd.

Z Komitetem, którym Szlachcic kierował, miałem styczność od zabawnej strony. Otóż normował on to, jakie mają być produkty, maszyny itd. W Polsce chronicznie brakowało papieru toaletowego i mnie, jako rzecznika prasowego rządu, papier ten interesował (jako posiadacza w.c. również). Jego brak nabierał symbolicznego znaczenia, dowodzącego skrajnej nieudolności władz. Papieru było o 16 procent mniej, niż wynosiło zapotrzebowanie i to sprawiało, że znikał ze sklepów i był niedostępny.

Pewnego razu pojawił się pewien inżynier z Katowic, który z podróży do RFN przywiózł kupioną tam rolkę papieru toaletowego. Pokazał, że jest ona węższa od polskiej, jak obliczył na kalkulatorze, stricte o 16 właśnie procent. Miał on więc pomysł wart Nobla. Wystarczy noże krojące papier na rolki ustawić o 16 proc. gęściej i papieru toaletowego będzie w Polsce w bród. Nie wiedząc komu podlega produkcja papieru toaletowego, przedstawiłem tę wielką myśl kierownikowi wydziału ekonomicznego KC. Odparł mi po pewnym czasie, że nic z tego, nie możemy robić papieru tak wąskiego jak w RFN, gdyż Polska Norma na to nie pozwala. Nie dałem za wygraną i odniosłem się do odpowiedniej komórki komitetu Szlachcica. Wykorzystałem swe dygnitarstwo prosząc o wyczerpujące objaśnienie, jak powstaje Polska Norma na papier toaletowy. Czy normalizator siada na sedesie, podciera się, za przeproszeniem, i potem ogląda palce, czy ich nie pobrudził? Odpowiedziano mi, że urząd nie para się zajęciami tak wulgarnymi. Polska Norma przejęta została z RFN.

SZURMIEJ Szymon – etatowy żyd

Młody Szurmiej został aktorem w ogarniętym wojną Związku Radzieckim. Jeździł ciężarówką z jakąś trupą po kolchozach, gdzie artyści dostawali za występy jeść i pić lepiej lub gorzej.

Po wojnie we Wrocławiu pracował przy Rotbaumie, głównym wówczas w tym mieście reżyserze, gdyż jeszcze nie istniał Grotowski.

Szurmiejowi się nie wiodło. Nie miał stosownych studiów, a w żaden sposób nie umiał zdać egzaminów dających uprawnienia reżyserskie. Na wszystko bowiem w owych czasach trzeba było mieć licencję. Pracował w „Estradzie”. Wystawiał w Sali Ludowej spektakl z gołymi panienkami, lecz prasa zrobiła skandal, bo w zamaskowanej, nagiej tancerce rodzice po pieprzyku na łonie poznali córkę – uczennicę. Na Górze Św. Anny wystawiał wielkie widowisko katolicko-patriotyczne „Obrona Częstochowy”, które wyśmiewała cała prasa. Został dyrektorem teatru w Opolu, co wywołało takie intrygi w zespole, że musiał odejść. Publikowałem o tym reportaż w „Po prostu”.

Wreszcie osiadł w Warszawie, postanowił zostać żydem i zaczął reżyserować oraz grać w Teatrze Żydowskim. Następnie został jego dyrektorem, a także posłem na Sejm.

Potem go wybrano prezesem Stowarzyszenia Żydów, został niekwestionowanym przywódcą resztek żydowskich w Polsce. Ma znakomite kontakty światowe, zasiada we władzach międzynarodowych organizacji żydowskich. Wszystko to normalne, Szurmiej to człowiek barwny, bujny, lojalny, niekonniunkturalny, mimo że życie wymagało odeń kombinatorstwa. Jeden jest w jego życiu prawdziwy fenomen: w podeszłym już wieku z aktora i reżysera miernego, lekceważonego, wybił się na aktora dobrego, miewającego wielkie role, i na sprawnego reżysera. Zdolności zwykle na starość wędną, a sędziwy Szurmiej ciągle idzie w górę jako artysta. Moda na żydów sprawia zaś, że dziś ma w rękę złotą żyłę.

Jest to człowiek załatany, pełen projektów, przejęty polityką, wciąż szukający, co dobrego mógłby dla kraju zdziałać. Całe życie się z niego podśmiewałem, co nie zepsuło naszych przyjaznych stosunków. Najbardziej się śmiałem, kiedy nagle wyskoczył zeń żyd. Trudno, taką ma posadę. Poza tym nastały czasy, kiedy status żyda umożliwia najowocniejsze praktykowanie polskiego patriotyzmu.

SZYDLAK Jan – były polityk

Szydlaka poznałem na odległość w 1956 r. Został wówczas sekretarzem ZG ZMP, aby ktoś naprawdę zaczął rządzić tą organizacją u boku Heleny Jaworskiej, nazbyt miękkiej, niezaradnej i

ustępliwej wobec sił odśrodkowych.

Odbyla się jakaś wielka liczebnie narada i Szydłak wszedł na „Po prostu”. Chodziło o to, że jesteśmy pismem ZMP, lecz chodzimy odrębnymi ścieżkami. Ludzie z „Po prostu” poddani ultimatum Szydłaka, żebyśmy się zadeklarowali, czym jesteśmy, opuścili salę obrad, a ja wśród nich. Każdy z nas uważał, że jest mamusi i tatusia, ewentualnie narodu polskiego.

Za Gierka Szydłak pojawił się jako członek Biura i sekretarz KC. Był to bystry polityk, ale wyśmiewany przez salony warszawskie jako tępak, gdyż mówił ze śląska. („Cyna cyny rośnie.”) Pustota i małostkowość tych opozycyjnych salonów prawem kontrastu zawsze mnie skłaniała do szacunku wobec władzy.

Szydłak w Biurze Politycznym długo odpowiadał za propagandę i był najlepszym w jej dziejach szefem, gdyż w ogóle go prasa nie obchodziła i wcale do niej się nie wtrącał.

Dwa razy byłem z Rakowskim u niego, zasięgał naszej opinii. Drugi raz dotyczyło to podwyżek cen, planowanych w 1976 r., które wiadomo jak się skończyły. Rozruchami w Radomiu i Ursusie, wycofaniem się władz z dokonanej już podwyżki cen, ruiną rynku, spustoszeniem sklepów, narastaniem kryzysu gospodarczego i politycznego, powstaniem KOR, strajkami 1980 i miażdżącą klęską ekipy Gierka, w tym i upadkiem Jana Szydłaka.

Doradzaliśmy mu ogłoszenie znacznie wcześniej zamiaru podwyżek, rozdanie kartek na żywność na okres przejściowy, szerokie konsultacje i dyskusje o cenach, wreszcie, przy podwyżce, rekompensaty pieniężne, preferujące niżej zarabiających. Szydłak ze wszystkim tym się zgodził, ale zrobiono zupełnie inaczej, całkowicie idiotycznie. Premier Jaroszewicz okazał się przypuszczalnie silniejszy od niego i musiał osobiście przez telewizję podwyżki odwołać, co było początkiem jego końca.

Obecnie Szydłak-emeryt jest mózgiem emeryta-Gierka. Śląska odnoga ich dawnej ekipy trzyma się razem. Pogierkowscy emeryci zbierają się, debatują sobie o sprawach publicznych i wierzą, że społeczeństwo do nich jeszcze zateknie, przeprosi, obsypie honorami, a może nawet ofiaruje na powrót władzę. Ci ludzie są nieuleczalni i niczego zrozumieć nie mogą.

Pamiętam jesienią 1980 r. jako dziennikarz z „Polityki”, zaproszony zostałem do Poznania na weekend przez tow. Zasadę, I sekretarza tamtejszego KW z epoki Gierka. Podejmował mnie śniadaniem akurat w dniu, gdy spadał właśnie już ze swej funkcji. Przy mnie zadzwonił do niego Zdzisław Grudzień z Katowic, także zdejmowany tego samego dnia, i Zasada tak mówił do tubki: Zobaczysz Zdzichu, minie pół roku i partia zażąda naszego powrotu.

Tyle ci ludzie rozumieją z procesów dziejowych.

Szydłak był bystry, sprawny, bezpośredni i sympatyczny.

W 1971 r. Michał Radgowski pożyczył domek na Mazurach od swego przyjaciela, późniejszego sekretarza KC Andrzeja Wasilewskiego. Wówczas był on dyrektorem Państwowego Instytutu Wydawniczego, Jagiełło zaś, obecny wiceminister kultury, działał przy Wasilewskim jako osobisty sekretarz. Była to modrzewiowa chałupka, w której mieszkaliśmy z Radgowskim.

Towarzystwo uzupełniali Michałostwo Komarowie, którzy mieszkali obok i razem z nami jedli i pili wódkę. Tam pospiesznie pisałem książkę na zamówienie PIW-u. Nosiła ona tytuł „Czas przyszły niedokonany” i zawierała kompletny projekt polityki wewnętrznej Polski, obejmujący wszystkie dziedziny, głównie kierunki gospodarczego rozwoju. Mieliśmy już za sobą duszące lata 60., a teraz nowe kierownictwo – pragmatyczne i otwarte na pomysł, jak kraj urządzić.

Książkę zatrzymała cenzura, przedstawiając ponad sto poważnych i drobnych ingerencji. Mam po dziś dzień tę cenzorską odbitkę. Odwołałem się do Jana Szydłaka. Ten odpowiedział przez pośredników, że jedną rzecz muszę usunąć z całej książki, gdyż jej opublikować nie można: projekt popierania masowej emigracji zarobkowej. Otóż uważałem, że zamiast rozpraszać środki inwestycyjne na wszystkie dziedziny produkcji i inwestować szeroko i wszędzie po to, aby tworzyć miejsca pracy – dobrze byłoby skoncentrować pieniądze na rozwoju wybranych dziedzin, mających szansę stać się polską specjalnością, i modernizować je maksymalnie. Nadwyżki siły roboczej niechaj zaś absorbuje, mogący wówczas je wchłoniąć Zachód, importujący siłę roboczą z Turcji, Jugosławii i krajów arabskich. Mając kilkaset tysięcy lub więcej Polaków, pracujących na Zachodzie; na wzór Jugosławii, Polska zyskałaby poważne zasilenie dewizowe, kierowane przede wszystkim na budowę mieszkań i domków oraz na rozwój drobnej wytwórczości prywatnej i rolnictwa. Znikłaby powszechna społeczna presja na popieranie inwestycji marnotrawczych, aby tylko dawać zatrudnienie. Wreszcie polskiej gospodarce niezbędne jest – uważałem

– paroletnie obycie kilkuset tysięcy polskich fachowców z zachodnią technologią i organizacją pracy.

Gdybyśmy w 1971 r. poszli w tym kierunku, lata siedemdziesiąte przyniosłyby lepsze rezultaty ekonomiczne i ustrzegłoby to nas od zmarnowania części wielkich kredytów z Zachodu.

Nawet tolerancyjny wtedy Jan Szydlak nie chciał przepuścić do druku projektu masowej emigracji zarobkowej, która była z powodów dogmatycznych i politycznych nie do przyjęcia. Ja tej emigracji z książki nie chciałem i nie mogłem usunąć, bo tym projektem cała była ona przetrześnięta. Książka nie ukazała się na rynku, mam na pamiątkę tylko kilka wydrukowanych egzemplarzy, pięknie dla mnie oprawionych przez PIW na zlecenie żony Radgowskiego, która tam pracowała i redagowała książkę.

SZYMAŃSKA Irena – muza

Do roku 1980 mój ulubiony ustrój zajmował się literaturą o wiele gorliwiej niż np. rolnictwem. Odpowiadali za nią wysoko postawieni ludzie, m.in. Putrament, Kruczkowski, Sokorski, Wasilewski. Gdy literat na zebraniu literatów powiedział coś przeciw władzy – była to zaś skłonność nagminna – gmach KC się trząsł i huczał od narad. Połowę pisarzy mamy z nominacji, a taki status daje jakieś utrzymanie bez pracy do końca życia. Kogo wydawać, chwalić, ganić, popierać, niszczyć, mianować pisarzem – to były doniosłe sprawy polityczne. Działo się to niezależnie od tego, ilu realnie literatów pisze i wydaje książki, czy i ile ludzi je czyta, czy mają one jakikolwiek wpływ na kogokolwiek i cokolwiek: Literatura była dziedziną zmitologizowaną, jej twórcy problemem wymyślonym po to, by władza mogła się kłopotać nieprawdziwymi zmartwieniami. Od co najmniej 30 lat żaden w Polsce pisarz – z wyjątkiem Osieckiej – nie ma żadnego wpływu na liczący się odłam społeczeństwa oraz żadnego znaczenia sztukotwórczego.

Literatura była zinstytucjonalizowana. Istniał związek pisarzy, miał budynek i biura, były całe sektory KC tym się zajmujące. Władza rządzących nad literaturą miała jednak charakter pozorny. Faktycznie całą polską literaturą od ponad 40 lat rządzi zaś jedna kobieta zza kawiarnianego stolika – Irena Szymańska.

Zaczynała jako przystojna sekretarka Jerzego Borejszy. Później – pod różnymi prezesami – sama kierowała „Czytelnikiem”. Od dawna jest emerytką. W gmachu warszawskiego Wydawnictwa „Czytelnik” przy ul. Wiejskiej 12, koło Sejmu istnieje suterena, nadająca się na pralnię, a będąca kawiarenką, i stamtąd właśnie Szymańska rządzi. Decyduje ona, kto ma pisać, co i jak. Czyta to, mówi, co skreślić, dodać, zmienić, wydać, wyrzucić. Miesza fusy od kawy i wróży z nich kariery, po czym decyduje o nich. Orzeka, kto jest geniuszem, kto miernotą. Steruje recenzjami. Pracowicie przewodniczy codziennym naradom w tych sprawach, które się odbywają przy jej stoliku. Tu jej się podlizują, tu odbiera hołdy i wymierza kary. Określa, co można, czego nie, co wypada, a czego nie należy. Udziela posłuchań. Wytacza stosunki literatów z władzami. To ona np. wymyśliła Konwickiego i prowadziła jego rękę. To ona zezwoliła Berezie obwołać Myśliwskiego geniuszem, chociaż rzecz się potem jakoś nie chciała przyjąć. Przypuszczam, że to ona dała Nobla Miłoszowi.

Szymańska jest najbardziej skutecznym spośród managerów w Polsce. Szkoda, że – jak zawsze kobieta – rządzi dziedziną trzeciorzędną i zanikającą.

Irena Szymańska to zdecydowanie przystojna kobieta w średnim wieku, o czarnych, świdrujących, żywych oczach, podobnych do oczu Jakuba Bermiana. Tak przynajmniej wyglądała, kiedy ją ostatni raz z daleka widziałem. Było to około 30 lat temu.

ŚLEDZIŃSKA Joanna – I wicemiss Polski

Pozowała do ściennych kalendarzy, okładek, druków i programów reklamowych. Najładniejsza, najwdzięczniejsza, przytomna i ma bardzo długie nogi. Jest dziewczyną byłego długoletniego kochanka mojej żony Janusza Świerczyńskiego z telewizji.

Na dwudzieste urodziny kupiłem jej żywego królika, żeby nie czuła się samotna. Zjadła go. O takich dziewczynach mówi się: krew z mlekiem. Świerczyński wysysa z niej krew i popija mlekiem. W ogóle epokę mamy teraz wielce romantyczną.

ŚWIERCZYŃSKI Janusz – upadły gwiazdor

Był najbardziej ulubionym przez publiczność prezydentem głównego dziennika TV i nadzwyczajnie ozdobnym mężczyzną. Przegnano go precz z „Wiadomości” mimo trzech zasług: w 1981 był przewodniczącym „Solidarności” w redakcji „Sportowca”, w stanie wojennym nie pracował w TV i nie zhańbił się noszeniem polskiego munduru, przez 6 lat używał, z przerwami, jednej z żon Urbana, co czyni go moim suchym szwagrem i dziś może być także zaliczone do zasług politycznych. W końcu cała opozycja razem wzięta nie zdołała wydmuchać mi nawet kota. Obecnie jest narzeczonym Joasi, pierwszej wicemiss Polski sprzed dwóch lat, czyli z dobrego jeszcze okresu. W tym konkubinacie on jest ten ładniejszy, a ona ta mądrzejsza.

TERENTIEW Nina – pelargonia TVP

Żelazna królowa licznych telewizyjnych programów, np. XYZ. Lansowała i lansuje z niezmienną werwą osobistości wszystkich epok. Kobieta ciesząca się niezmiennym powodzeniem u mężczyzn, czym umie się cieszyć.

TOEPLITZ Krzysztof Teodor – geniusz

Jest prorokiem. Już 10, a może 15 lat temu napisał felieton *Mława atakuje*.

Umie wszystko. Napisze artykuł, felieton, komiks, scenariusz, powieść, recenzję filmową, esej, dzieło teoretyczne – proszę bardzo. Wykona dziecko jak trzeba, stworzy koncepcję, wejdzie do biznesu, odbędzie rokowania międzynarodowe, odezwie się w dowolnym języku, nawet po afrykańsku czy po włosku i nikt nie pozna, że to nie Anglik.

Ród Toeplitzów jest wszech europejski i podobno wywodzi się z Hiszpanii, gdzie już w średniowieczu byli żydami, bankierami i wszystkim, co najgorsze. Dziadek Toeplitza z linii włoskich Toeplitzów był czy jest prezesem Banco Commerciale Italiana, co w Rzymie liczy się więcej niż papież i daj Boże całej Polsce te pieniądze. Toeplitzem był ten rabin z Pragi, który ulepił Golema. W Polsce do Toeplitzów zalicza się Jerzy Toeplitz, były rektor szkoły filmowej w Łodzi, który pojechał do Australii i spowodował, że Australijczycy w ogóle zaczęli robić filmy i wyrosli na mocarstwo filmowe. Dużo jest u nas Toeplitzów utajonych w rozmaitych miejscach. Krzysztof Teodor mieszka w Łomiankach i niewiele głosów mu zabrakło, żeby został wybranym sołtysem tej miejscowości.

Linia polska rodu Toeplitzów wychrzciła się kiedyś i bodaj sam Krzysztof Teodor jest chrzczony, ale woda szczęściem nie zostawia żadnych śladów.

Już czwarte pokolenie wprawnych i miarodajnych dziewczyn warszawskich po osobistym sprawdzeniu zaświadcza, że Krzysztof Teodor Toeplitz nie potrafi się przespać z kobietą dopóty, dopóki się z nią nie ożeni. Jest to ogromnie szarpające nerwy i najbardziej kosztowne zboczenie seksualne, o wiele mocniej elitarne niż homoseksualizm. Nazwijmy je fetyszyzmem ołtarza.

Pierwszą żoną K. Toeplitza była niejaka Dzikka, poprzednio żona Trepkowskiego, który z okazji konkursu szopenowskiego nie bez racji namalował wierzby płaczące nad klawiaturą i został ojcem polskiej szkoły plakatu. Szkoła ta jest już zamknięta. Tej żonie zostawił dwupoziomowe mieszkanie blisko Starego Miasta. Następną żoną była bardzo zgrabna tancerka Mazurówna, której zostawił strych adaptowany na Starym- Mieście. Urodziła mu syna, który mieszka w Paryżu i tym się odznacza. Kolejną żoną Toeplitza była aktorka filmowa Modelska, która urodziła mu córkę, już starszą kobietę. Zostawił jej tylko banalne nowoczesne mieszkanie. Po Modelskiej była Ewa, wyjątkowo ładna i miła. Tancerka z teatru „Syrena”. Chyba niczego mu nie urodziła, chociaż mogłem przeoczyć. Mieszkanie zostawił jej bardzo ładne, okolice Belwederskiej. Kolejną żoną Toeplitza jest Bożena, magister prawa kanonicznego z Akademii Teologii Katolickiej. Równocześnie była modelką, co Toeplitza wciągnęło bardziej niż teologia kanoniczna. Urodziła mu syna Franciszka oraz ogromnego czarnego psa z zupełnie gojowską głową. U

Toeplitzów bywają tacy ludzie, jak Walter, Polański, Morgenstern, Passent, dużo z przedsiębiorczości prywatnej i dlatego im jest niezbędny taki pies, żeby dziecko wiedziało jak wygląda idiota. Obecnej żonie Toeplitz zostawi taki sobie segment mieszkalny w Łomiankach, ale z tarasem i ogrodem.

Wyliczenie to wskazuje, że przeciętny uczeń pierwszej klasy technikum współżył z większą liczbą kobiet niż stary Krzysztof Teodor Toeplitz. Oto, widzicie państwo, jeden z dramatycznych skutków chronicznie tragicznych trudności mieszkaniowych w Polsce.

TURSKI Ryszard – naczelny redaktor „Po prostu”

Był w 1955 r. asystentem filozofii na Uniwersytecie. Przyszedł do „Po prostu”, gdzie pełnił funkcję zastępcy naczelnego redaktora Lasoty. Był wśród nas najmądrzejszy. Potem wybrany został przez zespół naczelnym pisma, będąc nim aż do jego likwidacji w 1957 r. Odszedł na powrót do pracy naukowej. W latach 1957-1980 był szarym socjologiem. Kariery naukowej nie zrobił. Usunięty w 1957 r. z PZPR wstąpił powtórnie do partii. Był delegatem organizacji w PAN na IX Zjazd w 1980 r. Należał wówczas do skrajnie reformatorskiego skrzydła. Odszedł potem z PZPR i związał się z opozycją. Wielokrotnie zabiegał o reaktywowanie „Po prostu”. Dopiął swego w 1990 roku i stanął na czele pisma, którego dziś nikt nie czyta. Postać tragiczna przez to, że Turski uczeplił się jednej swej roli z odległej młodości.

Wyobraźmy sobie 27-letnią dziewczynę, która osiąga wielkie powodzenie seksualne. W wyniku miłosnego rozczarowania zamyka się w klasztorze na 33 lata. Kiedy kończy 60 lat szminkuje się, wkłada podkasaną sukienkę i wychodzi na ulicę kontynuować podboje sprzed lat. To jest właśnie przypadek Turskiego.

TYSZKIEWICZ Beata – Polka ekranowa

Firmowa polska hrabianka. Aktorka, której filmową specjalnością jest bliskie doskonałości majestatyczne noszenie stylowych kostiumów. Niezwykle popularna w ZSRR. Stanowiła tam uosobienie i ucieleśnienie białej Polski, a więc czegoś politycznie pikantnego, ekscytującego i wzbudzającego kompleksy. Ekranowa piękność podziwiana, lecz nie podniecająca. Stawiała mężczyznom ich oczy w ślup, ale nic poza tym. Polskie damy nie są sexy.

Mieszka, jak przystało na nieziemską ziemiankę, w dworku Norwidowskim w Głuchach. Przetrzymała tam spokojnie socjalizm, mając z nim świetne stosunki i subtelne flirty. Posiada znakomite koneksje: jej ojciec był hrabią Tyszkiewiczem z senatorskiej rodziny, ciotką była Ordonka, a mężem Wajda. Ma dwie córki: Karolinę i Wiktorię. Karolina Wajdówna jest sukcesorką – już grywa. Beneficja aktorskie są w Polsce dziedziczne. Sławę sprywatyzowano wcześniej i łatwiej niż przemysł. Wymaga to bowiem nie kapitału, a protekcji, czego mamy pod dostatkiem.

Niedawnymi czasy odbyła się narodowa feta – grzebanie cioci Beaty Tyszkiewicz – Ordonki w polskiej ziemi. Kręcił się przy tym grabarz Waldorff i mnóstwo zacnych osób. Bohaterka uroczystości – owa Ordonka – na szczęście nie wstała z trumny i nie zaśpiewała. Gdyby to się stało, dramatycznie rozpadłby się jeden z mitów polskiej sceny.

WAHL – siostry

Kiedy chodziłem w Warszawie do szkoły, identycznie ubrane bliźniaczki Wahlówny były najpopularniejszymi pensjonarkami. Chodziły jednakowo ubrane, zawsze parką i były nie do odróżnienia. Wydawały się piękne, ale prawdę mówiąc nigdy nie ośmieliłem się podejść na taki dystans, żeby to sprawdzić z bliska. Wszystkie podlotki są jednakowe, więc kiedy jeden z nich ma żywy duplikat, przyciąga to uwagę sztubaków. Obnosiły się po Warszawie ze świadomością tej przewagi.

Potem odwiedzałem Andrzeja Mularczyka w Konstancinie. Jedna Wahlówna była żoną Mularczyka, druga jego brata Romana Bratnego. Może zresztą była wówczas żoną Bratnego albo przyszłą żoną Bratnego, może ta sama Wahlówna jednocześnie lub po kolei była żoną obu braci. Nie

wiem, gdyż już 40 lat nie odróżniam ich od siebie. Jedna bardzo piękna Wahlówna (akwarela w tonacji niebiesko-zielonej, zarys kobiecego ciała w trawie) wisi u mnie na ścianę, ale też nie wiem, której to Wahlówny. Może zresztą malują na dwa pędzle.

W latach 70. do 1982 r. mieszkalem na Żoliborzu, tuż koło Wahlówien, które zajmowały segment w szeregowcu. Kłaniałem się im z daleka, bo z lat szkolnych pozostał mi lęk przed zbliżaniem się do nich na więcej niż 100 metrów. Zaczęły wówczas naprzeciwko moich okien budować swoją galerię. Napisałem w felietonie, że budują kamienicę, więc się obraziły, gdyż stawiały świątynię sztuki.

Galeria sióstr Wahl stała się najlepszym, najważniejszym salonem wystawowym i sklepem z obrazami w Warszawie. Byłem tam ze dwa razy, ale zawsze z cudzoziemcami, którzy stanowili pretekst. Bałem się wchodzić i oglądać, z lęku przed podchodzeniem do Wahlówien, a także dlatego, że po mnie od razu widać, iż poza sklepem monopolowym nigdzie niczego nie kupię. Za to przez okno widziałem wszystko: jak córka Wahlówien jest w ciąży, a potem dopiero dorasta na starszą panienkę, że przyjmują gości paląc im świece, mają wernisaże, rozbierają się lub nawet sprzątaję swe mieszkania. Podobno siostry histerycznie się kochają i nienawidzą zarazem, czyli w sensie psychicznym są syjamskie. Nie wiem jednak niczego o tym, jak to jest, kiedy człowiek rodzi się i żyje zdublowany.

W Warszawie różne są słynne siostry, choć Wahlówny są najważniejsze. Istnieją siostry Bojarskie, obie pechowe, gdyż jedna jest żoną Tadeusza Łomnickiego, a druga scenarzystką telewizyjnego serialu o Modrzejewskiej. Janda odstawia w nim tytułową postać nie przestając grać w „Przesłuchaniu”. Po prostu tak się rozegrała u Bugajskiego, że nie może przestać, chociaż Heleny Modrzejewskiej żadne UB nie męczyło, tylko talent sceniczny.

Są też siostry Miklaszewskie. Jedna z nich napisała musical „Metro”, który w Warszawie samo metro zastępuje. Huku zrobił jednak mniej niż kolej ulokowana głęboko pod ziemią. Obie są córkami rysownika Gwidona Miklaszewskiego, u którego oryginalne jest tylko imię. Rysował je jako Syrenki. One były stałymi bohaterkami jego rysunków. Udało mu się na tych rysunkach idealnie odtwarzać rybie ogony swoich córek.

WAJDA Andrzej – senator

Swoją senatorską głowę nosi na korpusie żony Krystyny Zachwatowicz. To ona nadała artyście o orientacji tylko egocentrycznej zdecydowany kierunek polityczny i sprzęgła go z opozycją. Przez to Wałęsa się z nim pstryknął (na zdjęciu) i Wajda wygrał wybory w Suwałkach, dawnym mieście gubernialnym, gdzie jednak zainteresowanie sztuką filmową i znajomość jego osoby musiały być mierne.

Na rok czy dwa przed wyborami 1989 byłem w Suwałkach, gdyż miałem tam proces sądowy. Pozwałem jednego księdza, nazwiska już nie pamiętam, przed sąd prywatnie o to, że mnie zniesławiał nazywając Goebbelsem. Normalnie nie reagowałem na takie różne komplementy, ale tu była okazja, żeby dać publiczną nauczkę boskiemu funkcjonariuszowi. Sprawa zakończyła się raz dwa. Adwokat tego księdza, Edward Wende, miał – co się wyczuwało – polecenie władz kościelnych, żeby sprawę załatwić ugodowo i się mi nie stawiać. Z moim obrońcą Mirkiem Brychem i z mec. Wende napisaliśmy tekst przeproszenia Urbana. Za to od strony lokalnego folkloru proces był interesujący. Księża ściągnęli czerń, głównie stare baby, które w charakterze demonstrantek zalały cały gmach sądu – straszną zresztą rudę. Wierni zrobili też zbiegowisko na ulicy. Całe to towarzystwo wrzeszczało i śpiewało pobożne pieśni zgoła nie wiedząc, o co w tym procesie chodzi. Gdy się przedzierałem jak przez dżunglę przez ten żywioł dewocji na salę sądową, jakaś kobiecina złapała mnie za rękę: Ale pan nie każe zamknąć księdza, dobrze? Obiecałem jej to, więc cmoknęła mnie w rękę z zadowolenia.

Sprawa, a raczej redagowanie przeprosin, odbyło się przy drzwiach zamkniętych w dużej jednak sali. Po procesie zawiadomiono mnie, że służba bezpieczeństwa prowadzi śledztwo, gdyż w ławach dla publiczności znaleziono duży, ostry nóż. Ktoś go tu przygotował i ukrył. Docieka się, czy prowokator jakiś miał skoczyć z tym nożem na księdza, żeby przerobić go z oszczercy na męczennika, czy też nóż miał być wbity we mnie przez jakiegoś katolickiego fanatyka. Rzecz się wyjaśniła. Nóż zostawiła i zapomniała o tym sprzątaczką, która nim skrobała odwieczny brud z ławy sądowej, żebym siadając nie pobrudził sobie ministerskich portek.

W takich to Suwałkach, nie zaś w żadnym Krakowie, gdzie Wajda uchodzi za bóstwo, przyszło

reżyserowi kandydować do Senatu. Przed wyborami, Adam Michnik mówił, że się boi, iż w tych Suwałkach niczego nie zwojują. Ja zaś go pocieszałem, że co Kościół każe, to tamtejsza ludność uczyni, więc wszystko jedno, czy wystawiają tam Wajdę czy dajmy na to Porębę.

Pani Zachwatowicz, kierownik polityczny oraz ideowy motor Wajdy jest scenografem, lecz wielkie zdolności okazywała nie w tej dziedzinie, która jest jej zawodem. Znakomicie śpiewała w „Piwnicy pod baranami” piosenkę „Bo taka głupia to ja już nie jestem, może głupia, ale taka to już nie” i miała wspaniałą rolę brzydactwa w filmie męża Panny z Wilka. Jej umiejętności plastyczne i polityczne na drugim planie uzupełniają talenty aktorskie i śpiewacze.

Wajda jest jednym z najlepszych kinowych reżyserów w Europie Wschodniej, być może nawet drugim tutaj po Formanie. Polsce on jeden zupełnie starczyłby za całe kino, tak wielką produkował różnorodność filmów: dobrych i średnich, a także fatalnych (Lotna), monumentalnych i kameralnych, politycznych i nastrojowych. Wszystko potrafił, póki nie wysechł. Nie wiadomo, czy kariera polityczna zabiła w nim artystę, czy też w sposób naturalny skończył się jako twórca filmowy, a żeby miał jakieś zajęcie, żona znalazła dla niego nową zabawkę, politykę otóż.

Ja najsilniej zachłysnąłem się brawurowym *Weselem* Wyspiańskiego, które Wajda przerobił na kino. Tchnąć życie w ramotę z programu szkolnego i tak przedstawić młodopolski bełkot sceniczny, żeby były z niego mądre dialogi filmowe – na to potrzeba kawałka geniuszu. Zrobił on świetnego, pomysłowego, koncentrującego sprawy epoki *Człowieka z marmuru* i lizusowski kicz socrealistyczny, a raczej antysocrealistyczny *Człowiek z żelaza*. Sugestywnie poparł wcześniej Wajda walkę klasy robotniczej z trójnarodową burżuazją miasta Łodzi w *Ziemi obiecanej*. Sztukmistrz to niebywały, bo przerobił złą powieść jednego z tych lichych polskich noblistów na film znakomity, nasycony tym miastem i epoką. Szczytem jego publicznej kariery były *Popioły* według Żeromskiego, które wywołały kiedyś wielką dyskusję, w istocie polityczną i aktualną. Wajda stawał w obozie realpolitik. Nacjonałści wściekle atakowali, myśmy zaś w „Polityce” stali za nim. Była to w istocie wojna z moczarowcami, prowadzona w mundurkach epoki napoleońskiej. Wajda więc był dobry na wszystko.

Raz tylko mistrza gościłem u siebie w domu, zresztą z powodu interesów. Było to w epoce Gierkowskiej. Przed VII albo przed VIII Zjazdem PZPR oznajmiono mi, że Gierek życzy sobie, aby m.in. reżyser Wajda poparł go i jego politykę w dyskusji przedzjazdowej. Zapytano mnie, czy nie mógłbym tego zrealizować robiąc z nim odpowiedni wywiad. Chętnie zgodziłem się i przekazałem Wajdzie życzenie Gierka. Reżyser odparł, że warunkiem byłaby możliwość przedstawienia przezeń swobodnej krytyki polityki kulturalnej, gdyż środowisko tego od niego oczekuje. Zagwarantowałem chętnie zupełną wolność tak marginesowych tematycznie ataków. Wajda więc powiedział to, co zawsze i wszyscy mówią, mianowicie, że sztuka filmowa nie ma w Polsce właściwej bazy materialnej ani warunków rozwoju, swobody zaś twórcze są zbyt kuse pod względem politycznym, i po tym operfumowaniu siebie poparł on bardzo słusznie politykę Gierka w nawiązaniu do Zjazdu PZPR. Umocniliśmy w ten sposób razem moralno-polityczną jedność narodu, którego on był ważnym reprezentantem po linii kultury i sztuki. Za ten udział w kampanii przedzjazdowej Gierek pochwalił mnie publicznie, choć zaocznie. Stało się to na jego konferencji prasowej – a były one jedną z odmian reżyserowanych, niestety nie przez Wajdę, tylko przez Waszczuka, widowisk publicznych z Gierkiem w głównej roli. Biuro Prasy KC rozdawało opracowane wcześniej pytania odnoszące się do przygotowanych z góry odpowiedzi. Nigdy na te masówki z udziałem setek dziennikarzy nie byłem, niestety, wpuszczany, ale też przytroczenie Wajdy do Gierkowskiego rydwanu zbyt skromną stanowiło moją zasługę, aby być przyjmowanym u dworu.

WALDORFF Jerzy – grabarz

Sprowadza prochy, zajmuje się grzebaniem, cmentarzami i ruinami. (Przez dziesiątki lat koncentrował uwagę opinii na drewnianym domku w Zakopanem o nazwę „Atma”, gdzie mieszkał Szymanowski. Chodziło o to, żeby go wyremontować. Z pisania o „Atmie” Waldorff żył wszakże tak długo, że honoraria przewyższały to, co by wziął cieśla.)

Waldorff twierdzi, że jest z baronów kurlandzkich. Ma garbaty nos i grasejuje, co sugerowałoby raczej pokrewieństwo z baronami Rothschildami francuskimi. Ktokolwiek ma w Polsce garb na nosie, przedstawia się jako potomek karaïmskich kupców, góral kaukaski albo baron kurlandzki lub księżniczka

gruzińska, po czym okazuje się, że księżniczka królowała w gruzach Równego czy też Łucka. Nie chcę przez to sugerować, że Waldorff jest żydem. Za bardzo cwany jest jak na żyda.

Dłgie lata kolegowałem z Jerzym Waldorffem na łamach „Polityki”. Chociaż nie jestem wybredny i mam niewiele zasad, jednej zawsze przestrzegałem: nigdy nie czytać jego felietonów. Waldorff, autor popularny i mający licznych wielbicieli, drażni mnie jak zgrzytanie grzebieniem po szybie. Nigdy cienia dowcipu czy chociaż myśli. Píše o byle czym, np. że jakaś orkiestra podupada, z taką emfazą i rozgdakaniem, jakby chodziło o losy świata. Kwieścicie podlizuje się każdej władzy. Pisanie jego cechuje prymitywna wrzaskliwość, pełno tam ochów, achów i innych wykrzykników. Felieton Waldorffa to mniej więcej coś takiego: „W przesławnym Pacanowie wydarzył się dramat, o nie, to wręcz tragedia! Przecudowna efebiczno-safoniczna flecistka poprzeczna, panna Ramka, biorąc brawurowo forte w koncercie supermistrza i prawdziwie geniusza Vivaldiego, wyłamała sobie górną jedynekę. Ten precudny ząbek padł ofiarą muzycznego przeciagu. Motyw melodyczny Vivaldiego uderzył weń z siłą tak przeogromną, że górna jedynekka zachwiała się i padła na deski przesławnej estrady, o którą tupwały do taktu podeszwy takich mistrzów jak wiolonczelista Ciapuga i dyrygent nad dyrygentami, dyrygentissimo wszystkich czasów Albin Kostropatko. O bogini mego serca najprześwietniejsza pani Minister Kultury! Błagam Cię w imieniu Sztuki Polskiej, która dziś wzlatuje ponad rzeki i góry graniczne. czyż nie jest w mocy Twego Najwyższego Urzędu wstawić upadły ząb taktowładnej flecistce z Pacanowa?!”

Waldorff, mający wzięcie jako autor, najbardziej lubuje się jednak w grzebaniu trupów.

WAŁĘSA Lech – wodzuś narodu

Człowiek, któremu wiele zawdzięczam. Wymaga to złożonych objaśnień związanych ze spojrzeniem na mój życiorys.

Zanim Wałęsa skoczył przez mur Stoczni, ja przez 20 lat pracowałem w „Polityce”. Niezupełnie, bo przez 3 lata miałem zakaz pracy w ogóle, który wydał I sekretarz KC panujący w latach 60., gdyż mu się nie podobał jeden mój artykuł. Przez pozostałe 17 lat byłem w „Polityce” na ogół kierownikiem działu i pracowałem bardzo intensywnie. Rzecznik rządu to był po tym odpoczynek. Uchodziłem za bardzo zdolnego redaktora i w oczach kolegów, i szefów. Dział krajowy pisma, który prowadziłem, naprawdę nie był zły. Kiedy odchodziłem z „Polityki”, nie chcąc pracować ze zwolennikami „Solidarności”, moi polityczni wrogowie: Krallówna, Falkowska, Wróblewski, Skalski (może był tam jeszcze i Maziarski?) itd., itp. podpisali petycję, abym ich nie porzucał. To poświadcza, że dobrze pracowałem. Moja praca była pasjonująca, życie ciekawe, a jego pieniężny poziom wysoki. Jednakże ja mogłem być w redakcyjnej hierarchii tylko kierownikiem działu i ani oczko wyżej. Gdy miałem ambicję zajęcia miejsca Fikusa, czyli bycia sekretarzem redakcji, Rakowski powiedział: To jest niemożliwe. Nie możesz objąć żadnej posady wymagającej zatwierdzenia przez Wydział Prasy KC. Bezpartyjny, do tego żyd – wybij sobie z głowy to w ogóle, to u nich nigdy nie przejdzie.

Już Wałęsa skoczył był przez ten mur. Już „Solidarność” żelazną obręczą chwytiała życie kraju. Już dokonana się polityczna polaryzacja, a partia powinna była zabiegać o swych stronników. Już wiadomo było publicznie, że ja jestem wrogiem „Solidarności” i wspieram z całych sił partię. Już chciałem odejść z „Polityki”, bo nie miałem wspólnych celów politycznych z moimi współpracownikami, w większości stającymi się przyjaciółmi Wałęsy: z Krallówną, z Fałkowską, ze Skalskim, Maziarskim itd. Rakowski zimą z 1980 na 81 załatwiał mi posadę jednego z ośmiu zastępców szefa dziennika telewizyjnego. A jednak jeszcze wówczas kierujący wtedy w KC propagandą Waszczuk nie dał zgody na mnie, gdyż uważano mnie za osobę politycznie niepewną.

Przed epoką, kiedy pracowałem w „Polityce”, rozpędzono „Po prostu”, w którym także prowadziłem dział krajowy. Miałem zakaz pracy w prasie w ogóle. Nikt mnie w 1957 r. nie pytał, jakie mam przekonania, czy linie partii popieram, czy nie. Eliminowanie mnie to nie było postępowanie mające polityczne uzasadnienie czy cele, to było gnienienie człowieka mimochodem, jak idąc postępuje się z robakiem.

Nie, nie miałem żadnej krzywdy, moje życie było barwne, ciekawe i dostatnie, ale miałem status człowieka z natury rzeczy trzeciej kategorii, o ograniczonych prawach publicznych i zawodowych. To

Wałęsa w 1981 r. wyzwolił mnie z tego statusu. To dzięki niemu zostałem rzecznikiem rządu, ministrem, człowiekiem mającym wysokie zaufanie rządzących i znaczne wpływy.

Przed Wałęsą byłem osobą gorszej kategorii o możliwościach ograniczonych z natury rzeczy, bez względu na to, co robię i jaką polityczną postawę okazuję.

Najistotniejsze nie są jakieś moje krzywdy, bo nie miałem żadnej, lecz to, że ja przez cały czas uważałem ten mój drugorzędny status, te ograniczenia moich zawodowych i politycznych możliwości za coś zupełnie naturalnego, oczywistego i słusznego. I dopiero w tej chwili wpada mi do głowy myśl, że Wałęsa mnie wyzwolił od mentalności robota, polegającej na automatycznym aprobowaniu tych dawnych ograniczeń i upośledzeń.

Ten Wałęsa może mnie teraz wsadzić do więzienia i zapewne zrobi to z czasem, ale już jako wojującego z nim przeciwnika politycznego. Nigdy jednak więcej nie będę uznawał, tak jak to czyniłem przez 30 lat do r. 1980, że mój drugorzędny status jest czymś naturalnym i wynika z właściwego porządku rzeczy. I to jest dar, jaki mam od Wałęsy.

W roku 1948 przestałem być dzieckiem, bo miałem 15 lat i wówczas stanąłem po stronie socjalizmu. Głównym impulsem było poznawanie marksizmu, głównie od Schaffa, i moje nim oczarowanie. Prawdy, które wówczas przyjmowałem, zdezaktualizowały się, skomplikowały, a prognozy się nie sprawdziły. Rzeczywistość, z której Marks i jego następcy wyciągali wnioski, zmieniła się całkowicie. Marksistowska metoda patrzenia na świat nadal zaś jest dla mnie najmądrzejsza i moja.

Drugim obok teorii marksizmu motywem podjęcia działalności w ZMP było przyjęcie za cel pełnej zmiany stosunków społecznych. Postawa społeczna, altruistyczna wiązała się z osobistą opłacalnością pójścia tą drogą: własne życie nabierało sensu dzięki prosocjalistycznej aktywności. Ten plan zmiany stosunków społecznych był dobry i skuteczny, ale nie reformowany stał się zły i splajtował. Nie ma dziś innej drogi niż ta, którą Polska teraz kroczy – od socjalizmu, który okazał się niesprawny i niewydajny. Większość społeczeństwa więcej jednak traci na porażce socjalizmu, niż dziś może to sobie wyobrazić i przewidzieć. Piszę te słowa w chwili, kiedy jedna doba w dawnym domu wczasowym dla 4-osobowej rodziny kosztuje więcej niż średni zarobek miesięczny. Ludzie pracy najemnej nie będą już wyjeżdżać na urlopy. Stopniowo kształcenie dzieci stanie się dla nich za kosztowne. Różne dobra trwałego użytku, które już przez lata posiadali, teraz staną się niedostępne itd. Ludzie aprobują to. Ich wola. Dzięki Wałęsie czuję się więc zwolniony z poczucia, że powinienem troszczyć się o prawa socjalne większości, tego poczucia, które było motywem zawiązywania sobie czerwonego krawatu w 1948 r.

Trzecim motywem mojej opcji na rzecz socjalizmu był pokoleniowy bunt i kontestacja wobec tradycyjnej skali wartości, obyczajów, hierarchii, religii, roli statusu majątkowego. Wałęsa reprezentował inny bunt innego pokolenia. Nie działał jednak w imię nowych wartości przyszłego świata, lecz wartości zatechłych: pieniądza, rodziny, religijnej nieprawdy, panowania obyczajowego kołtuństwa i innych mar przeszłości.

Jestem mu wdzięczny, bo mnie w tym świecie wygodnie. O wiele wygodniej niż w tym, który usiłowałem budować. Elitom już jest lepiej i będzie jeszcze lepiej. Mnie osobiście łatwo do nich przystać, należeć i korzystać. Mogę wreszcie mieć pieniądze i nie muszę się tego wstydić. Mogę jeździć do hoteli, dla innych niedostępnych, i już nie uważać tego za moralnie dwuznaczne. Mogę wysłać pasierbicę do Anglii na wakacje i nic nikomu do tego, przestało to być niestosownością. Może ona chodzić i chodzi do ekskluzywnej prywatnej szkoły i nie muszę się wstydić posłać ją w takie miejsce. Kiedyś, gdyby nawet taka szkoła była, musiałbym się wstydić, bo miałem zobowiązania społeczne. Wałęsa mnie z nich wyzwolił. Różnego rodzaju wyzwolenia ofiarował mi Wałęsa. Będę więc z nim nadal walczył, teraz jako z przyszłym prawicowym dyktatorem, ale stawszy się dzięki niemu człowiekiem wyzwolonym z rozmaitych poprzednich więzów i powinności. Za to także jestem wdzięczny Wałęsie.

Jako wróg „Solidarności”, Wałęsy i Bozi w jego klapie, czuję przewrotną uciechę z tego, że to Lech Wałęsa jest symbolem obalenia komunizmu w Europie Wschodniej oraz tworzenia tu kapitalizmu i demokracji. Żywy symbol tych zdarzeń – Lech Wałęsa – był bowiem zawsze i jest spontanicznym, przekonany antydemokratą, miłośnikiem silnej władzy trzymającej za twarz, politykiem, którego słowa się nie liczą, dosłownie codziennie mówiącym coś innego, drobnym, podstępny chytrusem. Byłbym upokorzony, gdyby symbol ruchu, którego nie cierpię, miał większy wymiar.

Z samym Wałęsą spędziłem tylko raz około pięćdziesięciu minut sam na sam. Było to w nocy z 6 na 7 sierpnia 1981 r. Redagowaliśmy komunikat z rozmów rządu z „Solidarnością”, który nigdy nie

został ogłoszony. Rakowski wziął tekst projektu i poszedł z nim do Wojciecha Jaruzelskiego. Prosił, żebym pozabawiał Wałęsę, który czekał w jego wicepremierowskim wówczas gabinecie. Czym pozabawiać? Wódz zapragnął whisky jako zabawki. Była u Rakowskiego. Wypiliśmy więc niecałą butelkę i tak go zabawiłem. Owszem, sympatyczny facet.

Nie przewidywałem wtedy, że po paru latach tysiące warszawskich inteligentek – nawiedzonych prowałęsówek będą Wałęsę nienawidzić i obdarzać wyszukаныmi epitetami. Słuchanie tego wielką jest dla mnie przyjemnością.

Lech Wałęsa – pozornie niesamodzielny sprycula, moim zdaniem wygra walkę o władzę. Jest to personalny test na powagę Polski i polityki polskiej.

Ten zachwycony sobą triumfator nad komunizmem (powiedział o swoich intelektualistach: co ja w 5 minut wymyślę, na to oni potrzebują 5 dni) obejmie władzę, a wówczas realiści polityczni XX wieku ocenią, że nasz kraj ma szansę dopiero w przyszłym stuleciu.

Człowiek sfrustrowany, gadatliwy, mówiący mętnie byle co. Zawsze swój mózg trzyma w jakimś innym człowieku. Ostatnio był nim Najder, ale jak powiadają, już wypadł z łask.

WERBLAN Andrzej – poziomka

Polityk z profesorskim tytułem. Wywodzi się z PPS. Przez całe powojenne życie działał w aparacie partyjnym. Długo wiał na szczeblu kierownika wydziału KC, nim został sekretarzem KC, członkiem Biura, potem wicemarszałkiem Sejmu i szefem gry parlamentarnej z ramienia PZPR. Liberałowie – do których przystał – zarzucają mu udział w nurcie marcowym. Jego rola w tym czasie była trochę tajemnicza. Sterował poczynaniami Józefa Kępy jako I sekretarza KW w Warszawie i to był chyba odrębny ośrodek w kotle partyjnych intryg, ośrodek przywołany potem do porządku przez Gomułkę, który zmusił KW do wydania listu powściągającego akcje antysyjonistyczne.

Werblan obwiniany jest o publikacje mieszczące się w nurcie marcowo-antyżydowskim. Nie podzielam tego poglądu. Uważam, że Werblan – historyk – starał się zracjonalizować problem żydowski w obrębie ruchu komunistycznego.

W 1981 r. Werblan przeszedł na pozycje skrajnie liberalne w partii i uchodził za polityka sterującego ruchem tzw. struktur poziomych. Kierownictwo PZPR zwalczało te struktury i uważało, że akcja Werblana jest jego odwetem za utratę partyjnych godności. Historia jednak przyznała rację strukturom poziomym, a ostatnia oficjalna linia PZPR była identyczna lub nawet dalej idąca niż ich dążenia z 1981 r.

Obecnie Andrzej Werblan jest prostym profesorem historii. Należy do PPS – odłam Osóbki-Morawskiego. Napisał znakomitą książkę o Gomułce. Jest to książka tak wybitna, że aż ją przeczytałem.

Werblan jest jednym z najmądrzejszych, najbardziej przenikliwych ludzi w Polsce i wybitnym fachowcem od polityki. Słuchanie go to wielka i pouczająca przyjemność. Należy do gatunku zwierząt politycznych. Co to znaczy? Tak, jak krowa bez względu na okoliczności musi skubać trawę, bo tak jest genetycznie zaprogramowana i takie ma odruchy, nawet gdy nie ma trawy – podobnie zwierzę polityczne musi zajmować się i pasjonować polityką. Nie może się od tego oderwać.

Andrzej Werblan nie ma szans na odegranie jeszcze roli politycznej, już jest zgrany, więc żal mi go. Ja sam od 15 roku życia zajmuję się i przejmuję wyłącznie polityką, a nie jestem zwierzęciem politycznym. Mogę zająć się czymś innym i tym się przejmować. Jestem więc krową, która w razie potrzeby zje także mięso.

Andrzej Werblan kochał się kiedyś, hen, w epoce paleolitu, z moją obecną teściową. Moim suchym szwagrem nie został, mimo pewnych nieśmiałych starań. Zresztą być może moja żona tylko tak sobie pochlebia.

Wielką wadą Andrzeja Werblana jest pewna skłonność destrukcyjna – niszczy dobrą wódkę robiąc nalewki.

WICHEREK-NOWICKI Czesław – pogodowiec

Pracował w „Życiu Warszawy” jako dziennikarzyna od drobnych wiadomości na temat szkolnictwa. Podłapał chałturę w telewizji. Polegała ona na dzwonieniu do Instytutu Meteorologii, dowiadywaniu się, jaka będzie pogoda, i przekazywaniu tej informacji w dzienniku telewizyjnym. Mówił, że niż albo wyż, słońce, chmury, deszcz, ewentualnie wiatr. Niżej się wypełniają, napływają albo zachodzą i to były te doniosłe prawdy, które głosił. Przy okazji zaczął z czasem pokazywać, że ktoś znalazł szczególnie dużego prawdziwka albo że pod Kaliszem rozrósł się pomidor lub też, że kartofel u jednego rolnika skrzyżował się z wiśnią. Jako mężczyzna ciężki i już niemłody, pełnił tę swoją funkcję dosyć topornie i niezdarnie. Cóż to może jednak mieć za znaczenie, kto przekazuje komunikat o pogodzie? Istota rzeczy polega na tym, że tę swoją epizodyczną rolę Wicherek grał w telewizyjnym dzienniku przez dziesiątki lat. Gdyby codziennie przez 20 lat, w dobrym telewizyjnym czasie, pokazywać pień – ten pień stałby się przedmiotem kultu religijnego, przyczyną podnieceń erotycznych i uzdrawiałby chorych. Zgodnie z regułą pnia Wicherek stał się sławny. Ponieważ nigdy nie był człowiekiem mądrym – wziął to na serio i niezwykle przejął się sobą.

W pewnej chwili wyrzucono go z telewizji. Może przestał dzwonić i pytać o pogodę, bo uznał, że sam jest największym prorokiem pogody? Nie pamiętam. Nowicki ogłaszał jakąś swoją wersję niecných prześladowań, których był ofiarą, i czynił ze swego odejścia problem na miarę wygnania monarchy.

Następnie żył Wicherek z tego, że niegdyś był sławny i został skrzywdzony. Miał status byłego Wicherka. Po stanie wojennym w wieżowcu „Intraco” uruchomił np. kabaret, w którym pokazywał siebie i jeszcze inne dziwo – piszącego robotnika. Jako ofiara poprzedniego reżimu poparł potem opozycję. Ogłosił, że Biuro Polityczne KC PZPR kazało mu fałszować prognozy pogody i uprawiać propagandę pogody lepszej niż się kroiliła. Obecnie podpisuje prognozy pogody w „Gazecie Wyborczej”, ale one niczym się nie różnią od tych z innych gazet. Indywidualizm w tej dziedzinie wymaga nieco fantazji. Podpis Wicherka oznacza jednak, że są to prognozy podawane w intencji zdecydowanie antykomunistycznej.

Życie Wicherka ilustruje osobliwość epoki telewizyjnej. Instytucja ta łamie życie wielu przeciętnym ludziom. Ktokolwiek jest emitowany, zakochuje się w sobie i zatracą zdolność normalnej egzystencji, odpowiadającej jego możliwościom. Staje się np. psychicznie niezdolny do zostania buchalterem, sprzedawania gazet w kiosku lub ekspediowania listów na pocztę. Po wyborach 4 czerwca 1989 r., będąc szefem radia i telewizji, zaproponowałem, aby obrady Sejmu i Senatu emitować w całości na żywo. Była to perfidna zemsta człowieka, który przegrał w wyborach, na tych, którzy wygrali. Odtąd senatorowie i posłowie wygłupiają się przed publicznością i jako osoby występujące na ekranie już nigdy po rychłym w większości zakończeniu parlamentarnej kariery nie będą mogli żyć normalnie.

WIECZORKOWSKI Aleksander – człowiek ze spiżu

Poznałem go w nocnej „Kameralnej”. Już wówczas mazał się i wydawał lepkiem, a minęło od tej pory ze 35 lat. Był wtedy świeżym inżynierem, który pracował w orkiestrach rozrywkowych jako pianista. Potem zaczął pisać, ale nawet w tej najgłupszej już robocie także okazał się niezbyt zdolny. Szedł z tak zmiennymi politycznymi wiatrami, że nikt się w tym nie połapie. Lepił się do różnych nurtów i głośno krzyczał, że jest. Żadnego nie wzbogacił żadną myślą. W tak zwanym środowisku warszawskim wszyscy go znają, lecz nikt nie potrafi powiedzieć, z czego i dlaczego.

Zaczął karierę dziennikarską od redakcji „Polityki” w 1957, gdy to pismo było batem na rewizjonizm. Kiedy tylko stało się liberalne i pragmatyczne, musiał z „Polityką” się rozstać.

Za „Solidarności” swe lepkie mazgajstwo Wieczorkowski uwydatnia hałaśliwą arogancją. Przez nią nareszcie bywa użyteczny. W 1989 r. w „Otwartym studiu”, w którym brałem udział, zażądał, żeby mnie wyrzucić stamtąd, gdyż jestem dla niego politycznie rażący. Znaczna część naszej publiczności zaraz zaczęła przez telefony i listownie deklarować mi gorącą miłość. Publiczność wymaga, aby kopać się wytwornie. miłość jej zdobywa się nie słusnością racji lub głębią myśli. Uczucia eksplodują do każdego, kto jest ofiarą chamstwa, choć to przecież żadna zasługa takiej ofiary.

WILCZEK Mieczysław – mały człowiek do wielkich interesów

Pierwszy raz usłyszałem o Wilczku od Maryli Rodowicz lub Agnieszki Osieckiej. Opowiadała ona, że wydał zimowe garden party. W ogrodach jego pałacu, wzdłuż alej, którymi gości wieziono saniami, leżały na poboczach, niedbale ciśnięte w śnieg, kosztowne futra, które się przed gośćmi rozchylały, ukazując nagie dziewczyny najprzecudniejszej urody. Basen kąpielowy wypełniony był po brzegi milionami litrów radzieckiego szampana i przyjęcie po to odbywało się właśnie zimą, aby szampan do końca był dobrze zamrożony. Wśród bąbelków efebowie figlowali z rusałkami, robiąc miłość ciał w tonacji sinej, gdyż fiolet był wówczas najbardziej modny.

Potem okazało się, że Rodowicz lub Osiecka łąga jak z nut, bo w rzeczywistości Wilczek wydał zimowe przyjęcie tylko dla niej, a składało się ono z dwóch szklanek herbaty i jednej kanapki z serem topionym. Ilekroć kobieta się zapomni, zaraz tę sytuację uszlachetnia, uwzniośla, rafinuje.

Wedle zachodnich źródeł prasowych, które obecnie uchodzą u nas za miarodajne, Mieczysław Wilczek, mąż Bułgarki, jest najbogatszym człowiekiem w Polsce. Oj, biedna jest ta Polska i żaden objaw nędzy nie poświadcza o tym dobitniej. W każdym razie Wilczek nie chodzi do Kuronia na zupe, a to już dziś jest świadectwem mocnej kondycji finansowej.

Mietek Wilczek jest chemikiem, był prostym dyrektorem zjednoczenia przemysłowego i normalnym członkiem PZPR. Niczym się w naszym aparacie gospodarczym nie wyróżniał, z wyjątkiem czynnika drugorzędowego – głowy. Nudząc się w pracy, zaczął dla zabawy dokonywać wynalazków i zdobywał patenty. Był zbyt leniwy, żeby iść topić mozolnie te wynalazki w państwowym systemie przemysłowym. Rzucił dyrektorstwo i cokolwiek wymyślił, sam począł wyrabiać. Jeśli dobrze zapamiętałem, to dorobił się fortuny na tym, że skupował kości zwierząt hodowlanych nie zużyte na rosół przerabiał je na szlachetne, naturalne futra, które jego fabryki szyły dla kobiet owej epoki mniej wytwornych niż księżna Grace de Monaco, lecz bardziej niż sekretarzowa Stanisława Gierkowa de Pologne.

Wilczek w dzień więc produkował i był aktywistą politycznym gminnego szczebla, wieczorami zaś bawił się pieniędzmi. Właśnie inny Mieczysław, mianowicie Rakowski, dotychczasowy wicepremier otrzymał potężnego kopa w dół. Szurnięty został het na wicemarszałka Sejmu (nawet dziś w hierarchii politycznej jest to mniej niż synowa premiera). Z nudów Rakowski założył więc Towarzystwo Wspierania Inicjatyw Gospodarczych -TWIG. Jako najbogatszy z kapitalistów zrzeszonych w Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej przy prezesie TWIG – Rakowskim, Wilczek został wiceprezesem. Formując w 1988 r. rząd Rakowski zaproponował Wilczkowi fotel ministra całego przemysłu, czyli ministra łączącego w sobie dziesięciu poprzednich ministrów.

Powstała z tego duża niespodzianka. Wpierw partia zatrzęsała się z oburzenia i sprzeciwów: największy kapitalista w awangardzie budowania socjalizmu. Potem zaś trzęsała się, ponieważ Wilczek, zostawszy ministrem, odmawiał słuchania jakichkolwiek dyrektyw lub porad płynących z gmachu KC PZPR. Głosił zasadę niezależności konstytucyjnych władz państwa od władz partii, a nawet od jej aparatu. Czynił to co prawda w słowach uprzejmych, ale jednak za bardzo wyrazistych, np. niech te aparatowe półgłówki odpierdola się raz na zawsze, już wolę słuchać, jak krowa pierdzi, czy coś w tym guście.

Otóż to nie było przesadnie lubiane. Szerokie rzesze pracowników Białego Domu czuły się nie tylko dotknięte, lecz wręcz pokasane przez Wilczka. Jakby tego skandalu było mało, Wilczek okazał się przenikliwym mężem stanu formatu ponadgabinetowego. Największym gwiazdorem telewizyjnym wszechczasów, ulubieńcem publiczności. Mówił swoim własnym dosadnym językiem, z niespotykaną prostotą, logiką, dowcipem i dosadnością. W badaniach opinii publicznej uzyskał wkrótce najwyższe wskaźniki popularności i aprobaty. Jako wybitnemu politykowi brakowało mu tylko, i to mocno, wszelkiego zmysłu taktycznego, a ten w polityce jest stokroć ważniejszy niż kaliber kapelusza.

Nie było w Polsce człowieka silniej znienawidzonego przez opozycję oraz „Solidarność” niż Wilczek, chociaż on publicznie określał socjalizm jako ustrój nonsensu i jawnie głosił, że cały realny socjalizm trzeba wyczyścić aż do kości i w gospodarce budować racjonalne stosunki kapitalistyczne. Mówił więc rzeczy dalej idące niż wówczas opozycja ośmielała się bąknąć. Nienawidzony był za swój talent i popularność. Jeszcze bardziej z tego powodu, że jest tak bogaty, iż ze względu na interes życiowy nie musi grać z komuchami tak jak aparatczycy. Robi to więc z własnej woli i swobodnego wyboru, bydlak ostatni.

Po dziś dzień towarzystwo obecnie rządzące mścić chciałoby się przede wszystkim na Wilczku.

Wilczek jest jednym z najbystrzejszych ludzi w Polsce, a najdowcipniejszym ze wszystkich na pewno. Każdy ze słynnych zawodowych dowcipników wyglądałby przy nim jak żałobnik. Wielki ten człowiek podłego jest, napoleońskiego wzrostu. Cierpi na tym tle od rana do wieczora. Ani na chwilę nie może zapomnieć o tym, że musi nosić dziecięce ubranka. Dowodzi tego jego bezustanne dowcipkowanie na temat swojego wymiaru, bo tymi żarcikami unicestwić próbuje szydercze myśli lęgnące się – jego zdaniem – w głowach ludzi z nim rozmawiających. Kompleksu na tle marnego wzrostu dowodzi także jego wielkie zamięłowanie do wysokich kobiet, którym płacze się między kolanami, czy stoi, czy leży. Wilczek swoją wielką głową nie pojmuje, że skoro łatwiej wielbłądowi przejść przez ucho igielne niż bogaczowi wniknąć do Królestwa Niebieskiego, to sama opatrność stworzyła go zminiaturyzowanym, aby mógł się przecisnąć przez dziurę w igle, i mimo że bogacz, jako maluczki zakwalifikować do nieba. Jest tam potrzebny. Dziś już bowiem Kościół katolicki przestał taić, że w Królestwie Niebieskim panuje rajski ustrój kapitalistyczny.

WOROSZYLSKI Wiktor – mini-poeta

W niesłusznej epoce swojej twórczości, kiedy Wiktor Woroszyński był wodzem pryszczatych i jednym wielkim czerwonym pryszczem, obok wiersza *Towarzyszom z Bezpieczeństwa* napisał wiersz przeciw Mikołajczykowi *On*.

On bardzo się tej swojej twórczości brzydzi i wstydzi, ale niesprawiedliwie, gdyż ona jeszcze może się przydać.

W r. 1980 i 1981 zespół beatowy „Trzeci oddech kaczuhy” śpiewał wiersz Woroszyńskiego o Mikołajczyku, czyniąc z tego wiersza *On* wielki szlagier. W miejsce Mikołajczyka podstawiono po prostu Gierka. I tak można dalej. Zamiast *Towarzyszom z Bezpieczeństwa* – „Panom z UOP”. Pomyślana przydatnie twórczość nigdy nie przemija.

WRÓBLEWSKI K. Andrzej – dziennikarz

Jest teraz redaktorem naczelnym „Gazety Bankowej”. Był to jedyny chyba wypadek, kiedy za obecnej władzy kierowanie „Gazetą” zaproponowano mnie, eksponentowi dawnego porządku, odmówiłem i dopiero wtedy propozycja powędrowała do Wróblewskiego, człowieka nowego reżimu. Takie przejawy nieprzejmowania się polityczną przynależnością zdarzają się w obrębie własności prywatnej, chociaż rzadko. Więksi przedsiębiorcy na ogół sympatyzują – pozorny to paradoks – z poprzednią czerwoną władzą, lecz lękają się nowej i podlizują jej. W każdym razie, prywatna własność stwarza, jak widać, pewne, wątle jeszcze szanse zaistnienia innych stosunków niż uwarunkowanych kryteriami politycznymi, to znaczy innych niż opartych na dążeniu do zamiany roli prześladowanego na prześladowcę.

Kiedy nastąpiłem w 1960 r. w „Polityce” właśnie po korytarzach wirował skandal. Młody dziennikarz Wróblewski wystosował list do różnych przedsiębiorstw, że dostał mieszkanie, potrzebuje mebli, lodówki itd. i pyta, w czym mogliby mu pomóc. Szukanie protekcji uchodziło za nieprzystojność i zespół „Polityki” szeptął zgorszony. Wróblewski był jednak tylko prekursorem sztuki korzystania z chodów, która potem rozwinęła się i stała powszechna. On sam na zawsze pozostał zaradny.

Wróblewski – należy od dziecka do żoliborskiej paczki obejmującej Andrzeja Garlickiego, Marka Nowickiego, reżysera z filmu, także Passenta, który dołączył bodaj później. Wiąże się z tym towarzystwem pewien styl i tradycja. Ojcowie Garlickiego i Wróblewskiego wywodzą się z PPS.

Jesienią 1968 r. od Rakowskiego, jako naczelnego „Polityki”, zażądano wyrzucenia Wróblewskiego. Jego przełożony z KC, nie pamiętam już który, uzasadniał to ni mniej, ni więcej, tylko tym, że przed interwencją w Czechosłowacji Wróblewski zadzwonił do ambasady tego kraju uprzedzając, że jutro wkroczą bratnie armie, bo w polskim wojsku trwają już przygotowania. Określono to jako zdradę stanu. Władze – powiedziano – dysponują nagraniem na taśmie tej rozmowy Wróblewskiego. Rakowski odmówił usunięcia kolegi i powiedział, żeby mu dano tę taśmę. Żadnej nie dostał, tylko ponawiano

naciski, a on żądał taśmy coraz bardziej ironicznie. Oparł się żądaniom i sprawa, jak każda inna, przyschła.

Wróblewski wiedział, że KC żąda jego głowy, a słaby w 1968 roku Rakowski naraża się, nie pozwalając go ruszyć. Nie wiedzieć dlaczego akurat wówczas Wróblewski zapalał wielką do Rakowskiego nienawiścią. Dawał jej wyraz jawnie i otwarcie na niezliczonych zebraniach redakcyjnych. O co chodziło – nie wiem, bo nie o sprawy polityczne. W latach 70. Wróblewski reprezentował u nas nurt skrajnie pragmatyczny czy też technokratyczny, jak to określali polemisci „Polityki”.

Natychmiast po podpisaniu porozumień sierpniowych Andrzej Wróblewski pojechał do Gdańska i przeprowadził dla „Polityki” ostry, polemiczny wywiad z Wałęsą. U nas w redakcji nurt prozwiązkowy reprezentował Maziarski, a Wróblewski w tym, co pisał, wyrażał punkt widzenia pracodawców i gospodarki. Przywódca strajku nie wzbudzał jego sympatii. Za młodu Wróblewski występował trochę, tak jak i Drawicz, w STS-sie. Miał talenty imitatorskie. Odegrał więc nam na kolegium sceny jego rozmów z Wałęsą, pokazując, jak się przewodniczący pokłada, przeciąga, przedrzeźniając to, jak mówi i jak się puszy.

Wcześniej sprawozdawcami ze strajkującej stoczni byli Giełżyński i Stefański, którzy wrócili już zaszczepieni afektem do „Solidarności” i Wałęsy, czyli nawiedzeni. Aż się zataczali po redakcji tknięci nieprzytomną miłością do nowego ruchu. To oni chcieli jechać i robić wywiad z Wałęsą, ale ich nie puściliśmy, bo rozmowa prowadzona byłaby na kolanach. Wściekli więc na Wróblewskiego Giełżyński ze Stefańskim zadzwonili do związanego z Wałęsą dziennikarza z Gdańska, donosząc na kolegę, że po powrocie od wodza robił sobie z niego kabaret. Za tę nielojalność z mojej inicjatywy z Giełżyńskim rozwiązana została umowa o współpracę, a ze Stefańskim o pracę.

W roku 1981 Wróblewski siedł mniej więcej linią środka, natomiast jego partyjna żona Agnieszka (sam Wróblewski był bezpartyjny) znalazła się w tłumie bab prosolidarnościowych, rozhisteryzowanych. W niejednym domu mąż nie był wpuszczany do łóżka żony, póki jej nie pocałował w plaketkę „Solidarności”. Wszczepiano je agrafką nawet w nagie piersi. Tak słyszałem.

Po ogłoszeniu stanu wojennego i zawieszeniu „Polityki”, tak jak wszystkich czasopism, Rakowski zwołał zebranie w sprawie reaktywowania pisma. Niespodziewanie Wróblewski wystąpił jako lider grupy opozycyjnej. Sprzeciwiała się ona podjęciu wydawania „Polityki” i wzywała wszystkich do opuszczenia redakcji. Wróblewski wyraźnie dążył do zniszczenia pisma. Nie udało mu się. Odszedł z redakcji wraz z Krallówną, Iłowieckim, Skalskim, Falkowską, Fikusem, Paszyńskim zastępcą Rakowskiego, i paru jeszcze innymi, którzy odtąd stali się wyrazistymi stronnikami opozycji.

Po dokonaniu tego dzieła Wróblewski poprosił ministra spraw wewnętrznych o audiencję. Generał Kiszczak przyjął go. W czasie stanu wojennego wyjazdy zagraniczne wstrzymano, więc Wróblewski przyszedł prosić o paszporty dla siebie, żony, syna i córki, ponieważ chcą wyjechać do USA. Minister Kiszczak powiedział, że paszporty da niezależnie od tego, co mu Wróblewski powie, ale prosi o szczerą odpowiedź na pytanie, czy wrócą. Żona i ja tak – odparł Wróblewski, a dzieci są już dorosłe i postąpią, jak zechcą.

Rzeczywiście starzy Wróblewscy wrócili, a ich młode zostały. Już wcześniej Wróblewski sporo kręcił się po U SA zawierając tam korzystne znajomości.

Przyjaźniłem się z Wróblewskim i bardzo go lubiłem, coś jednak dziwnego dostrzegam w biegu jego życia i kariery. Zyskał mocne oparcie w Stanach, ale go nie zdyskontował do końca. Związał się z obecnie panującym w Polsce reżimem, ale mimo wielkich zdolności, także organizatorskich – nie zrobił kariery ani nawet pieniędzy. Człowiek to bardzo otwarty, a przy tym zagadkowy. Chce i umie dbać o swoje interesy, ale nie jest w tym konsekwentny. Lojalny kolega, a gryzł rękę Rakowskiego, który zawsze był wobec niego więcej niż w porządku. W sumie postać niejasna, zachowująca się tak, jakby jakaś niewidzialna ręka to pchała go w jakimś kierunku, to hamowała.

WRZESIŃSKA Barbara – wspaniała aktorka

Nie spałem z nią nigdy. Nie każdy może to o sobie powiedzieć.

ZANIEWSKA Xymena – scenograf

Dwie tylko w Polsce istnieją Xymeny: Kociubińska, wymyślona przez Gałczyńskiego, i Zaniewska, którą wymyślił przedwojenny architekt Zaniewski.

Pamiętam jej scenografię w Teatrze Małym, gdzie scena jest położona jak arena u nóg okalającej ją z trzech stron widowni. Kazała tam Zaniewska zasadzić prawdziwy ogród. Prawdziwe psy szczęły na prawdziwą trawę, a prawdziwe ptaki ćwierkały stereofonicznie. To była taka scenografia, że zupełnie nie pamiętam, jaką uprawiała sztukę. Szła tam jakaś ramota w reżyserii bodaj Hanuszkiewicza, okradzionego z talentu przez drobnego kieszonkowca. Nawet gdyby to się nie stało – przy Zaniewskiej nikt i nic się nie liczy.

Kobiety o takiej urodzie, czarze i talencie powinny żyć po kilka razy od początku. Szlag człowieka więc trafia, kiedy widzi starzejącą się Zaniewską, a w wózkach na ulicy wchodzące w życie jakieś kurnose żeńskie poczwary o czółkach kretynek i siodełkowatych nosach, które nadadzą się do reprodukcji bachorów, gotowania rosółu z kluchami i handlowania makaronem w sklepach spożywczych.

ZANUSSI Krzysztof – syn swojej mamusi

Robi film o Kolbem. Do Oświęcimia przewieziono już niezbędne wyposażenie planu zdjęciowego w postaci klęcznika z napisem: reżyser.

ZINN Wiktor – ulubieniec

Architekt i profesor historii architektury z Krakowa. Plotkowano, że urządzał dom premierowi Jaroszewiczowi. W każdym razie został nagle wiceministrem kultury. Cechą tamtej władzy była arogancja, ale i nonszalancja.

Po kwarantannie i odpokutowaniu kolaboracji z komunistami, z której się też wypowiadał, uznany został teraz znów za swojego. Przywrócono więc jego popularne ongiś programy w telewizji. Prof. Zinn stoi w studiu, rysuje różne budynki lub ich fragmenty i monotonnym głosem wymienia nazwy architektonicznych detali. Program finansowany jest przez Ministerstwo Zdrowia, które ostrzega przed nadużywaniem środków nasennych, rekomendując zamiast nich Zinna na ekranie albo też liczenie tylko w wyobraźni wielu baranów.

ŻUKROWSKI Wojciech – pisarz

Lubi, żeby go pieścić. Zaspokajaniem jego upodobań najpierw zajmowały się kobiety, potem władze. Bardzo pobożny.

W pradawnych czasach Żukrowski miał romans z ówczesną kochanką literatów – Dziką Landsberg, później przejściowo żoną Klemensa Szaniawskiego. Dzikka opowiadała, że Żukrowski ogniście spełniał swe powinności kochanka, ale w miarę jak ta jego praca postępowała, w niej słabło miłosne napięcie. Czuła, że on kopulując myślami już jest przy konfesjonale, a w trakcie miarowych, męskich ruchów, układa piękne zdania, w których zawrze spowiedź z tego, co właśnie teraz czyni. Czego ksiądz nie chciał wysłuchać, to Żukrowski pakował do powieści. Kobiety brał na współczucie – szukał u nich opieki, zrozumienia i pocieszenia. One go rzucały, gdyż pragnęły tego dla siebie – również lubią się nad sobą roztkliwiać, więc nie znoszą w mężczyźnie konkurencji. Od władz, z którymi współpracował, także oczekiwał wciąż współczucia. Chodził po gabinetach i pojękiwał.

Kiedy w stanie wojennym (czy też po) Wojciech Żukrowski został prezesem nowego Związku Literatów, opozycja wezwała naród polski do odsyłania Żukrowskiemu jego powieści. Kłuło ją bowiem niezmiernie, że pisarzem jest popularnym i pokupnym. Na setki tysięcy czytelników zareagowało na ów apel bodaj tylko kilkunastu. Zamiast się cieszyć, że zyskał darmo trochę egzemplarzy swoich książek, Żukrowski chodził i płakał rozmaitym dygnitarzom w klapy, jakie to straszne musi cierpieć

prześladowania. Bardzo delikatny człowiek, gotów zajmować się polityką pod warunkiem, że nikt i nic go nie drażni, a zapłatą będą wyłącznie pieszczoty.

Ostatnio podał do sądu sprawę o to, że Gierek w *Przerwanej dekadzie* powiedział, iż w mieście mówiono, że Żukrowski napisał Moczarowi *Barwy walki*. Nie wiem, czy i kto co komu napisał, ale czyż w 1968 r. przewidzieć można by było aż taką przyszłą obrazę o łączenie nazwiska Żukrowskiego z Moczarem? Jeśli on wyprze się i swoich następnych politycznych aliansów, ci, którzy go miłowali, przestaną Żukrowskiego kochać, a ci, którzy go nie cierpią, nie pokochają Żukrowskiego i tak. Czytelników też nie będzie, bo wydawnictwa stronią od publikowania książek autorów splamionych kolaboracją. Kto więc zaspokoi jego potrzebę miłości? Już tylko Pan Bóg, lecz i na to bym nie liczył. Ludzie tak się rozmnażają, że Bóg swą niezmierzoną miłość musi jednak rozdzielać na coraz liczniejsze miliardy istot tworzonych w pościeli na jego podobieństwo. Trudno się więc dziwić, że coraz mniej boskich uczuć przypada na łebka.